

MIECZYŚLAW GOGACZ

JAK TRACI SIĘ MIŁOŚĆ

(ESEJ ASCETYCZNY)

Edycja internetowa wydania pierwszego

Wydawnictwo Sióstr Loretanek

Warszawa 1982

© Mieczysław Gogacz

SPIS TREŚCI

OD AUTORA.....	4
ROZDZIAŁ 1 (Problem utraty miłości. Osobowość Ryszarda i Henryka)	7
ROZDZIAŁ 2 (Tęsknota skutkiem nieobecności osoby kochanej. Dzieje miłości Ryszarda do Krystyny).....	16
ROZDZIAŁ 3 (Postawa osób, które za mało kochają. Synowie Henryka i Łucji)	23
ROZDZIAŁ 4 (Miłość nie podjęta. Cierpienie w miłości Ryszarda do Krystyny)	29
ROZDZIAŁ 5 (Obrona przyjaźni. Spotkanie pomaturalne)	35
ROZDZIAŁ 6 (Włączyć swą miłość w miłość Bożą. Adam i powołanie do kapłaństwa).....	40
ROZDZIAŁ 7 (Miłość i życie religijne. Dom Pawła i Ewy oraz problem dziecka).....	46
ROZDZIAŁ 8 (Miłość i pożądanie. Rozmowa Adama z Tadeuszem o ascetyce Mertona).....	56
ROZDZIAŁ 9 (Pragnienie wszystkich miłości i największa miłość. Ryszard rozważa swoje odniesienia do Boga).....	63
ROZDZIAŁ 10 (Ucieczka od miłości. Krystyna w opinii Marcina i Teresy)	71
ROZDZIAŁ 11 (Rodzina na Mszy świętej. Problem zamieszkania w czyjejs miłości).....	77
ROZDZIAŁ 12 (Miłość i łaska uświęcająca. Dzieje myślenia i życia religijnego Ryszarda)	85
ROZDZIAŁ 13 (Sakrament małżeństwa. Studia i ślub Andrzeja i Teresy)	99
ROZDZIAŁ 14 (Liturgia pogrzebu dziecka. Grzech zdrady małżeńskiej)	114
ROZDZIAŁ 15 (Miłość jest zawsze poszukiwaniem Boga. Zwierzenia Krystyny, Tadeusz postanawia zostać księdzem)	126
ROZDZIAŁ 16 (Ascetyczna wersja miłości. Dzieje życia religijnego Adama)	140
ROZDZIAŁ 17 (Droga do grzechu ciężkiego. Andrzej myli miłość ze sposobami jej wyrażania)..	155
ROZDZIAŁ 18 (Matka Boża i Duch Święty w życiu religijnym człowieka. Wizyta w klasztorze).....	176
ROZDZIAŁ 19 (Rodzice i dzieci. Dom Henryka i Łucji oraz najmłodsze dziecko w rodzinie)	194
ROZDZIAŁ 20 (Wychowywanie miłości. Ryszard odkrywa, że kocha miłość, a nie Krystynę)	207
ROZDZIAŁ 21 (Zazdrość zagrożeniem miłości. Konflikty małżeńskie Pawła i Ewy)	214

ROZDZIAŁ 22 (Każdą miłość ratuje miłość Boża. Wersje utraty miłości).....	228
ROZDZIAŁ 23 (Dźwiganie krzyża tęsknot. Ryszard wyjaśnia Andrzejowi ascetyczne aspekty miłości do Boga).....	237

OD AUTORA

O pięknej i teologicznie prostej, lecz ascetycznie, a więc psychologicznie i pedagogicznie trudnej drodze człowieka do Boga, chciałem opowiedzieć inaczej niż w *On ma wzrastać*, w *Błędach brata Ryszarda* i w *Idę śpiewając Ciebie*. Chciałem napisać tak, aby Czytelnik zobaczył żywego człowieka w jego przeżyciach, wątpliwościach, zmaganiach, cierpieniach, przemianach, a nie tylko zetknął się z twierdzeniami, analizami, informacją, teorią ascetyczną. Umieściłem więc człowieka w złożonych sytuacjach życiowych, w układach rodzinnych, koleżeńskich, ukazując wciąż jego najważniejsze odniesienia do ludzi, właśnie jego walkę o miłość. Tę walkę i samą miłość inaczej przeżywają małżeństwa: Andrzej i Teresa, Henryk i Łucja, Paweł i Ewa, inaczej ci, którzy dla swej miłości chcą uzyskać etap małżeństwa, jak Ryszard i Krystyna, inaczej dorastający synowie Henryka i Łucji, jak Piotr, Michał i Adam, zwłaszcza Adam, którego życie jest może najwyraźniej uzyskiwaniem świętości, na innych zupełnie drogach niż droga Andrzeja lub Tadeusza. Ukazałem wiążącą ludzi miłość w sytuacji zawierania małżeństwa i marzenia o małżeństwie, w sytuacji narodzin i zgonu dziecka oraz marzenia o dziecku, w radości i w bólu, w zgodzie z Bogiem i w grzechu. Chodziło o to, aby zobaczyć, jak ludzka miłość, kierowana do osób ludzkich i do osoby Boga, pomaga człowiekowi przetrwać dni ciężkie i jak wzbogaca dni pogodne, jak powoli staje się i musi stać się czymś wyrażającym człowieka.

Taki zamysł ukazania właśnie nie twierdzeń, lecz sytuacji, ukazania wprost przeżywającego człowieka, zmusił do sposobu pisania, którym nie jest rozprawa, medytacja, aforyzm, lecz obraz, ciąg obrazów, przypominający jakąś odmianę powieści. Tak nazywam w tekście rodzaj realizowanego pisania. Ten rodzaj jest wtórny, nie jest celem napisanego tekstu. Uważam tekst za esej ascetyczny, który ma tylko postać przypominającą powieść. Jest takim esejem, gdyż w prawdziwej powieści najważniejsze są kreacje bohaterów, akcja, jej rytm, kompozycja utworu, podczas gdy w tej książce, w eseju ascetycznym najważniejsza jest prezentacja losu miłości, łączącej człowieka z ludźmi i z Bogiem.

Nie umiałem tego zamysłu zrealizować inaczej niż kreując wewnętrzne i religijne życie człowieka. Esej ascetyczny musiał przybrać postać jakby powieści. Można powiedzieć, że zamiast opisywać myśl, właśnie ją rysowałem.

Nie ja powinienem był to robić. Ktoś inny, sprawniejszy, wyszkolony rysownik powinien był religijny wymiar miłości pokazać w obrazach. Niech więc ta książka będzie tylko prośbą, aby w ogóle powieść podjęła temat religijnych kontaktów człowieka z Bogiem, temat walki o miłość obejmującą Boga, walki w udręczeniach ciemnej nocy duszy, gdyż ten etap drogi człowieka do Boga jest nam najczęściej dany.

Zanim zdecydowałem się wydać tę książkę, pytałem o radę polonistów. Nie powiedzieli „nie”. Nawet powiedzieli „tak”.

Uspokoilo mnie stwierdzenie, że w ostatnim rozdziale pozostawiam ludzi w męce, że właśnie jest to prawdziwe, że budzi zaufanie do wiedzy o życiu, którą - jak uprzejmie dodano - wnosi ta książka, wyjaśniająca w kolejnych rozdziałach zawile drogi ludzkiej miłości. Mówiono, że może ta wiedza pomoże komuś w przetrwaniu jego uwikłań, wątpliwości i zmagañ. Że pochylenie się z miłością nad ludzkim cierpieniem broni człowieka, tak przecież zagrożonego, a najdotkliwiej od wewnątrz, w najgłębszych jego postawach, w samej jego miłości. Że tylko nie należy nazywać książki powieścią, lecz portretem, dialogiem.

Nazywam ją esejem ascetycznym, który ma postać opowiedzianych sytuacji.

I znowu mówiono, że jest to przecież traktat teologiczno-moralny, w którym zrezygnowałem z wypowiedzi dyskursywnej na rzecz fabuły, lecz że w tej fabule za słabo zakorzeniłem problemy. Zarysowałem tylko pejzaże wewnętrzne i tak opisuję przeżycia ludzi, jak gdyby można było zawsze znać prawdę o człowieku. Że jednak w rozdziałach od dwudziestego pierwszego do końca książki te perypetie wewnętrzne człowieka są prawdziwe. Że dobry jest także rozdział siedemnasty. Że umiejętnie stwarzam wnętrza ludzkie, a gorzej działające osoby. Że język jest klarowny.

Radzono mi, abym zmienił kompozycję, lecz ktoś inny uważał, że ta właśnie kompozycja daje poczucie dystansu i zwiększa zaufanie do wypowiedzianych twierdzeń. Mówiono, że dobry jest rozdział trzynasty, a gorszy rozdział siedemnasty. Ktoś inny był jednak zdania - przypomnijmy - że dobry jest raczej rozdział siedemnasty.

Piszę to wszystko i w ten, może trochę nieporadny, sposób usprawiedliwiam posłużenie się w książce rodzajem literackim, który podlega bardzo przecież surowym kryteriom. Jednak nie ten rodzaj literacki przekazuję Czytelnikom. Przekazuję myśl ascetyczną i chrześcijaństwo. Tak, chrześcijaństwo. Jestem bowiem pewny, że jest to chrześcijaństwo i tylko tak przekazywane, jak przeżywa je zwykły człowiek, często słaby, lecz szlachetny, potykający się na drogach wychowywania swej miłości, lecz oddany Bogu, kulejący i pełny męki, lecz wytrwale niosący swój najcenniejszy skarb, swoją miłość do kresu, którym jest podejmująca ją miłość człowieka i miłość Boga.

Napisałem tę książkę dość dawno, jeszcze przed Synodem Biskupów, rozważających problem rodziny w świecie współczesnym. Cieszę się jednak, że książka wychodzi dopiero teraz, gdy rodziny i małżeństwa są przedmiotem także ascetycznej troski i uwagi Kościoła. Może i ten esej pomoże w ukazywaniu godności i zagrożeń rodziny oraz małżeństwa, które są podstawowym środowiskiem osób i miłości. Ukazuję w tych wspólnotach właśnie los miłości łączącej ludzi oraz wpływ miłości na duchowy rozwój dorosłych i dzieci, każdego człowieka.

Miłość czyni nas kimś godnym szczęścia i zbawienia: życzliwego trwania wśród osób i w nieutralnej współobecności z Bogiem.

ROZDZIAŁ 1

W kawiarence na rogu oboje zasiedli w wygodnych fotelach. Teresa wyciągnęła papierosy, Andrzej podjął przerwany temat.

— Nie ma jeszcze i może nigdy nie będzie przepisu na powieść. Nie obowiązują więc prawa, które mogłyby określać sposób pisania powieści i nie ma sztywnych zasad, wyznaczających jej strukturę. Naszą powieść w takim razie spróbujmy budować tak, jak buduje się na przykład recenzję utworu scenicznego. Właśnie recenzję, opinię o dramacie, który się rozegrał. Nie umiałbym spiętrzyć wydarzeń, stworzyć sytuacji, które charakteryzowałyby główną myśl utworu, nie umiałbym napisać utworu scenicznego. Moglibyśmy jednak omawiać to, co się zdarzyło. Może więc piszmy naszą powieść w taki sposób, aby to właśnie była relacja o tym, co było, relacja pełna refleksji, ocen, analiz, poszukiwania przyczyn, tłumaczenia zdarzeń. Może nawet niech sami bohaterowie powieści usiłują zrozumieć sens tego, co się stało. Niech to więc będzie udramatyzowana relacja, jakaś scenicznie ujęta recenzja, opisywanie wydarzeń w taki sposób, aby czytelnik zobaczył wszystkie racje tłumaczące kłopoty i powodzenia, smutek i radości, słabość i moc ludzkiego serca. Tak, ludzkiego serca Tereso, zabierzmy się więc do roboty i zacznijmy od zarysowania problemu lub, jeśli wolisz, tematu. Albo może postarajmy się najpierw o tak zwane zawiązanie akcji. Gdy to osiągniemy, będziemy mieli za sobą także zarysowanie tematu. Zgadzasz się? Akcja, a więc to, co dzieje się w powieści, jest sposobem rozwijania i rozwiązywania zarysowanego na wstępie problemu. Ten problem stanowi też podstawę do sformułowania tytułu, który...

Teresa ze śmiechem włączyła się w tok wywodów:

— który najczęściej w formie hasła streszcza i akcentuje wątki lub materiał powieści. Czy dobrze ujęłam twoją myśl?

— Dobrze, dziękuję. O tytule pomyślimy jednak później. Pierwsza sprawa to zawiązanie akcji i zarysowanie tematu. Może tak byłoby dobrze, posłuchaj.

W kawiarence na rogu obydwaj zasiedli w wygodnych fotelach. Henryk wyciągnął papierosy, Ryszard podjął przerwany temat i w dłuższej analizie swoich przeżyć usiłował wykazać, że jego życie jest procesem utraty miłości. Słuchający tego zwierzenia Henryk uświadomił sobie zaraz, że Ryszard prawdopodobnie pragnie

potwierdzenia tego, co nazwał utratą miłości. Henryk przypomniał sobie z jakichś dawniejszych lektur, że nigdy nie wolno akceptować formuły, przy pomocy której ktoś chce zamknąć jakiś swój męczący proces wewnętrznych przekształceń, załamania, czy nawet zwycięstw. Jedynym i właściwym zachowaniem się w takiej sytuacji jest niedopuszczenie do przekonania, że coś rzeczywiście się skończyło, że nie ma powrotu, że jakieś nadzieje nie mają perspektyw. Henryk odpowiedział więc Ryszardowi, że proces utraty miłości musi dokonywać się przynajmniej w dwu porządkach, w porządku odczuwania i w porządku innym niż odczuwanie. Ten drugi porządek to po prostu niezależny od przeżywania stan rzeczowy tego, co przeżywamy. Otóż patrząc na sprawę od strony przeżyć może nam się wydawać, że jakaś miłość wygasła. I być może ta miłość rzeczywiście wygasła, lecz tylko w stosunku do tego przedmiotu, który był wybrany, który radował, który skupiały jak soczewka nasze uczucia, dążenia, wszystkie tęsknoty i nadzieje. Jeżeli miłość polega właśnie na wyborze kogoś, na skierowaniu do tej osoby, czy rzeczy, uczuć i tęsknot, na obdarzeniu - mówiąc ogólnie - przedmiotu całym zaufaniem i na związaniu z tym przedmiotem naszego wewnętrznego życia, to może zajść tylko taka sytuacja, że dany przedmiot przestaje być zwornikiem i celem naszych działań. Ponieważ człowiek zawsze działa, tym zwornikiem staje się inny przedmiot. To, co chciałoby się nazwać utratą miłości, polega wobec tego na wymianie przedmiotu miłości. Nie ma więc procesu utraty miłości, może być jedynie proces wymiany przedmiotu miłości. Miłość jest wyborem, jest działaniem. Człowiek jest taki, że działa, a więc wybiera, kocha.

— Gdy się na zimno zanalizuje sprawę, nie utraciłeś, Ryszardzie miłości. Utraciłeś, być może, dotychczas skupiający twe uczucia przedmiot miłości. Ta utrata jest bolesna, przewraca nam całe dotychczasowe życie, po prostu wytrąca z dotychczasowego kierunku nasze działanie, nasz wybór, nasze uczucia. To nie jest proces utraty miłości. Ryszardzie, przedmiot, który kochałeś, przestał odbierać twą miłość. Odczuwasz to, jako utratę miłości. To jest jakoś słuszne. Patrząc jednak na tę sprawę inaczej, nie tylko od strony przeżyć, trzeba powiedzieć, że w dalszym ciągu kochasz, lecz to, co kochasz, już nie jest aktualnym dotychczas przedmiotem twojej miłości. Mógłbym dodać, że jesteś po prostu zdziwiony. Zdziwienie nie zawsze jest radością. Może być smutkiem, cierpieniem. Cierpisz, to prawda. Cierpisz jednak dlatego, że nie chcesz uznać nowego

przedmiotu dążeń, do którego kierujesz się z konieczności wobec braku tego, co dotychczas kochałeś. Możesz cierpieć długo lub zawsze, jeżeli długo lub nigdy nie zgodzisz się na fakt utraty i na perspektywę obdarzenia miłością kogoś innego. Wiem, nie musisz mi tego mówić, że dałeś wszystko. Dar jest czymś niepowtarzalnym. Jeżeli daliśmy wszystko, nie mamy już nic, co moglibyśmy darować. Tak się tą sprawę przeżywa. Miłość jest darem. Dajemy ją komuś nie dlatego, że ktoś na nią zasługuje. Po prostu dajemy. Ale miłość to swoiste działanie. Zawsze działamy, zawsze wybieramy. I cała sprawa obiektywnie tak się przedstawia, że wybrany przez ciebie przedmiot miłości nie odbiera twoich działań lub, czego może sobie nie uświadamiasz, kierujesz swoje działanie do innego przedmiotu. Może zaistniały powody, których jeszcze nie odkryłeś i dla których wybierasz już coś innego. Kochasz coś innego. Opierasz się, nie chcesz tego uznać i cierpisz. Tak, mój drogi, widziałbym tę sytuację, w której się znalazłeś.

Ryszard milczał. Henryk bał się tego milczenia. Mogło ono znaczyć zgodę lub sprzeciw. Mogło kryć tragiczną decyzję zamknięcia się w bólu, zaprzestania próby odbudowania miłości. Henryk wiedział, że to, o czym teraz myśli, jest bezładem, chaosem, jest swoistą paniką, jest lękiem. Bał się, że Ryszard już przywykł do swoich cierpień i swego smutku, że nigdy nie zechce wybrać uczuć, które rodzą radość. A przecież do każdego działania człowiek przywyka. I może przywyknąć do smutku. Dlaczego woli się często uczucia smutne, dlaczego nie chce się uczuć radosnych? Dlaczego tak trudno ludziom przyzwycząć się do radości? I dopiero po chwili opanowując popłoch myśli uświadomił sobie, że Ryszard mówi.

— Henryku (tak, to był głos Ryszarda), podwójnie obciążasz mnie jakąś winą. Cierpię, to już dużo, a źródło tego cierpienia widzisz tylko we mnie i prawie karcisz mnie za to, że nie chcę uznać nowego przedmiotu, do którego krok po kroku kieruje się moja miłość wobec braku, jak mówisz, tego, co dotychczas kochałem. Dlaczego nie widzisz winy po stronie tej osoby, która nie chce mojej miłości?

Henryk odetchnął. Wiedział, że już jest dobrze. Ryszard podjął dyskusję. Czuł też, że i na niego, na nich obu zwałił się teraz cały ogrom spraw, ujętych w dwa tak bardzo krótkie słowa: miłość i cierpienie. Obydwaj będą musieli przebrnąć przez wszystkie problemy i rozważyć całe swoje życie. Ryszard musi je zanalizować, aby odkryć przedmiot swej prawdziwej miłości, i zobaczyć, czy utracił miłość i czy utracił to, co

kochał. A on, Henryk, musi mu w tej drodze towarzyszyć i rysować drogi swojego życia, aby w tym porównaniu i z tej perspektywy Ryszard właściwie zobaczył to, co w nim się stało. Henryk wiedział, że nie będzie mógł pomóc przyjacielowi, jeżeli nie prześledzi razem z Ryszardem jego życia i jeżeli sam nie odkryje mu swojego. Takie jest prawo kierujące zrozumieniem kogoś i taki jest los przyjaźni.

Ryszard siedzi zgnębiony, Henryk jest pełen niepokoju. Patrzy na przyjaciela z wielką, serdeczną troską. Padły słowa trudne, wielkie. Zarysowały się problemy ogromne.

Andrzej ucichł. Siedzi zgnębiony. Padły słowa trudne, wielkie. Zarysowały się problemy ogromne. Teresa patrzy na Andrzeja z serdeczną i niby wielką troską.

— Andrzeju, a więc mamy już za sobą to tak zwane zawiązanie akcji. Jest główny wątek, prawie groza, dramat, który rozgrywa się w Ryszardzie i obejmuje Henryka, są dwie osoby dramatu, spór, napięta atmosfera, nabrzmiała ciężarem spraw. Można spodziewać się, że przyjaciele nie dadzą rady problemom lub że uda się im je rozwiązać. W każdym razie coś się stanie, wybuchnie, a właściwie już wybuchł wulkan. Eksplozja spraw dość duża. Po prostu problemy, tak bolesne dla wielu, budowane z drobniutkich czynów, narosły, poruszyły serca bohaterów powieści, zwały się na nich całym swym ciężarem i wywołały nasze współczucie. Tak, współczucie. To współczucie będzie łagodziło spór, który się zarysował, spór związany ze sprawą utraty miłości. Henryk prawie określił, na czym polega utrata miłości. Dał jednak tylko jedno z możliwych rozwiązań. Tych rozwiązań może być wiele. Zobaczymy zresztą, czy tragedię Ryszarda da się wytłumaczyć teorią Henryka. Może z analizy przeżyć Ryszarda wyniknie inne wyjaśnienie procesu utraty miłości. Tych wersji utraty miłości może być wiele. A może przeżycia Ryszarda są splotem procesów utraty wielu przedmiotów miłości lub może to jest rzeczywiście utrata miłości. To wszystko dopiero zobaczymy. Wszystko jednak, co powiemy w tej powieści, powinno być objęte naszym współczuciem, pozwalającym wytłumaczyć czytelnikowi, że nawet najtrudniejsze problemy człowiek jest w stanie przeżyć i przemyśleć. Może stanąć ponad nimi. Nie one mają zwyciężać. Mogą tylko człowiekowi służyć. Takie jest ich zadanie. Nasze współczucie to także dystans, uśmiech, wybaczenie, perspektywa doznania i wyświadczenia sprawiedliwości, zachęcenie do pogody, po prostu udział w zaplątanych

sprawach, nadzieja dla zaplątanych serc, dla ludzi, których sprawy bardzo mnie interesują i dlatego je opisuję, że ich kocham. Kocham ludzi.

Andrzej poruszył się:

— Przecież oboje piszemy tę powieść. Dlaczego mówisz tylko od siebie: kocham ludzi. A ten fragment o współczuciu nie wejdzie do powieści. Mógłby wejść tylko wtedy, gdybyśmy zawsze pamiętali, że powieść toczy się zazwyczaj na trzech poziomach. Pierwszy poziom stanowi to, co rzeczywiście zdarzyło się w życiu, nie w powieści. Zdarzenia zresztą wszystkim znane. Ktoś kocha, traci to, co kocha, cierpi. Do tych zdarzeń nawiązuje drugi poziom, będący właściwym materiałem powieści. Tym materiałem, a więc tym, z czego buduje się powieść, są opinie, teorie, interpretacje lub tłumaczenie zdarzeń, tłumaczenie narastania i utraty miłości. Można to nazwać spojrzeniem na miłość, na cierpienie i przyjaźń. To spojrzenie wyznaczają w ogóle ludzkie sądy o najważniejszych sprawach człowieka. Wszystko, co się zdarza, jest głębsze, boleśniejsze. Spojrzenie jest już uogólnieniem, oderwaniem od ziemi, przeniesieniem oprawy z serca do umysłu, który rozważa, ocenia, porządkuje, szuka przyczyn, perspektyw i przez to uspokaja, łagodzi, pozwala przetrwać, przeżyć, wybrnąć z trudności, czasem uratować serce i człowieka. Trzeci poziom to wszystkie poprawki wniesione do zdarzeń i opinii o tych zdarzeniach. Wnosi je konstrukcja powieści. Powieść ma prawo tak łączyć spojrzenia na problem, aby sprawy zarysowały się wyraźnie i aby jasno wyszły te akcenty, które prowadzą do właściwych rozwiązań. Te akcenty i rozwiązania mogą być inne niż zdarzenia i opinie o zdarzeniach. Mogą odbiegać od zdarzeń i teorii. Mogą utworzyć organizm, który nie ma wzoru w rzeczywistości. Powieść ma prawo stanowić osobny świat, inny, niespotykany. Jest to świat skonstruowany w tym celu, aby autor mógł przedstawić swoje rozwiązanie podjętego problemu. I nie chodzi tu także o założenia dydaktyczne. Nie. Chodzi o to, aby tak zwany proces utraty miłości, proces tak często przeżywany, zobaczyć w tym, co go istotnie konstytuuje. Może rzeczywiście, jak sądzi Henryk, nie traci się miłości. Zbadajmy tę sprawę. Badania zlecamy dwu osobom, dwu głównym bohaterom powieści. Mówiąc dokładniej, obciążamy Ryszarda obowiązkiem przeżycia procesu utraty miłości i obowiązkiem analizy własnego życia. Ten obowiązek zlecamy też Henrykowi. A porządkując to, co powiedziałem, należałoby stwierdzić, że właściwie

ten trzeci poziom powieści odbiera czytelnik, tę skonstruowaną akcję, którą na sposób recenzji budujemy z opinii i teorii, omawiających proces utraty miłości. Same zdarzenia są poza powieścią. Są jakimś jej źródłem w takim sensie, w jakim rzeczywistość jest źródłem poznania. Zresztą płaczą już te sprawy.

Andrzej sięgnął po papierosa.

— Jak myślisz, czy temat został wyraźnie zarysowany i czy stało się już to, co nazywamy zawiązaniem akcji? Tereso, ty trochę zbyt żartobliwie traktujesz problem, który mamy omówić w powieści.

— Należy najpierw przedstawić osoby omawianego przez nas dramatu. Jak więc wyobrażam sobie Ryszarda?

— Ryszard ma lat dwadzieścia sześć jest wysoki, przystojny. Mówi z lekką chrypką, bardzo dla niego charakterystyczną. Zajmuje się nauką, w której jest trochę wizjonerem, lecz wizji ogromnie pogłębiających trudne od wieków problemy. Niby nie jest jasny w swych wypowiedziach, lecz docierający do sensu teorii w sposób całkowicie zdumiewający trafnością. Rozwiązuje łatwo zawiłe kwestie, stawia na nogi anemiczne dotąd rozwiązania. Przeniesione na jego grzędę wątlutkie w innych ogrodach tezy, u niego nabierają rumieńców i ciała. W jego rękach nauka rozkwita, staje się sensowną interpretacją rzeczywistości. Ryszard jednak ulega nastrojom, boi się ostrzejszych opinii, dziecięco szczerzy i otwarty miesza się wobec bezwzględnych pryncypałów. Jest niezdolny do podjęcia skutecznej taktyki, żadnej obrony siebie wobec często niesprawiedliwych i płytkich zarzutów. Ambicje kolegów oplatają go siecią intryg, utrudniają pracę. Biedny tytan, małe, osaczone dziecko. Uważa, że pisanie jest psychologicznie bardzo skomplikowanym działaniem. Twierdzi, że człowiek najpierw bardzo długo chłonie wiadomości, nasycy się nimi, jak gąbka, którą pragnie się wycisnąć. Chce tę gąbkę wycisnąć. Zaczyna więc pisać, próbuje różnych form, lecz nie jest w stanie napisać tego, co chciałby wyrazić. Po prostu nie znalazł jeszcze właściwej formuły dla swoich myśli. Rozumie problemy, ujmuje je głęboko w dyskusji, a gdy to napisze, tekst jest błahy, niedoskonały, niepogłębiony. To wcale nie zależy od zdolności posługiwania się słowem. Pisarzem człowiek staje się w momencie, w którym po różnych doświadczeniach pisarskich trafi na formułę, jasno przekazującą pomyślane akcenty, właściwe rozwiązania z ich głębią, sensownością i swoistym pięknem. Ten

etap psychiczny rozpoznaje się także po łatwości kojarzenia, po rozbudowującym się warsztacie tematów i pomysłów. Ryszard w swej strukturze psychicznej jest pisarzem, i może bardziej pisarzem niż naukowcem. Ma jasne oczy, dużą ciemną czuprynę. Jest smukły, poważny. W twarzy dużo skupienia. Często jest smutny, zawsze dyskretny, nawet nieśmiały, w miarę elegancki, miły.

— Tereso, dosyć. Tworzysz typ, a nie człowieka. Może Ryszard jest taki, jak mówisz, ale to trzeba inaczej ująć. Spróbuję scharakteryzować Henryka.

— Henryk nosi okulary. Głos ma donośny, bystry umysł, rozcinający nawet najbardziej skomplikowane problemy. Ma lat trzydzieści, dużą wiedzę, zdolność prowadzenia ciekawej rozmowy. Jest raczej cichy. Sprawny organizator, dobry kolega. Ma wielu przyjaciół, jest lubiany, ceniony, żonaty.

— Naprawdę, Andrzeju, Henryk jest żonaty? Nie mówiłeś mi o tym. Z kim się ożenił? Kiedy to się stało?

— Teraz, w tej chwili. Po prostu ożeniłem Henryka. Musisz znaleźć imię dla jego żony. Żona jest ładna, właściwie urocza, spokojny kochający człowiek. Schudnie utrzymuje dom, przepisuje na maszynie prace Henryka, martwi się jego kłopotami, biega po zakupy i po salach uniwersyteckich, uczy jakiegoś zachodniego języka, czyta, sprząta, dyskutuje, gotuje, doradza, tak organizuje czas i pracę, że Henryk pracuje w warunkach wymarzonych: w ciszy, w gabinecie pełnym książek, zawsze odkurzonych w oszklonej szafie. Niełatwo jej być żoną Henryka. Mężowi nagle w czasie wieczornej rozmowy z gośćmi przychodzi do głowy pomysł naukowy. Idzie w ruch cały aparat refleksji, warsztat zaczyna działać, mąż usuwa się do swej maszyny i swego biurka, żona bawi uczonych, rozmawia z dziekanami i asystentami, częstuje herbatą, ciastkami, uśmiechem, anegdotą. Podsuwa tematy rozmowy, wiąże urywające się wątki, gdy uczeni zamyślą się nagle, wezwani przez wewnętrznego *dajmona* do rozważania swoich problemów. Żona wszystko rozumie, za nic się nie gniewa, goście czują się ugoszczeni, dziękują mężowi i żonie za niezwykle miły wieczór. Żona pracownika nauki musi bowiem rozumieć, że nauka jest w jej domu mieszkańcem równie ważnym jak pani domu. Gdy to rozumie, dom jest uroczy, życie płynie pogodnie i twórczo.

— Dziękuję, Andrzeju. Niełatwo być żoną pracownika nauki i bardzo współczuję żonie Henryka. Zresztą także nie scharakteryzowałaś człowieka, a tylko postawiłaś

postulaty, które doskonale zrozumiałam. Myślę, że przyda ci się, jeżeli także powiem, jaki ty jesteś. Andrzej ma lat trzydzieści, włosów jeszcze cokolwiek na głowie, dość dużo dyskretnie funkcjonującego rozsądku. Umie z dystansem patrzeć na siebie, lecz tylko w innych potrafi dostrzec śmieszności, niedociągnięcia i wady. Na spotkaniach jest denerwujący, wielu ludzi go lubi, a własna żona musi, bo nie ma wyjścia. Umie pisać powieści, sukcesiki na szczęście nie przewracają mu w głowie, żyje jak Bóg przykazał. Przed kłopotami i przygnębieniem broni się humorem. To każe mu często przyjąć namiotowo-wczasowy styl bycia, z którego ku zmartwieniom żony nie rezygnuje nawet na poważnych zgromadzeniach. Bawarduje, często stosuje satyrę, czego nie znoszą hieratyczne dostojności. Zawsze wystarczająco miły i na tyle odważny, by używać swego ostrego języka. Właściwie to już starszy pan („starsi panowie, starsi panowie dwaj, już szron na głowie, już nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj...”). Choruje na gastryczne dolegliwości. Leczy się skutecznie rumiankiem, dowcipny, elegancki, trochę krępowy. Czoło wysokie nad okularami. No, serce złote, refleksja dużej klasy. Szron na głowie tam, gdzie są jeszcze włosy. I majowe, tym razem gorące serce.

— Tereso, wystarczy już osób dla odtworzenia pierwszych wydarzeń. Żonie Henryka damy imię Łucja albo Izolda. Nie, raczej Łucja. Izoldę wprowadzimy później. Inne osoby wejdą na scenę także później, po prostu w odpowiednim czasie. Osób tych będzie wiele, całe szeregi przyjaciół, kolegów, współpracowników, cały, skomplikowany nasz świat, w którym dobrzy i źli toczą spór o prawdę i miłość. Tak, takie słowa trzeba, tu wprowadzić. Chodzi przecież o prawdę w procesie utraty miłości. Sprawa ta w książce musi otrzymać sprawiedliwy wymiar i ocenę, a wszystkich, stojących po obu stronach barykady musimy objąć sympatią i współczuciem. Tak, współczuciem. Zgadzam się na to współzucie. Niech stanowi atmosferę powieści. Dla świętej zgody ustępuję ci w tym punkcie.

— Dziękuję. Trochę mi szkoda, że nie piszemy utworu scenicznego. Zdarzył się dramat, który nazwałś procesem utraty miłości. Moglibyśmy ten dramat pokazać. Wolisz jednak tylko go omówić, ocenić, zrecenzować. Może masz rację. Właściwie powieść ze swej natury jest zawsze raczej omówieniem, jest spojrzeniem na zdarzenia z pewnej odległości, z dystansu, z jakimś spokojem. Jest recenzją. Tak. Powieść jest

opisem zdarzeń, ich oceną, swoistym sądem o dziejach ludzkiego serca. Nasza powieść będzie omawiała te dzieje, dzieje utraty miłości. Henryk uważa, że traci się miłość, gdy przestaje się kochać to, co się kochało. Utrata miłości według niego to zmiana przedmiotu miłości. Ryszard nie godzi się na tę opinię. Jaką teorię zarysuje Ryszard? Może według niego utrata miłości będzie polegała na zmianie sposobu kochania, na ukochaniu inaczej tego, co się kocha. Zobaczymy. Andrzeju, jak przebiegała miłość Ryszarda?

— Ustaliliśmy temat powieści, wiemy, że ma to być problem utraty miłości, związaliśmy dzieje Ryszarda z dziejami Henryka, mamy początek akcji. Masz rację pytając o przebieg miłości Ryszarda. Przenieśmy więc tę akcję już na teren uczuć Ryszarda, na teren jego serca.

ROZDZIAŁ 2

Dziewczyna szła w towarzystwie dwóch panów. Wtedy właśnie Ryszard zobaczył ją po raz pierwszy. Poczuł, że serce ucieka mu gdzieś w dół, prawie przystanął. Dziewczyna spojrzała na niego. Za chwilę cała trójka zniknęła w tłumie. Ryszard cierpiał.

W długie zimowe wieczory rozpamiętywał twarz nieznajomej, jej spojrzenie. Wychodził z domu, szukał jej na tym odcinku drogi, na której kiedyś ją spotkał. Obecność w pamięci obrazu dziewczyny niepokoiła go tak dalece, że nie był w stanie dostrzec innych spacerujących. Cierpiał, że nie widzi swej nieznajomej i cierpiał dlatego, że spotyka innych ludzi. Zastanawiał się, dlaczego właśnie cierpi. Cierpienie to wkraczało w myślenie, w uczucia. Myśl o dziewczynie sprawiała ból prawie fizyczny. Brak jej obecności powodował jakieś wewnętrzne łkanie, które Ryszard krył w mroku wieczornych spacerów. Pracując w swym pokoju musiał co pewien czas dać miejsce w swej refleksji natarczywie napływającym myślom, w których nastroje i uczucia akcentowały mu obraz dziewczyny. Wciąż tylko obraz. Do tego obrazu przyłgnął całym uczuciem, poprzez obraz tęsknił do realnych spotkań, do rozmów, do możliwości patrzenia w oczy, które ukochał. Nie miał sił, by uwolnić się od tęsknoty i nie chciał się od niej uwolnić. Ból był słodki.

— Dlaczego więc cierpię?

Ryszard wiedział, że wszystkie jego uczucia i wszystkie myśli prawie niezależnie od niego skupiły się na niej, na jedynej osobie, która wtargnęła w jego życie poprzez jedno przypadkowe spojrzenie. Cierpienie miało swe źródło w tym, że uczucia nie zostały podjęte, że myśl, objawiająca się w słowach i rozmowach, nie miała odbiorcy. Był tylko wciąż obraz, zupełnie martwy, ukazujący perspektywy. Czy jednak były to perspektywy, których krańcem jest coś realnego, człowiek już całą duszą kochany?

Nadszedł jakiś wieczór. Ryszard błądził po tej jednej, zawsze tej samej ulicy wypatrując oczu kochanych. I nagle, jak kiedyś, uczył, że serce usuwa się w dół, ucieka, zamiera. Tak, to była ona. Przeszła obok, zniknęła. Ryszard wrócił do domu pełen męki.

Mijały dni, ból wcale nie malał. Ryszard coraz częściej łkał w smutnym mieszkaniu. Bał się tych wewnętrznych łez. Bał się, że powtarza jakiś styl tęsknot już dawno wypartych przez nowe formy kontaktów między ludźmi. Nie umiał reagować inaczej. Doszedł do wniosku, że choruje jakaś jego istotna część duszy, że stamtąd dobywa się łkanie, potrzeba obecności tego, co się kocha. I musiał przyznać się przed sobą, że cierpi z powodu braku osoby, którą kocha. A formułował to inaczej: cierpię z powodu braku miłości. Czyżby wrócił etap, który minąłem?

Ryszard prześledził w sobie wszystkie swoje reakcje na spotykanych ludzi, na spotykane dziewczęta. Reakcje te bardzo długo były w nim dwupoziomowe. Nawiązywał łatwo kontakty. Były to jednak kontakty intelektów. Cenił dowcip, błyskotliwe rozmowy, psychologiczną analizę. Dziewczyna, która nie objawiła tych zalet, odpadała. Przystawał się nią interesować. A z czasem odeszła od niego ta grupa osób, z którymi wiązały go rozmowy, kultura, cały świat umysłowych wartości. Ryszard był więc najczęściej samotny. Cenił swych przyjaciół, szukał dziewcząt. Były przy nim jakiś czas i odchodziły. Tęsknił do nich, do ich widoku, do spotkań, spacerów. A obok tego poziomu kontaktów szalał w nim inny poziom tęsknot. Tęsknotom tym jednak nie pozwalał dojść do głosu.

Ten stan dwupoziomowych tęsknot trwał w nim długo. Potem zrozumiał, że podlegał ciężeniu chyba teorii, których sobie nie uświadamiał, a które niosły z sobą całą swoiście manichejską wersję oddzielenia spraw duszy od spraw ciała. Z czasem dopiero u dziewcząt, które znał i cenił, z którymi dyskutował i pracował nad studenckim zadaniem, zaczął dostrzegać także oczy, włosy, sylwetkę. Pragnął nie tylko rozmów z nimi, pragnął też ich oczu, chciał słuchać ich głosu, patrzeć. Znikała powoli dwupoziomowość reakcji, zaczął przed nim zjawiać się cały, realny człowiek. I zapragnął kochać tego właśnie całego człowieka. Pragnął jego myśli i uczuć, jego duszy i ciała. Chciał kochać duszę i ciało razem, jednocześnie, dobrze, uczciwie. Nie chciał osobno tęsknot i osobno miłości. Chciał, aby tęsknoty i miłość stanowiły jedno wzruszające powiązanie, jego pełne powiązanie z kimś, kogo by kochał nie łamiąc przykazań i życzeń Bożych.

I teraz zjawiała się ona. Nie zna jej, tęskni do niej, do jej głosu, do spotkań, do zwykłej rozmowy w kawiarni.

Wszedł na uniwersytecki korytarz i serce, jak kiedyś, uciekło. Wśród innych dziewcząt zobaczył twarz, dla której tyle wycierpiał. Jest. Jakże to jednak komplikuje sprawę. Trafił na jej ślad. Już teraz go nie zgubi. Jak jednak dotrzeć do niej, skoro zakochani właśnie tracą rozsądek, mowę, gdy znajdują się obok siebie. Po wielu, wielu tygodniach wymyślił jakieś pytanie, z którym zwrócił się do dziewczyny. I znowu mijały dni i szukanie sposobów zaproszenia jej na kawę. Nie pójdziemy do kawiarenki na rogu - myślał w długie wieczory. Moglibyśmy tam spotkać Henryka i Łucję. Chcę ją mieć dla siebie. Chcę słuchać jej głosu, być przy niej i tylko sam. Umówili się na kawę. Czekala na niego przed gmachem uniwersytetu.

Kawiarenka w kolorach zaskakujących. Ściany kanarkowe, stoliki zielone, fotele czerwone i żółte. Okna przysłonięte. Pod ścianą rząd kaktusów. Jakieś trzy obrazy zawieszane bez smaku. Rozmawiali o studiach, o czasach i przygodach gimnazjalnych, o popularnych piosenkach.

— A teraz powiem pani, jak odbywają się posiedzenia naukowe. Wstaje profesor - prorok i stwierdza: Ten problem może rozwiązać tylko ktoś, kto umie rozwiązać ten problem. To po pierwsze. Po drugie oni są indoktrynowani (oni, to znaczy przeciwnicy jego tezy). Po trzecie chcą swym sprzeciwem zniszczyć moją katedrę (zauważmy, że takiego zamiaru nikt nie żywi, ale tego nie można wytłumaczyć). Podbródek proroka drży, wargi zaciskają się w charakterystyczny trójkąt, okulary błyszczą, ręce zaplatają się w skomplikowany węzeł i wyrażają nastrój grozy. Wstaje drugi profesor - prorok, pochyla głowę, chrząka, cofa w głąb duszy swój typowy i taktyczny uśmiezek: Panowie, jeśli czegoś uczę, to uczę dobrze. Uczę tak, jak moi mistrzowie. Oni uczyli nas tak, jak ich uczyli ich nauczyciele. A nauczycielami ich nauczycieli aż w nieskończone pokolenia w tył byli sami apostołowie. Jeśli ktoś uczy inaczej niż ja, uczy inaczej niż apostołowie. Skończyłem. Zabiera głos trzeci prorok: Tak nigdy nie było. Tak jest teraz. I na tym posiedzenie zamknięto.

Oboje wybuchnęli śmiechem. I wśród śmiechu powiedziała:

— Pan jest smutny. Czym pan się martwi?

— Widzi pani, jest tyle powodów do smutku. Może rzeczywiście jestem trochę zmartwiony. To dotyczy naszego pisma. Redakcja „Akcentów” jest zaabsorbowana swoimi kłopotami wydawniczymi. Jej problemy sprowadzają się głównie do

zaplanowania i wydania zeszytu. Mała ilość osób w redakcji jest zawałona artykułami, korektami, całą techniczną stroną roboty. Nie mają czasu na planowanie i organizowanie kadry autorów, nie myślą o kierowaniu w świadomości odbiorców rozwojem problematyki. Zeszyty „Akcentów” są wyznaczone albo przez napływające materiały, albo przez zainteresowania redaktorów. Nie patrzy się na potrzeby kultury, nie ogarnia się rynku czytelniczego od strony funkcjonujących w kulturze spraw i problemów. Rynek ocenia się na podstawie lepszego lub gorszego rozchodzenia się pisma. Aż trudno uwierzyć, że orientacja redakcji w potrzebach umysłowych ludzi jest tak nikła. Nie patrzą dobrze lub nie umieją. Upierają się jednak przy swoich diagnozach i forsują problematykę, która, owszem, jest interesująca, ale nie zawsze trafia w najżywsze konflikty i potrzeby.

Mówiąc to wszystko Ryszard jednocześnie snuł w myślach inny dialog, który dałby się streścić w okrzyku: Krystyno, Krystyno!

— Widzi pani, czuję się dość bezsilny. Są w kulturze pilne sprawy do załatwienia, a nie można ich załatwić. (Krystyno, nie mogę, nie umiem ci powiedzieć, jak pilna jest dla mnie, jak ważna jest sprawa twojej ciągłej przy mnie obecności). Ktoś gdzieś pisał, że zagraża ludziom relatywizm, scjentyzm, irracjonalizm, praktycyzm nawet skrajny, a w ogóle nikt temu nie zapobiega. (Zagraża mi brak ciebie. Odejdziesz. Nie wiesz, jak tęsknię. Nie dowiesz się, że płaczę. Bądź ze mną!). Nikt nie chce patrzeć na fakty, tak niewielu ludzi jest wyczulonych na prawdę, każdy ma jakieś uprzedzenia i pozwala im rozwijać się w sobie. (Nie wiesz, nie widzisz mojej męki. Masz swój świat. Nie chcesz jeszcze, nie umiesz jeszcze dostrzec faktu mej miłości. Krystyno, Krystyno! Wołam do ciebie przez te obojętne słowa. Kiedy mnie usłyszysz?) Ludzie wołają jakiś mniejszy wymiar zagadnień, wołają konstruować mniejsze budowle. Poziom analiz i argumentacji może sprawiać ból. (Sięgasz po drobiazgi, po zabawną rozmowę, spacer, a chcę ci dać całe serce. To sprawia ból). Poza tym „Akcenty” patrzą w mały krąg swego światka. W tej sytuacji pozostaje tylko płacz, zamykany we własnym pokoju. (Płaczę zamiast cieszyć się szczęściem twojej obecności. Nie widzisz mnie jeszcze. Nie mogę ci pokazać całej swej miłości. Nie rozpoznałabyś jej. Muszę czekać, aż twoje oczy przywykną do tych mroków i blasków, które wnosi każda miłość). Uniwersytet jest takim forum, które uprawnia do zabrania głosu. Ten potrzebny głos nie pada. „Akcenty” więc go nie słyszą.

Pismem kierują ludzie, którym jakoś mniej leży na sercu ustalająca się struktura myślenia w naszych czasach. W redakcji dużo zaferowania. Nikt nie ma czasu na spokojną refleksję. Obraz świata rysują nam zawsze ci sami ludzie. Wciąż się o coś sprzeczą. Ich artykuły są wypadkową przewagi danej opinii czy grupy. Zainteresowania często dość propedeutyczne. Czytelnik szuka pożywki intelektualnej, jakiegoś umocnienia optymizmu, nadziei, wiary w dobro, a tu zawsze prace o marginesowych problemach. (Szukam umocnienia nadziei, że będziesz przy mnie, szukam wiary, że mnie pokochasz, szukam twej miłości. Kocham. Chcę, abyś mnie także kochała. Jestem przygnębiony, zmartwiony, smutny). Jestem tym wszystkim zgębiony. Może dlatego jestem trochę smutny. Ale co robić, z kim rozmawiać? Redakcja „Akcentów” wysłuchuje tego, co mówimy i nie reaguje. (Słuchasz tego, co mówię i nie słyszysz zasadniczych tonów. Nie chwytasz jeszcze tonu, który brzmi moją miłością). „Akcenty” po prostu oddalają się na pozycję prywatnej grupy, która chce mieć prawo do swoich spraw. (Krystyno, masz prawo do swoich spraw. Uczyni swoimi moje sprawy). A sprawy wspólne, istotne dla całych rzesz czytelników, są nietknięte. (Sprawy istotne, sprawy naszej, wciąż jeszcze mojej do ciebie miłości są nietknięte). Martwi to odsuwanie się redakcji w kierunku spraw małych, małych perspektyw. (Cierpię. Wiąza nas drobiazgi. Czy związa tak, byśmy pozostali razem na zawsze?). I co w tym wypadku robić, jak zaradzać, jak ratować ludzkie myślenie, jak wspomagać walkę o prawdę, o wielkie prawdy? (Co mam robić? Krystyno, co mam robić? Odejdiesz za chwilę. Będę sam. Wróci męka życia bez ciebie).

— Niech pan pisze. Dlaczego nie napisze pan tego wszystkiego, co pan przed chwilą powiedział?

— To nie jest łatwe. Ale moglibyśmy spróbować. Pani Krystyno, napiszmy coś wspólnie. Napiszmy na przykład powieść.

Krystyna wybuchnęła śmiechem. Ryszard uświadomił sobie, że już drugi raz słyszy jej cudny śmiech. Jej śmiech. I bał się, że znowu będzie musiał długo czekać na to, by usłyszeć głos Krystyny. Co robić, by częściej ją widzieć. Co robić?

— Naprawdę, pani Krystyno, piszmy razem. To bardzo ciekawe. Pisanie w ogóle nie jest łatwe. Ale napisanie powieści jest możliwe. Bierze się jakieś wydarzenia, krajobrazy, miasta, ludzi. Opisuje się to wszystko bardzo obrazowym językiem. I

powieść gotowa. Można inaczej. Można zamiast opisu wziąć same dialogi i szkicować akcję przy pomocy tych rozmów. Można przyjąć zasadę chronologii wydarzeń, zamykać w obrazie jakiś ciąg spraw. Pisano też w ten sposób, że dwie akcje rozwijano jednocześnie opisując wydarzenia raz jednej, raz drugiej grupy bohaterów. Odpowiadałaby mi najbardziej taka technika, w której jednocześnie można by śledzić jakąś akcję i sposób jej konstruowania. Po prostu coś pośredniego między techniką filmu *O czymś innym* i *Nóż w wodzie*. Pamięta pani te filmy? Tak? To dobrze. Chciałbym tak pisać, aby dzieje bohaterów powieści na oczach czytelnika konstruować z materiału, którym są opinie, teorie, obrazy, rysowane w kilku płaszczyznach jednocześnie, o znaczeniach, obejmujących kilka poziomów czy języków.

— Proszę pana. To wszystko jest dla mnie za trudne.

— Rozpocznijmy wobec tego tradycyjnie. Zgadza się pani? Niech to będzie na przykład omówienie tego, co się zdarzyło. Taka swoista recenzja zdarzeń i opinii. Lecz jaki temat powieści? O czym napiszemy?

Krystyna podniosła powieki. Ryszard zobaczył jej oczy, które wciąż kryła. Chciałby w nie patrzeć przez wieczność. W oczach Krystyny pojawiły się ogniki, zwiastujące śmiech. Ryszard znowu zapytał:

— O czym napiszemy tę powieść?

— O miłości.

Krystyna wyszeptala to słowo i ukryła oczy pod powiekami jakby speszona tym, że ujawnia czyjąś i swoją tajemnicę.

— Dobrze. A więc zaczynamy pracę. Może niech pani dzisiaj zapisuje, ja będę dyktował. Jeżeli to ma być powieść o miłości, musimy wprowadzić dwoje bohaterów. Niech to będzie na przykład Teresa i Andrzej. Napiszemy powieść o dziejach miłości Teresy i Andrzeja. Zgadza się pani? To dobrze. Może więc rozpocznijmy w ten sposób:

W kawiarence na rogu oboje zasiedli w wygodnych fotelach. Teresa wyciągnęła papierosy, Andrzej podjął przerwany temat i w długiej analizie swoich przeżyć usiłował wykazać, że jego życie jest procesem utraty miłości. Przysłuchująca się tym zwierzeniom Teresa uświadomiła sobie zaraz, że Andrzej prawdopodobnie pragnie potwierdzenia tego, co nazwał utratą miłości. Odpowiedziała więc, że raczej nie ma procesu utraty miłości, może być jedynie proces wymiany przedmiotu miłości.

— Gdy się na zimno zanalizuje sprawę, nie utraciłeś, Andrzeju, miłości, mogłeś jedynie utracić to, co dotychczas kochałeś. Może przedmiot, który odbierał i skupiał twoje uczucia, przestał odbierać twoją miłość.

Andrzej milczał. Teresa odłożyła pióro i zapalając papierosa myślała. Mojej miłości Andrzej nie stracił. O kim on mówi? Czyżby wyznawał, że oprócz mnie kochał już kogoś i z wielkim bólem swą miłość skierował do mnie? A może mnie dotyczy jego proces utraty miłości?

— Andrzeju!

Teresa prawie krzyknęła. Andrzej nie odpowiedział, a Teresa uświadomiła sobie, że i na nią, na nich dwoje zwałił się teraz cały ogrom spraw, ujętych w dwa krótkie słowa: utrata miłości. Oboje będą musieli przebrnąć przez wszystkie problemy i rozważyć całe swoje życie. Andrzej musi je zanalizować, aby odkryć przedmiot swej prawdziwej miłości. A ona, Teresa, musi mu w tej drodze towarzyszyć i rysować drogi swojego życia, aby w tym porównaniu i z tej perspektywy Andrzej właściwie zobaczył to, co w nim się stało. Przestał kochać Teresę. Teresa o tym wie. Oparta o poręcz fotela patrzy na Andrzeja. Z oczu Teresy bezgłośnie płyną łzy. Andrzej je dostrzegł.

— Co się stało, Tereso? Co się stało?

ROZDZIAŁ 3

— Czy pamiętasz, Andrzej, że dziś po południu mamy gości?

— Kto przychodzi, nic nie wiem?

— Już dawno są umówieni. Sam ich zapraszałeś. Będzie Henryk z żoną.

— Kto taki? Tereso, co ty mówisz? Kto będzie?

— Po prostu Henryk i Łucja. Dlaczego tak się dziwisz?

Andrzej stanął bez ruchu.

— Nic nie rozumiem. Nie znam żadnego Henryka i żadnej Łucji.

— Ależ, Andrzej. Nie znasz Henryka? Henryk jest przyjacielem Ryszarda. Jego żona ma na imię Łucja. Mają trzech synków: Michała, Piotra i Adama. Bywali u nas. Henryk opowiadał ci przecież smutne dzieje Ryszarda, to, co Ryszard nazwał procesem utraty miłości.

— Siadajmy i pomówmy spokojnie.

Usiedli, sięgnęli po papierosy.

— A teraz, Tereso, powiedz, czy mnie widzisz?

— Widzę cię.

— A gdy dotykam twojej ręki, czy czujesz, że jestem realny, że siedzę obok ciebie?

— Czy sądzisz, że Henryk nie jest realny i że Łucja nie istnieje? Wiem, wydaje ci się, że oboje są fikcyjnymi postaciami powieści. A kim my jesteśmy? To ty przecież w powieści Ryszarda mówiłeś o procesie utraty miłości. I ja w tej powieści broniłam cię przed tobą. Oboje będziemy musieli rozważyć całe nasze życie. Czy nie pamiętasz tych słów: „co się stało, Tereso? Co się stało?”

— Pamiętam, że to mówiłem. Nie wiem jednak, że jestem postacią z powieści Ryszarda.

— Tak, Ryszard pisze powieść razem z Krystyną. W tej powieści Andrzej przeżywa proces utraty miłości.

— Ale w naszej powieści ten proces przeżywa Ryszard razem z Henrykiem. Oszczędziłem tej męki Łucji.

— Mnie nie oszczędziłeś. Twoja żona, Teresa, musi z tobą razem przeżyć tę mękę. Tak przecież zarysowałeś główny wątek w powieści Ryszarda. Piszesz powieść o

Ryszardzie, który w pisanej przez siebie powieści opowiada o dziejach miłości Andrzeja i Teresy.

— Tereso. Powieść pisze autor. Stwarza postacie, ich losy. Stworzył Ryszarda, Krystynę, Henryka, Łucję, Andrzeja, Teresę. Autor jest realny. Postacie jego powieści są fikcyjne, są osobami tylko pomyślanymi. Wszyscy jesteśmy fikcyjnymi postaciami powieści. Może więc u nas bywać Henryk i Łucja. Masz rację.

— Zgoda. Pomyśl jednak o tym, że autor w powieści nie istnieje. Powieścią nie są też litery, kartki papieru. Powieść to cała osobna struktura, osobny świat, w którym są i działają ludzie. My jesteśmy tymi ludźmi. Nie ma autora. My tworzymy los Ryszarda i Krystyny, Henryka i Łucji. My jesteśmy realni.

— Wobec tego dlaczego twierdzisz, że na herbatę przyjdzie stworzony przez nas w naszej powieści Henryk i że przyjdzie także Łucja?

— Po prostu realność postaci powieściowych jest względna. Z punktu widzenia Ryszarda Andrzej i Teresa są tymi ludźmi, którzy istnieją w sposób zależny od myślenia Ryszarda. Z naszego punktu widzenia Henryk i Łucja są postaciami powieściowymi. My i oni, jako postacie powieści, możemy się spotkać. Zależy to od tego, w jakiej roli zechcesz wystąpić. Jeżeli zaakcentujesz autorstwo powieści, Henryk i Łucja do nas nie przyjdą.

— Tak, akcentuję to. Tereso, uporządkujmy sprawę realnego i nierealnego. O ile rozumiem, realne jest to, co istnieje niezależnie od jakiegoś podmiotu myślącego. Nierealne jest to, co istnieje jako wytwór myślowy jakiegoś podmiotu myślącego. Czy tak? A więc my stworzyliśmy w naszej powieści Henryka i Ryszarda. Henryk i Łucja nie mogą przyjść do nas na herbatę. Będziemy dziś mieli wolne popołudnie.

— Zgoda. Niech tak będzie. Dlaczego więc tak śmiesznie, niemodnie, wprost naiwnie opisałeś romans czy miłość Ryszarda? Sentymentalizm aż kapie. Kto dziś tak przeżywa miłość? Który chłopak płacze dziś z tęsknoty i szuka śladów swej ukochanej? Po prostu umawia się z dziewczyną, idą na tańce, na spacer. Czy wierzysz w miłość od jednego spojrzenia? To już przebrzmiała teoria. Nikt dziś nie ustala takich źródeł miłości. Nie ma cierpień młodego Wertera. Tkwisz w starych teoriach.

— A jednak, Tereso, a jednak sprawa nie jest prosta. W naszej powieści bohaterami są teorie. Ryszard jest nosicielem tych teorii. Zrealizował jedną. Trzeba ją sprawdzić.

Trzeba zobaczyć, jak funkcjonuje w ludzkim przeżyciu taki styl miłości, jaką przynosi problematykę. A poza tym może jednak są tacy młodzi mężczyźni, o tak subtelnych reakcjach, że ich miłość musi przejść przez te niebezpieczeństwa i trudności, jakie przeżył Ryszard. Zobaczymy, który styl kontaktów ludzkich najbardziej sprzyja utracie miłości. Może pod koniec powieści uda się nam wyliczyć to wszystko, co niszczy ludzką miłość. Może dotrzemy do tych czynników, które miłość ocalą. W wypadku Ryszarda prześledziliśmy dopiero zewnętrzną warstwę jego przeżyć. Stwierdziliśmy zależność jego postępowania od takiego myślenia, w którym rozdziela się sprawy ducha i sprawy ciała. Pozostaje pytanie o sens tego rozdzielenia. Czy tylko wyznacza je manicheizm? Gdyby tak było, nie warto byłoby badać tego problemu. Podejrzewam, że dno tej sprawy może być inne. Musimy prześledzić religijne życie Ryszarda. Czy Ryszard kocha Krystynę dla niej samej, czy kocha ją dla siebie? Czy jest to więc miłość egoistyczna, czy altruistyczna? A co się dzieje w człowieku, który całą swą miłość skierował do Boga? W takim człowieku realizacja tej miłości w porządku ciała przestaje być aktualna, mimo że miłość do człowieka pozostaje. Co to więc znaczy kochać? Czym jest miłość? Widzisz, Tereso, że zadań przed nami ogromnie dużo.

— Tak, ale czy to, co teraz piszemy, nie jest przypadkiem ze stawieniem i to dość łopatologicznym tego wszystkiego, co sam czytelnik powinien w powieści odczytać?

— Nie. To jest po prostu przyśpieszenie akcji. Musielibyśmy zbudować ogromnie dużo obrazów, by takie pytania wyrazić. Chciałbym je minąć, a raczej z nich i na nich zbudować takie konstrukcje, dzięki którym czytelnik zobaczy coś więcej, po prostu problemy i perspektywy bardziej złożone, a przez to wierniej obrazujące los ludzki i dzieje miłości.

— Nie zapomnij jednak, Andrzeju, wyraźnie powiedzieć czytelnikom, że nie przestałeś mnie kochać.

— Dobrze, właśnie to także chcę pokazać. Chcę pokazać cały skomplikowany proces ukochania własnej żony i trwania w tej miłości.

— Dużo więc przed nami zadań i problemów. Dlaczego wprowadziłeś do powieści także dzieci Henryka i Łucji?

— Ryszard będzie do nich tęsknił. Damy im zresztą role drugorzędne. Ponieważ czas możemy zmieniać, zarysujmy zaraz ich dzieje, by potem tylko nawiązywać do tych momentów, które będą wyjaśniały los Ryszarda.

— Proszę cię jednak, nie bądź okrutny dla dzieci Henryka i Łucji.

— To jednak nie zależy tylko ode mnie. Bohaterowie powieści mają swoje odrębne życie, lecz także podlegające swoistym konsekwencjom i prawom. Nie tylko więc my kształtujemy życie osób, o których mówi powieść. Wiem na przykład, że Henryk i Łucja nie będą mieli wnuków.

— Dlaczego?

— Ani Michał, ani Piotr, ani Adam, nie założą rodziny. Nie ożenią się.

— Andrzej, nie tylko zubożasz powieść, ale unieszczęśliwiasz także tych młodych ludzi. Cóż prostszego, jak zapoznać ich z dziewczętami.

— Oni za mało kochają. Taka jest ich rola w powieści. Na ich przykładzie musimy prześledzić życie osób, które za mało kochają.

— Nie uda ci się to, ponieważ jesteś zbyt okrutny.

— Tak. Za mało kochają. Traci się miłość także wtedy, gdy się za mało kocha.

Weźmy takiego Michała. Zdolny, wysmukły, wysportowany chłopak. Dobrze się uczył, odbył studia. I marzyciel. Wymarzył sobie gorącą miłość, wymarzył sobie wzór przyszłej żony. Ten wzór go zniszczy. Spotkane dziewczęta nie realizowały tego wzoru, nie spełniały go, nie mieściły się w tym wzorze. Michał je mijał. Szukał. I szuka. Czego jednak szuka? Czy szuka realnej dziewczyny, czy widzi ją? Nie. Właściwie szuka siebie. Nie jest to egoizm zupełnie widoczny. Michał brzydziłby się egoizmem. Jest to egoizm subtelny, owinięty w marzenie, w tęsknotę za idealną żoną. Michał nie kocha spotkanych, realnych ludzi. Kocha swoje marzenie, jest nim zafascynowany. Jest w niewoli tego marzenia. Poprzez to marzenie, poprzez idealny wzór żony, kocha siebie, swoje plany, swoje przyzwyczajenia myślowe, siebie, po prostu siebie. Za mało kocha ludzi. To wynika z jego działania. Nigdy więc nie trafi do ludzi, nigdy do nich nie przylgnie. Będzie zawsze samotny. Za mało kocha. Utraci miłość, ponieważ za mało kocha. Ten proces w nim trwa, niszczy go. A właściwie jest to proces nie-spotkania miłości. W tym wypadku zresztą te dwa procesy są tym samym. Utrata miłości czy niespotkanie miłości są w skutkach tym samym. Inaczej tylko przeżywa się każdą z tych

sytuacji. Michał przypuszcza, że nie trafił na osobę, którą mógłby pokochać. My wiemy, że po prostu traci miłość kierując ją do fikcji, do wymarzonego wzoru, który nigdy się nie spełni. I nie ma na to rady, nie uratujemy Michała. Za mało kocha, źle kocha. Kocha marzenie, nie ludzi.

— A Piotr, Andrzeju? Co z Piotrem?

— Piotr także za mało kocha. Także więc traci miłość. Jego proces utraty miłości przebiega jednak inaczej. Piotr jest silny, brutalny. Nie zna uczuć subtelnych, nie jest zdolny do wzruszeń. Jest bardzo układny, towarzyski. Piotr oblicza. Planuje małżeństwo, planuje zalety żony. To planowanie nie jest tym samym, co szukanie spełnienia wzoru. To nie jest porządek fikcji. Piotr chce mieć dobre małżeństwo, zdrowe dzieci, wygodny domek z telewizorem i ogródkiem, samochód, posadę. I szuka tych rzeczy.

Składa pieniądze, kupuje drobne rzeczy do przyszłego domu, chodzi z dziewczętami. Już mu się wydaje, że ta właśnie spotkana dziewczyna ma zalety, o które mu chodzi. Jest kochająca, oszczędna, zdrowa, ale nie chce na przykład ogródka. Piotr nie umie oddzielić spraw ważnych od mniej ważnych. Rzuca dziewczynę. Szuka innej. Szuka jej zalet. Nie szuka jej samej. Piotr nigdy nie znajdzie wszystkich zalet w jednej, poszukiwanej osobie, ale nie wie o tym. Kocha zalety swej przyszłej żony. Nie kocha tej oto konkretnej dziewczyny. Za mało kocha. Kocha to, co nie jest istotne. Zalety są ważne, lecz zawsze są one czymś wtórnym. Przyjdą, gdy będzie tego potrzebowała wspólna miłość dwojga osób. Piotr nie kocha osób, kocha cechy, właściwości tych osób. Nigdy więc nie znajdzie osoby, którą by pokochał, ponieważ tej osoby nie szuka. Biedny Piotr, źle kocha, za mało kocha. Zawsze pozostanie samotny. Jest przy tym uczciwy. Nie chce korzystać z tego, co może mu przynieść zawiązywany romans. Nie chce przygód i nigdy na serio nie pokocha. Tragiczny los. Żal mi Piotra. Jest jednak wewnętrznie jakoś za mały. Spala się w pracy, w działaniu. Nigdy nie podda refleksji swych postaw. Nie wie, jaki jest. Nie wie, co mu grozi. Łucja go kocha. Uważa go za udanego syna. Jest przedsiębiorczy, żywy, wesoły. Dobrze zarabia, ma humor, wnosi do domu dobry nastrój. Michał bywa zamyślony. Jest uważany przez braci za marzyciela, którym jest w rzeczywistości. Ale Łucja też nie wie, że obydwu czeka ten sam los, los

samotnej osoby, która nie umiała nikogo pokochać, ponieważ za mało, a więc źle kochała.

Adam chce być księdzem i jednak nim nie zostanie. Także za mało kocha. Bóg też wymaga wielkiej miłości. Po prostu w człowieku musi być tyle miłości, by wystarczyło jej i na ukochanie Boga. Gdy się za mało kocha, nie można być księdzem. Nie można być niczym. Adam nie wie, że przygotowywanie się do kapłaństwa, to przede wszystkim wychowywanie swej miłości. Ma lat osiemnaście. Przygotowuje się do matury. Jest poważny, stateczny. Czyta poetów, filozofów, matematyków. Interesuje się fizyką. Siedzi długo w pracowni fizycznej. Jest lubiany przez profesorów. Jest uczynny, miły, niedostępny. Dziewczęta chcą go zdobyć. Chętnie z nimi tańczy, chodzi na wycieczki, jeździ kajakami. Najzwyczajniej normalny, wesoły chłopak. Ale co kocha, co na serio Adam kocha? Czy kocha Boga? Owszem, jakoś tak. Jest religijny, moralny. Adam kocha piękno. Tak, Adam kocha piękno.

— Tereso, znakomity konflikt. Adam nie zostanie księdzem, ponieważ kocha piękno bardziej niż ludzi i Boga. Za mało kocha Boga i dlatego nie będzie księdzem. Nie ożeni się, ponieważ nie będzie umiał nastawić się na tę drogę. Zagarnie go piękno, którego też w pełni nie kocha kierując część swej miłości do projektowanego kapłaństwa. Nie do Boga, do kapłaństwa.

— Straszny los gotujesz Adamowi. Andrzej, jak możesz? Nie kończ tej charakterystyki. Może pozwól Adamowi umrzeć teraz, gdy jest tak obiecujący, dobry i szczęśliwy.

— Nie, Tereso, Adam będzie żył. Musi żyć. Słusznie, nie będę kończył tej charakterystyki. Muszę ją rozwinąć. Muszę pokazać, że Adam przegra, ponieważ za mało kocha. Za mało kocha Boga, by zdecydować się na kapłaństwo. Za bardzo kocha piękno. Ale ta miłość go zgubi. Nie można kochać pojęć, fikcji, cech i właściwości rzeczy. Nie można wyłącznie kochać rzeczy. Uzdrawia nas, rozwija i uszczęśliwia tylko miłość osób. Tylko miłość do realnych osób, do człowieka i Boga. Tak, Tereso, to straszne prawo. Teraz je zobaczyłem. Ale jeszcze wrócę do sprawy Adama.

ROZDZIAŁ 4

Henryk objął przyjaciela serdecznym spojrzeniem. Ryszard palił papierosa.

— Mój los, Henryku, można opisać dość paradoksalnie. Można go nawet wyrazić w jednym zdaniu. Po prostu za bardzo kocham. Cały tragizm i smutek, całe moje cierpienie ma w tym swój początek. Nie bardzo rozumiesz? To jest jednak, niestety, zupełnie proste. Za bardzo kocham. A Krystyna nie uwierzyła tej miłości. Ktoś kiedyś uwierzył miłości. I w tym było ocalenie. W tym był początek prawdziwego życia. Nie, źle to wyraziłem. Krystyna tylko nie wierzy w tę miłość. Może uwierzy. Do tej pory nie uwierzyła, a więc nie podjęła mojej miłości. Masz rację. Przedmiot mych uczuć, moich tęsknot, moich dążeń, nie podjął mojej miłości, nie skupia jej. Miłość trwa we mnie, istnieje. Nie wygasła i nie wygasa. Krystyna jest w dalszym ciągu wybrana. Obdarzyłem ją miłością. Tego daru nie chce podjąć. Nie widzi go, nie przyjmuje, nie wierzy, że to jest dar dla niej. Nie wierzy. Nie uwierzyła miłości. I mylisz się, Henryku. Krystyna jest zwornikiem moich nadziei i uczuć, Nie mylisz się, gdy mówisz, że nie ma procesu utraty miłości. Tak, nie ma jeszcze takiego procesu. Wciąż kocham. Nie ma też takiej sytuacji, w której zmienia się przedmiot miłości. Nie ma jej we mnie. Może jest w Krystynie. Zapewne kocha coś lub kogoś całym sercem. Nie kocha mnie. Nie chwytą, nie odbiera mojej miłości. To prawda. Cierpienie rodzi się z tego, że moja miłość nie została podjęta. To cierpienie nazywasz zdziwieniem. Rzeczywiście dziwię się, że Krystyna nie chce mojej miłości. Dziwię się też, że nie kochając mnie kocha coś innego. Sam jednak nie kieruję swej miłości do innego przedmiotu. Wciąż kieruję tę miłość do Krystyny. Nie kocham nikogo innego i nie chcę uznać tego, że Krystyna mnie nie kocha. Nie umiem też walczyć o tę miłość. Czy można zresztą walczyć o coś, czego nie ma? Krystyna mnie nie kocha. Nie ma w niej miłości do mnie. Nie mogę więc o tę miłość walczyć, ratować jej, chronić. Nie mogę też walczyć o swoją miłość, ponieważ ta miłość jest i nic jej nie zagraża. Nie można zresztą walczyć o miłość. Można walczyć o osobę ludzką. Mogę walczyć o Krystynę. Walczę o nią, o jej uwagę, o jej uczucia, o to, by skierowała je ku mnie. Walczę wtedy o Krystynę i o siebie. I to jest słuszne. Nie można walczyć o miłość, ponieważ ona właśnie jest walką, wyborem i

darem. Nie mogę walczyć o to, że wybrałem Krystynę. Wybrałem ją. Nie muszę tego bronić. Mogę walczyć, aby Krystyna mnie wybrała. Ale skoro miłość jest darem, nie można jej wywalczyć, ani nie można na nią zasłużyć. Krystyna musi mnie wybrać i obdarować miłością w sposób zupełnie wolny. Dlaczego nie chce tego dokonać? Dlaczego nie chce mnie pokochać, podjąć mojej miłości? Nie mogę walczyć o miłość, mogę tylko cierpieć. Miłość i cierpienie występują razem. Tak, to dziwne, i dopiero teraz to rozumiem. Nie dlatego cierpię, że nie wiedząc o tym kieruję miłość do innego przedmiotu. Nie ma takiego przedmiotu poza Krystyną. Cierpię dlatego, że Krystyna nie podjęła mojej miłości. Miłość z natury swej jest darem, a więc czymś, co musi spoczywać w czyichś rękach, w czyimś sercu. Gdy jest nie podjęta, sprawia ból. To po prostu boli nas miłość. Cierpienie to ból miłości. Miłość w jednym człowieku, nie przejęta przez drugą osobę, pali i boli, dotkliwie boli. I to jest cierpienie wywołane miłością. Cierpienie to miłość samotna. A samotna, nie podjęta miłość sprawia ból sercu, które ją nosi. Miłość boli. Cierpienie jest tym większe, im większa jest miłość. Czekasz, by ktoś ją podjął. Kierujesz do wybranej osoby wszystkie uczucia, tęsknoty, nadzieje. Widzisz w tym oddaniu miłości swój los i sens życia. A Krystyna nie chce tego daru. Nie uwierzyła, że jest dla niej. Wiedziałem o tym, że może ją to zaskoczyć. Czekałem długo, przyzwyczajałem ją do tej perspektywy. Nie uwierzyła. Przypuszcza, że mój kontakt z nią to zabawa, odpoczynek. Chętnie bywa ze mną w kawiarni, na spacerze. Często trochę się nudzi, widzę to z bólem. Traktuje moje zaproszenie jako kaprys. I nie umiem jej niczego wytłumaczyć. Nie wierzy temu, co mówię. Traktuje to jako konwenansowy styl rozmowy. Bawi się moimi zwierzeniami i zapewnieniem o miłości. Kocham ją i boję się nawet dotknąć jej ręki. Prawdziwie i za bardzo kocham. Tak, Krystyna nie uwierzyła mojej miłości. Wciąż mi kojarzy się to sformułowanie: nie uwierzyła miłości. Czy więc będzie mogła mnie pokochać? Co zrobię bez jej miłości? Nie widzę przed sobą drogi.

Byliśmy znów na kawie. Kawiarenka w kanarkowych kolorach (nie lubię tego słowa). Foteliki czerwone i żółte. Okna przysłonięte. Pod ścianą rząd kaktusów.

— Krystyno, czyja ty jesteś? Masz imię tak trudne. Boję się czegoś. Nie umiem wyrazić tego lęku. Boję się o ciebie, o siebie, o nas.

— Nie bój się, Ryszardzie. Nie bój się o siebie. Nigdy nie będę twoja w takim znaczeniu, w jakim chłopcy mają swoje dziewczyny. Nie bój się więc i o mnie. Możemy spokojnie pić kawę. Zawsze zresztą czuję wobec ciebie jakąś rezerwę, jakiś lęk. Może to płynie z tego, że wcześniej byłeś moim nauczycielem niż kolegą i zakochanym. Nie mogę cię pokochać. Mogę cię cenić, szanować, czcić. A moje imię nie kryje tych perspektyw, których chcesz się domyślać. Krystyna to po prostu Krystyna. Jest niczyja.

— Czy można nie być czyjś człowiekiem? Krystyno, czyja ty jesteś?

— Może wszystkich. Może jestem dla wszystkich. I dlatego nie mogę być tylko twoja.

— To błąd, Krystyno. Tak na pewno nie myślisz. Nie można całej, jednej miłości złożyć we wszystkich sercach. Nie masz wtedy nikogo.

— Może właśnie nie mam nikogo. Może potrafię udźwignąć tylko część czyjejś miłości. Może nie potrafię udźwignąć całej.

— To straszne, Krystyno, to straszne. Czy jednak próbowałaś choć przez chwilę udźwignąć moją miłość?

— Nie, nie próbowałam. Nie chcę jej. Jest dla mnie za wielka. A ja mam swój intymny mały świat, bardzo mały świat. Czy znasz tę piosenkę?

— Znam, Henryku, tę piosenkę. Ale ta piosenka nie przynosi tego sensu, o którym mówiła Krystyna. Krystyna nie chce mojej miłości. To ona powiedziała, że ta miłość jest dla niej za duża, że jej nie udźwignie. Za bardzo więc kocham. Moją klęską jest to, że za bardzo kocham. Czy to nie jest paradoks? Henryku, powiedz, czy to nie jest tragiczny paradoks? Za bardzo kocham. Krystyna nie chce tej miłości, nie uwierzyła tej miłości. Ta miłość boli. Czuję ją w sercu, w myślach. Skupia moje uczucia. Widzę tylko Krystynę, myślę tylko o Krystynie, tylko do niej tęsknię. Wypełnia moje marzenia. Budzę się z myślą o niej, zasypiam z jej obrazem w oczach. Krystyno, Krystyno!

— A kiedyś mówiła mi, że lubi kajaki. Dobrze pływa. Spadł jej z kajaka aparat fotograficzny. Szukała go, leżał jednak zbyt głęboko, by wydobyć go za jednym nurkowaniem. Popłynęła po maskę. Wróciła. Znowu nurkowała. Wydobyła aparat po dwu godzinach. Lubi też polowanie. Na kaczki można polować na przykład w ten sposób, że przyzwyczajają się je do widoku jakiegoś przedmiotu. Ustawia się więc tak

zwany bęben z otworem w środku. Kaczki przy wykaja do bębna. Myśliwy po jakimś czasie podpływa do bębna, wkłada w niego głowę i stojąc w wodzie spokojnie łapie żywe kaczki, nie spodziewające się zasadzki. Krystyno, moja Krystyno!

— Jak myślisz, Henryku, czy jest wyjście z sytuacji, w której się znalazłem? Czy uratuję miłość Krystyny, czy tę miłość otrzymam? Czy muszę być bez niej dlatego, że za bardzo kocham? Czy błąd leży w tym, że kocham za bardzo? Na czym polega ten błąd? Czy ja błędę, czy Krystyna? Czy nie ma serca, które podjęłoby wielką miłość? Zapewne jest. Ale dla mnie powinno to być serce Krystyny. Wiem, możesz nie odpowiadać, że każdą miłość podejmie Bóg, tym bardziej tak wielką. Wcale nie skąpię tej miłości Bogu. Ale chcę kochać także Krystynę. Czy z tego wynika, że mam ją kochać mniejszą miłością? Czy wtedy przyjmie tę miłość? Czy mogę ją mniej kochać? Pomyśl, Henryku, jak to jest jednak skomplikowane. Andrzej w swej powieści rozważa problem konsekwencji, które wynikają ze zbyt małej miłości. Michał, Piotr i Adam nie ożenią się, ponieważ za mało kochają. Będą samotni wbrew swym planom i tęsknotom. Takie jest prawo i konsekwencja, gdy za mało kocha się osobę ludzką. Miłość rzeczy i cech ludzkich nie wystarczy. Miłość jest twórcza, gdy dotyczy osób. A moja miłość dotyczy Krystyny, lecz jest za duża. Michał, Piotr i Adam kochają za mało, Ryszard kocha za bardzo. Jesteśmy skazani na to samo, na samotność, na utratę przedmiotu miłości. Jak myślisz, Henryku, czy rozumowanie Andrzeja jest poprawne? Czy rzeczywiście traci się miłość, gdy za mało lub za dużo, za bardzo się kocha? O co tu chodzi? Gdzie jest błąd tej sytuacji? Zajrzyjmy do powieści. Czy znasz dzieje Teresy i Andrzeja? Posłuchaj, posłuchaj fragmentu powieści, którą piszę razem z Krystyną.

Andrzej zastanawia się nad życiem Adama. Łucja już wie, że Adam nie będzie księdzem. Porwało go piękno. Nie wiadomo zresztą, czemu Adam bardziej służy. Nie chce jednak pójść do Akademii Sztuk Pięknych. Uważa, że szkoła nie sprzyja rozwojowi talentu. Szkoła uczy schematu. Talent rozwija się sam. Trzeba tylko szkolić myślenie, z którego sztuka bierze swój początek. Adam chce tworzyć dzieła piękne i przez nie zwracać ludzi ku dobru i ku Bogu. A Andrzej dochodzi do wniosku, że Adam tylko wtedy uratowałby i powiększyłby swoją miłość, gdyby ją stracił. Gdyby mógł zrezygnować z miłości do sztuki i do piękna, odzyskałby miłość do ludzi i do Boga. Trzeba więc stracić miłość, by ją odzyskać. Istnieje głęboki sens tego sformułowania,

zapisanego pierwszy raz w Ewangelii. W wypadku Adama znaczy to, że musi on zrezygnować z miłości do rzeczy i pojęć. Musi ukochać Boga, jeżeli chce powiększyć swą miłość. Za mało kocha. To go zgubi. Adam nie wie o tym. Czy zresztą potrafi to odkryć i zrozumieć?

Andrzej myśli o Teresie. Znają się tyle już lat. Są małżeństwem. Teresa kocha Andrzeja. Andrzej wie o tym i także ją kocha. Kocha ją bardzo. Nie jest to za mała miłość. Kocha ją może nawet za bardzo.

— Dlaczego, Henryku, Andrzej nie traci swej miłości kochając Teresę tak bardzo, prawie za bardzo? Dlaczego ja tracę Krystynę kochając ją tak, jak Andrzej kocha Teresę?

Andrzej jest pewny swojej miłości i jest pewny miłości Teresy. Sprawa Adama zaniepokoiła go jednak. Co to znaczy utracić miłość, by ją otrzymać? Czy to obowiązuje wszystkich? W jakim sensie więc Ryszard powinien utracić Krystynę, by ją odzyskać? W jakim znaczeniu Andrzej winien stracić miłość Teresy, by tę miłość zdobyć?

Teresa przerwała Andrzejowi w pół słowa:

— Andrzej, co ty mówisz? O czym znowu myślisz? Czy i ja mam utracić twoją miłość? Mieszasz zupełnie porządki? Nigdy nie przestanę cię kochać. Nie chcę utracić twojej miłości.

— Nie bój się, Tereso. Nie o to chodzi. Chodzi raczej o to, aby uprzedzić proces utraty miłości, nie dopuścić do niego. Trzeba więc tak rozwiązać sprawę miłości, by można ją było utrwalić. Utrwalić i uratować. Może da się ocalić miłość Ryszarda do Krystyny. Może to nie jest proces utraty miłości. Może Ryszard się myli. Henryk będzie się starał mu to wyjaśnić. Może uratujemy też Adama. Może ocalimy i naszą miłość, Tereso.

— Boję się. Nie oszczędzasz ludzi. Dla rozwinięcia problemu poddajesz ich torturom. Cierpią. Andrzej, oni cierpią!

— Nie uwolnimy się od cierpienia. Ono zawsze przyjdzie. Zawsze jest tam, gdzie jest miłość. Ryszard prawdziwie kocha, jeżeli cierpi. To nie znaczy, że każda miłość musi wiązać się z cierpieniem. To nie znaczy też, że każdemu dobru musi towarzyszyć zło. Dobro jest dobrem także wtedy, gdy nie porównujemy go ze złem. Miłość jest

miłością nawet wtedy, gdy nie towarzyszy jej cierpienie. Ale cierpienia nie ma wtedy tylko, gdy osoba, którą kochamy, jest zawsze przy nas. Czy jednak może być tak, by ktoś, kogo kochamy, zawsze był z nami? Tereso, można tęsknić do siebie siedząc na sąsiednich fotelach.

Ryszard oparł głowę o poręcz fotela.

— Myślę, Henryku, że Andrzej stosuje nie najlepszą technikę pisarską. Buduje swą powieść jednocześnie w dwu językach. W jednym języku opowiada to, co dzieje się w powieści, w drugim języku formułuje komentarz do tych wydarzeń, a nawet teorię swej powieści, lub, mówiąc ostrożniej, uwagi o sposobie pisania, o planie rozwoju problemów. Wprowadza w tym drugim języku to, co powinno wynikać z pierwszego. Stawia dwa domy jednocześnie.

Henryk uśmiechnął się i podjął temat, przy pomocy którego Ryszard wychodził z kręgu Krystyny, ze smutnego kręgu spraw nie podjętej miłości, której winę stanowiło to, że była zbyt wielka.

— Swoją powieść o Teresie i Andrzeju też piszesz w dwu językach. Na czym mógłby polegać błąd takiej techniki? Czy na tym, że pytasz o sens tego, co robisz? Raczej nie. A więc, czy na tym, że sprawdzasz wciąż związki między wydarzeniami i opinią o tych wydarzeniach? Także nie. Może twoja powieść ma być odpowiedzią na pytanie o to, czym jest miłość i na pytanie o sens tego, co powoduje. Wiesz już jednak, że powieść nie jest spowiedzią autora. Autor daje tylko pomysł powieści, pomysł problemu i najwyżej imiona stworzonym przez siebie postaciom. Postacie te żyją własnym życiem, logiką wydarzeń, którym podlegają. Nawet rodzą się i pojawiają w powieści czasem niezależnie od autora, aby podjąć i reprezentować uboczny temat lub nowy, wynikający z dotychczasowych rozważań. Powieść żyje swoim życiem. Nic więc dziwnego, że śledzisz los Teresy i Andrzeja, i nic dziwnego, że Andrzej jest ciekawy tego, co spotka ciebie, Ryszardzie, że wspólnie martwicie się życiem Adama, którego wątek niespodziewanie nabył ważności i wysuwa się prawie na czoło. Staje się jakąś perspektywą rozwikłania losu Teresy i Andrzeja, i nawet twego losu, Ryszardzie. Wątek Adama staje się ważny. Dzieje Adama mogą być projektem ratowania twojej miłości do Krystyny. Zajmijmy się więc trochę Adamem, wejdźmy w jego życie, stwórzmy to życie.

ROZDZIAŁ 5

— Cześć, Adam. Winszuję matury.

Uścisnęli sobie dłonie. Marcin wkroczył do pokoju, w którym już rozbrzmiewał śmiech. Beztraskie dialogi świadczyły o tym, że jakiś trud minął i że snucie projektów jest o wiele mniej męczące niż codzienna, szkolna praca. Gdy jednak Michał zaczął charakteryzować ogólną radość i porównywać projekty z pracą, obecni w pokoju na nowo wybuchnęli śmiechem, w którym nie można było nie dosłyszeć nuty ironii, tak bardzo ulubionej nuty osiemnastoletnich intelektów. Piotr i Daniel stanęli po stronie Michała, Marcin, Tadeusz i Adam sprzeciwili się ujmowaniu w formułę nastrojów i uczuć.

— Uczucia są jak rzeka, płyną. Możesz im jedynie nadać kierunek. A właściwie możesz tylko umacniać brzeg rzeki, pilnować, by uczucia nie wylały, nie objęły całej osobowości. To jest żywioł, który może zniszczyć urodzajną glebę.

Marcin biegał po pokoju. Każdą swoją myśl wyrażał przy pomocy obrazu, rzucał tymi obrazami w siedzących kolegów, przytłaczał ich, przekonywał. Daniel wytrwale odpychał te pociski, spór narastał i rosła w popielniczkach ilość niedopałków.

— Ależ, Danielu, nie broń uczucia. Cóż to jest uczucie? To mrok, jakiś wilgotny mrok, w którym gaśnie wszelkie światło. To rzeka, która wylewa. To już bagno. Utoniesz w tym bagnie.

— Marcinie, popełniasz błąd, od którego według ciebie ja nie mogłem się uwolnić. To, co mówisz, wynika z założenia i nie wiadomo, czy słusznego, że wszystko zło w człowieku rodzi się z uczucia. Nie tylko dyskwalifikujesz uczucie, ale także zakładasz, że uczucia nie można wychować, poddać go rozumowi. Chcesz okaleczyć człowieka. Chcesz wyrzucić z niego to, co stanowi napęd działania.

— Nie, chcę tylko wolności. Chcę, aby człowiek był wolny, wolny od tego błota, w którym grzęźnie. Czy nie widzisz tego, Danielu, że twoje sądy nie wykraczają poza ramy, które są ramami szkoły? Wyrosłeś w szkole, w schemacie. Przyjmujesz ten schemat. Sądzisz, że człowiek jest jakąś całością tych różnych, wykluczających się czynników. Nie pogodzisz rozumu z uczuciem. Owszem, łącz je! Ale wtedy łączysz

światło z mrokiem, pętasz wolność. I nie wyjdiesz z bagna. Siedź w tym bagnie! Piotr i Michał w nim siedzą, siedź i ty. Różnica między nami na tym polega, że mój schemat przynajmniej jest szerszy. Trzymasz się wąskich ram. Ukazuję ci szersze. Ukazuję ci wyzwolenie. Nie skorzystasz z niego. Będziesz siedział w tym bagnie. Ty zresztą nie rozumiesz, o co mi chodzi. Nie rozumiesz ducha Fausta. Rozumiesz ducha Boruty. Każdy Boruta ma swego pana, każdy pan ma swego Borutę. Ale polski Boruta siedzi w bagnie. Dla ciebie to jest naturalne. Rozum chcesz zatopić w uczuciu. W twoim widzeniu człowiek jest Boruta i panem. I nie wyjdiesz z bagna. Wolny jest tylko Mefisto. Faust go zrozumiał. Ale kto z was pojmuje ducha Fausta? Adam sprzeciwia się ujmowaniu uczucia w formuły. Nie chce go poddawać rozumowi, ale nie chce z niego zrezygnować. Tadeusz chce służyć obu panom, ceni i rozum i uczucie. Michał je porównuje, porównuje nastroje z formułami, przykłada do siebie, łączy. Łączy Borutę i pana. I nie wyjdzie z błota. Piotr już utopił rozum w uczuciu. Nie, odwrotnie. Włączył uczucie w rozum. Ale to jest borutyzm. Nie można też utożsamiać Fausta z Mefistem. To wyższy stopień borutyizmu. Człowieka wyróżnia tylko wolność. A wolność, to nie dać się wciągnąć w błoto. Wolność to czysty rozum. Tylko „ratio”. Rozum to Mefisto. Ale wy tego nie rozumiecie, bo nie możecie zrozumieć. Trzymacie się szkoły, jej wąskich ram. Nie umiecie dostrzec ram szerszych i wyzwolenia. Wyzwała nas rozum, tylko rozum.

— Marcinie (Tadeusz włączył się w rwący potok wywodów), czy wyobrażasz sobie człowieka, który by nie kochał? Chcesz pozbawić człowieka miłości? Kim on będzie? Będzie martwą i suchą ziemią. Będzie egoistą. Co go skłoni do zajęcia się drugim człowiekiem? Zginie tkliwość, serdeczność. Zostanie tylko rachunek, obliczanie korzyści, płaszczyzna interesów.

— Tak, tylko rachunek, tylko wspólny interes. Sądzisz, że człowiek jest zdolny do zajęcia się kimś, gdy nie widzi w tym interesu? Otóż nie. Jesteśmy tylko egoistami. Ale wychodzi się z egoizmu. Nie wychodzimy z egoizmu przez miłość, przez nastrój i uczucie. Wychodzimy przez wolność i dzięki wolności. A wolność to rozum. Mefisto otwiera perspektywy, nie miłość.

Adam zachwycał się wewnątrz dialogiem przyjaciół. Widział piękno tej igraszki słów i pojęć. Świat samych pojęć jasnych i czystych urzekał go, wzruszał, niepokoił.

Fascynacja tak ogromna, tak wciągająca, że Adam zapragnął nagle zatrzymać się w tym nieskończonym spadaniu, stanąć na czymś trwałym i pewnym. Tak, stanąć na czymś, co nie jest ciągiem tych urzekających perspektyw. Szukał wzrokiem kogoś obok siebie, komu mógłby postawić natychmiast wiele, nieskończenie wiele pytań. I poczuł, raczej poczuł niż zrozumiał, że musi porozmawiać z Ryszardem. To Ryszard przecież mówił mu kiedyś coś zupełnie podobnego, lecz całkiem odwrotnego do tego, które wygłosił Marcin. Ryszard opowiadał o buncie aniołów. Aniołowie poznali swoje piękno, zachwycili się nim i niektórzy z nich zrezygnowali z innych wartości. Zachwycił ich rozum, ich własny rozum, rozum doskonały. Aby go nie umniejszyć, nie powiązać z czymś innym, zrezygnowali z propozycji miłości. Nie chcieli mieć w sobie niczego więcej oprócz rozumu i własnej wolności. Rozum i wolność. Tak. To jest to samo. To jest Mefisto, który odrzucił miłość. Adam przeraził się. Przeraziło go piękno wolnego rozumu, uwolnionego rozumu. Uwolnienie od miłości, odrzucenie „bagna”. Boże, to jest straszne! Właściwym imieniem Fausta jest bunt. Ten bunt przeciw Bogu jest buntem przeciw miłości. Dlaczego człowiek jej nie chce? Dlaczego nie chcieli jej zbuntowani aniołowie? Jaka kryje się za tym tajemnica?

— Marcinie, dlaczego buntujesz się przeciw miłości?

— Czym jest miłość? To jest chemia, fizjologia, nastroje. Nastroje znikają, gdy kończy się ciało. To jest nietrwałe. Trwa tylko rozum. Chemia jest nudna. Człowiek szybko jest znudzony drugim człowiekiem, gdy spotykają się na płaszczyźnie chemii. I nie ma innych spotkań. Duch, duchowe uczucia? Co to jest? Miłość, która trwa? Która miłość trwa dłużej niż kilka nocy? Potem przychodzi nuda. Wolność ratuje nas przed nudą. Wolność i rozum.

Marcin odpowiadał Adamowi, lecz kierował swoją wypowiedź do wszystkich. Tadeusz podjął ton Marcina.

— Znowu jesteś w szkole i w swoim schemacie, który różni się od naszego. Upraszczasz, Marcinie, bardzo upraszczasz człowieka. Nie rozumiesz miłości. Nie pojmujesz tego, że spotkanie człowieka z człowiekiem może się dokonać tylko na poziomie ducha. I to nie jest spotkanie tylko dla interesu. I nie tylko polega na poznaniu. To może być przyjaźń. Nie rozumiesz przyjaźni. Nie znasz przyjaźni, jej smaku i wartości.

— Nie mówmy o przyjaźni. Nigdy jej nie rozumiałem, lecz dlatego, że jej nie ma.

— Marcinie, co ty wygadujesz!

Daniel prawie skoczył.

— A to, że przyszedliśmy do Adama, że składamy mu życzenia, że przyszedł Tadeusz, że ty przyszedłeś, że Adam, Michał i Piotr podejmują nas u siebie, że rozmawiamy, że znamy się tyle lat, czy to wszystko nic nie znaczy? Co nas wiąże? Ty studiujesz fizykę, Tadeusz geografę, Piotr prawo, Michał - asystent uczy literatury, Adam wybiera się na fizykę, ja siedzę w medycynie. Czy to nas wiąże? Czy tylko to, że znamy się od dzieciństwa, że odbyliśmy kilka wspólnych wycieczek, spływów kajakowych, że kopaliśmy piłkę, czy tylko to nas łączy?

— Danielu, nie bądź śmieszny. Łączy nas urok rozmów, urok rozumu, podobna wrażliwość inteligencji. Jej szukamy, jakiegoś jej piękna. Ten zachwyty pięknem zgrabnych słów, dowcipu, ironii, to nas łączy. Przy pomocy tego wyrywamy się z błota. Instynktownie wyrywamy się z błota. Tylko szkoła, schemat, wychowanie nie pozwalają nam pójść tą drogą do końca. I za mało macie poczucia wolności. Urodzeni w niewoli i przyzwyczajani do niewoli. Dom uczył was miłości, religia uczyła was miłości. Co jednak o niej wiecie? Co możecie powiedzieć więcej oprócz tego, że miłość jest chemią? Nie łudźmy się, nie zamykajmy oczu na fakty.

Tadeusz znowu włączył się w rozmowę z całą pasją, którą zdradzała jego rezerwa i pozorny chłód.

— Ty cierpisz, Marcinie. Ty boisz się miłości. Nie bój się jej. Boisz się, ponieważ cierpisz. Boisz się miłości, ponieważ sądzisz, że sprawia ci cierpienie. Nie. Miłość nie sprawia cierpienia. Przeczytaj sobie powieść Andrzeja. To sama miłość cierpi. Miłość boli, ta miłość, która jest w tobie. A boli dlatego, że jej nie umiesz ofiarować, nie umiesz jej dać darmo człowiekowi, którego spotykasz. Miłość jest darem. Jest taka, że trzeba ją dać. Gdy tego nie zrobimy, boli.

— Dlaczego nie mówisz tego, co ty sądzisz o miłości? Dlaczego wykladasz poglądy Andrzeja? Nie wierzę Andrzejowi.

— To uwierz Ryszardowi. To są słowa Ryszarda. Uwierz, jeżeli nie wierzysz. Jedyne wyjście. Każdy z nas cierpi. Piotr cierpi dlatego, że boi się powiązań z ludźmi. Wie, że powiązania te są uczuciami. Nie wie jednak, czym jest uczucie. Za uczucie

bierze to, co nie jest uczuciem. I rozwiązanie znajdzie wtedy, gdy pojmie, że uczucie wcale nie jest tym, co teraz za uczucie uważa. A Michał nie umie zaufać, choć pragnie zaufać. I nigdy nie nauczy się zaufania, jeżeli będzie je mierzył swoim zaufaniem. Musi znaleźć inną miarę. Inaczej przegra życie. Daniel nie znajdzie swojej drogi, jeżeli będzie jej szukał w sobie. Trzeba jej szukać gdzie indziej. Adam boi się utraty. Nie chce utracić tego, co znalazł. Chce wszystko utrzymać, więc wszystko straci. Nie umie wybierać, a musi wybierać. Nie wie, że są sprawy ważne i mniej ważne. Mniej ważne należy utracić, aby ocalić dla siebie ważniejsze. Wszyscy cierpimy. Zawsze cierpimy. I dlaczego cierpimy? Czy cierpienie polega na tym, że pochłania nas bagno? Nie. Uwięziliśmy miłość. Ona jest w nas, ale jest uwięziona. Jak ją uwolnić, jak wyzwolić? Marcin proponuje wyzwolenie przez wolność dla wolności. Ale wolność wiąże wyłącznie z rozumem. Czysty rozum to kalectwo. Czuję to i wiercie mi. Wyzwolenie jest szerszym problemem. Zależy od tego, co zrobimy z miłością. Nie nazywajmy jej bagnem. To schemat. I to właśnie jest zamykaniem oczu. Lecz jak wyzwolić miłość? Jak kochać? Co to znaczy kochać? Umiem tylko postawić pytania. Dopiero umiem postawić pytania. Odpowiedzi to kwestia późniejsza.

— Adamie, daj papierosa! Nalej jeszcze wina! Panowie, twórzmy dalej igraszki pojęciowe! Uczyńmy z życia igraszkę! Jeśli nam to wystarczy, czym się martwić. Jeśli nam to wystarczy...

Marcin, który tak niecierpliwie i głęboko pragnie wolności, że aż odrzuca miłość, wszystkie powiązania, by ocalić niczym nie skrępowane myślenie, teraz zamyślił się, przycichł, posmutniał. I kilka razy powtórzył:

— Jeśli nam to wystarczy.

ROZDZIAŁ 6

— Czy zastałem Henryka?

— Dzień dobry, Ryszardzie! Ojca nie ma, ale wejdź na chwilę, proszę bardzo.

Adam tak bardzo się rozpromienił, uradował, że Ryszard nie miał odwagi mu odmówić. Chciał właściwie rozmawiać z Henrykiem. Narosło w nim tyle spraw tak trudnych, że już nie mógł o nich nie mówić. Henryka nie było. Był Adam i jego radość ze spotkania Ryszarda. Ryszard wszedł do pokoju.

— Jestem ci wdzięczny, że wszedłeś. Od wczoraj bardzo pragnę z tobą pomówić. Mam w sobie tyle trudnych spraw, że muszę je komuś zwierzyć. Wybrałem ciebie.

— Bardzo mnie wyróżniłeś tym zaufaniem. Właściwie boję się spraw trudnych. Przyznaję się do tego, abys się nie rozczarował, jeżeli nie będę umiał ci pomóc. Widzisz, Adamie, mnie też gnębią sprawy trudne. Pamiętasz jednak, co mówiła Krystyna, córka Lawransa, do swego syna. To było coś w tym rodzaju: jeżeli nie będziesz mógł nie mówić, mów tylko mnie. Mów, skoro mnie wybrałeś. Nie muszę dodawać, że z całą powagą traktuję twoje kłopoty.

I Ryszard pomyślał, że może samo wypowiedzenie swych trosk przynosi ulgę, że może także i swoje troski wplecie w odpowiedzi na pytania Adama. Może doczeka się Henryka. Bo o Krystynie może opowiadać tylko Henrykowi. O Krystynie.

— Zapewne wiesz, Ryszardzie, że miałem pójść do seminarium. Ostatecznie wybieram się na fizykę. To nie znaczy, że zrezygnowałem z kapłaństwa. Po prostu odłożyłem decyzję na później. Wczoraj zastanawiałem się, dlaczego to zrobiłem. Z tego, co mówi Marcin, wynikałoby, że za bardzo nastawiłem się na intelekt, że za bardzo mu zaufałem. Wybrałem intelekt. Marcin atakuje uczucie, odrzuca je. Odrzuca miłość. Cenię intelekt, ale nie odrzucam miłości. Tymczasem Andrzej w swojej powieści zarzuca mi, że za mało kocham. Coś w tym jest. Być może bardziej fascynuje mnie rozum niż miłość. Ale Bóg też jest rozumem. I jest miłością. Mogę zbliżyć się do Boga od strony rozumu. Dlaczego Andrzej zamyka mi tę drogę? Nie rozumiem jego myśli i nie rozumiem swego losu.

— Widzisz, Adamie, Andrzej chce zbadać problem utraty miłości. I ciebie i mnie skazał na przeżycie procesu utraty miłości. Chce zobaczyć, co zrobimy, jak sobie

poradzimy. Żeby zrozumieć to, co dzieje się we mnie, śledzę ten sam proces w życiu Andrzeja i Teresy. I widzę możliwość uratowania ciebie, Teresy, Andrzeja, siebie. Nie musi się to wszystko kończyć katastrofą. Nie musimy utracić miłości. Owszem, musimy utracić miłość, bo tak pomyślał swą powieść Andrzej. Ale może jest tak, może jest tak, że aby uratować miłość, trzeba ją stracić. Czy to rozumiesz, Adamie? Musimy utracić miłość, aby ją ocalić.

— Co to znaczy, Ryszardzie? Nie rozumiem tego. Ocalenie czegoś przez utratę tego, co chcemy ocalić?

— To dotyczy głównie miłości. Chcę nie dać się konieczności, wyznaczonej mi przez Andrzeja. Chcę ocalić swą miłość. Przyjmuję swój los. Utracę miłość, aby ją uratować.

— Ale ja, Ryszardzie, za mało kocham. Nie mam co tracić. Według planu Andrzeja za mało kocham. Czy to prawda? Tracę seminarium, ponieważ za mało kocham. A jednak kocham rozum, kocham piękno. Czy dlatego za mało kocham, że kocham wiele rzeczy? Kocham rozum, piękno, kocham Boga, fizykę, kapłaństwo. I tylko nie wiem, co wybrać. Gdybym wyłącznie kochał Boga, może poszedłbym zaraz do seminarium. Ale czy kochając wiele rzeczy, dzielę miłość? Czy miłość jest podzielna? Czy jest jej we mnie za mało dlatego, że rozpada się na części, na sprawy, które kocham? Jak to jest, Ryszardzie?

— Nie, miłość nie dzieli się na części. Jest zawsze cała i jedna. Jest uczuciem duchowym. Nie ma części. Jest jedna. Tą samą miłością kochamy Boga, ludzi, piękno, fizykę, rozum. Inny tylko w każdym wypadku jest sposób kochania. Inaczej wyraża się miłość do Boga, do ludzi, do piękna, fizyki czy rozumu. Zawsze jest to ta sama miłość, lecz za każdym razem inaczej realizowana, inaczej rozwijana. I tylko to jest ciekawe w tym wszystkim, że nie każdy przedmiot jednakowo rozwija naszą miłość. Jeżeli według Andrzeja za mało kochasz, to może znaczyć, że źle kochasz, że kochasz rozum i piękno tak samo jak Boga. Może tu jest błąd. Może naprawdę pojęcia i rzeczy nie zasługują na taką miłość, jaką winniśmy Bogu. Może piękno zbyt cię trzyma, fascynuje, porywa. Owszem, Bóg też jest pięknem. Ale rozpatrując sprawę religijnie, piękno Boga i Bóg to są jednak różne rzeczy. Piękno jest tylko cechą bytu. Kochając część nie zawsze kochamy całość. Kochając czyjeś oczy nie zawsze kochamy człowieka, który jest

właścicielem tych oczu. Może o to chodzi Andrzejowi. Może bardziej kochasz piękno niż Boga. I może bardziej kochasz rozum niż Boga. Może trzeba, abyś tę miłość utracił. Może tylko w ten sposób będziesz mógł uratować i odzyskać miłość do Boga. To nie znaczy, że kochając Boga mamy nie kochać ludzi i rzeczy. Chodzi tu o kolejność. Ona jest ważna. Najpierw Bóg. Problem polega na tym, że kochając rzeczy tak, jak Boga, ściągamy Boga do poziomu rzeczy. Kochając najbardziej Boga podciągamy rzeczy i ludzi do poziomu tej miłości, która jest największa. Mylimy się podwójnie. Kochając najbardziej jakąś rzecz dajemy jej rangę Boga. Dając jej tę rangę przestajemy odczuwać głód Boga. Te dwa błędy krzywdzą Boga i krzywdzą nas, ponieważ oddzielają nas od Boga, a przynajmniej opóźniają nasze dojście do Boga. Może, Adamie, uratowałbyś swoją miłość do Boga, gdybyś przestał najbardziej kochać rozum. A zresztą i to, że na równi stawiasz przed swą miłością Boga, piękno, fizykę i kapłaństwo, to także jest błędem. Za mało kochasz, to znaczy nie na miarę największą. Tej miary nie nada twjej miłości piękno i fizyka. Przedmiot, który kochamy, wyznacza miarę i wielkość naszej miłości. Tak być powinno. Ale i my możemy w tę sprawę ingerować. Możemy określić wielkość miłości. I za mało przydzielamy jej Bogu. Trudność, której nie umiem teraz rozwiązać, polega na tym, że jeżeli przedmioty, które kochasz, nie mogą spotęgować twjej miłości, bo nie mają tej siły, to musisz zmienić kolejność ukochania tych przedmiotów lub w ogóle wymienić to, co kochasz. Czy jednak potrafimy to zrobić? I tu dotykamy sprawy życia religijnego. Tylko Bóg daje łaską i tylko Bóg daje miłość, która potęguje naszą miłość. Żaden inny przedmiot nie udziela miłości. Daje ją nam także człowiek. Kochając nas potęguje naszą miłość, ale zawsze na swoją miarę, która jest mała, skończona i ziemską, mimo że jest duchową. Bóg daje miłość nadprzyrodzoną. Porządek nadprzyrodzony nieskończenie przerasta porządek ziemski. Dzięki temu i miłość, którą Bóg daje, w nieskończoność powiększa naszą miłość. Daje jej największy wymiar. Czy zgodzisz się, Adamie, że tak jest? Tak rzeczywiście jest. A więc utracić miłość, to znaczy także kochać nie tylko miłością, która od nas pochodzi. Trzeba tę miłość swoiście stracić włączając ją w miłość Bożą. I dopiero tą połączoną, naszą i daną nam przez Boga nadprzyrodzoną miłością, kochać Boga i ludzi, a nawet rzeczy. Wtedy zmienia się sposób kochania. Kochamy głębiej i inaczej. I kochany przez nas człowiek otrzymuje więcej. Otrzymuje naszą miłość ludzką, ale przekształconą

przez Boga, a więc właściwą. Bóg bowiem najlepiej wie, jak kochać, skoro jest miłością. I wiesz, Adamie, Andrzej w swej powieści powiedział o mnie, że za bardzo kocham. To także jest błędem. Tylko znika mi teraz różnica w skutkach, gdy za mało i za bardzo kochamy. Kocham za bardzo. Kocham Krystynę. Tracę tę miłość, ponieważ Krystyna jej nie podjęła. Czy to znaczy, że człowiek nie jest w stanie unieść zbyt wielkiej czyjejś miłości? Może tak jest. Może Krystyna, może żaden człowiek nie obejmie za dużej miłości, którą mu ofiarowujemy. Może dlatego cierpimy, że ktoś zaczerpnie tylko części naszej miłości. Reszta tej miłości pozostaje w nas i boli. Chcielibyśmy ją dać całą, a ktoś nie może jej przyjąć, nawet gdy chce. Wtedy to nie jest jego wina. To nie jest więc wina Krystyny. To jest wina miłości. A wina ta i błąd polega na tym, że miłość jest zbyt duża, większa niż czyjaś zdolność podjęcia tej miłości.

Może jednak tylko Bóg jest właściwym przedmiotem naszej największej miłości. Może każda miłość jest miłością Boga. Może tylko w Bogu kochamy człowieka właściwie. Może tylko wtedy nie czynimy z człowieka Boga, gdy kochamy człowieka na miarę człowieka. Możemy kochać kogoś tak bardzo, że to już staje się kradzieżą miłości należnej Bogu. Jak myślisz, Adamie, czy może tak być? Czy ludzkie serce jest zdolne podjąć, czy wolno mu podjąć naszą największą miłość, gdy w tej miłości Bóg nie został uwzględniony? I czy wolno nam kochać egoistycznie nie dopuszczając Boga do tej miłości, którą kochamy człowieka? Czy jest w ogóle możliwe ukochanie właściwe i pełne człowieka, gdy nie kochamy najpierw Boga? Co myślisz o tym, Adamie? Krystyno, co myślisz o tym? Cierpię. I ty, Adamie, cierpisz. Czy jest wyjście z tego cierpienia? Czy przestaniemy cierpieć? Może cierpienie jest skutkiem tego, że miłość ludzka nie chce pozostawać bez miłości Bożej. Może cierpienie jest głosem miłości, dopominającej się o powiększenie przez miłość Bożą. Może to tak jest. Dlaczego miłość boli? Boli nas miłość, ponieważ może właśnie jest swoiście samotna i pragnie powiązania z miłością Bożą, jakiegoś swego uzupełnienia, tak jak my pragniemy drugiej osoby ludzkiej. Czy Andrzej nie cierpi? Czy kocha Teresę tak, jak powinien kochać? Czy Teresa nie przeżyje kryzysu miłości? Czy można nie przeżyć tego kryzysu? Czy jest ktoś z niego zwolniony? W mojej powieści, Adamie, Andrzej i Teresa też muszą utracić swoją miłość. Czy jednak ten proces przebiega tak samo jak u nas, jeszcze samotnych? Zobaczą. Muszę to jeszcze przemyśleć. Muszę też

przeprowadzić Andrzeja i Teresę przez cierpienie. Oni teraz piją spokojnie kawę w swej ulubionej kawiarence na rogu. Może nie przeczuwają, co ich czeka. Czeka ich cierpienie i problem utraty miłości. I muszą ją uratować. Trzeba uratować miłość, bo w przeciwnym wypadku wewnątrz się zamiera. Miłość jest życiem. To ważny problem. Adamie, ratuj swoją miłość, ratuj swoje życie! I ja muszę je uratować. Muszę kochać. Tylko wtedy żyję. Kocham, lecz cierpię. Życie wewnętrzne hartuje się w cierpieniu, ale także i choruje. Dusza choruje, gdy źle kocha. Cierpienie ostrzega. To jest także sygnał alarmowy. Dzięki cierpieniu rozpoznajemy stan naszej miłości. Miłość woła cierpieniem o pomoc. Jak jej pomóc? Co człowiek może w tym wypadku zrobić? Czy może coś zrobić? Może tylko Bóg ratuje naszą miłość. Może na serio tylko Bóg troszczy się o naszą miłość. Jak to jest, Adamie? Przytłaczają mnie te pytania. Jak skłonić Boga, by ratował naszą miłość? Czy to jest tak, że pozostaje nam tylko modlitwa? Tylko modlitwa? Modlitwa o miłość, kierowana do miłości, którą jest Bóg.

— Wyłonił się nam problem samotności i problem modlitwy. Wszystkie te sprawy zaplatają się, stanowią jedno ludzkie życie.

— Sprawa samotności i sprawa modlitwy. Omówię to, gdy będę charakteryzował w swej powieści rozwój w człowieku jego religijnego życia. Muszę i ten rozwój prześledzić, aby zobaczyć, jak traci się miłość do Boga, jak człowiek niszczy swoje życie religijne, jak proces utraty miłości może skończyć się katastrofą.

— Ryszardzie, tylko nie przydziel tej roli mnie i Krystynie, ani Piotrowi, ani Michałowi. Weź kogoś innego. I oszczędzaj mych rodziców.

— Nie bój się. Henryk i Łucja nie przeżyją tego. Kocham ich. Człowiek, którego się kocha, nie powinien utracić miłości. Tak mi się wydaje. I w drugim człowieku powinien ją uznać, wybrać. Nie utraciłbym miłości, gdyby Krystyna mnie kochała. Ty też uratujesz swą miłość. I ciebie i mnie kocha Bóg. Ale Bóg nie może w nas niczego dokonać, gdy Go nie dopuścimy do swej duszy. Musiałby przełamać naszą wolność lub dokonać cudu zwrócenia na siebie naszej uwagi. Czyni niekiedy takie cuda, gdy ktoś modli się za nas. Ale sami otwórzmy mu nasze dusze. Otwiera je modlitwa. Módl się, Adamie. Módl się często. Cierpię. Bardzo teraz cierpię. I mam tylko jedną drogę, drogę modlitwy. Jeżeli rzeczywiście cierpi się dlatego, że nasza miłość pragnie połączenia z miłością Bożą, to usunięcie cierpienia jest możliwe tylko na drodze otwarcia Bogu całej

duszy i serca. Aby mógł je ulepszyć. Aby mógł naszej miłości dać nieskończony wymiar przez włączenie jej w swoją miłość. Czy rozumiesz to, Adamie? Pociesz mnie stwierdzeniem, że rozumiesz! Czy rozumiesz to, Krystyno? Krystyno! Boże!

ROZDZIAŁ 7

Paweł i Ewa zajmowali trzy pokoje na drugim piętrze. Mieszkanie obejmowało także kuchnię, wygodną łazienkę, balkon i przedpokój. W pokoju, który nazywano salonem, Ewa z wielką troską tak długo przesuwiała i zestawiała meble, aż pokój nabrał wyglądu całkiem przytulnego, urządzonego ze smakiem, sensownie zagospodarowanego domu. Chodziło właśnie o to słowo: dom. Ewa wciąż tłumaczyła Pawłowi, że każdy pokój trzeba tak długo urządzać, aż stanie się domem, takim więc miejscem, w którym człowiek dobrze się czuje i do którego zawsze ma ochotę wracać. Atmosferę domu wytwarzają ludzie, to prawda, ale i meble nie są bez znaczenia. Ewa twierdziła, że należy cenić rzeczy i ich rolę w naszym życiu. Na przykład meble mogą się zbuntować, mogą nie poddać się człowiekowi, mogą prowadzić swoje osobne życie. Trzeba je włączyć w rodzinę. Tapczan trzeba tak ustawić, żeby nie kłócił się z szafą. Należy pamiętać, aby nie zestawiać obok siebie przedmiotów ciężkich. Zdominują wtedy resztę sprzętów i wystąpią przeciw estetyce pokoju. Wielkości, kolory, kształty trzeba tak rozrzucić po pokoju, by powstała harmonia, wpływająca na nastrój, sprzyjający i pracy, i odpoczynkowi. Ewa nie mogła wkomponować szafy w te meble, które razem z Pawłem nabyła. Usunęła więc szafę do przedpokoju. Tapczan oddzieliła lampą od stolika na radio, lekki, na wysokich nóżkach kredens ustawiła na ścianie od strony balkonu, przy stoliku do kawy ustawiła dwa fotele i stworzyła kącik, bardzo zachęcający do rozmów i zwierzeń. Paweł wyrzucał Ewie, że tyle czasu i uwagi poświęca sprawom mieszkania. Ewa nie rozumiała wyrzutów męża. Uważała, że zadaniem żony jest właśnie stworzenie atmosfery domu, czuwanie, by ta atmosfera trwała, aby mąż czuł się w domu dobrze i chętnie do niego wracał. Gdy nie będzie miał kiedyś ochoty wrócić do żony, tak sobie myślała, wróci do domu. A w domu zostanie żoną. Taka jest kolejność wypadków. Mieszkanie jest ważną sprawą. Z pasją więc zabrała się do wydobycia z mebli tego, co poprawiało atmosferę domu. Meble, to sprzymierzeńcy żony, tak, Pawle! Pokój Pawła był wypełniony książkami. Ewa nabyła szafy, Paweł ułożył w nich książki, na biurku postawiła mu bardzo prostą lampę, aby nie rozpraszała uwagi podczas pracy. Paweł lubił swój pokój, chętnie w nim pracował. Ewa chodząc po swej niebieskiej kuchni myślała: Paweł lubi swój pokój. Muszę

wydobyć z jego książek i sprzętów to, co skupia i jednoczy. Istnieje jakaś jedność mebli, naczyń, książek, ludzi, jedność nastroju. Ta jedność jest podstawą zaufania, pogody i wobec tego także szczęścia.

— A kuchnia, Pawełku, jest moim terenem, bardzo trudnym terenem. Tu trzeba opanować także ogień, produkty spożywcze w spiżarni, wodę i powietrze. Kuchnia to świątynia czterech żywiołów. Panowanie nad nimi jest trudne. Tylko kobieta umie je realizować. Z tej racji kuchnia to jej trudny teren, lecz także szkoła umiejętności rządzenia. Spróbuj, Pawle, panować nad ogniem, wodą i powietrzem. Nie potrafisz. A kobieta umie nad nimi panować. To jej szansa i wielka rola. To panowanie, to ład i porządek, a ład to czystość i umartwienie, to także umiejętność korzystania z drobiazgów. Mądrość chińska nawet ujęła tę sprawę w przysłowie: doskonałość składa się z drobiazgów, ale doskonałość nie jest drobnostką. Kuchnię, Pawle, zostaw mnie. Pomagaj mi w czym innym. Ugotuję obiad, ale zajmij się dzieckiem. To ważniejsze dla ciebie i dziecka. Ojciec musi często przebywać ze swym dzieckiem, rozmawiać z nim, pracować. Matki prawie zawsze rozumieją się z dziećmi. Ojcowie nie zawsze. Rzadko ojciec przyjaźni się ze swym synem. To jest tragiczne. Pawle, oby tobie udało się zaprzyjaźnić z Jackiem. Jest jeszcze mały, ale już bywaj z nim często, aby się przyzwyczaił do twojej obecności, aby jej potrzebował. I ucz się z nim rozmawiać. Zawsze ucz się tego. Abyś umiał z nim rozmawiać bardzo serdecznie nawet wtedy, gdy nie będziecie mogli się zrozumieć. Rozmowy mogą wiele. Wyjaśniają, zbliżają, zaprzyjaźniają.

— A trzeci pokój jest domem nas wszystkich. Tu spędzamy wolne chwile i przyjmujemy gości. Jak ci się podobają te foteliki, Ryszardzie? Są wygodne i jednak ładne, prawda? Mała biblioteczka przy radiu ciągnie oczy, bardzo prosty i ładny stolik brydżowy wciąż kojarzy znajomym możliwość spotkań u nas. Nawet ty przyszedłeś. Przychodź do nas, Ryszardzie, bardzo zapraszamy! Chodź, przed herbatą przedstawię ci naszego syna. Ma dopiero półtora roku, ale już możesz zamienić z nim kilka słów. Właśnie nauczył się kilku słów, zresztą najpiękniejszych: mama i tata.

Ryszard przyszedł dziś na herbatę do Pawła i Ewy. Lubił ich dom. Właśnie dom. Paweł dziwił się zawsze, że Ewa tyle zabiegów i trudu poświęca domowi. Nie rozumiał tej swoistej teorii sprzętów domowych i rozważań Ewy na temat opanowania żywiołów.

Nie lubił w ogóle poezji i tych wymyślonych spraw, które na temat domu formułowała Ewa. Ryszard rozumiał Ewę. Bawił się jej pomysłami i podziwiał to subtelne wyczulenie Ewy na wartość spraw drobnych. Może z tych drobnych spraw powstają wielkie, może małe powody są u początku wielkich działań. Ryszard zastanawiał się nad tym patrząc na Jacka.

Chłopiec patrzył na niego niebieskimi oczami. Jacek ma niebieskie oczy, myślał Ryszard, takie jak kolory kuchni, w której Ewa panuje nad żywiołami. Jacek też nad nimi panuje. Uśmiecha się, trzepoce rączkami. Jest pogodny, zdrowy. Co to znaczy, że dziecko jest pogodne?

— Ewo, zastanawiam się, czy można o dziecku powiedzieć, że jest pogodne. Pogoda jest zawsze cechą dorosłych. Czy są dzieci mało pogodne?

— Wiem, jaki jest Jacek. Rzeczywiście jest pogodny. Dobrze rośnie, prawidłowo się rozwija, nie płacze, lubi kąpiel, spacer. Dzieci mogą być kapryśne, nawet tak małe, jak Jacek. Mogą być nerwowe. Nie wiem, Ryszardzie, co ci odpowiedzieć. Jacek jest także spokojny. Jest bardzo żywy, lecz spokojny. Widzisz, mam teorię rzeczy, nie mam teorii Jacka. Jest zbyt bliski. Nie widzimy dobrze tych, których kochamy. Chwytny w nich to, czym najbardziej żyją i charakteryzujemy to. Nie mamy tego dystansu, który pozwoliłby zobaczyć właściwe potrzeby naszych ukochanych. Ale z drugiej strony tylko dzięki miłości cokolwiek wiemy. To nieprawda, że miłość jest ślepa. Miłość otwiera oczy na tych, których kochamy. To właśnie obcy ludzie są przez nas nie zauważani. Nie wiemy nic o nich, nie czytamy w nich tego, czym żyją, chyba że ich pokochamy.

— Czyżby, Ewo, tylko miłość zbliżała? Czy inne sprawy pozornie zbliżają? Być może masz rację.

— Proszę, Ryszardzie, pij herbatę. Jak ci się podobają firany? To trudna rzecz dobranie firanek do koloru ścian i mebli. Firany jak gdyby spajają elementy mieszkania, spełniają ważną rolę. Są jakąś klamrą, która spina i zdobi całość pokoju. Firanki to jak dobre wino, które gromadzi znajomych przy jednym stole lub jak uśmiech, który ułatwia porozumienie.

— Ależ, Ewo, ty wciąż tkwisz w fikcji i poezji. Ryszardzie, czy można firanki porównać z winem? Ewo, czasem przesadzasz.

— Dobrze, zgadłeś. Przesadzam, ale i sięgam trochę dalej, a właściwie głębiej. Odkrywam sens rzeczy, z którymi jesteśmy całe życie.

— To etymologia.

— Lecz jakże prawdziwa i urocza. Czy zastanawiałeś się, Ryszardzie, nad znaczeniem francuskiego słowa „pardon”? Przetłumaczone na język polski słowo to znaczy zwykle „przepraszam. Gdy jednak dokonamy tłumaczenia inaczej, gdy rozdzielimy „par” i „don”, uzyskamy inny akcent, inną perspektywę. To słowo jest wtedy prośbą, by dokonano daru, by nas wspaniałomyślnie zwolniono z zadośćuczynienia za wyrządzoną krzywdę. Odwołujemy się do czyjś dobrego serca. Prośba o dar dobroci jest wzruszająca. To przecież prosi się o dobroć. Czy nie mam racji, Ryszardzie?

I potem, gdy Ryszard już był u siebie, w swoim własnym mieszkaniu, gdy w długi wieczór myślał o tym, co usłyszał od Ewy, doszedł do wniosku, że prośba o dobroć różni się od prośby o miłość. Człowiekowi łatwiej prosić o dobroć. Dobroć jest mniej osobista, mniej intymna. Zjawia się na czyjąś prośbę. Miłość na taką prośbę nie przychodzi. Miłość jest bardziej darem niż dobroć. Jest czymś nawet cenniejszym, skoro człowiek tak opornie jej udziela. A może dobroć to po prostu uzewnętrznienie miłości? Nie można być dobrym bez miłości i nie można kochać nie będąc dobrym. To prawda. Dobroć jednak różni się od miłości, różni się tym, że dobroć nie czeka na wzajemność, podczas gdy miłość bez wzajemnego ukochania staje się cierpieniem. Dobroć nie domaga się dobroci, miłość domaga się miłości. Tym się różnią.

Ryszard przeglądał w pamięci wydarzenia, w których potwierdzałyby się ta różnica. Przypomniał sobie, że najpierw kochał swych rodziców. Kocha ich także teraz. Jest taki, że trwa w nim to, co się kiedykolwiek zaczęło. Do tej miłości dołączyła się kiedyś miłość do Boga. Może na tej miłości wyrosła. Ta miłość jest. Ryszard to czuje. Pojawiła się w jakimś odległym dzieciństwie, umacniała się, rosła. Była i jest. Obie są. A potem zaczęły się tęsknoty. Czy tęsknota jest tym samym co miłość? Raczej nie. Owszem, tęskni się, gdy się kocha i miłość wyraża się w tęsknocie. Tęsknota trwa tak długo, jak długo trwa miłość. W Ryszardzie tęsknota trwa więc zawsze. Różni się od miłości tym, że dotyczy jednocześnie wielu spraw i poglądów. Miłość zawsze jest konkretna, zawsze zwraca się do określonego przedmiotu. Tęsknota za określonym przedmiotem jest

miłością. Tęsknota nie dotycząca określonego przedmiotu jest tylko tęsknotą. Ryszard zastanawiał się więc, czy tęsknoty, które pojawiły się w nim, były tęsknotami, czy za każdym razem miłością. Tęsknił bowiem do każdego piękna i do każdej spotkanej dziewczyny. Nie mógł oderwać od niej pamięci. Widział ją długo w wyobraźni. Tęsknił. Ale już druga spotkana dziewczyna zacierała obraz tamtej. To więc nie była miłość. Miłość trwa. Tęsknoty się zmieniają. Tak, słusznie, nie mają stałego przedmiotu. Ryszard wiedział, że mękę i kaprysy tych tęsknot musi przeżyć. Męczył się nimi, przechodził od tęsknoty do tęsknoty. A teraz kocha Krystynę. Kocha ją już tak długo. To jest miłość. Czy jednak to jest miłość, gdy zastanawiamy się, cierpimy z jej powodu? Może miłość jest wtedy, gdy nie uświadamiamy jej sobie, gdy po prostu w pełni radości przy kimś jesteśmy. Może radość jest znakiem miłości, a nie cierpienie. Tak, radość jest znakiem miłości, ale i cierpienie o niej świadczy, tylko inaczej. Zanim jednak pojawiła się Krystyna, Ryszard przeszedł wszystkie etapy wewnętrznej męki. Tęsknił do spotkań z dziewczętami. Chciał być z nimi, rozmawiać, widzieć je. Męczył się tym, że pragnie ich ciał. Osobno szły w nim tęsknoty za rozmową i za pięknem ciała. Potem szukał jednej dziewczyny, którą mógłby zawsze kochać. I znalazł Krystynę. A dziś Ryszard z ogromną męką wewnętrzną stwierdził w sobie nieopanowane pragnienie własnego dziecka. Mieć dziecko, mieć syna, który byłby wciąż obok, zawsze ukochany i kochający. Jakie to cudowne mieć syna. Jacek, mieć Jacka.

W polu świadomości pojawiła się zabawna problematyka Ewy, jej etymologia. Ryszard zaczął się zastanawiać nad znaczeniem imienia Jacek. Co może znaczyć słowo Jacek? „Jaceo” znaczy „leżeć, spoczywać, leżeć podczas choroby, polec, paść trupem, lec w gruzach, wlec się po ziemi, być przygnębionym, bezsilnym, załamanym, przybitym”. Jacek może być chory, może polec na wojnie. Mój syn może zginąć. Jego imię znaczy też przygnębienie, załamanie, bezsilność. Jacek pełen smutku, bólu, cierpienia. Nie śmieje się, nie raduje, nie tańczy, nie zdobywa sukcesów. Wloką go po ziemi okrutne wydarzenia, nękają, męczą. Boże, mój syn cierpi! Wymarzony syn, wysmukły, jasny chłopak, z uroczym uśmiechem, żywymi oczami, dobry, serdeczny, ruchliwy, pełen pomysłów w zabawie, gwałtowny w dyskusjach, roztropny w działaniu, uroczo zakochany, szczęśliwy, mój syn. Teraz jeszcze mały, jednoroczny, z okrągłą buzią, pulchnymi rączkami, z uśmiechem, który wzrusza i przywołuje miłość. Nie,

Jacek nie zginie, nie będzie cierpiał, nie będzie bezsilny wobec nieszczęścia. Jacek będzie mężny, sprawiedliwy, czysty. Zdobędzie wiedzę, będzie kochany i kochający. Jacku mój, jaki będziesz, czy w ogóle będziesz? Czy będę miał syna? Imię Jacek może znaczyć też co innego. „Jacjo” znaczy przecież „rzucić, miotać, strącić, zsypać, wznosić, zakładać, budować”. Mój Jacek będzie zwyciężał, będzie projektował i budował, będzie zakładał instytucje, tworzył nowe teorie. Założy rodzinę, będzie miał dzieci, znowu Jacka i Adama, Łucję i Krystynę, Ewę i Pawła, Teresę i Andrzeja, Piotra i Marcina. Ryszard łkał z tęsknoty i zmartwienia. Bał się o swoje przyszłe dziecko, zjawiające się w marzeniach tak bardzo bolesnych. Kiedy będziesz w moim domu, mój synu? Kiedy twój uśmiech rozjaśni moje oczy? Kiedy będziesz na mnie czekał, cieszył się, gdy przyjdę? Mój synu, moje dzieci, Jacku, Adamie, Ewo, Pawle, Tereso, Andrzeju, Piotrze, Marcinie, Łucjo, Krystyno!

A imię Krystyna, co może znaczyć to imię? Ryszard przypomniał sobie pytanie, które już kiedyś przed nim stało: czyja ty jesteś, Krystyno? Czyja ty jesteś i jaki los oznacza twoje imię? Czy naprawdę nie będziesz moja, czy nie jesteś moja? Czyżby twoje imię wyznaczało ci inną drogę, drogę ku Chrystusowi? Krystyna znaczy Chrystusowa. Czy nie możesz być moja i Chrystusowa? Idąc ku Chrystusowi nie musisz odchodzić ode mnie. Chrystus nie zniszczy naszej miłości, powiększy ją i umocni. Dlaczego więc boję się? Dlaczego Krystyna nie podejmuje mojej miłości? Czy ja, czy ona nie chce dzielić swej miłości? Czy miłość musi być wyłączna? Co to znaczy wyłączenie w miłości? Rozumiem, że mąż winien kochać tylko żonę, a żona męża. Wiem, że tę wierność uratują tylko w połączeniu z Chrystusem, który będzie strzegł ich wspólnej miłości. Uratuję dla siebie miłość Krystyny, gdy tę miłość połączę z miłością do Chrystusa. Czy może dlatego tracę Krystynę, że ona nie idzie ku Chrystusowi, że swej miłości nie wiąże z tą najgłębszą miłością? Dlaczego tracę miłość Krystyny? Czy dlatego, że nie chcę dopuścić do niej Chrystusa, czy też dlatego, że Krystyna nie chce skierować do Chrystusa swej miłości? A jeżeli tak jest, jeżeli Krystyna nie kieruje ku Bogu swej miłości, a moja miłość obejmuje Boga, to nigdy się nie spotkam z miłością Krystyny. Nie ma jej przy Bogu, przy którym czeka na Krystynę moja miłość. Krystyna nie chce jej podjąć, bo jej nie ufa. Może jej nie widzi. Może nie rozpoznaje znaków miłości. Może za miłość uważa to, co nie jest miłością. Może zdobędę miłość Krystyny

tylko wtedy, gdy przyprowadzę ją do Boga? Czy potrafię to zrobić? Czy więc nie utracę Krystyny? Tracę jej miłość. Kocham ją i nie mam jej miłości. Ryszard dostrzegł w tych pytaniach dwa wielkie nurty swego życia, nurty prawie każdego ludzkiego życia: psychologiczny i religijny. Obydwa są obecne w człowieku. Zależą od myślenia i związanego z myśleniem wolnego wyboru. Może męka człowieka ma swoje źródło w tym, że te dwa nurty nie stanowią jednego. Może proces wiązania się tych nurtów powoduje ból, objawia się męką. Może proces utraty miłości jest pozorny. Może to po prostu miłość w sensie psychologicznym stając się miłością w sensie religijnym sprawia wrażenie utraty miłości. Rzeczywiście tracę miłość tylko psychologiczną, lecz zdobywam miłość w sensie religijnym. Nie tracę więc, lecz pogłębiam ją, przekształcam, zachowuję. Pozornie tracę swoje psychiczne i wyłącznie psychiczne przywiązanie. Ratuję je, bronię go. I może właśnie źle czynię broniąc tylko psychicznego powiązania z Krystyną. Wiążąc miłość czysto naturalną z miłością Bożą wzbogacam siebie i pełniej kocham człowieka. Kocham go wtedy jedynie właściwie. Dlaczego więc boję się utraty miłości? Może boję się dlatego, że nie pamiętam, nie znam dróg rozwoju miłości. Miłość nie może być samotna. Musi spotkać się z miłością drugiego człowieka. Spotyka się z nią, ale nie zawsze jest podjęta. Może właśnie jest za mała, gdy nie jest darem, gdy nie jest bezinteresowna i gdy nie jest powiększona o miłość Bożą. Może jest za duża wtedy, gdy powiązana z miłością Bożą chce być oddana wyłącznie człowiekowi. Co to więc znaczy ukochać człowieka? Czy kocham go właściwie, gdy kocham go tylko miłością przyrodzoną? Mogę kochać go wtedy za mało lub za dużo. Kocham za mało, gdy nie kocham osoby ludzkiej, lecz jej zalety. Kocham za mało, gdy nie kocham także miłością nadprzyrodzoną. Kocham za dużo, gdy człowieka, którego kocham, traktuję jako jedyne dobro, jedyny i najwyższy cel życia. Taka miłość jest za duża. Nikt jej nie udźwignie. Żaden człowiek nie odpowie wszystkim tęsknotom ludzkim, nie wypełni ich. Człowieka nie można kochać tak, jak się kocha Boga. Nie można czynić z człowieka Boga. Nie wolno człowiekowi uznać w wybranej osobie ludzkiej jedyne celu i jedyne szczęścia. Wtedy właśnie kocham za bardzo. Kocham źle. Kocham dobrze wtedy, gdy wybieram kogoś i obdarowuję miłością przyrodzoną, lecz już wychowaną przez miłość nadprzyrodzoną, powiązaną z

tą miłością, z samym Bogiem. Nie ma dojścia do człowieka, gdy pominiemy Boga. I nie ma dojścia do Boga, gdy pominiemy człowieka.

Dojście do Boga i dojście do człowieka mają jednak swoje osobne historie. Tworzą dwa wielkie nurty ludzkiego życia. Ryszard uświadamia sobie, że te dwa nurty jeszcze w nim nie stały się jednością. I właśnie dlatego traci miłość Krystyny. Traci ją. Gdyby ta miłość była już pogłębiona przez miłość Bożą, może byłaby mniejsza, a więc właściwsza, na miarę pojemności Krystyny. Nie podjęła tej miłości, ponieważ jej kształtu nie odczytała jako daru dla siebie. Może Krystyna po prostu tylko poprawnie reaguje. Nie bierze tego, co nie jest na jej miarę. Może każda za duża miłość jest miłością, przeznaczoną dla Boga i tylko źle przez człowieka adresowaną. Może Krystyna czeka na miłość, która byłaby na miarę jej serca. Ryszard zastanawia się i męczy. Czyżbym dlatego tracił miłość Krystyny, że zaniedbałem sprawy swego rozwoju religijnego? Dlaczego we mnie muszą te sprawy prawidłowo funkcjonować? Dlaczego inni mężczyźni nie mają takich kłopotów? Andrzej kocha Teresę i otrzymuje jej miłość. Henryk kocha Łucję i cieszy się jej wzajemną miłością. A jeszcze inni mężczyźni kochają swe żony nie myśląc o miłości Bożej. Czy tylko wydaje się nam, że są szczęśliwi? Czy jest w ogóle możliwe uratowanie miłości, gdy ta miłość nie jest wpleciona w miłość Bożą, włączona w nią, na niej oparta? Rozumiem, proces utraty miłości to proces włączenia miłości przyrodzonej w nadprzyrodzoną miłość Bożą. I tylko po tym złączeniu miłość przyrodzona funkcjonuje normalnie. Jest wtedy cierpliwa, wierna, ufna. Nie wyrządza krzywdy, nie zawiedzie, jest trwała. Wyłączność miłości nie wyklucza Boga. Bóg tę wyłączność wzmacnia i chroni. Może tylko Bóg chroni miłość.

Ryszard śledzi nurt swej przyrodzonej miłości. Pojawiła się właśnie jako miłość do matki i ojca, do rodzeństwa. Przyjęła potem formę tęsknoty do nauki, dowcipu, intelektu, do spotykanych dziewcząt, do przyjaciół. W wersji przyjaźni wiązała Ryszarda z kolegami i dziewczętami. Pragnął spotkań z nimi, rozmów, wycieczek. Potem tęsknił do jednej osoby ludzkiej, do jakiejś jednej dziewczyny, która byłaby z nim zawsze, słuchała zwierzeń i zmartwień, zawsze wierna, zawsze obecna. Męczył go ten okres tęsknot, których nie zrealizował. I teraz mając lat dwadzieścia sześć całą mocą zatęsknił do własnego dziecka. Tęsknota ponad siły, bolesna, okrutna, straszna. I

wreszcie przyszła tęsknota do Krystyny. Obok tej miłości w wersji przyjaźni, miłość Ryszarda, ta miłość przyrodzona, złobiła sobie dodatkowy i podziemny nurt, sprzyjający tęsknotom ciała. Ryszard śledził to rozdarcie. Nie umiał złączyć w jedno wersji przyjaźni z wersją nastawień zmysłowych. Nigdy nie skierował swych pożądań do osób, które kochał. Nie wiedział, że dana ludziom przez Boga zmysłowość może być także sposobem rozwijania miłości. Pożądania przegrywają i nie czynią szkody człowiekowi, gdy są poddane miłości i gdy są złączone z miłością. Jeżeli miłość jest troską o dobro wybranej przez nas osoby, nie zrobimy niczego, co krzywdziłoby tę ukochaną osobę. Tylko miłość nie krzywdzi. Tylko miłość wyznacza granice pożądaniom. Ryszard nie wiedział tego, nie umiał dostrzec planu Bożego w swej ludzkiej strukturze mężczyzny. Nie umiał też na tym wszystkim budować swej religijności. Budował ją poza swą przyjaźnią i poza swą zmysłowością. Budował ją więc poza sobą. Dostrzegł zakazy i źle je odczytał. Nie wziął ich za rady, nie skorzystał z nich. W imię zakazów, a nie z miłości do Boga, w imię zakazów odrzucał przyjaźń i odrzucał zmysłowość, odsuwał je. Nie miał tyle pokory, aby przyznać się do siebie, do swej cielesno-duchowej natury. Nie prześwietlał Bogiem całego siebie. Dopuszczał Boga tylko do swego intelektu, do wysokich rejonów duszy. Nie dopuścił Boga do swego ciała, do swej zmysłowości. Sam kierował swymi popędami, sam je wychowywał. Bóg nie miał prawa do jego pożądań. Bóg nie mógł na nie oddziaływać, nadać im kierunku i pokazać ich sensu. Dopiero teraz Ryszard zobaczył, że Bóg leczy i wychowuje, że z miłością zabiega o prawidłowy rozwój miłości człowieka, że udzielając swej miłości wprowadza równowagę między tęsknotami duszy i tęsknotami ciała, że pomaga człowiekowi trafić na miłość ludzką i szczęście.

Ryszard bardzo wczesnie uświadomił sobie, że miłość ludzka musi przede wszystkim dotyczyć Boga. Kierował do Boga swoją miłością. Przy pomocy modlitwy otwierał Bogu swoją duszę, by Bóg mógł przyjść i wnieść swoją miłość. Przy pomocy wyrzeczeń, które są umartwieniem, uczył się pokuty i skruchy. Pragnął realnego kontaktu z Bogiem i dlatego zabiegał o sakramenty, które według wiary faktycznie łączą człowieka z Bogiem. Trwał wewnętrznie przed Bogiem. Przybliżał się do Boga przez akty żalu, podnosił wciąż na trudnych drogach, gdy upadał. Ale teraz w etapie Krystyny zaplątał się i zagubił. Doszedł do wniosku, że przeżywa proces utraty miłości.

Krystyna nie pokochała go. Albo więc pomylił ją z Bogiem, co jest tak bardzo częste, choć wydaje się teoretycznie niemożliwe, albo nie znalazł jej przy Bogu. Co się stało? Co się stało z Ryszardem? Miłość zawsze uzdrawia, porządkuje, uszczęśliwia. Dlaczego tyle smutku przyniosła Ryszardowi miłość do Krystyny?

— Co się stało, Andrzeju, dlaczego Ryszard cierpi? — (zapytała Teresa). Nie wyjaśniłeś tej sprawy. Mieszasz rozwiązania. Ryszard sam nie wie, co się w nim dzieje, ale i czytelnik może się zgubić. Czy chcesz pokazać, że miłość jest trudnym zadaniem człowieka? Czy może chcesz pokazać, że należy wybierać to, co trudniejsze, aby dotrzeć do tego, co prawdziwe, rzeczywiście realne i trwałe?

— Czyż można na wszystko odpowiedzieć? Życie ludzkie nie jest proste i łatwe. Może nigdy nie uzyska się odpowiedzi na pytanie o los miłości. Może miłość jest tajemnicą, znaną tylko Bogu i dwu kochającym się osobom ludzkim. Nigdy jej nie odczytamy do końca. Łatwiej ją odczytać w dziejach Ryszarda i Krystyny niż na tym poziomie powieści, którym są zdarzenia, stanowiące przedmiot opinii i teorii. Ryszard jednak widzi swoją drogę. Wie, że musi utracić miłość, aby ją uratować. Chce ją uratować przez wspólne z Krystyną przybliżenie się do Boga. Musimy im pomóc, Tereso! Ale jak im pomóc? Pomagamy tym, czym jesteśmy. Czym jesteśmy, Tereso? Ile jest w nas Boga, a ile nas samych, egoistycznie służących sobie? Jakie rozwiązania, ile miłości znajdzie w nas Ryszard? Czy wystarczy tej miłości na tyle, by uratować Ryszarda? Nie wystarczy tej miłości. Pomóżmy im inaczej, pomóżmy im przybliżyć się do Boga. Stanie się to wtedy, gdy Bóg zbliży się do nich. Prośmy więc Boga, aby pociągnął ich ku sobie, aby pełniej w nich zamieszkał. Módlmy się, Tereso! Możemy im pomóc modlitwą, jeżeli nie możemy im pomóc naszą miłością. Módlmy się za nich, za szczęście ich miłości, za każdą miłość, aby Bóg ją chronił, gdy wiąże ona losy ludzi i ich serca z Bogiem.

ROZDZIAŁ 8

— Według mnie, Henryku, Andrzej sprzeniewierza się swojej powieści, swojemu zamysłowi. To sprzeniewierzenie polega na braku konsekwencji. Andrzej zapowiedział dystans wobec problemów, które porusza, i wobec postaci, których dzieje są stwierdzeniem stanu faktycznego lub propozycją rozwiązania podjętych zagadnień. Początek powieści przynosi zapowiedź tego dystansu. Andrzej chciał tak pisać, aby zaraz oceniać rozwiązania i samą robotę. Ta dwupiętrowość refleksji maleje, a nawet zanika na dalszych stronicach. Poza tym dla nowych zagadnień wprowadza nowe postacie. Uzyskuje przez to wyraźne rozdzielenie spraw, które omawia, gubi jednak możliwość pogłębienia postaci, które już są w powieści. Dzieje Adama w dużym stopniu pomagają od innej strony naświetlić problem procesu utraty miłości, ale Michał i Piotr nie mają określonej roli. Ewa reprezentuje koncepcję domu, lecz Paweł zupełnie zanika w powieści.

— Ryszardzie, czy to nie ty wprowadziłeś Pawła i Ewę do swej powieści o Andrzeju i Teresie?

— Nie, nie mógłbym przecież pisać o sobie i nie chcę o sobie pisać. Powieść nie jest dziennikiem przeżyć autora. Powieść jest analizą problemów, które autora interesują. Andrzej bada pewien typ relacji między mną i Krystyną. Ja znowu chcę zbadać przeżycie miłości, wiążącej Andrzeja i Teresę. Żeby do tego dojść, muszę rozważyć wstępne problemy. Interesuje mnie sprawa różnicy między miłością i uczuciem. Czy miłość jest tylko uczuciem? Jaka jest różnica między uczuciem a namiętnością, między tym, co nazywa się miłością duchową i zmysłową? Czy są dwie miłości w człowieku, czy jedna w wielu wersjach? Andrzej i Teresa będą o tym rozmawiali. Chcę jednak przygotować się do tej rozmowy przez rozpatrzenie wcześniejszego etapu. Wydaje się, że o małżeństwie często rozstrzygają wrażenia zmysłowe. Oparcie związku tylko na tych wrażeniach prowadzi często do katastrofy, do niezadowolenia lub rozwodów. Wiąże ludzi przyjaźń. Małżonkowie muszą dopracować się przyjaźni, albo już wcześniej przyjaźń i reagowanie na piękno fizyczne stały się jakąś całością, dzięki której małżeństwo się zrealizowało. Przed małżeństwem więc te sprawy są aktualne. Rozważę je, ale nie chcę wprowadzać dla tych dyskusji nowych

postaci. Adam kształtuje się w tej powieści jako ktoś bardzo rozumny. I chyba Tadeusz. To bardzo rozsądni chłopcy.

— Dziękuję za miłą opinię o moim synu.

— Ależ, Henryku, mówię to bardzo szczerze. Postacie powieści jednak nie zawsze bezwzględnie podlegają autorowi. Rozstrzyga tu sprawy jakaś konsekwencja. Żeby postać była zwarta i przekonująca, Andrzej musi rysować na przykład Adama zawsze podobnie. Jeżeli raz związał z nim ciekawe analizy, musi je powtarzać. Mógłby oczywiście postawić Adama wobec takich zadań, że Adam nie dałby im rady. Chcę jednak bronić Adama przed Andrzejem. Będzie więc rozumnie i ciekawie rozmawiał z Tadeuszem. Tadeusz przeciwstawił się Marcinowi. A poza tym reaguje spokojniej niż Daniel, ujmuje sprawy z większym dystansem. A propos dystansu. Otóż Andrzej chciał utrzymać ten dystans przy pomocy humoru i dowcipu. Zapala się jednak lub wpada w coś, co można by nazwać zbyt wielką uczuciowością. Moje odkrycie Krystyny wypadło przecież sentymentalnie.

— Może ty taki jesteś, Ryszardzie. Może Andrzej chce pokazać, że wielka uczuciowość nawet o charakterze trochę sentymentalnym nie przeszkadza komuś w dojściu do głębokich rozwiązań. Może chodzi o to, aby pokazać perspektywy osobom, które cierpią z powodu zbyt dużej uczuciowości.

— Bronisz Andrzeja.

— No pomyśl, Ryszardzie, a choćby w tej rozmowie, którą prowadzimy i którą opisuje Andrzej, w rozmowie między tobą i mną, czyż Andrzej nie wyczuwa dobrze twoich zastrzeżeń. I sprawiedliwie je ujawnia.

— Być może. Chciałbym także sprawiedliwie przedstawić dzieje miłości Andrzeja i Teresy. Sprawiedliwie to znaczy tak, jak one mogą przebiegać w zwykłym małżeństwie dwu rozumnych osób. Weźmy się więc do roboty. Zobacz, Henryku, jak stawiam problemy, poruszane przez Adama i Tadeusza.

Adam jest w pokoju Tadeusza. Tapczan, nakryty jasnozielonym materiałem, harmonizującym z kolorem ścian; biurko brązowe, półka na książki, obraz Matisse'a w grubej, złoczonej ramie, nad biurkiem duży, drewniany krzyż. Dwa foteliki przy małym stoliczku. Adam pali papierosy. Tadeusz podaje jakiś chłodzący napój. Nie wiem, czy to jest kompot, czy oranżada. Gorąco, słońce pali, kolorowe firany chronią pokój przed

inwazją ciepła. Rozmowa weszła już w etap wyjaśnień. Tadeusz rozumie trudności Adama, Adam wie, co niepokoi Tadeusza.

— Chciałbym, Tadeuszu, abys mnie dobrze zrozumiał. Boję się, że cenię w ludziach intelekt, dowcip, ironię, humor i kocham kogoś tylko wtedy, gdy odkryję w nim te wartości. Nie kocham kogoś dlatego, że jest miły, wierny, życzliwy i że mnie kocha. Często jest tak, że drażni mnie czyjaś miłość. Może nie rozumiem miłości. Mówiłeś kiedyś, że nie chcę utracić tego, co znalazłem, że boję się utraty. Tak, boję się nie cenić intelektu, dowcipu, humoru. Myślałem jednak o tym, że często człowiek nie chce miłości. Dlaczego człowiek jej nie chce? Dlaczego nie chcieli jej zbuntowani aniołowie? Może i ja boję się miłości?

— Sprawa jest trudna może dlatego, że ujmujesz ją jednocześnie w kilku płaszczyznach. Zróbmy najpierw trochę porządku. Otóż możemy otrzymywać i dawać miłość. Zbuntowani aniołowie nie przyjęli miłości Bożej i nie oddali Bogu swojej. Człowiek często zachowuje się podobnie. Może nie podjąć propozycji przyjaźni z Bogiem i może nie skierować ku Bogu swojej miłości. Może tak samo postąpić wobec człowieka. Nie ukocha nikogo i nie przyjmie ofiarowanej miłości. Z miłością do człowieka sprawa jest poza tym dość skomplikowana. Łatwo bierze się tu za miłość coś, co nie jest miłością. Kochasz na przykład dziewczynę. Okazuje się po jakimś czasie, że jest ci wewnątrznie obojętna, że podobają ci się tylko jej oczy, włosy, czy ja wiem co. Po prostu podoba się. Reagujesz na jej walory zewnętrzne, wprost fizyczne. Cały kontakt sprowadza się do przyjemnych wrażeń, odbieranych przez wzrok, słuch, dotyk, oczywiście w stopniu nie naruszającym nakazów moralnych. Nie rozważamy na razie sprawy grzechu. I sam też zamiast miłości dajesz dziewczynie tylko to, co płynie z patrzenia i słuchania. To uczuciowe powiązanie, zresztą bardzo płytkie, albo zrywa się, albo narasta. Uczucia pogłębiają się lub przeradzają w namiętność. Wpływają na władze człowieka, którymi podejmuje się decyzje. Uczucia zmysłowe wpływają na decyzje, dotyczące ciała dziewczyny. To nazywamy potocznie pożądaniem. Jest to pożądanie zmysłowe. I to nie jest miłość. To jest tylko jeden ze sposobów reagowania na kobietę. Reagowanie zresztą bardzo wąskie, dotyczące fragmentu człowieka, jego zewnętrznego wyglądu. Pozostaje jeszcze cała reszta: intelekt, wola, po prostu dusza osoby ludzkiej. Miłość musi zawsze dotyczyć całego człowieka. Po tym ją się rozpoznaje. Musi godzić

interesy czyjejś duszy i ciała. A te interesy trudno uzgodnić. Trudno liczyć się z losem czyjejś duszy, gdy podoba się tylko ciało. Trzeba jednak pamiętać, że wtedy nie ofiarujemy miłości, lecz pożądanie. I nie otrzymujemy miłości, lecz tylko wrażenia zmysłowe. Wtedy nie kochamy i nie jesteśmy kochani. Używamy kogoś jako rzeczy i sami jesteśmy traktowani jako rzecz. To nie jest kontakt dwu osób. To jest kontakt dwu rzeczy. Taki kontakt zuboża i dyskwalifikuje, obniża poziom porozumienia. Tylko w kontakcie dwu osób może zaistnieć miłość. Tylko wtedy, gdy na serio liczymy się z dobrem duszy i ciała tej osoby, której chcemy dać swoją miłość i przyjąć miłość, przez tę osobę nam zaproponowaną. To wszystko jest trudne. Boisz się miłości, Adamie, bo może nie wiesz, że miłość nie równa się pożądaniu zmysłów albo nie chcesz spraw ciała i zmysłów włączyć w sprawę miłości.

— Jak to zrobić? Tadeuszu, rzeczywiście nie umiem pożądania poddać miłości. Nie znam miłości. Znam urok czyjejś inteligencji i znam pożądanie. Ale te dwie sprawy zupełnie mi się wykluczają. Nie mam dosyć odwagi, by poddać się pożądaniom. I nie chcę się im poddać. Walczę. Męczę się. A kontakt intelektów jest niepełny. Nie wiąże. Pozostaję sam. Czuję się samotny. Czy miłość, której nie przeżywam, usunęłaby tę samotność, to poczucie osamotnienia? Samotność, wiesz, Tadeuszu, to tęsknota, bolesna tęsknota do kogoś, kogo w ogóle nie znasz, a z kim chciałbyś wciąż przebywać.

— Jesteś bliski określenia miłości i trafienia na miłość. Miłość to także tęsknota. A tęsknota to działanie miłości, to jej głos, to miłość poszukująca, wychodząca naprzeciw. Obyś tylko nie pomylił głosu miłości i głosu pożądania. Obydwa mają podobne brzmienie.

— Rozmawiałem z Ryszardem o tym, że według Andrzeja za mało kocham. Może tak jest. Ale może jest i tak, że nie znam miłości. Nie umiem jej rozpoznać. Nie odrzucam miłości. Szukam jej. I w rozmowie z Ryszardem doszliśmy do sprawy samotności. Jestem samotny, czuję się samotny, a odkrywam to dzięki tęsknocie. Tęsknię. Nie wiem nawet, co jest przedmiotem tej tęsknoty. Nie wiem, w jakim kierunku nastawić tęsknotę. I to jest bolesne. Stoję na rozdrożu i nie wiem, gdzie mam iść. A nawet stoję wobec zamkniętych drzwi, wysokiej ściany, która zasłania przyszłość.

— Może, Adamie, może bolą cię obie tęsknoty. Może są to dwa głosy, głos twej duszy i głos twego ciała. Nie zawsze jest to jeden głos. Tęsknota staje się jednym głosem całej osoby ludzkiej dopiero po etapie „przeduchowienia uczynków ciała”. To jest wyrażenie Mertona. Dopiero po okresie umartwienia, dusza i ciało działają zgodnie. Przed tym etapem osobno w nas tęskni dusza i kaprysi ciało. Według planu Opatrzności małżeństwo pomaga osobie ludzkiej w „przeduchowieniu uczynków ciała”. Gdy jednak nie jesteśmy w małżeństwie, także musimy uświęcać działanie naszego ciała. Musimy poddać duszę i ciało - działaniu miłości, która zawsze kieruje się dobrem osoby kochanej.

— Na czym to polega? To nie jest proste. Tak, tęsknię do ciała dziewczyny. Nie daję perspektyw tej tęsknocie. Ginie mi przy tym tęsknota do czyjegoś dowcipu, ironii, żartu, do błyskotliwych rozmów.

— Jeżeli nie poddasz spraw ciała miłości, te sprawy zwyciężą, zdominują w tobie wszystkie inne dążenia. Uczucie jest siłą, siłą napędową działania. Trzeba sprawić, aby to było działanie dla twego dobra i dla dobra osoby, której pożądasz. I wtedy jest miłość, która właśnie nie wyrządza szkody, która jest cierpliwa, wierna, trwała. A jak dojść do tego? Pierwszą sprawą jest uznanie Boga. Musisz, Adamie, umocnić w sobie przekonanie o istnieniu Boga i o obecności Boga w twej duszy. Musisz też zaufać Bogu. To pomoże ci oddać się Chrystusowi. I właśnie to oddawanie siebie Chrystusowi jest istotą umartwienia. Ewangelia powie ci, jakie życzenia wyraził Bóg wobec człowieka. Czytaj Ewangelię. I zacznij realizować życzenia Boże. Nie przychodzi to łatwo. Cóż zresztą łatwo przychodzi! Realizując życzenia Boże będziesz oddawał siebie Chrystusowi, będziesz jednocześnie uświęcał, uszlachetniał uczynki ciała. Tęsknoty ciała uzgodnisz z tęsknotami duszy. Będą to zresztą tęsknoty, zgodne z życzeniami Boga, jeżeli te życzenia zaczniesz realizować. To nie jest niszczenie spraw ciała. To jest tylko włączenie ich w program zbawienia. Bez perspektywy zbawienia i uświęcenia nie uzgodnisz spraw duszy i ciała. To nie jest wyniszczanie siebie. To jest walka o równowagę, o harmonię, o równe szansę wszystkich spraw osoby ludzkiej. Ta walka jest ciężka. Nie ma co kryć tego. Jest jednak ludzka, humanitarna. Jest bowiem przejawem wolności, jest głosem duszy ludzkiej, która wyrywa się ku Bogu. Uczucie nie poddane miłości, namiętność, pożądanie zmysłów, to objawy przywiązania do

własnego „ja”, do jego potrzeb, o które nasze „ja” upomina się nawet ze szkodą dla innych ludzi. Zresztą zawsze ze szkodą dla kogoś drugiego. Gdy czynimy coś tylko dla siebie i ze względu na siebie, krzywdzimy innych. Czynimy zło. Umartwienie właśnie pokazuje, kiedy używamy kogoś jako rzeczy, a kiedy Kochamy. Umartwienie więc to sposób pokazywania różnicy między dobrym i złym używaniem rzeczy i siebie, między używaniem i Kochaniem. To znowu ujęcie Mertona. Według niego umartwienie nie polega na odrzuceniu i negacji spraw ciała, lecz na poddaniu ich Bogu. Nie chodzi więc o wyniszczenie ciała, jego tęsknot i potrzeb, jego szukania radości i ludzi, chodzi o uduchowanie, które polega na takim gospodarowaniu oba, aby realizowały się życzenia Boże. Gdy je zrealizujesz, Adamie, trafisz na miłość. Wtedy głos pożądania i głos miłości będzie tym samym. Dopóki tego nie zrobisz, osobno będzie w tobie działała dusza i osobno ciało. Gdy dasz szansę głosowi ciała, będzie cię męczyła rozpacz duszy. Jeżeli posłuchasz tylko intelektu i zanegujesz lub odrzucisz sprawę ciała, ciało zbuntuje się i zniszczy twą duszę. I nigdy nie przeżyjesz prawdziwej miłości. Miłość jest trudna. Jest jednak. I jednakowo Kocha się nią Boga i ludzi. Inaczej tylko wyraża się i rozwija tę miłość Kochając Boga lub ludzi.

— Ale to, co powiedziałeś, to dopiero jakiś początek, to jakiś program, perspektywa. Jak to realizować? I wyników pracy możesz się spodziewać za kilka lat.

— Nie, to jest praca całego życia. Miłość jest czymś, co trzeba wciąż tworzyć, wciąż rozwijać, pogłębiać, podtrzymywać w istnieniu. Jeżeli chodzi ci o prawdziwą miłość.

— Czy z tego wynika, że i szczęście zjawia się po latach pracy?

— Szczęście to osobny temat. Myślę jednak, że ze szczęściem jest podobnie. Źródłem szczęścia mogą być różne dobra. Ale szczęście, które daje miłość, jest tym, co przychodzi późno. Wcześniej przychodzi tylko złudna miłość, radość zrealizowania pożądań. Ludzie sięgają po tę radość, ale nie są szczęśliwi. Rzadko są szczęśliwi.

Ryszard przerwał czytanie. Odłożył zapisane kartki papieru. Henryk siedział w fotelu, palił papierosa. Na stoliczku stał nietknięty jakiś chłodzący napój. Nie wiem, czy to był kompot czy oranżada. Brązowe biurko połyskiwało w słońcu, przedzierającym się przez kolorowe firany. Obraz Matisse’a w złoczonej ramie i duży, drewniany krzyż nad biurkiem harmonizowały z kolorem ścian.

— Co myślisz, Henryku, o tym fragmencie powieści?

— Cieszę się, że Adam i Tadeusz podjęli temat różnicy między miłością i pożądaniem. Cieszę się, że tyle wiedzą, że rozumieją sens umartwienia. Czy nie za dużo wiedzą na swój wiek, Ryszardzie?

— Ależ, Henryku, przecież książki Mertona są teraz w sprzedaży. Każdy je czyta. Tadeusz też je czytał. Jest studentem, ma szerokie zainteresowanie, na serio traktuje siebie, ludzi, Boga.

— Tak, to dobrze. Na serio traktować siebie, ludzi i Boga. Ale to jednak nie jest łatwe, Ryszardzie, to nie jest łatwe.

— Nie jest łatwe. Nie ma jednak innej drogi. Tylko wtedy uratujemy miłość. Chcę ją uratować, Henryku, chcę ją uratować nawet wtedy, gdy będę ją musiał stracić. Chcę uratować miłość Krystyny, naszą miłość.

ROZDZIAŁ 9

Ryszard nie może zapomnieć ostatniej rozmowy z Krystyną i tego jednego zdania, które go przeraziło. To przerażenie w nim trwa. Czy to jest przerażenie? Ryszard jest niespokojny, smutny i wewnętrznie martwy. To nie jest przerażenie. To są skutki przerażenia, stan swoistej śmierci, jakiegoś letargu, przekroczenie progu wytrzymałości, ból tak wielki, że już się go nie czuje. Ryszard jest samym bólem. I jest martwy w tym bólu. Ten martwy ból jest istotą jego smutku, jest samym smutkiem. A przy tym wszystkim niepokój, który przecież jest zaprzeczeniem letargu. Sam ból zresztą jest niepokojem.

— Tak, jestem martwy w najgłębszej części duszy (myślał Ryszard). To tylko bardziej zewnętrzne warstwy mej duszy bolą i niepokoją. O ile w ogóle są warstwy duszy. Są warstwy uczuć. Może to śmierć moich uczuć? Nie. To jakaś śmierć miłości. I płaczą uczucia, oplatające tę miłość. Niepokoją się. Czy wśród tych uczuć są tęsknoty? Są. To dziwne. Są. Jeżeli są tęsknoty, głos miłości, może nie umarła we mnie miłość? Jak to jest, Krystyno? Jak to jest?

Ryszard nie może zapomnieć ostatniej rozmowy z Krystyną i tego jednego zdania, które go przeraziło. To było straszne zdanie. Wtedy właśnie Ryszard poczuł, że umiera, że coś się kończy, że traci rzecz o przeogromnej wartości, samą miłość. Pracował, rozmawiał, lecz wszystko to działo się w nim automatycznie, zewnętrznie. Był nieobecny wśród tych spraw, które załatwiał. Nieobecny dnem swej duszy tam, gdzie był obecny swoją refleksją i myśleniem o sprawach bieżących. W samych korzeniach jego bytu, w najgłębszej części duszy, tak, w najgłębszej i części duszy — myślał Ryszard — zaczął się smutek. Jeszcze nie wygasił uczuć, jeszcze nie pojawił się w twarzy, lecz już zaczął swoje niszczycielskie dzieło: śmierć od środka. Może tylko w oczach Ryszarda widać było niekiedy całkowite zagubienie, jakieś zatonięcie, nieobecność tego, czym człowiek jest. Ktoś nazwał to znakiem zmartwień, ktoś cierpieniem. Ryszard wiedział, że to jest ból, ból ponad siły, martwy ból, istota smutku. Krystyna wtedy powiedziała, że jest niczyja. Czyja ty jesteś, Krystyno? Czy można nie być czymś człowiekiem?

Tak, to prawda, Krystyna jest po prostu Krystyną. Jest niczyja, a może jest czymś dla wszystkich, którzy ją znają. Nie należy do nikogo i jest własnością wszystkich. Nie ma nikogo.

— Nie masz nikogo, kto by cię kochał? Nie ma nikogo, kogo byś kochała? To straszne, Krystyno, to straszne. Jaka ty jesteś, czyja, kim ty jesteś, moja Krystyno?

Ryszard nie może zapomnieć tego jednego zdania, które go przeraziło: Krystyna jest Krystyną, jest niczyja.

— Czy to naprawdę znaczy, że nikogo nie kochasz i że nie chcesz przyjąć od nikogo miłości? Skazujesz się na nieskończoną samotność, na straszny los rezygnacji z celu życia, z radości, z rozmów. Skazujesz się na siebie. Tworzysz z siebie ośrodek działań i tęsknot. Nie wytrzymasz, Krystyno, samotności. Zamęczy cię. Uciekniesz. Dokąd uciekniesz? Pobiegniesz w kierunku najbliższego uśmiechu, najbliższych ramion łudząc się, że biegniesz ku miłości. Nie rozpoznasz jej, skoro już teraz jej nie widzisz. Nie potrafisz być samotna. Nikt nie umie być samotny. Zmęczysz się sobą. Samotność idealna, bo taką wybierasz, jest samobójstwem, jest przestępstwem. Nie wolno odejść od miłości. Ucieczka od miłości jest możliwa. Jest możliwa taka samotność, o której mówisz, rezygnacja z miłości. Czy to jest jednak rezygnacja z każdej miłości? To jest wybór miłości siebie. Człowiek nie może nie kochać. Zawsze coś lub kogoś kocha. Odrzucając miłość, którą ci ktoś ofiarowuje i nie dając miłości nikomu, wybierasz miłość siebie. Krystyno, dlaczego to robisz? Zginiesz. Najpierw zmęczysz się i możesz nie zdążyć uciec z samotności. Możesz zginąć w sobie. Miłość skierowana do siebie zabija. Tak, jest samobójstwem. Jest przestępstwem. Krystyno, moja Krystyno!

A może Krystyna żartuje. Może nie chce przyznać się, że dostrzega moją miłość. Może nie chce mojej miłości. Może woli tylko patrzeć na miłość. I to patrzeć na miłość wielu mężczyzn tylko nazywa po swojemu: jestem niczyja. Może Krystyna nie chce za wcześnie dokonać wyboru. Może chce wybrać później.

— Lecz teraz, właśnie teraz, kogo kochasz, Krystyno? Człowiek nie może być bez miłości ani chwili. Umiera. Zawsze kogoś lub coś kocha. Co ty kochasz, Krystyno? Lub kogo ty kochasz? Mówisz, że nie kochasz nikogo. To nie jest możliwe. Kochasz zabawę, która polega na obserwowaniu miłości. Przyglądasz się miłości. Czy kochasz tę zabawę? Tak, to tak jest. Krystyna kocha zabawę, patrzy na miłość. Nie jest możliwe,

abyś kochała tylko siebie. Nie jest możliwe, abyś już umiała uczynić siebie ośrodkiem swoich dążeń i tęsknot. Nie jest możliwe, abyś nie przeczuwała niebezpieczeństwa miłości do siebie.

Bo cóż to znaczy miłość siebie? Owszem, kochamy siebie. Ta miłość jednak polega na tęsknocie połączenia się z inną miłością. Jest nastawiona na miłość, która przyjdzie. Gdy jest nastawiona na siebie, umiera. I wtedy nie kochamy siebie. To, co jest martwe, nie może kochać. Miłość siebie, to nie jest miłość do siebie. To jest miłość wypatrująca czyjejs miłości. Ta miłość, nadchodząca z zewnątrz, nadaje kształt naszej miłości. I jeżeli jest to miłość ludzka, kochamy na miarę ludzką. Jeżeli jest to miłość Boża, kochamy na miarę nieskończoną. To nie znaczy, że miłość na ludzką miarę jest dobrą miarą miłości. Nie. Miłość na miarę ludzką jest mała, niedoskonała, bolesna. Sprawia ból, który jest wołaniem o pomoc, o powiązanie naszej miłości z miłością Bożą. Tak. To właśnie tak jest. Ty więc kochasz, Krystyno, tę miłość, na którą czekasz. To nieprawda, że nie kochasz. I nieprawda, że kochasz tylko siebie. Po prostu czekasz.

Dlaczego więc jest we mnie tyle smutku? Dlaczego smutek pojawił się u korzeni moich tęsknot, na dnie mej duszy, w najgłębszych warstwach uczuć? Czy istnieje też i takie niebezpieczeństwo, czyhające na człowieka, które polega na zarażeniu się smutkiem, na przypuszczeniu, że są powody, abyśmy byli smutni? Krystyna czeka na miłość. A więc wydawało mi się, że odrzuca moją miłość. Przypuszczając, że Krystyna nigdy nie podejmie mojej miłości, nie przyjmie jej, wewnątrz umarłem. Nie, nie umarłem. Cierpię. Jeszcze cierpię. Ból jest znakiem życia, jest niepokojem, oczekiwaniem, jest tęsknotą. Tęsknię do miłości, do ciebie, Krystyno.

Ryszard znowu się przeraził. Co jest przedmiotem moich tęsknot: miłość czy Krystyna? Dlaczego sformułowałem swoją tęsknotę w takim dziwnym zdaniu: tęsknię do miłości, do Krystyny. Czy tęsknię do miłości, czy do Krystyny? Przerazenie, które Ryszard przeżył, zasmuciło go i zakłopotało. Cóż za dziwna reakcja? Wszystko mnie przeraża. Czy przerażenie jest ostateczną formą zdziwienia? Jeżeli zdziwienie jest cierpieniem, jak to kiedyś tłumaczył Henryk, to przerażenie, jako końcowy etap zdziwienia, jest też cierpieniem. A więc cierpię i to jest tajemnica moich powiązań z Krystyną. Nie, nie tajemnica. To jest imię moich powiązań z Krystyną. Poczulem ból uświadamiając sobie różnicę między miłością do miłości i miłością do Krystyny. Boję

się, że nie ją kocham. Pragnę Krystyny, pragnę jej obecności, jej samej. Pragnę jednak na taką skalę, że to może już mieć miarę tęsknoty za miłością, za samą miłością. Stają przede mną dwie drogi, dwie różne drogi: Krystyna i miłość.

— O co mi chodzi, o czym tu myślę? Czy Krystyna i miłość to jest to samo? Czy w ogóle takie pytanie ma sens? Nie. To absurd. Kocham Krystynę. Czy jednak kocham Krystynę?

— Nie, Krystyna i miłość to nie jest to samo. Krystyna jest osobą, jest rozumnym człowiekiem. Może kochać i ją może ktoś kochać. Miłość jest jej częścią, jej działaniem. Nie jest całą Krystyną. Czy tęsknię do całej Krystyny? Czy tęsknię do niej jako do osoby, do rozumnej osoby, czy tęsknię tylko do jej dowcipu, jej intelektu, jej duszy? Czy taka tęsknota jest zresztą możliwa? Tak, jest możliwa. Wyraża się w tęsknocie do obecności kogoś, kogo kochamy. Chcemy, aby był blisko nas, aby w ogóle był, abyśmy mieli pewność, że nas kocha. I tego pragnę od Krystyny. Pragnę jednak także jej uśmiechu, jej oczu, jej rąk. Czy może więc tęsknię tylko do jej ciała? Nie, tęsknię do Krystyny, do Krystyny — człowieka, rozumnego, kochającego człowieka, do kogoś, kto by mnie kochał. Tęsknię do kogoś, kto by mnie kochał. Czy więc tęsknię do Krystyny? Tęsknię do miłości, która by mnie objęła, która byłaby dla mnie. Czy mogłaby to być miłość, płynąca niekoniecznie od Krystyny? Ach, nie! Pragnę Krystyny, pragnę, aby to właśnie ona mnie kochała. Ale czego pragnę? Czy pragnę, aby mnie kochała, czy też tego, aby była przy mnie. Mam jej obecność. Bywamy w kawiarni. I nie jestem szczęśliwy. Tęsknię do jej miłości. Tęsknię do miłości. Do czego więc tęsknię? Do miłości, czy do Krystyny? Boże, co za męka.

A jednak Krystyna i miłość nie są tym samym. Ryszard z bólem godził się na ten wniosek. I sam już nie wiedział, co bardziej jest bolesne: czy świadomość tego nowego rozróżnienia, czy tęsknota za Krystyną i miłością. Wciąż dodawał: tęsknota za miłością Krystyny. Za jej miłością. Nie za miłością w ogóle. Nie ma miłości w ogóle. Jest miłość, która płynie z określonego źródła, z serca kochającej nas osoby. Miłość z tej racji zawsze jest konkretna, zawsze szczegółowa, zawsze ofiarowana określonej osobie ludzkiej. Tak, to prawda. Ale możemy nie podjąć takiej miłości. Krystyna nie przyjęła mojej. Pragnie wszystkich miłości.

W tym miejscu droga się rozwidła. Ryszard zobaczył przepaść. Zobaczył niebezpieczeństwo. Zrozumiał los biednego, ludzkiego serca, poszukującego miłości. Krystyna pragnie wszystkich miłości. Słowo „wszystkich” otworzyło nową perspektywę, rozdzieliło drogi, wyznaczyło refleksji dwa osobne nurty. Człowiek może pragnąć wszystkich miłości i największej miłości. Człowiek może pomylić słowo „wszystkie” ze słowem „największa”. Może pragnąć wszystkich miłości, szukać ich. Poznaje wtedy miłość we wszystkich jej wersjach. Błądzi, myli cel ze środkami. Miłość jest jedna, są różne sposoby jej rozwijania. Pragnąc wszystkich miłości człowiek myśląc się może pragnąć poznania wszystkich sposobów przeżywania miłości. Wtedy decyduje się na przeżywanie jednocześnie miłości małżeńskiej i przyjaźni. To zresztą jest właściwe, jeżeli te sposoby rozwijania miłości dotyczą ukochanej kobiety, którą można poślubić, wziąć na zawsze do swego domu. Gdy jednak pragnienie wszystkich miłości i szukanie ich znaczy dla kogoś przeżywanie miłości w stosunku do każdego, spotkanego człowieka, wtedy także są dwie drogi. Jeżeli jest to miłość prawdziwa, uwzględniająca dobro spotkanej osoby ludzkiej, rozwija się w nas dobroć i przyjaźń, życzliwość i sprawiedliwość, męstwo i umiarkowanie. Gdy jednak zwycięży w nas pragnienie wypróbowania wszystkich sposobów przeżywania miłości, wtedy dzieje się zło. Jakże tu blisko początek procesu utraty miłości. Wtedy człowiek nie jest celem miłości, celem tęsknot. Jest rzeczą, narzędziem, ułatwiającym stosowanie różnych sposobów przeżywania miłości. W tym pragnieniu wszystkich miłości i w pomyleniu celów i środków przy ogromnej potrzebie miłości jest początek zła. Tak, tu właśnie rodzi się zło. Kobieta pragnie wszystkich sposobów przeżywania miłości i mężczyzna pragnie tych wszystkich sposobów. Nie liczy się osoba ludzka. Potrzeba poznania wszystkich wersji miłości jest tak ogromna, że zaćmiewa, przytłacza prawa i godność drugiego człowieka. Poszukiwanie wszystkich miłości, wszystkich sposobów miłości, ogromna potrzeba miłości we wszystkich wersjach, to początek kierowania swej miłości na złą drogę. Jakże stąd blisko do dobrej miłości. Wystarczy uświadomić sobie, że jest różnica między „wszystkim” a „największym”. Człowiek, idący ku wszystkim miłościom, może po prostu chciał najpełniejszej miłości, największej. I może uważał, że pełną miłość daje suma małych miłości. Jakże straszna pomyłka! Nigdy suma małych miłości nie da wielkiej miłości. Nigdy wszystkie miłości i wszystkie sposoby przeżywania miłości nie

dadzą największej miłości. Ogromna potrzeba miłości jest tęsknotą do najpełniejszej miłości. Lecz gdzie tę miłość znaleźć? Krystyna nie chce mojej miłości, tak ogromnej i pełnej. Nie mogę od niej otrzymać miłości podobnej. Co wtedy robić? Co robi zwykły, biedny człowiek, poszukujący pełnej miłości? Szuka jej. Po prostu szuka. Szuka jej we wszystkich ludziach. Kobieta zebrze o tę miłość u każdego mężczyzny. Mężczyzna zebrze także lub kupuje miłość. Chcą zgromadzić ją w sobie. I nie zgromadzą. Miłość nie składa się z części. Nie można jej dodawać. I nigdy żaden człowiek nie da drugiej osobie ludzkiej takiej pełnej miłości, na miarę ogromnej w człowieku potrzeby miłości. Ta ogromna potrzeba miłości gubi ludzi, niszczy miłość kobiet i mężczyzn. Czy więc nie ma wyjścia z tej sytuacji, czy nie ma ratunku? Czy tylko ci, którzy za mało kochają, pozostają w granicach moralności? Czy ci, którzy kochają za bardzo, muszą wejść na drogę, która prowadzi do zła?

Ryszard zna rozwiązanie. Wie już teraz, że jego miłość jest potrzebą Boga. Każdą ogromną potrzebę miłości może wypełnić Bóg. Tylko Bóg. Nigdy człowiek. Nawet największa miłość ludzka jest za mała, aby wypełnić niezmierną potrzebę miłości, odczuwaną przez ludzkie serce. Tylko Bóg może ofiarować miłość, która uspokoi duszę ludzką. Kto jednak wyczuwa to rozwiązanie? Czy Krystyna uświadamia sobie, że za mało kocha i że trudno jej będzie trafić na Boga? A czy ja widzę, że grozi mi przy tej ogromnej potrzebie miłości niebezpieczeństwo pomylenia dwu słów, słowa „wszystko” i słowa „największa miłość”? Ryszard zna Boga i zna sposoby nawiązywania z Bogiem kontaktu. Wie, że jego potrzebę miłości może spełnić Bóg. Czy jednak idzie do Boga? Idzie do Krystyny. Czy tylko do Krystyny? Czy jego droga do Krystyny nie jest jednocześnie drogą do Boga? Może jest tą drogą, kto wie? Nie zawsze droga do miłości ludzkiej jest drogą do Boga. Miłość jest jedna, ale może być skierowana do różnych przedmiotów, do różnych rzeczy i osób. Teraz Ryszard kieruje swą miłość do Krystyny. Krystyna nie podejmuje tej miłości. To jest zresztą miłość tak ogromna, że jej przedmiotem może stać się tylko Bóg. Jeżeli Krystyna podjęłaby tę miłość, Ryszard nadałby Krystynie miarę bytu nieskończonego. Gdzieś tu tkwi błąd w postawie Ryszarda. Czy może błąd tkwi w samym jego myśleniu? Ryszard nie wie, jak to jest. Wie, że także jemu grozi niebezpieczeństwo. Kochając Krystynę, kierując do niej całą, przeogromną miłość, pozostawił Boga na uboczu. Pomylił miłość. Miłość winną Bogu

skierował do Krystyny. Czy jednak na tym polega jego błąd? Miłość jest jedna. Tak, to prawda. Ryszard pomyślał, że po prostu jego miłość, kierująca się do samej miłości, jest miłością, która pragnie powiększenia o miłość Bożą. Dopiero tak powiększona i uszlachetniona miłość będzie mogła dotyczyć Krystyny. Miłość ludzka, dopóki nie jest wszczepiona w miłość Bożą, jest dzika, rodzi złe owoce. Jest nie uregulowaną rzeką, która może przerwać brzegi i zatopić uprawne pola rozumu, woli, refleksji ludzkiej i roztropnego działania. Może wszystko zniszczyć. Tak, może właśnie tu jest klucz, otwierający drogę rozwiązania problemu. Może po prostu tragizm miłości ludzkiej ma źródło w prostym fackie dzikiej, nie zaszczepionej miłości. Może ten znany i stosowany wobec drzew i krzewów sposób uszlachetniania gatunku jest lekcją, której człowiek nie umie odczytać. Może właśnie trzeba szczepić miłość. Może także ten sens podpowiada ludziom Ewangelia św. Jana. Według tej Ewangelii Chrystus jest szczepem winnym, ludzie są latoroślami. Trzeba być wszczepionym w krzew winny, aby nie zginąć. Może trzeba po prostu swoją miłość zaszczepić miłością Bożą, aby w ogóle miłość była miłością. Czy miłość dzika, zła, krzywdząca ludzi, jest w ogóle miłością? Na pewno jest złą miłością. Nie jest miłością. Czy jest w ogóle inna droga? Czy miłość może być miłością, jeżeli nie jest włączona w miłość Bożą? Może tylko taką miłością kochamy dobrze nie krzywdząc człowieka? Tak. Tak jednak jest. I Ryszard łkał w najtajniejszej głębi swej duszy, w tajemnicy przed sobą i przed światem. Tracę miłość Krystyny, bo kocham ją źle. Muszę stracić tę miłość, ten zły sposób kochania, aby uratować miłość do Krystyny. Błąd nie polega na tym, że kocham za bardzo. Błąd polega na tym, że kocham Krystynę miłością, która jest dzika, która nie widzi różnicy między Bogiem i Krystyną. Czy to jest możliwe, abym tak dalece się mylił? Wyjście z błędu polega na wszczepieniu mej miłości w miłość Bożą. I wolno mi będzie kochać Krystynę najpełniej, całą duszą. Miłość uszlachetniona nie popełni błędu. Nie będzie za dużą miłością. Jej miarę wyznaczy Krystyna. I tak jest właściwie. Miłość ma wielkość osoby, którą kochamy, jej kształt i siłę. Gdy my nadajemy ten kształt i siłę swej miłości, sprawiamy, że jest za mała lub za duża i nie jest miłością, adekwatną w stosunku do kochanej przez nas osoby. Osoba ludzka tworzy naszą miłość. I Bóg tworzy naszą miłość. Człowiek i Bóg ją wywołują. Miłość przez nas wywołana jest nastrojem, jest odbłaskiem miłości siebie, jest miłością siebie, nas samych, domagających się dla siebie

człowieka, jako rzeczy, potrzebnej naszym tęsknotom. Nie tak przebiegają narodziny miłości. Tę miłość wywołuje osoba. Człowiek rozpoznaje miłość, która w nim się zbudziła. I aby mógł jej właściwie używać, musi ją wszczepić w miłość Bożą. Tylko pod tym warunkiem jego prawdziwa miłość spotka i otrzyma prawdziwą miłość osoby, którą ukocha.

— Boże, który jesteś miłością, wnieś tę miłość w moją ludzką miłość, by stała się pełna, prawdziwa, dobra, by ogarniając ludzi dosięgała także Ciebie i w powiązaniu z Tobą stała się kapłańską służbą człowiekowi.

ROZDZIAŁ 10

Andrzej jest przygnębiony. Na pytanie Teresy o przyczynę tego przygnębienia nie zaraz odpowiedział. Palił papierosa, popijał herbatę. Teresa przeglądała pisma i czekała.

— Martwię się Ryszardem. Wiesz, Tereso, po prostu nie panuję nad tą postacią. Ryszard jest zagubiony, nieobecny, przeżywa jakieś wewnętrzne przerażenie. Wciąż analizuje swoje powiązania z Krystyną. Tęskni do niej. Ta tęsknota go zabija. I nic na to nie mogę poradzić. To dziwne, że autor nie panuje nad stworzoną przez siebie postacią. Ale tak jest. Nie mogę przeciwstawić się tęsknocie Ryszarda. Jeżeli pomyślałem go jako postać trochę sentymentalną, o wielkiej wrażliwości uczuć, o olbrzymiej refleksji, o jakimś wewnętrznym ładzie moralnym, to właśnie z tej racji jestem bezsilny. Ten pomysł musi się konsekwentnie realizować. Jestem bezsilny wobec tej konsekwencji. Ryszard nie może być inny. Przestałby być sobą. I czytelnik nie rozpoznałby go w powieści. To nie imiona różnią bohaterów akcji, różnią ich postawy i przeżywane problemy. Oczywiście nie wiem, czy konsekwentnie rysuję Ryszarda. Gdy jednak piszę o nim, zawsze kojarzą mi się analizy tego samego typu. Ryszard nie ma cech żadnej ze znanych autorowi książki osób. Jest sumą odpowiedzi, możliwych odpowiedzi na temat procesu utraty miłości. Zupełnie inne ujęcia i postawy kojarzy mi Krystyna. I dziwię się, że Ryszard tak przylgnął do Krystyny i że tak z jej powodu cierpi. I sam jeszcze nie wiem, czy tęsknota Ryszarda jest głosem miłości, czy też po prostu jest to ból zmysłów, którym nie wystarcza obecność Krystyny. Ryszard widuje Krystynę, kocha ją i cierpi. Dlaczego cierpi? Krystyna jest przy nim. Ta obecność nie wystarcza miłości Ryszarda. Chce także jej miłości. Lecz jakiej miłości? Jaką miłość może mu dać Krystyna? Zresztą posłuchaj rozmowy Krystyny z Marcinem. Pamiętasz Marcina? Jest kolegą Adama. Jest ruchliwy, szalenie inteligentny, trochę cyniczny, oczywiście szczupły, jak większość postaci w tej powieści. Podejrzewam, że ma małe wyczucie problemów teoretycznych, chwytą to, co uwikłane w fakty o charakterze materialnym. Krystyna go lubi, bo jest wesoły, przystojny. Marcin krytykuje uczucie, miłość, serdeczność. I sam nie wie, jak bardzo tych uczuć szuka. Biedny, miły Marcin.

— Krystynko, jesteś na kawie bez Ryszarda? Co się stało? Gdzie Ryszard?

— Wyjechał. Musiał wyjechać. Gdzieś tam ma jakiś wykład.

— Czuję, że nie bardzo martwisz się wyjazdem Ryszarda.

— Przecież wróci. I trochę odpoczne.

— Nuży cię miłość Ryszarda? Męczy? Czy to tak właśnie jest? Czuję, że wrócisz do mnie.

— Nigdy od ciebie nie odchodziłam, ponieważ nigdy nie byłam twoja. Nie mogę więc wrócić. Nie mogę też odejść od Ryszarda i wrócić do niego. Nie jestem jego. Jestem niczyja. Jestem. Po prostu jestem. To tylko Ryszard jest przy mnie. I wróci do mnie. On wróci, nie ja. Czy chwytasz tę różnicę, Marcinku, między moim powiązaniem z Ryszardem i jego powiązaniem ze mną?

— Myślę, że rozumiem, o co ci chodzi. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie przyjmujesz miłości Ryszarda. Przecież widzisz, że cierpi.

— Widzę i bardzo mi go żal. A właściwie czekam. Czekam, aż odkryje to, na co czekam.

— To już zagadka, Krystynko. Nawet ja nie umiałbym określić tego, na co czekasz. A właściwie wiem, o co ci chodzi. Dlaczego nie ułatwisz Ryszardowi początku? Pocałuj go pierwsza.

— Nie chcę. Ryszard nie umie oddzielić miłości od pocałunku. Dla niego te rzeczy są przejawem miłości, jej znakiem, wyrazem. A ja nie chcę miłości. To zbyt krępuje, zobowiązuje. Chcę radości. Miłość jest bolesna, zawsze się przez nią cierpi. Chcę radości, która nie pociąga za sobą smutku i cierpienia. Boję się cierpienia. A zresztą Ryszard wyidealizował miłość, odczłowieczył. Jego miłość nie ma już rąk, oczu, ust. Nie ma w niej człowieka. Poddał wszystko duchowi, jakimś perspektywom, których nie widzę i nie rozumiem. Nie chcę być kochana. Uciekam od tego. Chcę być sama. A miłość wiąże, trzyma przy tej osobie, którą się kocha. Chcę być sama. To mniej męczy. Zmęczyły mnie te powiązania z ludźmi. Zmęczyła mnie miłość, człowiek. Uciekam od tego. Chcę być z wami, z Ryszardem, z tobą, z Adamem, Piotrem, Michałem, Tadeuszem, Danielem. Nie chcę jednak za wami tęsknić. Nie chcę tęsknić za nikim. Nie chcę miłości. Chcę być sama. I mieć trochę radości.

— Krystynko, zawsze możesz się jej ode mnie spodziewać.

— Ach, jesteś taki sam jak inni. Nie umiesz być sam. Zaraz przywiązujesz się do radości. A jeżeli znajdujesz ją we mnie, przywiązujesz się do mnie. I właśnie tego nie

chę. Nie chcę radości od kogoś konkretnego. Chcę jej. Samej radości, a nie ludzi, którzy ją przynoszą. Z tej racji niczego Ryszardowi nie ułatwię, ani tobie, pamiętaj.

— Sam ją wezmę, Krystyno.

— O ile zechcę ci ją podzucić.

— Krystyno, tak ci ładnie, gdy jesteś wzburzona. Oczy ci płoną. Włosy masz śliczne. Usta, twoje usta burzą krew. Ręce przyciągają.

— Cóż za ogólniki. Marcinku, zdradzasz się, widać twoje uczucia.

— To nie uczucia, to analiza piękna.

— Tak. Tak. Typowa analiza. Znam takie analizy. Wrażliwość na piękno. Dlaczego nie jesteście wrażliwi na każde piękno, a tylko na piękne kobiety. Kobiety nie powinny być piękne. To jest nieszczęście. To atakuje samotność. Nawet w obcym tłumie śledzą cię jakieś oczy. Czuję je zawsze. Nie można spokojnie przejść. Czyjeś oczy wciąż za tobą gonią.

— To za tobą, Krystynko.

— Już lepiej. Przeszedłeś znowu na Krystynkę. Ta Krystyna poważnie mnie zaniepokoiła. A właściwie wolałabym być brzydka. To chroni, osłania, uwalnia od ludzi, od mężczyzn. Można spokojnie i samotnie pospacerować. Chwałę brzydotę. Kobiety powinny być brzydkie. Wtedy byłyby szansę na miłość. Wtedy ile sięgałbyś po radość, jak to nazywasz. Wtedy miłość można by było rozpoznać. Teraz nie można. Ryszard też zaczął od oczu. Nawet uzasadniał, że kobieta musi być piękna.

— To ciekawe, Krystynko, opowiedz.

— Ach, to dość dziwaczne uzasadnienie. Ryszard uważa, że rzeczy ważne powinny mieć odpowiednią oprawę. Kobieta jest naczyniem, które nosi poczętego człowieka. Człowiek jest najdoskonalszym bytem cielesno-duchowym. Jest etapem sztafety, która przenosi miłość. Spośród ziemskich bytów tylko człowiek może przeżyć miłość. To go wyróżnia. Zasluguje na to, aby naczynie, które go wydaje na świat, było piękne. A poza tym kobieta jest kielichem sakramentu małżeństwa. Przy okazji Ryszard wysunął także sprawę przystojności mężczyzn. Mężczyźni też są kielichami, w których dokonuje się sakrament małżeństwa. Obydwa kielichy muszą być piękne, ponieważ zawartość, sakrament małżeństwa, jest czymś godnym pięknej oprawy. Ozdobne kielichy. Można umrzeć ze śmiechu.

— Dokąd chcesz uciec, Krystynko, i przed czym chcesz uciec? Atakujesz miłość, co zresztą rozumiem, ale atakujesz też piękno kobiet. Tego nie rozumiem. I nie chcę. Nie chcę brzydkich kobiet.

— Bo nie rozumiesz miłości. Miłość musi się zacząć niezależnie od piękna i trwać niezależnie od niego. Inaczej nigdy nie rozpozna się miłości. Nie chcę, aby Ryszard kochał piękno mojego ciała czy piękno mojej duszy. Chcę, aby mnie kochał. Zresztą nie chcę w ogóle miłości. Chcę spokoju. Chcę być sama, chcę odpocząć. Samotność zdobywają tylko kobiety brzydkie.

— Czy chciałabyś być brzydka? Czy zniosłabyś mękę brzydoty?

— Nie wiem. Myślę, że byłabym nieszczęśliwa. Brzydota powoduje kompleksy. Nie chcę mieć kompleksów. Chcę być wolna. I to nazywam samotnością.

— Brawo, Krystynko, jesteśmy na moim podwórku. Wstąp więc na chwilę do mojego mieszkania. Właśnie wolność. Daje ją rozum. Precz z miłością!

— Nie wiem tylko, Marcinku, czy samotność jest wolnością. Najczęściej samotność jest wędrówką ku sobie. Ten zwrot do siebie jest egoizmem. Nie chcę egoizmu. To także krępuje. Chcę samotności z dystansem wobec siebie. Wtedy jednak muszę przyjąć postawę poznawczą. I wpadam zaraz w to, co się nazywa „poznaj samego siebie”.

— Po grecku „gnoti s’ auton”.

— Nie żartuj, Marcinie. Teraz mówię poważnie. Nie chcę też poznawać siebie. To nudna analiza i zawsze przykre wyniki.

— Czego więc chcesz, Krystynko? Powtarzam pytanie i prośbę. Pocałuj więc mnie.

— Chcę samotności, lecz nie wiem, na czym ona polega. Chcę czegoś, czego nie znam. Sama więc nie wiem, czego chcę.

— Andrzej, oszczędzaj Ryszarda. Przecież to, co mówi Krystyna, zmartwi go, jeszcze bardziej załamie. Przydziel Krystynie jakąś miłą zaletę. Zostawiłeś jej tylko oczy, które spowodowały mękę Ryszarda. Zaczęło się od oczu i na razie na nich się kończy.

— Muszę być konsekwentny. Muszę też być obiektywny. Taka jest Krystyna.

— Sam jednak mówiłeś, że może uratujesz miłość Ryszarda do Krystyny. Musisz więc dać jej zdolność podjęcia miłości Ryszarda, pokochania go.

— Tak, ale Ryszard widzi możliwość uratowania swej miłości do Krystyny przez podniesienie jej miłości, przez przybliżenie jej do miłości Bożej.

— To w takim razie musisz spowodować cud. Krystyna chce tylko męskiej siły, uroków ciała. To przecież widać. I wcale jej nie zależy na Ryszardzie. Tych uroków dostarczy jej każdy spotkany mężczyzna. Dlaczego więc powiązałeś ją z subtelnym, wrażliwym i nieśmiałym Ryszardem? Dlaczego dałeś mu poczucie moralne i tyle oporów, i taką refleksję, z powodu której musi wiązać sprawy swego życia i swej miłości aż z najwyższymi kryteriami?

— Chciałbym zbadać, czy jest możliwy wpływ głębokiej, moralnej miłości na kogoś, kto sięga po kontakt z ludźmi tylko ze względu na ich fizyczne walory.

— Zapominasz jednak, że narażasz Ryszarda na wielką przegraną. Krystyna go nie pokocha. Nie zaproponuje mu kontaktów fizycznych, bo to jest inicjatywa mężczyzny. Ryszard nie podejmie takiej inicjatywy, bo widzi jej miejsce tylko w małżeństwie. A nie może zaproponować małżeństwa, ponieważ wie, że Krystyna go nie kocha. Jesteś okrutnym autorem, Andrzej.

— Spróbujemy wychowywać Krystynę. Może Ryszard przybliży jej problem autentycznej miłości i w ogóle miłości. Jego pomysł, aby wciągnąć miłość Krystyny, bo przecież tę jakąś miłość posiada, w obręb miłości nadprzyrodzonej, jest nie do pogardzenia. Może uda się Ryszardowi bywać z Krystyną na Mszy świętej.

— Wątpię. Takie sprawy nie są jeszcze możliwe. Za wcześnie.

— Ależ, Tereso, przecież wiesz, że Krystyna rzeźbi. I rzeźbi teraz coś w rodzaju stacji drogi krzyżowej.

— Tak, ale to dla niej jest jedynie temat. Zresztą może nie znam dobrze Krystyny. Wiem, jednak, że według Guittona miłość mężczyzny wzoruje się na miłości kobiety. Miłość kobiety nadaje kształt miłości mężczyzny. I w tym widzę niebezpieczeństwo. Tu właśnie narażasz Ryszarda. Narażasz go na zmniejszenie miłości. Osiągniesz to, że będzie kochał na miarę Krystyny. W tym sensie uzyskasz to, o co ci chodzi, o utratę miłości. Ale czy o taką utratę chodziło ci, Andrzej?

— Nie. Chodzi o taki proces utraty, w którym miłość się zyska, pogłębi, podniesie. No, cóż. Nie wiem ostatecznie, jaka będzie miłość Ryszarda, jak wybrnie z trudności, jak dokona się w nim proces utraty miłości. Zgadzasz się przecież, że możemy być

bezsilni wobec stworzonych przez nas postaci. Ryszard żyje własnym życiem. Rządzi tym życiem konsekwencja i prawo naświetlania problemu ze wszystkich stron.

— Żal mi Ryszarda, Andrzeju.

— Mnie żal Krystyny. Chcę ją uratować i dlatego zetknąłem ją z Ryszardem. Ryszard jest mocny. Cierpienie go nie złamie. A Krystyna zginie z braku miłości i sensu życia, jeżeli nie zdecyduje się na miłość, na podjęcie miłości Ryszarda lub miłości kogoś innego. Tylko przecież miłość nadaje sens życiu. A Ryszardowi jeszcze nic nie grozi. Nie zabiega o Krystynę w ten sposób, by pójść za wszystkim, co ona wnosi w ich kontakt. Ryszard chce jej według najlepszej miary. Może to jego błąd, a może szansa, szansa dla nich obojga. Zobaczymy.

— Może masz rację. Nie można przyspieszyć procesu dojrzewania miłości. Trzeba raczej pogłębiać duchowy rozwój osoby. Miłość jest taka, jaka jest osoba, która kocha. Miłość Ryszarda jest na jego miarę, a miłość Krystyny wyraża jej życie wewnętrzne. A nasza miłość, Andrzeju, jaka jest nasza miłość? Jaka jest miłość Henryka, Łucji, Pawła, Ewy?

ROZDZIAŁ 11

Paweł nosił na ręku Jacka. Ewa przygotowywała śniadanie. Jacek wrywał się do stołu. Czerwone rzodkiewki pyszniły się na talerzu, biały ser był smutny, chleb po gospodarstwu i rubasznie krążył wśród nakryć.

— Paweł, popatrz, herbata jest tak nieśmiała, że rumieni całą wodę.

— Dajesz za dużo esencji, Ewo. Zobaczymy, jak ty wychowasz Jacka, jeżeli będziesz opowiadała mu bajki o rzodkiewkach, serze, chlebie i herbacie. Zarazisz go jakimś nierealnym myśleniem albo doprowadzisz do tego, że nie będzie cię brał na serio.

— Pomożesz mi, Pawełku. Jackowi nic nie grozi. Jeszcze długo będzie lubił bajki. A swoją drogą ty nie widzisz roli, jaką spełniają w życiu domu tak zwane martwe przedmioty i nawet pokarmy.

— Wiem, że muszę jeść.

— Tak, musisz jeść, by mieć siły do pracy, by w ogóle żyć. Ale czy nie widzisz roli i wartości dystansu nawet wobec pokarmów, gdy powiemy o rzodkiewce, że pyszni się na stole?

— Dla mnie ser nie jest smutny. Jest po prostu świeży i smaczny, albo nieświeży i niesmaczny.

— Popatrz na Jacka!

Jacek siedział na kolanach Ewy. Śmiał się do ojca, otwierał buzię, gdy Ewa podawała mu na łyżeczce odrobinę jego zupy. Połykał szybko zupę i natychmiast szeroko otwierał buzię czekając ze śmiechem na następną porcję.

Paweł myślał o Ewie i Jacku. Kochał ich oboje. Cały sens swego życia widział w zapewnieniu im szczęścia. Szczęście to rozumiał po swojemu, jako dobrze i wygodnie zorganizowany dom. Dla niego jednak dom to był ład, dostatek i obecność tych dwu ukochanych osób. Ewa do tego domu dołączyła przedmioty, których roli i funkcji w ich szczęściu Paweł nie widział. Ale trudno. Nie muszą się rozumieć w tym punkcie. Paweł nie lubił jednak tego, że Ewa widzi dom po swojemu i że nie przyjmuje jego wizji. Ta wizja obejmowała cały szereg drobnych spraw, takich jak miejsce przedmiotów w domu, z tym jednak że Paweł to miejsce widział inaczej. Chciał, aby każda rzecz

zawsze miała swój określony kąt, żeby zawsze można ją było tam zastać i znaleźć. Ewa stawiała sprawę podobnie, uzależniała jednak miejsce rzeczy od funkcji, jaką ta rzecz spełniała w tworzeniu atmosfery domu. Ponieważ funkcja ta się zmieniała, zmieniało się też miejsce przedmiotów. I tego właśnie Paweł nie umiał akceptować. Ten drobiazg psuł często nastrój ich wspólnego popołudnia. Paweł dziwił się, że nastrój domu może się tak często zmieniać. Zdawało mu się, że winę za to ponosi Ewa. Wybaczał jej jednak dla Jacka. Jacek szybko połykał swoją zupę i wciąż patrząc na ojca ze śmiechem otwierał buzię, czekając na dalszą porcję. Paweł nawiązywał do tego uśmiechu, reagował żywo i trzymał wciąż oczy Jacka w zasięgu swojego spojrzenia. Oby zawsze mógł mieć przy sobie to pytające i pełne zaufania spojrzenie Jacka. Myślał już o przyszłości, o trudnym okresie zdobycia zaufania dojrzewającego i krytycznego, jak wszystkie dorastające dzieci, syna.

— Pawełku, już czas do kościoła, idziemy.

— Idziemy, Ewo, ubierz Jacka.

Kościół, do którego chodzili, był niewielki, stary i piękny. W głębi ołtarz z tabernakulum, nad ołtarzem płomienny witraż, symbolizujący ogień i światło Zielonych Świąt. Przed prezbiterium kamienny ołtarz, przy którym odprawiała się przedpołudniowa Msza święta. Ksiądz rozpoczął modlitwy u stóp ołtarza, wierni, otaczający kołem celebransa i ołtarz, odpowiadali chórem. Poważne i poruszające „confiteor” przygotowywało do czytań mszalnych, które odczytał ministrant swoim dziecięcym i niezmiernie poważnym głosem. Ewangelia mówiła o narodzeniu Jana, o tym, że Zachariasz nie uwierzył słowu anioła. Bóg uczył zaufania do siebie i wprowadzał w tajemnicę odkupienia. Te wielkie sprawy w ustach księdza brzmiały jak proroctwo, jak mądrość dana maluczkiemu. Ewa myślała o Jacku, o wielkiej lekcji zaufania, którego uczył ją i Pawła ich synek, całkowicie od nich zależny, bezpieczny w ich małżeństwie dzięki miłości. Ofiarowywała Bogu w momencie ofiarowania dusze swoich dwu mężczyzn, męża i syna, i składała na patenie także swoją duszę, pełną niepokoju, obaw, tęsknot i wierności. Podczas modlitwy wiernych obecni w kościele wymieniali swoje intencje. Paweł za nich troje powiedział głośno: aby Bóg zwiększył łaskę w duszach osób, które kocha. Ujął więc w jednym słowie sens i istotę życia swej rodziny, a jednocześnie polecił Bogu wszystkich ludzi, ponieważ przecież wszystkich

Bóg kocha. Ewa rozważała ten przedziwny los istot rozumnych, perspektywę rodzinnego powiązania ludzi z Bogiem, i poczuła się pewniej, związana ze wszystkimi tą samą, obejmującą wszystkich miłością Bożą. Jacek siedział w wózek, bawił się słonecznymi okularami Ewy, jak zwykle spokojny, żywy, prawie rozumiejący, że rodzice są w tej chwili zajęci. Ewa obejmowała swoją uwagę ołtarz i Jacka i nie umiała tych spraw rozdzielić. Wydawało jej się, że tak jest dobrze, że takie jest jej zadanie, zadanie matki, która musi przede wszystkim przekazać dziecku zainteresowanie Bogiem, aby mogło dzięki temu skierować kiedyś do Boga także swoją miłość. Bała się już teraz o miłość Jacka. Tyle jest przedmiotów i spraw, które można ukochać, tyle godnych miłości osób. Czy Jacek wśród tych osób trafi na Osobę Boga? Tak, trafi, spotka Ją. Czy pozostanie przy Bogu, czy nie wycofa, nie odbierze Bogu swojej miłości? Co z nią zrobi?

— Boże, ratuj miłość Jacka, skieruj ją do siebie, aby była dobra, pełna, prawdziwa. Teraz, w chwili podniesienia, gdy w osobie Chrystusa przychodzisz na ołtarz, spójrz na mojego synka, zapamiętaj go, strzeż, pociągnij do siebie w chwili, gdy będzie rozstrzygał o przedmiocie swej miłości.

Dzwonek zwrócił uwagę Ewie, że zbliża się czas Komunii świętej, że Chrystus przyjdzie realnie do ich małżeńskiego domu, a przychodząc podejmie zgłoszone prośby. Modliła się o pierwszą Komunię Jacka, o łaskę rozwoju jego udziału w wewnętrznym życiu Chrystusa, o wszystkie dobra dla Pawła, o to, by sam Bóg dał im miłość, dzięki której mogliby spełnić życzenia Boże.

— Jak ci się podoba, Krystyno, ten fragment, opisujący niedzielne przedpołudnie Pawła i Ewy?

— Może być. Trochę nudny jest ten opis Mszy. W ogóle na razie nudny jest dom Pawła i Ewy. I oni są nudni. Dlaczego, Ryszardzie, nie ożywisz tego domu? Coś tam powinno się dziać, coś tragicznego, nie wiem zresztą co.

— Ale przecież życie codzienne nie składa się z wielkich wydarzeń. Krystyno, czy nie należy pokazać i drobnych spraw, z których to życie się składa? Zresztą, czy stosunek Ewy do Jacka nie jest sprawą ważną? A powiązanie Ewy z Pawłem, zawsze trochę konfliktowe, czy nie jest czymś prawdziwym?

— Być może wszystko, co piszesz, jest prawdziwe. Czy jednak to, co jest prawdziwe, nie może być jednocześnie nudne? Bywa nudne.

I Ryszard nie wiedział, czy Krystyna nudzi się tym, co jest prawdziwe, czy też może nudzi ją Msza święta i sprawy rodziny. Może rzeczywiście należy tak pisać o życiu rodzinnym, aby było pociągające, aby zachęcało do podjęcia tej perspektywy, aby to, co składa się na codzienność, ukazywało sens głębszy, wciągający w całą wielką radość rodzinnych powiązań między ludźmi. Ryszard uświadomił sobie, że nie umie dobrze ująć takiego tematu. Uświadomił też sobie, że jednak Krystyna niechętnie mówi o tym, co prawdziwe i o tym, co wiąże się z małżeństwem. Jakie jest źródło tej niechęci? Czy Krystyna boi się prawdy? Czym jest nuda? Czy jest lękiem, czy głównie niechęcią do czegoś, czego nie chcemy? Nuda jest znakiem braku tego, czego oczekujemy. Ten brak może się objawić cierpieniem. Dlaczego u Ewy objawia się nudą? Nuda jest uczuciem. Może jest brakiem uczuć? Nie, jest uczuciem, oczekiwaniem na coś, czego wypatrujemy. Jest uczuciem, a więc głównie głosem ciała. Na co czeka Krystyna? Czego oczekuje jej ciało, jakich przeżyć, jakich doświadczeń, jakiego dobra? Nuda może ujawniać brak miłości, może ujawniać potrzebę wrażeń. Co ujawnia w wypadku Krystyny? Dlaczego nudzi ją tekst, który przeczytałem? Czy to znudzenie dotyczy tylko tekstu, czy też i mnie, mojej osoby, mojej obecności? Zawsze oczekuję spotkania z Krystyną. Jej obecność jest męką wrywającej się ku Krystynie mojej miłości, której nie chce. Nigdy mnie nie nudzi jej obecność, chociaż sprawia mękę. Dlaczego wydaję się Krystynie nudny? Krystyno, dlaczego dana mi jest miłość do ciebie? Nie chcesz tej miłości. I widzę jednocześnie, że nikt inny nie może mi ciebie zastąpić. Nie mogę nikogo pokochać. Kocham ciebie. Czy kocham cię dlatego, aby zrozumieć, że nikt inny nie może mi ciebie zastąpić? Czy tylko dlatego cię kocham, aby to zrozumieć? Czy w tym celu Opatrzność nas zetknęła? Tak, taki byłby sens tej miłości dla mnie, ale co ty masz z tej miłości? Dlaczego zostałem ci dany, w jakim celu? Zresztą nie jestem ci dany, skoro mnie nie kochasz. Ty zostałeś mi dana, ponieważ cię kocham. Kocham, aby zrozumieć, że może być ktoś, kogo nikim nie można zastąpić. Kocham, aby zrozumieć, że może być ktoś, że może być Bóg, którego niczym i nikim nie można zastąpić. Może tego chcesz mnie nauczyć, Boże, nie dając mi miłości Krystyny, a dając mi miłość do niej? Jaki jest sens mojego spotkania z Krystyną, mojej

miłości bez perspektyw, mojej męki? Czy tylko taki, abym zobaczył, jak przebiega tęsknota Boga w stosunku do człowieka, który nie chce podjąć miłości Bożej? I doświadczam męki odrzucenia. Uczę się cierpienia, które jest wywołane przekonaniem, że zasługuję na odtrącenie. Może się mylę. Może Krystyna nie chce mnie odrzucić, odtrącić mojej miłości. Może mi się wydaje, że nie chce mojej miłości.

— Uczę się także wobec Ciebie, Boże, męki przekonania, że możesz mnie odtrącić. Kocham Cię, a wydaje mi się, że nie chcesz mojej miłości. Cierpię. Czy moja miłość do Krystyny, to mimo wszystko miłość do Ciebie, Boże? Gdzie jest granica między moją miłością do Ciebie i do Krystyny? Czy każda miłość ludzka zawsze obejmuje Boga i ukochanego przez nas człowieka? Jak to jest? Czy tylko pożądanie dotyczy wyłącznie ludzi? Nie, to byłoby okropne, zubożające, nieludzkie. Kochamy także ludzi. Ale kochając ludzi kochamy jednocześnie Boga. A właściwie odwrotnie. Kochając Boga zawsze wtedy kochamy także ludzi.

Nie ma miłości skierowanej wyłącznie do człowieka. Miłość trwa zawsze, zawsze obejmuje razem z człowiekiem także Boga. Kocham Boga i kocham człowieka. Ta miłość do człowieka jest znakiem, że kocham Boga. Kocham Boga i Krystynę.

Dlaczego muszę tracić miłość Krystyny? Dlaczego nie mogę otrzymać jej miłości? Co jest złego w mojej miłości do Krystyny i dlaczego muszę tę miłość stracić? Tak. W mojej miłości do Krystyny jest błąd, jest coś, co kocham bardziej niż ją samą. Kocham jej oczy, jej obecność. Nie kocham jej samej, tylko jej. Kocham jej oczy, głos, jej obecność. Jej obecność. I dlatego stracę Krystynę. Nie kocham jej, jako osoby, ukochanej przez Boga. Czy jednak to tak jest? Czy rzeczywiście kocham ją źle, za mało? Przecież Andrzej twierdzi, że kocham za bardzo. Kocham za dużo, za bardzo kocham jej cechy, tę jej obecność. Za mało kocham samą Krystynę. Czy to możliwe? Kocham ją.

— Boże, nie zabieraj mi tej miłości! Daj mi miłość Krystyny! Przecież Jan Ewangelista twierdzi, że „Bóg jest miłością i ktokolwiek mieszka w miłości, mieszka w Bogu, a Bóg w nim”.

Mieszkam w miłości Krystyny. A właściwie mieszkam w mojej miłości do niej. Nie jestem mieszkańcem jej miłości. Moja miłość jest tylko we mnie. Mieszkam w sobie. Krystyna nie podjęła mojej miłości. Nie wyszedłem więc poza siebie. Krystyno,

pokochaj mnie, abym mógł wyjść poza siebie, w twoją miłość! To spotkanie jest konieczne. Pomoże mi wejść w miłość Bożą. Bez ciebie nie dosięgnę miłości Bożej. Przez ciebie i w tej miłości spotkam Boga. Nie spotkam twej miłości, nie ma jej. Nie spotkam też Boga. Czy zresztą taka jest moja droga? Czy może raczej mam najpierw skierować swoją miłość do Boga? Ona jest przy Bogu. Czy jest tam jednak? Jest teraz głównie przy Krystynie. Czy miłość, która jest przy wybranym człowieku, jest jednocześnie przy Bogu? Nie. Automatycznie nie jest. Ontycznie może być przy Bogu, ale nie jest tam poprzez mój świadomy akt wyboru Boga i skierowania ku Niemu całej mej miłości, w której znajdzie się i Krystyna. Kocham źle, kocham za bardzo, ponieważ kocham tylko Krystynę miłością, która stawia Krystynę na pierwszym miejscu. Przed wszystkimi rzeczami i osobami. Jak jednak wybrnąć z tego problemu wyłączności? Znowu się płaczę, myślę, błędę. Krystyno, pomóż!

— Ryszardzie, nie umiem, nie mogę ci pomóc. Jestem tylko Krystyną. Nie mogę wejść w głąb twej duszy. Sam musisz w niej coś poprawić.

— Pomóż mi, Pawle, Ewo!

— Nie możemy ci pomóc. Nie wiemy dokładnie, jak kochasz. Wiemy tylko to, co powiedział o tobie Andrzej.

— Andrzej, zostaw mi miłość Krystyny!

— Nie mogę, Ryszardzie. To ty musisz zdobywać tą miłość, nie ja. Tylko ty możesz kochać Krystynę, tak jak trzeba. Kochasz Ją źle, ponieważ kochasz wyłącznie, za bardzo. Kochasz ją taką miłością, która z natury jest miłością, należną Bogu. Skieruj tę miłość do Boga, a wtedy znajdziesz tam także Krystynę. Może znajdziesz. Krystyna cię nie kocha. Takie jest jej zadanie w powieści. Naucz ją miłości, prawdziwej miłości. Prawdziwa miłość Krystyny obejmie także ciebie.

— Tereso, Łucjo, jak kochają kobiety? Może nie wiem, w jaki sposób kochają i dlatego nie umiem zasłużyć na miłość Krystyny. Henryku, pomóż!

— Każdy sam musi nauczyć się miłości. Nie mogę cię tego nauczyć, Ryszardzie. Możesz tylko patrzeć, jak przebiega miłość między dwiema kochającymi się osobami. Ale to patrzeć nie uczy. Kocham cię także. Miłość jest nauczycielką miłości w tym sensie, że wywołuje miłość. Ty mnie też kochasz. Kochasz jednak także Krystynę. I musisz sam nauczyć się miłości od miłości Krystyny. Nie nauczysz się, ponieważ

Krystyna cię nie kocha. Znaczy to wszystko tylko tyle, że każdy przedmiot, który kochamy, uczy nas miłości na swoją miarę. Nikt poza Krystyną nie nauczy cię miłości do niej. I nikt poza Bogiem nie nauczy cię miłości do Boga. Takie jest prawo miłości. Wielkość miłości i sposób kochania wyznacza osoba, którą kochamy. Osoby ludzkie kochamy za każdym razem inaczej, na miarę osoby kochanej. Nie nauczysz się miłości do Krystyny, jeżeli ona cię nie pokocha. Twoja miłość do niej jest teraz tylko dobrocią. Krystyna odbiera ją jako dobroć. Gdyby cię kochała, stworzyłaby twoją miłość. Przedmiot, który kochamy, tworzy naszą miłość. Może rzeczywiście nie kochasz Krystyny, Ryszardzie, skoro ona cię nie kocha. Kto wie.

— Ależ Henryku, co ty mówisz! Kocham Krystynę, kocham boleśnie, jestem pełny męki. Tęsknię do niej.

— Rozważ swoje tęsknoty, Ryszardzie. Może to boli cię głód Boga, nie Krystyny.

— Nie, to jest głód miłości Krystyny. Pragnę jej miłości, pragnę miłości.

— Pragniesz miłości, Ryszardzie. Tak, pragniesz miłości. Jeżeli tak, to czy tylko Krystyna musi być jej twórcą i źródłem? Może jednak, jak twierdzi Andrzej, twoja męka płynie stąd, że pomieszałeś tęsknotę do miłości z tęsknotą do Krystyny. Może ty tylko pragniesz miłości, tylko miłości, a nie miłości Krystyny.

— Czy może być miłość poza osobą, konkretną osobą? Sam mówiłeś, Henryku, przed chwilą, że to, co kochamy, wyznacza naszą miłość.

— Tak, ale tak wielkiemu pragnieniu miłości, jakiej wymagasz, może sprostać tylko Bóg. Krystyna nie jest w stanie tak cię ukochać, jak pragniesz. Spróbuj, postaraj się szukać miłości w Bogu, który podejmuje twoją miłość i daje ci swoją.

— Boże, nie umiem tylko kochać Ciebie i najpierw Ciebie, przede wszystkim Ciebie!

— Andrzej, daj spokój Ryszardowi. Zamęczasz go.

— Ależ Tereso, to przecież fragment, pisany przez Ryszarda.

— Ryszard pisał o Pawle i Ewie. Ty włączyłeś się w jego słowa i wprowadziłeś sprawę jego miłości do Krystyny, samą Krystynę i mękę Ryszarda.

— Wiesz, Pawle, zaprośmy Ryszarda na obiad. Bardzo go lubisz, a Ryszard lubi Jacka.

— Nawet masz dobre pomysły, Ewo, moja małżonko.

— Ach, cóż za uznanie, dziękuję.

— Dzień dobry, Ryszardzie.

— Dzień dobry, Ewo. Dzień dobry, Pawle. Jacku, jak się masz.

— Przyjdź do nas na obiad. Dobrze, że rozejrzałam się po wyjściu z kościoła. Bylibyśmy stracili tak miłą okazję. Twoje przyście do nas jest dla nas zawsze wielką radością. Przyjdź, Ryszardzie, na obiad. O, popatrz, jak Jacek rwie się do stołu. Czerwone rzodkiewki pyszną się na talerzu, biały ser jest smutny, a chleb jak gospodarz trochę rubaszny krąży wśród nakryć. Smacznego!

Skończył się obiad, minęło spotkanie. Ryszard wraca do domu. Idzie powoli długimi ulicami miasta, zagubiony wśród przechodniów, wciąż obecny wśród osób, które kocha, wciąż w domu Pawła i Ewy, w kościele, pełen myśli, kierowanych do Boga.

— Nikt nie może mi pomóc. Pomóż mi, Boże! Tylko Ty możesz mi pomóc. Naucz mnie kochać Ciebie, najpierw Ciebie, przede wszystkim Ciebie. Jeszcze tego nie umiem. I powiększ łaskę w duszach osób, które Kocham. Ocal też miłość Jacka, skieruj ją do siebie, aby była dobra, pełna, prawdziwa. Teraz, w chwili podniesienia, gdy w Osobie Chrystusa przychodzisz na ołtarz, spójrz na Jacka, zapamiętaj go, strzeż, przygarnij do siebie w chwili, gdy będzie rozstrzygał o przedmiocie swej miłości.

Dzwonek zwrócił uwagę Ryszardowi, że zbliża się czas Komunii świętej, że Chrystus przyjdzie realnie do jego serca, a przychodząc podejmie zgłaszane prośby.

ROZDZIAŁ 12

— Andrzeju, obawiam się, że obniżasz poziom swoich analiz, że zmniejszasz tempo i dramatyczność akcji, że piszesz po prostu nudną powieść.

— Czy naprawdę tak myślisz, Tereso? Owszem, myślisz tak. Ale czy wobec tego dobrze rozumiesz to, co nazywa się dramatycznością akcji. Akcja jest żywa, dramatyczna, gdy wciąga czytelnika. Dlaczego sądzisz, że to, co dzieje się w powieści, jest nudne?

— Nie wszystko jest nudne. Niektóre jednak dialogi są puste, są słowami. Nie wszystkie słowa, których używasz, żyją.

— Warstwa słowna powieści, to ważna sprawa. Ale na serio żyją dopiero znaczenia. Bój toczy się w warstwie znaczeń. Dramatyczność akcji w tej powieści nie polega na spięciach sytuacji, polega na konflikcie postaw, a raczej problemów. Bohaterowie powieści reprezentują pewne postawy, ale głównie są nosicielami problemów. I te problemy ścierają się, piętrzą, zwalają. W tym ich ścieraniu się dojrzewa rozwiązanie, którego jeszcze nie widzę. Nie wiem jeszcze, czy Ryszard uratuje swoją miłość do Krystyny, czy Krystyna go pokocha. Nie wiem, co stanie się z Adamem. Nie wiem, jak potoczą się dzieje Pawła i Ewy, Henryka i Łucji. Henryk miał cierpieć razem z Ryszardem, miał mu pomagać w zrozumieniu procesu utraty miłości. Tymczasem wmieszał się w to wszystko Adam. Niektóre rozmowy łatwiej Ryszardowi przeprowadzić z Adamem. Stworzone przez nas postacie powieści kształtują swój los, a znaczy to po prostu tyle, że analizowany problem utraty miłości zaskakuje perspektywą rozwiązań, które trzeba połączyć z inną osobą, jeśli ta perspektywa nie wynika z postaw, zadanych reprezentantowi danego problemu. Może, Tereso, nie zawsze czujesz smak tych przekształceń tej ewolucji akcentów w analizie, poszukującej rozwiązania problemu. A może po prostu źle piszę.

— Myślę, że raczej zbyt powoli prowadzisz czytelnika w kierunku stwierdzeń, na które czeka. Gdyby to była powieść kryminalna, mógłbyś to zrobić. Spiętrzałbyś sytuację, komplikowałbyś je, tworzyłbyś zasadzki. Miałbyś inny budulec powieści. Tu musisz raczej wyjaśniać, prostować drogę Ryszarda, pomagać mu w zdobyciu miłości Krystyny i miłości Boga. I nie robisz tego dobrze. Nie można ukochać Boga poza

porządkiem nadprzyrodzonym. A właściwie każda miłość do Boga włącza człowieka w porządek nadprzyrodzony, ponieważ przywołuje Boga, który zapoczątkowuje życie religijne lub pogłębia je w człowieku ochrzczone. Nie możesz rozwiązać problemów Ryszarda bez rozpatrzenia jego życia religijnego. A o tym życiu w wypadku Ryszarda jeszcze mało wiemy. Nie wiemy, czy Ryszard ma dane na to, aby ukochać Boga w sensie religijnym. To, co w nim się dzieje, to jeszcze porządek myślenia i porządek tęsknot czysto naturalnych. Nie wiemy też, czy Ryszard ma załatwioną w sobie sprawę istnienia Boga.

— Z tego, co powiedziałaś, Tereso, dwie sprawy są ważne: nadprzyrodzona wartość tęsknot Ryszarda i istnienie Boga jako punkt wyjścia do problemu boskości Chrystusa. Ryszard musi w sobie pogłębić te sprawy, bo inaczej nie ujmie sensu kierowania swej miłości do Boga. Nie zgodziłbym się z tobą, że tęsknota Ryszarda do miłości i do Boga jest tylko naturalna. Owszem, tęsknota do miłości w ogóle może być tęsknotą przyrodzoną. Jeżeli jednak Ryszard wie, że nie można pragnąć samej miłości, że miłość zawsze jest działaniem osoby, pragnie miłości Bożej, pragnie wielkiej miłości, która spełni jego nienasyconą tęsknotę. Tę wielką miłość może mu dać tylko nieskończony Bóg. I Ryszard wie o tym. Jego tęsknota jest więc modlitwą, jest nastawieniem się na Boga, szukaniem i oczekiwaniem Boga. Ryszard wikła tę miłość w uczucia, ale wybrnie z tego po prostu dlatego, że Bóg go z tego wyprowadzi. I musisz pamiętać, Tereso, że życie nadprzyrodzone człowieka opiera się na przyrodzonej strukturze ludzkiej. Łaska doskonali naturę. Organizm nadprzyrodzony człowieka opiera się na przyrodzonym organizmie ludzkim. Człowiek składa się z ciała i duszy. Dusza działa poprzez swoje władze, poprzez intelekt i wolę.

— Poprzez dwa intelekty i wolę, Andrzejku.

— Tak, poprzez intelekt, który receptywnie przyjmuje istotne treści poznawcze przedmiotów, i intelekt, który te treści wydobywa z materiałów poznawczych, dostarczanych przez zmysły. Wola jest władzą pożądczą duszy. Uczucia są władzami pożądczymi ciała. Działanie władz człowieka może uzyskać etap usprawnienia. Te usprawnienia nazywamy cnotami. Są to oczywiście cnoty nabyte, przyrodzone. Na tych cnotach opierają się cnoty wlane, udzielone człowiekowi przez Boga. A więc na przyrodzonej strukturze człowieka opiera się jego organizm nadprzyrodzony. Łaska

uświęcająca, czyli dar Boży, uzdalniający człowieka do udziału w wewnętrznym życiu Boga, doskonalą samą istotę duszy ludzkiej. Cnoty wlane doskonalą władzę tej duszy. Oprócz cnót wlnych, pozwalających człowiekowi kierować się do Boga, razem z łaską uświęcającą człowiek otrzymuje dary Ducha Świętego, które uzdalniają człowieka do odbierania łaski, uwrażliwiają na łaskę. Cnoty wlane pozwalają nam kierować się do Boga, dary Ducha Świętego pozwalają z kolei przyjmować Boga, Jego miłość i łaskę, Jego własne życie wewnętrzne. Otóż, jeżeli Ryszard kieruje do Boga swoją tęsknotą za miłością, to czyni to dzięki cnotom wlnym. Bez tych cnót nie byłby w stanie skierować się do Boga. Tylko bowiem Bóg pociąga do siebie. Jest więc w Ryszardzie życie nadprzyrodzone. Jeżeli jest to życie, to wynika z tego, że Ryszard akceptuje Boga, Jego istnienie, Jego kontakt z człowiekiem. A ten kontakt nie jest możliwy bez Chrystusa. Ryszard akceptuje więc Chrystusa. Świadczy o tym fakt życia nadprzyrodzonego w Ryszardzie. Oczywiście, niezależnie od tego Ryszard może mieć trudności intelektualne. Te trudności jednak nie niszczą w człowieku życia nadprzyrodzonego. Niszczy to życie grzech, który jest zawsze odrzuceniem proponowanej człowiekowi miłości Bożej. Ryszard nie odrzuca tej miłości. Nie ma zresztą także trudności intelektualnych. Czy pamiętasz, Tereso, rozmowę Ryszarda z Adamem?

— Nie pamiętam. Którą rozmowę?

— Posłuchaj! Adam zapytał Ryszarda, czy można wykazać, że Bóg istnieje.

— Owszem, Adamie. Bóg istnieje. Wynika to z analizy tego, czym są otaczające nas i poznawane przez nas rzeczy. Jakie one są? Są takie, że powstają i giną, że nabywają lub tracą istnienie. Są więc takie, że nie istnieją same z siebie. Gdyby istniały same z siebie, gdyby były takie, że istnienie byłoby ich cechą zasadniczą, istotną, nie mogłyby przestać istnieć. Skoro przestają istnieć, to znaczy, że do ich natury nie należy istnienie. Nie są źródłem swego istnienia, bo jako źródło nie mogłyby istnienia utracić. Doświadczalnie przekonujemy się, że rzeczy jednak tracą istnienie. Wynika więc z tego, że skoro nie zawdzięczają sobie istnienia, a jednak istnieją, to tylko dlatego, że otrzymują istnienie. Skoro istnieją realnie, realnie też istnieje byt, który jest w stanie udzielić im istnienia. Musi to być byt, który posiada istnienie w sposób nieutralny, który po prostu jest źródłem istnienia, samym istnieniem. I taki byt jest Bogiem.

— To jest jasne, co powiedziałeś. To można zrozumieć. Rozumiem i uznaję. Czy jednak nie sądzisz, Ryszardzie, że od wiedzy do akceptacji jest bardzo daleko? Dlaczego tak trudno uznać istnienie Boga? Dlaczego człowiek ma opory?

— Może, Adamie, może tak jest dlatego, że uznanie istnienia Boga pociąga za sobą bardzo zobowiązujące skutki. Może na przykład zmuszać do uznania Chrystusa za Boga. Łatwiej niektórym ludziom wierzyć, że Bóg istnieje, niż uznać, że Chrystus jest Bogiem. Deizm jest bardzo częsty. A zobaczenie w Chrystusie Boga zmusza do konsekwencji, do wzięcia na serio katolicyzmu.

— Tak, to prawda.

— Jeżeli Bóg istnieje, to nie jest wykluczone, że nawiązał z ludźmi kontakt. O tym nawiązaniu przez Boga kontaktu z ludźmi mówi Pismo święte. I trzeba rozważyć tę sprawę, jeżeli się chce być konsekwentnym. Otóż z analiz historycznych wynika, że teksty Pisma świętego są autentyczne. Teksty te pisali konkretni, żywi ludzie. Ewangelie pisali ludzie, którzy twierdzą, że znali Chrystusa. Notują Jego naukę. Gdy się zanalizuje tę naukę, jest się pod wrażeniem jej klasy, jej jakości. Porównaj, Adamie, treść Ewangelii św. Jana z jakąkolwiek treścią tak zwanych objawionych ksiąg buddyjskich, hinduistycznych, czy nawet mahometańskich. Jaka ogromna różnica! Coś wielkiego i coś ogromnie małego. Wielka i mała teologia. I co jest treścią Ewangelii? Otóż Chrystus wykazuje, że jest Bogiem. Współcześni to słyszą, uważają za bluźnierstwo i skazują Chrystusa na karę śmierci. Dla nas rysują się dwie perspektywy: albo to, co Chrystus mówi, jest prawdziwe, albo jest fantazją chorego umysłu. Tej drugiej perspektywy nikt z historyków i psychologów nie bierze na serio. Pozostaje tylko uznanie, że Ewangelie głoszą prawdę. Chrystus jest Bogiem. Wskrzesza zmarłych i sam zmartwychwstaje. Widzą Go po śmierci żywego i zmartwychwstałego Jego uczniowie. Apostołowie świadczą o tym, ewangeliści zapisują. Jeżeli przyjmiemy tę prawdę, zapisaną w Ewangelii, że Chrystus historycznie istniał, a na to zgadzają się już teraz wszyscy, nawet krytyczny Renan, to musimy konsekwentnie przyjąć i tę prawdę, także zapisaną w tej samej Ewangelii, że Chrystus zmartwychwstał. A jeżeli zmartwychwstał, jest Bogiem.

— Tak, Ryszardzie, tak jest. Rozumiem wszystko. Jak to dobrze, że Chrystus jest Bogiem.

— To zobowiązuje nas do miłości Boga. Miłość do Boga jest bowiem całym sensem nauczania Chrystusa.

— I to także rozumiem. Tylko że ukochanie Boga jest sprawą tak ogromnie trudną.

— Nie jest trudną, Adamie, gdy wiemy, jak to robić. Ewangelia zresztą wyraźnie określa te sposoby: należy po prostu zachowywać przykazania. Chrystus obiecuje, że kto zachowa przykazania, wytrwa w miłości do Boga. Jeżeli wytrwa, to znaczy, że tę miłość do Boga posiada.

— I teraz widzę, Andrzej, na czym polega błąd, który popełniasz w tym etapie realizowania powieści. Po prostu dajesz wykład. Gdzie tu są spięcia, dramat? Akcja zamiera.

— Tereso, nie mów tak. Musiałem ci wyjaśnić to wszystko, co tłumaczy nam postępowanie Ryszarda, co go charakteryzuje. Przecież zobaczyłaś, że jest religijny. A to jest rzecz potrzebna do zrozumienia męki, którą mu sprawia brak miłości ze strony Krystyny.

— Unikaj jednak, Andrzej, takich ujęć, unikaj. Dla dobra powieści. Unikaj wykładu. A poza tym samo twoje stwierdzenie, że Ryszard posiada realne życie nadprzyrodzone, nie wystarczy. Musisz to pokazać, musisz o tym przekonać czytelnika.

— Spróbuję, Tereso. Już trzeci raz podejmuję ten temat. Okazuje się, że niełatwo zgłębić to, co jest najgłębsze w życiu ludzkim. Najgłębsza jest miłość. Właśnie miłość najtrudniej ująć. To dziwne. Miłość jest tym, co człowiek kryje w najtajniejszej głębi swej duszy i co najbardziej jest widoczne. Miłość jest codzienną sprawą i jednocześnie sprawą najuroczystszych dni życia ludzkiego. Mówi się o niej, pisze się o niej, bierze się ją za temat całej muzyki poważnej i rozrywkowej. Jest istotną sprawą w wielkich tragediach greckich, w teatrze Szekspira, jest sposobem kontaktu człowieka z Bogiem, jest zasadniczym motywem kontaktów człowieka z człowiekiem. Miłość jest wszędzie. Jest banalnie codzienna i jest najświętszą sprawą ludzkiej duszy. Jest wszystkim. Wszystko tłumaczy, wszystkiemu przewodzi. Patronuje dobru i złu.

Henryk przerwał wywody Ryszarda, poruszył się niespokojnie na fotelu w ich ulubionej kawiarence na rogu.

— Nie, Ryszardzie, miłość nie patronuje złu. Zawsze daje początek dobru. Jeżeli miłość wywołuje zło, to już nie jest miłością. Po prostu bierze się wtedy za miłość coś,

co nie jest miłością. Miłość jest uwikłana w pożądania ludzkie, w uczucia, tęsknoty. Wspiera się na nich tak, jak cnoty wlane wspierają się na nabytych. Jest zawsze duchową czynnością człowieka, szlachetną i piękną. Tę szlachetność i piękno nadaje uczuciom, tęsknotom, nawet pożądaniom. Kieruje nimi, jeżeli kieruje. Często jest bowiem tak, że samo pożądanie ktoś nazywa miłością. I dlatego prawdziwej miłości nie zawsze można nauczyć się od kochanej i pożądanej kobiety. Trzeba jej uczyć się od matki, ojca i od Boga. Miłość do tych osób podnosi nasz kontakt z ludźmi na właściwy poziom, na poziom godny człowieka. Gdy nauczymy się miłości w kochającej się rodzinie, umiemy właściwie kochać ludzi. Umiemy rozpoznawać pożądanie i miłość, uczucia, które są zmienne, i miłość, która jest trwała. Nie wyobrażam sobie dobrej miłości bez tego treningu w rodzinie. Rodzina jest konieczną szkołą miłości i prawdziwą szkołą. Tylko rodzina w imieniu Boga i na zlecenie Boże kompetentnie uczy miłości do osób ludzkich, tym samym do Osoby Bożej, do świata, do rzeczy, właściwej miłości do rzeczy.

— Podzielam twoją myśl, Henryku. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś umiał kochać, kto nie nauczył się tego w rodzinie szczerze kochany i kochający. Dlaczego jednak tak wielu ludzi nie umie kochać lub źle kocha? I przeszli trening rodzinny. Wyszedłem z kochającej rodziny i kocham źle, za bardzo. Prawda, że to paradoks! A Michał, Piotr i Adam kochają za mało.

— Ale jednak, Ryszardzie, cała ta czwórka umie kochać. Wszyscy kochacie w sposób nie całkiem doskonały. Kochacie jednak. I to zawdzięcza się rodzinie. Są jednak ludzie, którzy nie kochają, którzy tylko pożądają. A właściwie też kochają, lecz tylko siebie. Gdy kocha się tylko siebie, kontakty z ludźmi muszą wynikać z pożądania. Miłość, która nie wyszła poza nas, nie dosięga ludzi. Jest w więzieniu. Nie rozwija się, z czasem ginie. I pozostaje tylko porządek interesów, nastrojów, namiętności. Miłość mogłaby nadać im sens i kierunek. Gdy jej nie ma, wtedy rodzi się zło, krzywdą wyrządzona osobom ludzkim, które traktuje się jak rzeczy. Bo pożądanie, namiętności mają na celu siebie i podporządkowują sobie drugiego człowieka, używają go dla swoich celów, dla siebie. Tylko miłość jest uznaniem osoby ludzkiej, jej dobra. Jest darem, wzbogacającym kochającego i kochanego.

— Pocieszyłeś mnie, Henryku. Ale co zrobić, aby moja niedoskonała miłość stała się lepsza, na serio prawdziwa?

— Jest prawdziwa. Jest tylko niedoskonała. Jest ogromna, lecz nie zawsze właściwie skierowana. Ty w tym błędzisz, Ryszardzie. Nie umiesz właściwej miary miłości odnieść do właściwego przedmiotu.

— Wiem o tym od Andrzeja.

— Myśl Andrzeja jest słuszna. Tylko Bóg doskonali miłość. Powiedz, Ryszardzie, czy kochasz Boga? Wybacz to pytanie, które dotyka spraw tak bardzo osobistych. Musimy jednak ich dotknąć. W ogóle tematy, które poruszamy, są osobiste, wprost intymne. Sprawa miłości jest samym sercem spraw ludzkich. Wciąż i wszędzie o niej się mówi. I my musimy o niej mówić, bo przecież i dla nas sprawa utraty miłości jest najważniejsza. A jeżeli mówi się o miłości, trzeba mówić także ó Bogu. Powiązanie ludzi z Bogiem jest powiązaniem przez miłość. Myślę, że tak trudno o dobrą religijność właśnie dlatego, że nie wszyscy ludzie uświadamiają sobie sens religii. Ten sens sprowadza się do rodzinnego powiązania człowieka z Bogiem. Życie nadprzyrodzone, to rodzinny udział w wewnętrznym życiu Osób Boskich, udział realizowany przez Chrystusa i w Chrystusie. Znaczy to tylko tyle, że Chrystus w sobie przystosował dla nas udzielaną nam łaskę uświęcającą. Nadał jej taki charakter, że możemy dzięki niej należeć do rodziny Boga. Tylko więc przez Chrystusa jest możliwy ten kontakt. Kontakt niezwykle i trudny. Być dobrym, kochającym synem nie jest łatwo. Być dzięki Chrystusowi w rodzinie Boga także nie jest łatwo. Jest łatwo, gdy kochamy. Zresztą, gdy nie kochamy, powiązanie to nie istnieje. Chrzest udziela nam łaski. Gdy jej nie powiększamy przez miłość, gdy po prostu nie uczestniczymy w rodzinnym życiu Boga, jesteśmy synami marnotrawnymi. Uciekamy z domu Bożego. Nie ma nas czasem całe lata. Grzech wyłącza nas z rodziny Bożej. Po odpuszczeniu grzechu wracamy do domu Ojca. I znowu odchodzimy niekiedy na bardzo długo. Bóg czeka, tęskni, wypatruje nas. Akt miłości, skierowany do Boga, otwiera nam drzwi domu. Bóg pragnie, abyśmy nie opuszczali domu rodzinnego, abyśmy wciąż byli z Ojcem i czerpali z Jego doświadczenia. W tym kontakcie z Ojcem rozwija się i doskonali nasza miłość.

— Przez proces utraty miłości rozumiem włączenie miłości przyrodzonej w nadprzyrodzoną miłość Bożą. W innej wersji ten proces polega na przekształceniu

naszej miłości do ludzi, jako do rzeczy, których pożądamy, w miłość do osoby ludzkiej. Kochając osobę ludzką akceptujemy jej dobro, łagodzimy, przekształcamy pożądaniami. Przystają być celem, stają się środkiem. Ale może być, Henryku, także dosłowna utrata miłości. Można przestać kochać. Gdy popełniamy grzech, kończy się nasze powiązanie z Bogiem przez miłość. Ginie miłość. Pozostaje jeszcze nadzieja i wiara. Nie ma jednak miłości. I możemy przestać kochać człowieka. To także nam grozi. Grzech wobec człowieka niszczy miłość. Największym grzechem jest brak miłości. Istotą grzechu jest brak miłości. Dlatego jest grzech, że przestajemy kochać Boga lub ludzi. Przystajemy kochać, gdy nie Bóg i osoba ludzka jest przedmiotem przez nas wybranym, gdy wybieramy coś innego, jako cel naszych wszystkich zabiegów i tęsknot. Boję się, Henryku, że mój grzech, moja utrata miłości Bożej polega na całkowitym wyborze innego przedmiotu miłości. Boję się, że Kocham tylko Krystynę. Nie chcę się do tego przyznać przed sobą, ale może to jednak tak jest. I tylko nie wiem, dlaczego ta miłość pozbawia mnie miłości Bożej? Może się mylę, może nie utraciłem miłości do Boga. Wiem jednak, że ta miłość zmaląła. To smutna sprawa moich najtajniejszych niepokojów. Wiem, że miłość do człowieka nie wyklucza miłości do Boga i że może tę miłość pogłębić. Istnieje jednak taka sytuacja, że z powodu miłości do człowieka tracimy miłość do Boga. Kiedy to się staje? Dokładnie nie wiem. Czasem myślę, że nigdy miłość do człowieka nie niszczy miłości do Boga. Po prostu z innych powodów traci się miłość do Boga. I tylko nam się wydaje, że miłość do człowieka odsuwa nas od Boga. Prawdziwa miłość nie odsuwa nas od Boga ani od człowieka. Tracimy Boga i tracimy człowieka wtedy, gdy przesuwamy miłość na drugi plan i gdy pozwalamy tylko uczuciu i pożądaniu zdobyć w nas pierwsze miejsce. Po prostu wygrywa nasze własne ja, które nieustannie chce wysunąć się na plan pierwszy i podporządkować sobie Boga i wybranego przez nas człowieka. A podporządkować znaczy traktować coś lub kogoś jak rzecz, której używam. Używam wtedy Boga jako środka do zrealizowania swoich celów, które są celami pożądania, potrzeby piękna, potrzeby czułości, potrzeby zaznaczenia, zaakcentowania siebie, jako sprawy najważniejszej. Człowiek jest ważną sprawą, ale to musi stwierdzić Bóg. Bóg to stwierdza, tylko ten Jego cichy głos nam nie wystarcza. Nie wystarcza nam cała nasza wewnętrzna i wewnątrz powstająca wartość. Chcemy uzewnętrznienia. Sami po nie sięgamy, nawet gdy Bóg tego dla nas nie

zamierzył. I tak samo postępujemy wobec ludzi. Chcemy z nich uczynić środek, pomagający nam ujawnić naszą przewagę. A czasem chcemy człowieka dla swojej potrzeby piękna, czułości, znaczenia. Miło nam, gdy nas ktoś kocha. Czujemy swoją wartość. Dobrze, że znamy swoją wartość. Ale miłość jest wtedy niedoskonała. Miłość zostaje przesunięta na drugi plan. Subtelne, niedostrzegalne prawie przesunięcie. Prawie uzasadnione. A jednak tragiczne, początek katastrofy. U mnie jest co innego. Kocham Krystynę dla niej samej. Owszem, potrzebna mi jest jej obecność, jej głos, jej oczy. Kocham ją jednak jedynie. Jedynie ją. Wewnętrznie jestem gotów porzucić wszystko dla niej. Czy porzuciłbym także Boga? Nie. Chyba nie. Bóg to osobny porządek i osobna sprawa. Miłość do Krystyny nie ma wpływu na zmniejszenie się mojej miłości do Boga. Jest natomiast inna zależność. Ponieważ zmniejsza się moja miłość do Boga, tym więcej pragnę Krystyny. Przyłgnałem do niej całym swym wnętrzem, całą tęsknotą, wszystkimi pragnieniami. Myślę, że to tak właśnie jest. Kochając człowieka kochamy Boga. Zwiększając miłość do Boga pogłębiamy także miłość do człowieka. Gdy jednak tracimy Boga, z większą rozpaczą pragniemy miłości ludzkiej. Kto wie, czy to rozpaczliwe pragnienie miłości ludzkiej nie jest znakiem, że nasza miłość do Boga jest w niebezpieczeństwie lub że już nie istnieje. Rozpaczliwa tęsknota do miłości ludzkiej to znak, że coś nie jest w porządku z naszą miłością do Boga. Dopóki nie ma tej rozpaczliwej miłości do człowieka jest we właściwych granicach. Myślę, że właśnie ta bolesna, rozpaczliwa tęsknota jest cechą miłości do Boga. Gdy tę cechę zdobędzie miłość do człowieka, Bóg zostaje odsunięty. Jego miejsce zajmie coś innego. Zmienia się przedmiot naszej miłości. Tak to nazywasz, Henryku, prawda? I tak to bywa. Dlaczego zmaląła moja miłość do Boga, dlaczego miłość ta ginie? Z jakich powodów tracę miłość do Boga? Posłuchaj, Henryku, dziejów tej sprawy. Przypatrz się mojemu życiu religijnemu, oceń je.

— Ryszardzie, ufasz mi ponad miarę. Nie wiem, czy będę w stanie rozpoznać to, co jest prawdziwe i fałszywe w twojej drodze do Boga. Życie nadprzyrodzone człowieka to tajemnica, którą zna tylko Bóg. Nawet ty nie znasz tego, czego Bóg w tobie dokonał.

— Ale wiem, Henryku, wiem, kiedy kocham i kiedy tracę miłość. Moja męka jest podwójna. Tracę miłość do Boga i nie mam miłości Krystyny. Tracę jedną miłość, nie zdobywam drugiej, W ogóle tracę miłość. Kocham i nie mam miłości, nie mam tego, co

kocham. Andrzej twierdzi, że kocham miłość. Może ma rację. Może mój błąd polega na tym, że kocham miłość, a nie kocham osób. Nie kocham więc ani Boga, ani Krystyny. Kocham samo działanie i fragment osoby kochanej, jej czynność kochania. Jestem, w tym podobny do ludzi, którzy kochają tylko piękno, piękno Boga lub piękno wybranej przez nich osoby ludzkiej. Nie mają wtedy ani Boga, ani tego ukochanego człowieka. Mają ich piękno. Docierają do ich piękna. Ja dotarłem do miłości. Nie dotarłem do Boga i nie dotarłem do Krystyny. Czy to tak było, czy to tak jest? Czy nigdy nie kochałem Boga? Czy nigdy nie kochałem człowieka? Czy wobec tego pożądałem tylko tych osób, które kochałem? Czy może być pożądanie Boga? Wiem, że można pożądać człowieka.

— Tak, Ryszardzie. Można pożądać Boga. Można pożądać Boga dla Boga i wtedy jest miłość. Zawsze bowiem jest to pożądanie duchowe. Tylko takim pożądaniem dosięgamy Boga. I możemy pożądać Boga dla siebie. Wtedy już nie ma miłości. Jest egoizm, potrzeba sławy, znaczenia, potrzeba piękna, miłości, swej przewagi. Na pierwszym miejscu ty jesteś, nie Bóg. Nie ma miłości, bo nie ma daru. Dar składasz sobie. Wtedy to nie jest dar. Dar jest darem, gdy dajemy go drugiej osobie, na serio drugiej osobie. I tak samo jest z miłością do człowieka. Pożądanie nie dyskwalifikuje miłości. Gdy jednak pożądamy kogoś dla niego samego, chcemy jego dobra. I wtedy pożądanie podporządkowuje się miłości. Gdy pożądamy dla siebie, miłość musi zejść na drugi plan. Realizują się same pożądania. I wtedy staje się zło. Tak. Zło jest skutkiem utraty miłości, braku miłości. Należy pamiętać, że jesteśmy ludźmi, że Bóg stworzył nas jako mężczyzn lub jako kobiety, „mężczyznę i kobietą stworzył ich”. Płeć jest nieodłączna od naszego ciała. Nasze ciało stanowi z naszą rozumną duszą jedną osobę ludzką. Należy to uwzględnić w naszym planie wychowania, w naszym wewnętrznym życiu, w przewidywaniu trudności, w naszej miłości do ludzi i do Boga. Pożądania nas nie dyskwalifikują. Dyskwalifikuje nas nasze złe działanie, to, co zrobimy z pożądaniem. Jeżeli pozwolimy im zdominować nasze życie, tracimy miłość. Taka jest konsekwencja. A tracąc miłość tracimy ludzi i tracimy Boga. Pożądanie musi być poddane miłości. Wtedy jest na swoim miejscu. Wtedy funkcjonuje dobrze, wtedy działa proporcjonalnie do przedmiotu, który kochamy. Inaczej działa, gdy kochamy żonę, inaczej, gdy kochamy matkę, ojca lub Boga.

— Ale jednak, Henryku, ale jednak pożądanie może nas odsunąć od Boga.

— Tak, zawsze odsuwa nas od Boga i odsuwa nas od ludzi. To jest tajemnica i pomyłka. Często zdaje się ludziom, że pożądanie łączy ich z ludźmi, wiąże z nimi. Pozornie łączy, pozornie wiąże. Na krótko. Na moment uczuciowego napięcia. Na serio wiąże i łączy tylko miłość.

— Ale, czy na zawsze? Także nie na zawsze. Miłość połączyła mnie z Bogiem. I utraciłem tę miłość lub tracę tę miłość, Henryku. To straszne. Czy rozumiesz mękę utraty miłości Bożej?

— Jeżeli cierpisz, Ryszardzie, to kochasz. Myślę, że musi być miłość tam, gdzie jest cierpienie.

— Tak, ale może to być moja, przyrodzona miłość do Boga. Może to być pragnienie miłości. I może nie być we mnie miłości wlanej, nadprzyrodzonej. A bez niej nie ma kontaktu z Bogiem. Nie ma też w duszy łaski uświęcającej. Nie ma mnie w domu Bożym. Uciekłem z tego domu. Zerwałem rodzinne więzy z Bogiem. I cierpię. Płacę z powodu braku Boga i z powodu braku Krystyny. Nie mam jej, skoro mnie nie kocha. Kocham ją, ona mnie nie kocha. A znowu Bóg kocha mnie, ja nie kocham Boga.

— Może po prostu, Ryszardzie, wciąż jeszcze nie wiesz, na czym polega miłość do Boga. Może nie wiesz, co to znaczy kochać Boga.

— Wiem, chyba wiem. Miłość do Boga to najzwyczajniejsza tożsamość życzeń Bożych i życzeń człowieka, to zgodność tych dwu porządków pożądań. Dochodzi się do tej zgodności przez zachowanie przykazań. Ta wola zachowania przykazań wiąże się z wyborem tego, co słuszne. Dyskwalifikuję to, co nie jest zgodne z przykazaniami. Ta dyskwalifikacja to żal, który świadczy o tym, że na serio liczę się z Bogiem. Bóg na to reaguje, przychodzi. Przychodząc pogłębia żal i miłość, wlewa swoją miłość w miłość człowieka. Ta miłość skłania do wierności. Wierność wymaga umartwienia i modlitwy. Modlitwa jest otwarciem się duszy ludzkiej na Boga. Bóg przychodzi i coraz pełniej wnika w otwarte wnętrze duszy ludzkiej. Wiem to wszystko, Henryku. I płacę. Płacę, ponieważ utraciłem miłość Boga. A może jednak jej nie straciłem? Przypatrz się dobrze, Henryku, mojemu życiu religijnemu, oceń je. Posłuchaj dziejów tej sprawy.

— Oczywiście chrzest wniósł w moją duszę łaskę uświęcającą. Z łaską przyszły cnoty wlane, dary Ducha Świętego. Były, jak wiemy, utajone, czekały na moją pracę, na moje akty miłości i poddanie się wpływom Ducha Świętego. Prowadzono mnie do

kościół, uczono katechizmu, modlitwy. Gdy miałem siedem lat, zacząłem modlić się sam już świadomie i dopiero świadomie. Dużo było tej modlitwy, uczyłem się częstej, ciągłej modlitwy. Odbywałem przed Bogiem pełną żalu spowiedź, pragnąłem sakramentalnej spowiedzi i sakramentalnej Komunii świętej. Pierwsza spowiedź przyniosła mi mękę kontaktu z surowym sędzią, nie z ojcem, który pokazuje drogę. Pierwsza Komunia święta była bez wzruszeń, sucha, zwyczajna, w dużej grupie innych dzieci, daleka od hagiograficznych wzorów, przypisywanych dzieciom religijnym. Pogłębiła jednak i realnie rozpoczęła współpracę z łaską. Wybrałem Boga, szedłem do niego. Miałem już lat piętnaście, ogromnie dużo kłopotów ze swymi tęsknotami, ze swoim ciałem. Długie godziny modliłem się. Dziś wiem, że to było rozmyślanie, polegające na wyobrażeniowym docieraniu do wydarzeń z Ewangelii, do kontaktu z męką Chrystusa. Komunia święta stanowiła zawsze nowy etap, początek lepszego życia. Była znakiem nawrócenia, nowym nawróceniem, powrotem do Boga po nieudanych wysiłkach wierności. Odrywałem wciąż miłość od różnych przedmiotów, do których kierowały ją pożądania, tęsknoty, okoliczności. Odrywałem i oddawałem Bogu. Wciąż Bogu i tylko Bogu. Potem przyszła modlitwa wzruszeń. Wzruszały mnie teksty Ewangelii, słowa modlitw ogromnie prostych, budziła się co chwilę potrzeba skierowania do Boga uwagi. Okres aktów strzelistych. I wciąż ta sama męka nastawienia miłości na Boga. Potem przestały mi być potrzebne słowa. Trwałem wewnątrz przed Bogiem. Były mi potrzebne długie godziny przebywania przed ołtarzem. I męka tych samych niewierności. Moi spowiednicy niecierpliwili się, więcej byli prawnikami niż wychowawcami duszy nawracającej się do Boga. Radzili mi stałego spowiednika. Niełatwo jednak było znaleźć kogoś, komu można byłoby całkowicie zaufać. Wrażliwość sumienia wzrosła. Męka wewnętrzna stała się cierpieniem nie do zniesienia. Tęsknota do Boga ogromna. Dziś widzę, że moje życie wewnętrzne przebiegało właściwie, że stałem przed etapem prawdziwego pogłębienia. I nie przetrzymałem męki spowiedzi. Odłożyłem spowiedź aż do momentu jakiegoś wewnętrznego uspokojenia. Komunia święta stała się też mniej częsta. Zaczęły gasnąć tęsknoty za Bogiem. I tylko czasem ból ściska mi serce, gdy skieruję myśli do Boga. Przeżywam etap, który jest chłodem, zimnem, pustką. Jest to albo obojętność albo...

— Albo co, Ryszardzie, albo co to jest?

— Teologowie nazywają ten stan etapem nocy. Może być bierna noc zmysłów i bierna noc ducha, gdy Bóg sam zaczyna oczyszczać duszę ludzką. W czynnej nocy my sami pracujemy nad sobą. Ale nie mówmy o tym. To zbyt bolesne. Świadomość strat i nie podjętego zaproszenia Bożego jest bólem często ponad siły. I właśnie w tym czasie pojawiła się Krystyna. Moja miłość do niej jest jakimś odpoczynkiem. Krystyna jednak nie chce mojej miłości. Moja miłość do niej nie przeszkadza mi w tęsknocie do Boga. Ale Krystyna boi się mojej miłości, która przebiega tak boleśnie. Krystyna chce radości. Pragnie też radości, płynących z kontaktu ciał. Chciałbym ją zaślubić. Krystyna boi się małżeństwa ze mną. Boi się, że będzie musiała iść ze mną po trudnej drodze wewnętrznej pracy nad sobą. Pragnie życia o wiele prostszego. Nigdy już nie potrafię sprowadzić kontaktów między nią a mną tylko do porządku nastrojów i tylko do porządku powiązań zmysłowych. Krystyna mi nie ufa. Nie jest pewna, czy będę w stanie ją kochać kochając Boga. Przypuszcza, że rozwój w naszych duszach miłości do Boga wykluczy radość cielesną. Myli się. Bóg akceptuje radość małżeńską. Pomyślał przecież ludzi jako kobiety i jako mężczyzn. Zlecił ludziom współpracę przy stwarzaniu człowieka, uświęcił płodność ludzką. Krystyna wie o sakramencie małżeństwa. Boi się jednak Boga. Boi się tego, że gdy zobaczy nieskończone perspektywy miłości, straci dla niej swój urok radość cielesna. Nie chce wewnętrznie odejść od tych radości. Nie musi odchodzić. Małżeństwo zostawia jej tę radość. Krystyna nie ufa Bogu. Tak to rozumiem. Z tej racji Krystyna nie ufa miłości. Boi się miłości. Boi się więc mojej miłości. Henryku, dlaczego tak jest? Dlaczego muszę przebywać drogę tak ogromnie skomplikowaną? Dlaczego tyle tracę? Dlaczego tracę miłość Boga i miłość Krystyny?

— Może nie tracisz tej miłości. Może po prostu tylko cierpisz. A może twoja męka ma imię „niecierpliwość”. Może to jest tylko niecierpliwość i brak ufności. Może za bardzo sam chcesz wszystkiego w sobie dokonać. Może Bóg czeka, żebyś pozwolił mu działać. Może to tylko tak jest, Ryszardzie.

Teresa odpowiedziała za Ryszarda.

— Nie, Andrzeju, to nie jest tak. Ryszard przeżywa kryzys głębszy niż ci się wydaje. To jest naprawdę utrata miłości do Boga. Ryszard nie powiedział wszystkiego. Nie powiedział ci o utracie łaski, o grzechu.

— Ależ, Tereso, liczą się powroty, liczy się ciągle powstawanie, przybliżanie do Boga. Grzech odpuszczony, czyn, który dyskwalifikujemy, już nam nie szkodzi. Już nie istnieje. Ta dyskwalifikacja jest żalem, a jednocześnie miłością. Czynimy przecież coś dla Boga. Rezygnujemy z dalszych złych czynów, ponieważ na serio zależy nam na Bogu. I to usprawiedliwia, a poprzez sakrament pokuty przywraca łaskę.

— Tak. Teoretycznie tak jest. Tak było w przeszłości, w dawniejszym życiu Ryszarda. Tylko to ci opowiedział. Ale co teraz dzieje się w jego duszy? Tego nie powiedziałaś.

— Jesteś okrutna, Tereso. To ty jesteś okrutna. I może czasem jesteś za surowa dla Ryszarda.

— Szukam tylko prawdy, prawdy o Ryszardzie, i o procesie utraty miłości. Ryszard chce przekształcić i pogłębić miłość do Krystyny. Chce tę miłość włączyć w miłość nadprzyrodzoną. Nie wspomniał nic o tym, że chce pogłębić, ulepszyć swoją miłość do Boga. Jeżeli jej nie ma, nie pogłębi miłości do Krystyny. Ryszard nie uratuje swej miłości do Krystyny i nie zdobędzie jej miłości. Krystyna słusznie czeka na radość. Smutna i bolesna miłość jest nie dla niej. Zresztą miłość nie powinna być smutna i bolesna.

— To prawda, Tereso, ale taka miłość przychodzi później. Prawdziwej i radosnej miłości trzeba się dopracować. Emocje, nawet emocje radosne, nie są miłością. Zgodzisz się przecież.

— Wiem tylko tyle, że musisz sięgnąć po jakąś inną wersję problemu utraty miłości. Przykład Ryszarda nie wystarczy.

ROZDZIAŁ 13

Wbrew panującym opiniom Andrzej twierdził, że najtrudniejszy w czasie studiów jest pierwszy rok. Sam jest studentem pierwszego roku i wie to najlepiej. Trzeba bowiem nie tylko przestawić się na inny niż w szkole średniej sposób pracy, nie tylko wkroczyć w dziedziny wiedzy pierwszy raz spotkane, lecz trzeba także na nowo, inaczej niż dotychczas odkrywać i poznawać ludzi. To poznawanie ludzi stanowi dla Andrzeja istotną sprawę pierwszego roku studiów. Poznawanie ludzi jest tym samym, co poznawanie ich poglądów, przekonań, uzasadnień, wiedzy. Łatwiej opanować przedmiot, gdy zna się sposób myślenia profesora, jego sposób dowodzenia, gdy się bezpośrednio słyszy i śledzi argumentację. Książka jest martwa. Jest zresztą punktem widzenia, który najczęściej został już przez autora zmieniony, przekroczony, a przynajmniej inaczej sformułowany. Z tej racji Andrzej cenił wykłady. Śledził trud dochodzenia do problemu, chwytania go i ukazania słuchaczom różnych możliwości rozwiązania. Pasjonował go proces kształtowania się wizji, którą profesor powoli przybliżał słuchaczom. To naświetlanie z wielu stron problemu dawało wykładowi przewagę nad książką. Było żywe, prawdziwe i, jak się to mówiło, autentyczne. Profesor poza tym zapalał. Potrafił zachęcić do podejmowania nawet bardzo trudnych zagadnień, do wysiłku, do pracy, o którą przecież na studiach przede wszystkim chodzi. Teresa dodawała wtedy, że chodzi o pracę samodzielną. Taka według niej była myśl profesora. Chodzi o rozwój intelektu. Cała erudycja, którą czerpali z wykładów, była środkiem, sposobem rozwijania intelektu. Nie była to erudycja sucha, męcząca, obciążająca pamięć. To był materiał, przy pomocy którego można było dotrzeć do tematu i metodami, wynikającymi z tej erudycji, a jednocześnie posługującymi się tą erudycją, przejść do rozwiązań trudnej kwestii. Wykład uczył samodzielnego atakowania problemu, pasowania się z nim. Ćwiczenia w małych zespołach dawały okazję sprawdzania własnych prób, uzyskiwanych sprawności, a przede wszystkim pozwalały, z bliska poznawać skomplikowany mechanizm ludzkiego myślenia i cały kontekst uwarunkowań, które wyznaczały sposób i styl naukowego opracowania. Dzięki wykładom Andrzej poznawał od wewnątrz cały warsztat pracy umysłowej profesora i studiowanej dyscypliny, a dzięki ćwiczeniom przede wszystkim poznał

Teresę. Poznał jej zręczność w dostrzeganiu możliwych rozwiązań badanego problemu, jej erudycję, cały intelektualny świat, który stanowił impuls, zaplecze i bazę jej umysłowych przedsięwzięć. Długo jeszcze po ćwiczeniach dyskutowali przebieg zajęć, szukali najlepszych rozwiązań i wyjścia z trudności. Przyzwyczaili się do tej prywatnej kontynuacji ćwiczeń i sporów. Andrzej dopiero później uświadomił sobie, że bez tej dodatkowej dyskusji z Teresą ćwiczenia nie miałyby dla niego uroku. Tak, nie miały uroku. Nie pasjonowały. Były martwe, tak jak martwa jest książka w porównaniu z wykładem. Teresa wносиła w atmosferę ćwiczeń nowe impulsy. Jej nowe pomysły ożywiały uczestników. Tak sądził Andrzej. Mówił zawsze:

— Tereso, dzięki tobie ćwiczenia są interesujące. Gdy ty zreferujesz jakąś sprawę, lepiej ją rozumiem. Dzięki tobie w ogóle coś umiem.

Koledzy Andrzeja ujmowali rzecz o wiele prościej: Andrzej zakochał się w Teresie.

Andrzej miał wtedy dziewiętnaście lat, Teresa osiemnaście. Uczęszczali na te same wykłady, na te same ćwiczenia. Andrzej był ruchliwy, wciąż coś organizował, urządzał dyskusje, sprzeczał się, poszukiwał. A po iluś tam latach mówił do Teresy:

— Szukałem ciebie.

Teresa z wielką pasją uczestniczyła w tych dyskusjach, podejmowała stawiane przez Andrzeja problemy, pogłębiała je, precyzowała, szukała jakiejś sensownej odpowiedzi na tysiące stawianych przez Andrzeja pytań. Wspólnie więc szukali, wspólnie przedzierali się przez trudne kwestie, wspólnie przygotowywali się po prostu do egzaminów. Byli razem. Nawet nie dostrzegli tego, że na tych burzliwych poszukiwaniach spędzili razem prawie pięć lat. Ocknęli się jak gdyby w przeddzień egzaminu magisterskiego.

— Tereso, przecież nie odejdziesz stąd po magisterium!

— Chciałabym wreszcie czegoś się nauczyć. O ile tylko dobrze pójdzie mi magisterium, zabiorę się do doktoratu.

Andrzej zawsze wtedy dodawał:

— Ja też, Tereso, ja też.

Gdy Andrzej przy osobnym stoliczku siedział przed komisją egzaminacyjną, Teresa niespokojna i zdenerwowana czekała na korytarzu przed salą, w której Andrzej zdawał. Wydobyła ukryte do tej chwili kwiaty, trzy duże goździki i już nie kryjąc ich czekała na

pojawienie się Andrzeja. Trzymała kwiaty nawet wtedy, gdy Andrzej uśmiechnięty i spokojny czekał obok niej i w gronie kolegów na wyniki egzaminu. Komisja, która naradzała się w tej chwili, miała za chwilę wynik ten ogłosić. Andrzej znowu stanął przed komisją, a za chwilę stanął przed Teresą.

— Zdałem.

I wtedy Teresa rozplakała się. Andrzej wziął z jej rąk trzy czerwone goździki, przytulił je do twarzy, a potem ucałował Teresę. Koledzy ściskali Andrzeja, hałaśliwie wieszowali mu wyniki. Andrzej śmiał się do nich, opowiadał szczegóły egzaminu, powtarzał dawane odpowiedzi.

— Tereso, trzymaj się, przestań płakać, przecież jutro zdajesz. Teresa w czarnej sukience z białym, ozdobnym kołnierzem, trochę blada i śliczna siedzi przy tym samym, osobnym stoliczku przed komisją egzaminacyjną. Andrzej widzi ją w wyobraźni, tylko Teresę i pamięta to, że jest śliczna. Zdenerwowany i niespokojny czeka przed salą, w której Teresa zdaje.

— Andrzeju, nie martw się. Przecież wiadomo, że Teresa zda bardzo dobrze.

Koledzy, jak wczoraj, czekają z Andrzejem tym razem na pojawienie się Teresy. Wyszła wreszcie z sali. Nie było wątpliwości, że komisja zakomunikowała jej pozytywny wynik egzaminu. Andrzej wręczył Teresie pięć czerwonych róż. Cała grupa ściskała nową panią magister, wykrzykiwała swoją radość i gratulacje. Wszyscy zdecydowali, że zakończenie tych ważnych dni musi się odbyć w kawiarni.

Kawiarenka w kolorach zaskakujących. Ściany kanarkowe, stoliki zielone, fotele czerwone i żółte. Okna przysłonięte. Pod ścianą rząd kaktusów. Jakieś obrazy zawieszane bez smaku. Nie psuło im to jednak humorów. Wszyscy byli rozradowani, pełni wybaczenia, szczęśliwi. Pięciu nowych magistrów przy czarnej kawie: Teresa, Andrzej, Leon, Kazik, Władysław. Gdy Andrzej po latach wspominał to popołudnie, wydawało mu się, że to było wczoraj. Uroczy Leon, trochę kapryśny i bardzo pewny siebie, nawet uparty szczególnie w dyskusjach, może trochę zarozumiały, spontaniczny, mało refleksyjny, działający bez zastanowienia, dobry, lecz dokuczliwy, co wywoływało niekiedy wrażenie małej uprzejmości. Może jednak był trochę mało delikatny. Był jednak umysłowo bardzo żywy, chłonny, obowiązkowy i bardzo w swym

myśleniu samodzielny. To imponowało Teresie. Andrzej złościł się z tego powodu. Leon jednak, waląc Andrzeja dłonią w ramię, mówił ze śmiechem:

— Andrzeju, chłopie, nie zabiorę ci Teresy. Czy myślisz, że ją można zabrać, gdy się chce. To ona wybiera.

Kazik był jak gdyby wewnętrznie ściszony. Wydawało się, że pozostaje wciąż w granicach tych samych zainteresowań, że nie rozbudza nowych, trochę nieobecny, wewnętrznie samotny, swoście pewny siebie lub tylko wierny sobie. Nie dbał o opinię, o to, co się o nim mówiło, cichy, dyskretny, dochowujący zwierzonych tajemnic, łatwy towarzysko, przyjacielski, pracowity. Chętnie słuchał uwag o sobie, nie złościł się, nie denerwował. Dobry kolega.

Władysław (mówiło się Władysław, nie Władek) to zupełnie inna struktura psychiczna. Ogromnie wrażliwy i delikatny, prawie pedantyczny i prawie skrupulatny. Zawsze modnie i zawsze elegancko ubrany, trochę nieufny i raczej zamknięty. Swojej wrażliwości zupełnie źle używał. Zamiast chłonać to, co ciekawe i wartościowe, często zniechęcał się i wewnętrznie odchodził od przyjaciół. Może za mało wytrwały, aby w trudzie zdobywać wiedzę i spełniać studenckie obowiązki. Jego wytrwałość była zależna od nastrojów, które są tak przecież zmienne. Był jednak subtelny w tym, co mówił i czynił, ogromnie prawy. Chętnie poprawiał zachowanie i myślenie, gdy był w okresie nastrojów radosnych. Nie lubił schematów, nie miał ich, wciąż więc się rozwijał, wciąż coś w sobie poprawiał. Zawsze wierny i kochający, gdy został obdarzony zaufaniem. W ogóle jedna wielka suma tęsknot i pragnień.

Wszyscy uzyskali magisterium, wszyscy planowali dalsze studia i doktoraty, wszyscy kochali się w Teresie. Często klócili się w związku z wyrażeniem „kochać się”. Leon twierdził, że takie sformułowanie wyraża egoizm, egotyzm i wszelkie zło. Kochani się w kimś to znaczy szukam siebie. Chcę kogoś sobie podporządkować, w tym kimś chcę sobie zbudować tron i na nim zasiąść. Powinno się mówić „kocham kogoś”. Nigdy „kocham się”. Takie ujęcie jest krzywdzące dla kobiety.

— Jakie to dawne czasy, Tereso. Ale jak to właściwie jest z nami? Czy kocham się w tobie, czy też po prostu cię kocham? Jak to jest według ciebie, Tereso?

Temat „kochani” i „kocham się” przez długi okres stanowił przedmiot zaciętych sporów. Pojawił się już chyba na trzecim roku studiów Teresy i Andrzeja. Wniósł ten

temat Leon. Władysław gorąco bronił tezy, wyrażonej słowem „kocham”, Kazik był za przyjęciem obu wyrażen i obu stylów kontaktu z kobietami, Leon stał po stronie Władysława, Teresa całą sprawę uważała za głupie gadanie.

— Gdy się kocha, to się tego nie czuje i nie widzi. Po prostu się kocha. Miłość, którą trzeba sobie uświadomić, nie jest miłością.

Andrzej, jak zawsze, stawał po stronie Teresy. Wracając jednak z zajęć do domu akademickiego, w którym mieszkał z Leonem, Kazikiem i Władysławem, zastanawiał się, czy Teresa ma rację. Nie, nie ma racji. Człowiek jest bytem świadomym i wie, musi wiedzieć, czy kocha, czy nie kocha. Był już na czwartym roku, gdy doszedł do wniosku, że jednak Teresa ma rację. Przecież on, Andrzej, kocha Teresę, kocha od pierwszych spotkań i wcale o tym nie wie. Cóż oznacza ta potrzeba obecności Teresy na ćwiczeniach, jeżeli nie miłość? Bez niej ćwiczenia nie mają uroku, przestają być interesujące. Tylko w dyskusji z Teresą akceptuje proponowane przez profesora tezy. Tylko miłość jest drogą, po której dochodzi się do wiedzy i do człowieka. Andrzej postanowił ukryć swoją miłość, schować ją na dnie serca przed kolegami, swoją własną tajemnicę, która wzrusza go i kształci. Wszyscy dookoła widzieli tę miłość. Teresa i Andrzej sądzili, że wiedzą o tym tylko sami, oni dwoje, jedyni szczęśliwi w hałaśliwym świecie. Andrzej ukrył swoją miłość na dnie serca, Teresa otuliła w nią swą duszę.

Odkryli swą miłość przypadkiem. Andrzej po prostu kiedyś zachorował. Teresa miała iść na ćwiczenia i starannie zapamiętać wszystko, aby Andrzejowi powtórzyć. I nie mogła pójść na te ćwiczenia. Poszła do parku pełna męki i tęsknoty, samotna, nieszczęśliwa i zapłakana. Przez Leona przesłała Andrzejowi wiadomość, że źle się czuła, że nie była na ćwiczeniach. A kiedy Andrzej przyszedł na zajęcia, trochę blady i słaby, dowiedział się od Teresy, że bardzo się o niego martwiła, że nie mogła pracować, że tylko dzięki niemu jest w stanie studiować. I wracając tego dnia z zajęć do domu akademickiego Andrzej uświadomił sobie, że kocha Teresę. Prawie przystanął. Ogarnęła go jakaś ogromna radość, którą nazwał szczęściem. Tak, to jest szczęście. Szczęście to radość. Na drugi dzień długo tłumaczył Teresie, że istnieje tożsamość radości i szczęścia. Teresa słuchała, nie sprzeczała się tym razem. Dodała tylko:

— A miłość? Czym jest miłość, Andrzej?

— Miłość to szczęście i radość.

A po chwili Andrzej dodał nieco ciszej, z jakimś lękiem i trwogą, oczekując czegoś i bojąc się siebie.

— Moją miłością, moim szczęściem i moją radością jesteś ty, Tereso.

I w to popołudnie, które w wesołej gromadzie spędzili w kawiarni kończąc uwieńczony magisterium pierwszy etap studiów, Andrzej myślał o tej rozmowie sprzed półtora roku, o rozmowie, która była wyznaniem sobie miłości. Ta rozmowa związała ich, umocniła. Andrzej wiedział, że wielu kolegom Teresa się podoba, że Leon, Kazik i Władysław kochają się w niej.

— Oni się w niej kochają, a ja ją Kocham. I dlatego Teresa będzie przy mnie. Nie bał się, że straci Teresę. Mimo wszystko jednak bał się trochę Leona, Kazika i Władysława. Bał się ich zalet, które Teresa ceniła. I słuchając teraz w kawiarni wesołych pogwarek, biorąc w nich udział w utajonym myśleniu porównywał swoje zalety z zaletami trzech kolegów.

— Czy Teresa zaakceptuje to, czym jestem?

Teresa chwaliła w Andrzeju jego rozsądek, dyskretnie, jak mówiła, funkcjonujący. Cieszyła się, że Andrzej umie z dystansem patrzeć na siebie. Dzięki temu nie wpadnie w próżność, będzie się uczył, bo nie przyjdzie mu do głowy, że zjadł wszystkie rozumy. Według niej Andrzej jest krytyczny, umie rozróżniać wady i zalety, dobro i zło, dobre oceny w indeksie nie przewracają mu w głowie. Lubiała humor Andrzeja, czasem przykry dla otoczenia, lubiała jego pasję poszukiwań, pytań, dyskusji. Uważała, że jest jednak mimo wszystko miły. Nie zrażał jej jego cięty język. Ceniła dowcip Andrzeja, jego elegancję, dobre serce, gorące przemówienia. Lubiała jego wysokie czoło, ciemne oczy za okularami. Kochała Andrzeja. Andrzej wiedział o tym. Było to dla niego źródłem spokoju, pewności szczęścia, które nadchodziło, które właściwie już było. A to, że bał się kolegów, mogło w ogóle być formą lęku o Teresę, o to, by jej nie stracić.

Rozprawy doktorskie przygotowali prawie równocześnie. Andrzej w czerwcu bronił swej rozprawy i zdał pomyślnie egzamin doktorski, Teresa we wrześniu przystąpiła do obrony pracy i egzaminu. Emocji i wrażeń, które wspólnie dzielili, było dużo. Najpierw był kłopot z wyborem tematu pracy. Po kilku konsultacjach z profesorem temat został wybrany i sprecyzowany. Zaczęły się wędrówki po bibliotekach, długie godziny lektur i wysiłku pisania.

— Andrzejku, nie mam już sił. Nie napiszę tej pracy. Temat jest za trudny. To, co napisałam, nie ma sensu.

— To nic, nie martw się tym, poczekaj, odpocznij. Wróć do tekstu za kilka dni. Dojrzysz wtedy nowe aspekty, to wszystko, czego nie zauważyli poprzedni badacze. Takie zniechęcenie jest czymś zupełnie naturalnym. Zawsze zjawia się w jakimś etapie badań. Nie należy brać tego na serio.

I po trzech latach regularnej pracy napisali swoje rozprawy doktorskie. Profesor przedstawił je radzie wydziału. Rada wydziału powołała recenzentów, recenzenci ocenili rozprawy pozytywnie, rada wydziału zebrała się, aby przeprowadzić obronę pracy. Andrzej siedział przy osobnym stoliku, słuchał odczytywanych recenzji, zreferował tezy swej pracy, odpowiedział na zarzuty. Gdy obrona została przyjęta, zdał egzamin. Teresa przyniosła trzy czerwone goździki, Andrzej przyniósł Teresie po jej egzaminie pięć czerwonych róż. Obiad doktorski wydali w restauracji. Rektor uniwersytetu wygłosił miły toast, po nim zabrał głos dziekan wydziału i promotorzy dwu młodych doktorów, Teresy i Andrzeja, od trzech lat lubianego na uniwersytecie małżeństwa.

Pobrali się w pierwszą Wielkanoc po swym magisterium, które odbyło się w czerwcu. Spędzili uroczę wakacje na jeziorach, jeżdżąc kajakiem, zbierając w lasach jagody i grzyby. Z wakacji wrócili zaręczeni. Spędzili jakiś czas u rodziców Teresy i u rodziców Andrzeja. Obydwa domy pełne były radości i szczęścia.

— Masz rację, Andrzejku, miłość to szczęście i radość. Nasza miłość wnosi radość i szczęście. Popatrz, ile radości i szczęścia pozostawiła ta miłość w twoim i moim domu.

— A ileż tej radości i szczęścia wniesie w nasz własny dom, Tereso. Pomyśl tylko, cała miłość i pełne, radosne szczęście.

— Co to jest szczęście, Andrzejku? Czy szczęście to radość? A radość, czy to jest szczęście? Mówiłeś, że radość i szczęście składają się na miłość. Ale czym jest miłość? Czuję radość, czuję szczęście i kocham cię. Nie wiem jednak, co to jest szczęście i radość. Nie wiem, co to jest miłość. Może nie muszę wiedzieć. Wystarczy, że je mam. Mam twoją miłość, a ty masz moją.

— Miłość jest tylko miłością, jest zawsze miłością. To, co mówię jest strasznie banalne, ale to tak jest. Każde pokolenie, każde małżeństwo, każdy człowiek określa

sobie miłość, szczęście i radość. Ta interpretacja, to określenie zostaje. Wchodzi do tradycji, stanowi obowiązującą obyczajowość. Wszyscy ludzie, którzy na nas patrzą, nasi znajomi i nasi rodzice, mierzą i oceniają naszą miłość i nasze szczęście. Posługują się wziętymi z tradycji określeniami. Tym określeniom i my podlegamy. Nie burzymy ich, lecz nie podejmujemy. Tworzymy własne określenie miłości i szczęścia. Dopracowujemy się własnej wersji miłości. Tu może powstać konflikt między tradycją i nami. Konflikt bolesny, mimo że pozorny. Nie burzymy dawnych obyczajów, nie wyłamujemy się z tradycji, po prostu dodajemy do tradycji własne doświadczenie. To doświadczenie, ujęte w nasze określenie miłości, przekazujemy tradycji, wzbogacamy ją, spłacamy swój dług przez pomnożenie talentów.

— Lecz jakie jest to nasze doświadczenie, jaka jest ta nasza własna wersja miłości?

— Musimy mieć swoją wersję miłości. Gdybyśmy przyjęli jakiś schemat z tradycji, wpadlibyśmy w schemat. Ze schematem przyszłoby to, co nie zawsze jest istotne. Te właśnie dodatkowe, zewnętrzne elementy musimy umieć rozpoznać i odrzucić. Nie możemy na nich oprzeć swego szczęścia i swojego życia. Swoje życie i swoje szczęście musimy oprzeć wprost na miłości, na tym, co w niej istotne. A istotna jest właśnie miłość.

— I znowu muszę pytać, Andrzejku, co to jest miłość.

— Widzisz, Tereso, to nie jest proste, a jednocześnie jest bardzo proste. Kocham cię i ty mnie kochasz.

— Kocham cię, Andrzejku.

— I chcę cię kochać, jak umiem najlepiej, jak samego siebie. Ale czy mogę być miarą mej miłości do ciebie? Wydaje się, że to za mała miara, że zasługujesz na więcej. Bóg jest miłością, jest samą miłością. Jest więc miarą i źródłem miłości. Jeżeli jest źródłem miłości, to jest także źródłem mojej miłości do ciebie i twojej do mnie. Moja miłość, poszerzona o miłość Bożą, ugruntowana w tej miłości, może dopiero stać się miarą mojej miłości do ciebie. Jeżeli tego nie zrobię, jeżeli nie włączę mej miłości w miłość Bożą, nie poszerzę jej o tę nieskończoną miłość, będę cię źle kochał, egoistycznie, nietrwale. Trwałość miłości gwarantuje miłość Boża. Gwarantuje jej jakość i siłę.

— Boję się, Andrzejku, tej interpretacji, tej wersji miłości. A jeżeli z jakichś powodów nie włączysz swej miłości w miłość Bożą, czy będziesz mnie mniej kochał, źle i nietrwale?

— Będę cię zawsze kochał na miarę mego serca, mej duszy, moich sił, chcę jednak cię kochać na miarę największą, całą moją miłością, powiększoną o miłość Bożą. Obejmując swą miłością także Boga rozszerzam swoją miłość, a ty zyskujesz, po prostu otrzymujesz miłość największą, jaką zdolny ci jestem ofiarować.

— Wiem, że Bóg nie jest zazdrosny, że dopuszczony do naszej miłości, ponieważ jest nie tylko miłością, lecz także świętością, udoskonalił tę miłość, uświęcił. Tak, uświęcił. To zawrotna perspektywa i trudna. Może boję się tego trudu, Andrzejku.

— Jesteśmy do niego zobowiązani. Decydując się na miłość decydujemy się także na trud. Decydujemy się na owocowanie miłości. Nie możemy jej zamknąć w naszych sercach. Musimy ją stamtąd wydobyć przynajmniej dla siebie. Muszę wydobyć swoją miłość ze swego serca, aby ją dać tobie, a ty musisz swoją miłość wydobyć, aby ją dać mnie. Miłość staje się czymś wspólnym. Jest własnością naszego małżeństwa, które jest jednocześnie rodziną. Jest więc własnością rodziny. W tej rodzinie miłość jest klimatem i pożywką dla nowych ludzi, naszych dzieci, które zjawiają się w rodzinie. Mają prawo do tej miłości. Bóg jest właściwym stwórcą nowego człowieka, małżonkowie z nim współpracują przez swoją zdolność płodności. Bóg więc jest jakby wezwany przez naszą miłość do rozwijania jej i powodowania owoców tej miłości. I cały trud rozwijania miłości polega na dzieleniu się miłością z Bogiem. Z naszymi dziećmi. Myślę, że najpełniej ujawnimy tę miłość, gdy nie będziemy w niej szukali siebie. Zresztą miłość z natury jest taka, że wykracza poza serce. Miłość jest wtedy, gdy daję ją tobie. A daję ją tobie najpełniej, gdy daję ją jednocześnie Bogu, naszym dzieciom i naszym bliźnim. Co to jednak znaczy dawać miłość? Dawać miłość to nie szukać siebie, to rezygnować z siebie aż do całkowitego, wewnętrznego ubóstwa, rozdania wszystkiego, co mam. To jest jednocześnie pokazywanie, że Bóg na serio jest miłością, że warto Go szukać, że jest Osobą, której chcę poświęcić siebie. W tym poświęceniu, w tym oddaniu siebie, wyraża się właśnie miłość. Tak chcę ci ją wyrażać. Pomóż mi w tym, Tereso. Może małżeństwo ma ten właśnie cel: objąć miłością Boga, współmałżonka, dzieci, oddać im siebie.

— I ty mi pomóż, Andrzeju, pomóż mi prawdziwie kochać.

— Pytałaś, co to jest radość. Radość doskonała polega na ofiarowaniu siebie, na tym, że ktoś podejmuje ofiarowaną miłość, że już jej nie mam tylko w sobie i tylko dla siebie, że na miejsce mojej, ofiarowanej miłości, weszła nowa przez kogoś darowana mi miłość, twoja miłość. To jest radość. I z tym wiąże się sprawa szczęścia. Szczęście polega na radości, ale nie na radości posiadania, lecz na radości ofiarowania, darowania komuś siebie. Szczęście więc polega na sprawianiu radości. Nie jest równoznaczne z nastrojeniem, z uczuciem. Dawanie, ofiarowywanie może być bolesne, może być męką, gdy stanie się ofiarowaniem całego siebie, wszystkich swoich sił i zdolności. I tu właśnie nie wolno się pomylić. Nie wolno wierzyć tradycyjnym ujęciom, że szczęście polega na braku cierpień, bólu, męki, na miłych nastrojach, dostatku, powodzeniu. Szczęście to ofiara, niekiedy ofiara pełna męki. I sami musimy tę własną wersję szczęścia wypracować. Wypracowujemy ją nie teraz, nie w teoretycznej analizie, wypracowujemy ją dopiero własnym życiem. Może być ono pełne męki i pełne radości. To od nas zależy, od naszej wierności sobie i Bogu. Widzisz, Tereso, miłość jest sprawą tak bardzo poważną i wielką, że mieści się w niej wszystko, całe życie i cały człowiek, a właściwie dwoje ludzi, Bóg i wszyscy bliźni, cały świat. Cały świat. To prawie straszne. Cały świat ze wszystkim, co w nim się dzieje. Ale nie lękaj się, Tereso! Miłość pomoże. Tylko miłość jest w stanie udźwignąć mękę świata. Tylko miłość.

Ślub Teresy i Andrzeja odbył się w drugi dzień świąt Wielkanocnych w małym wiejskim kościółku, w rodzinnej miejscowości Teresy. Na ślub przyjechały dwie koleżanki Teresy, Izolda i Zosia. Przyjechali też, oczywiście, trzej wierni koledzy: Leon, Kazik i Władysław. Izolda opowiadała potem ich wspólnym uniwersyteckim znajomym, że panna młoda brała ślub w białej krótkiej sukni z długimi rękawami, dopasowanej w talii i z dużym kloszem u dołu. Na głowie miała krótki welon, ozdobiony nad czołem gałązką mirtu, na szyi złoty łańcuszek, który potem cudnie harmonizował ze złotą obrączką małżeńską. Pan młody w ślicznie skrojonym czarnym garniturze i z małą zieloną gałązką, przypiętą do marynarki. Był problem, czy ma założyć białą muszkę, czy krawat, ostatecznie Leon zdecydował, że ma być muszka. Młodzi zachwycali urodą, elegancją, wdziękiem, kulturą, dobrocią, inteligencją, rozmową, humorem, taktem, religijną wrażliwością na ludzkie kłopoty i najważniejsze

sprawy życia. W ogóle nadzwyczajna para. Leon tylko miał zastrzeżenia co do tej urody, ale przegrał w sporze z Izoldą.

Ewangelia ich Mszy dla nowożeńców poruszyła Andrzeja. Znał ten tekst od dawna, ale teraz wyraźnie odczuł, że Bóg kieruje te słowa wyraźnie do niego, do nich dwojga, decydujących się na podjęcie odpowiedzialnego zadania wspólnej pracy nad ukształtowaniem miłości i stworzenia z niej środowiska, w którym Bóg i ludzie, przychodzący do założonej dziś przez nich rodziny, znajdą ich otwarte serca, gotowe służyć wiedzą, troską i swoistą pełnią poszukiwanego bogactwa duszy. Właśnie rodzina jest jakby specjalnie zobowiązana do dzielenia się miłością. A to dzielenie się miłością polega po prostu na tym, aby nagich przyodziać, głodnych nakarmić, spragnionych napoić, wątpiącym dobrze radzić, smutnych pocieszać, bezdomnych w dom przyjmując, więźniów bronić, umarłych grzebać. Andrzej przeraził się tego ostatniego obowiązku, który zjawiał się tak wyraźnie w dniu ich radości. Ale jednak nie można zamykać oczu. Będą też przecież pogrzeby. Sam przecież mogę umrzeć — myślał Andrzej. Boże, zachowaj mi Teresę! Nie mógłbym bez niej iść do Ciebie. Jej brak byłby ponad moje siły. I oszczędź nasze dzieci, oszczędź je, Boże! Zostaw mi wszystkich, których kocham, i rodziców, i przyjaciół! I stanęła przed oczami Andrzeja wizja czasów, które przyjdą, czasów sądu, gdy Chrystus zwracając się do Teresy i Andrzeja powie: byłem głodny, bezdomny, smutny, spragniony, a nakarmiliście mnie, przyjęliście do domu, pocieszyliście. Panie, kiedyśmy Cię nakarmili, odziali, pocieszyli? To, co zrobiliście dla braci moich najbiedniejszych, mnieście uczynili. Boże, przeprowadź nas tak przez życie, byśmy stanęli kiedyś w grupie Twoich wybranych! Zawsze zresztą jesteśmy po Twojej stronie i chcemy być z Tobą. Zawsze z Bogiem. Andrzej niepokoił się swoimi eschatologicznymi skojarzeniami. Czy powinni przyjść teraz, w radosnym dniu jego ślubu z Teresą? Ale przecież stoją przed Bogiem. W Bogu jest jednocześnie całość ich życia, wszystkie wydarzenia, a więc i to, co stanie się później. Skupienie Teresy skierowało jego uwagę na ołtarz, na którym Chrystus realnie był z nimi pod postacią chleba. Jest Chrystus, jest blisko, jest w ich duszach sakramentalnie, zostanie, pomoże. Jezu Chryste w duszy Teresy ogarnij i moją duszę, pomnóż w nas miłość, umocnij ją! Uświęć naszą miłość, aby stała się godna Ciebie, abys nie musiał z niej odchodzić! Nie odchodź nigdy, cóż byśmy zrobili bez Ciebie! I jaka stałaby się ta nasza miłość? Nasza

miłość. Czym ona jest? Teresa wciąż o to pyta. Andrzej rozumiał, że miłość nie jest tylko nastrojem, tylko uczuciem, tylko działaniem. Jest także nastrojem, uczuciem, działaniem, jest wyborem ukochanej osoby, ukochanej Teresy, darmo jej danym darem całego wewnętrznego życia, całej uwagi i troski. Jest odszukaniem dobra, przyjęciem dobra i ofiarowaniem dobra. Czy miłość może być tylko działaniem, czymś, co ujawnia osobę ludzką, jej tęsknoty i jej wartości? Czy byłaby więc tylko odsłonięciem serca? Nie, to za mało. Miłość jest czymś, co tkwi w osobie ludzkiej, co nadaje sens jej życiu i działaniu. Jest duszą duszy ludzkiej jest istotnym czynnikiem, modyfikującym i podnoszącym wartość człowieka. Jest czymś więcej niż działanie, niż wybór. Jest realnym sposobem tworzenia wspólnoty, łączenia w jedną całość wszystkich nurtów życia dwu kochających się osób. Ale jako jednak działanie i wybór jest słabsza od osoby ludzkiej, w niej przebywa i musi pozostawać wewnątrz osoby, którą kochamy. Jest więc mostem, łączącym dusze kochających się osób. Tkwi w dwu sercach i jest jakby zawieszona między sercami ludzkimi. Z tej racji zawsze jest narażona na niebezpieczeństwo zerwania, na ataki z zewnątrz. Trzeba jej bronić, trzeba jej strzec, tego jej odcinka, który jest między dwoma sercami. I Andrzej zrozumiał, a może raczej odczuł w sposób, którego nie umiałby wyrazić, że trwałość miłości zabezpiecza Chrystus. Jest Bogiem, jest realnie wszędzie obecny, jest w duszach ludzkich i poza nimi. Na Chrystusie można więc oprzeć ten odcinek miłości, który istnieje jako łącznik między dwoma sercami ludzkimi. I na Chrystusie można oprzeć miłość znajdującą się w duszy. Chrystus jest realną opoką miłości ludzkiej, jest kanałem, którym miłość ludzka przepływa z jednego serca do drugiego. To jednak tak jest. Miłość jest zagrożona, gdy nie podtrzymuje jej Chrystus. Chrystus uratuje jego miłość ofiarowaną Teresie i miłość Teresy, miłość ufnie złożoną przez Teresę w jego sercu. Chrystus nie jest więc kimś trzecim w ich życiu i w ich miłości. Jest tym, co daje trwałość miłości, jest koniecznym łącznikiem porozumienia ich dusz, jest w ich miłości racją rozwoju radości i szczęścia. Nie przeszkadza, nie rozdziela, łączy, umacnia i daje wzrost miłości. To wszystko jest o wiele głębsze i inne, ale przecież tak trudno myśli ludzkiej i słowom ująć tajemnicę szczęścia. Chrystus jest po prostu tajemnicą powodzenia miłości dwójga kochających się osób. Tak, to dobre określenie: Chrystus jest tajemnicą trwania i wzrostu miłości między ludźmi.

I co właściwie wiem o Teresie? Widzę ją, rozumiem i kocham. Nie wiem jednak, co dzieje się w jej duszy teraz podczas tej Mszy dla nowożeńców. Wiem jednak dużo. Znam tajemnicę trwania jej miłości we mnie. Znam Chrystusa, który jest w duszy Teresy, który będzie tam zawsze, „aż do czwartego pokolenia”. Andrzej dołączył te usłyszane słowa błogosławieństwa do swoich myśli. Ze śmiechem też przyjmował uściski Leona, który gratulując małżonkom decyzji w gronie gości, składających przed kościołem życzenia, wykrzykiwał swoje nadzieje, że umrze młodo i nie zobaczy siwej brody Andrzeja, który zgodnie z błogosławieństwem dla nowożeńców będzie oglądał swoje dzieci i wnuki aż do czwartego pokolenia. Andrzej patrzył na Teresę.

— Pomyśl, Tereso, będę cię kochał mając siwą brodę. Zawsze będę cię kochał.

— Zawsze, Andrzeju, będę cię kochała.

Przy stole weselnym podczas obiadu Władysław niespodziewanie wygłosił toast.

— Tereso, Andrzeju, sprawiliście radość swoim rodzinom, uniwersytetowi, Kościołowi. Najpierw rośliście w rodzinach, ucząc się w ich klimacie dobra, sprawiedliwości, miłości. Poznawaliście świat poprzez ujęcia kształtowane w waszych domach. Klimat rodzinnej miłości był miarą i sposobem usprawnienia waszego wyboru ludzi, spojrzenia na nich, wyczuwania ich trosk i celów. Rodziny ufnie przekazały waszemu szkolom, wśród których uniwersytet miał dopełnić i ukierunkować wasze zainteresowania, uszlachetnić poznanie i postępowanie. Wasze dyplomy naukowe i stanowiska uniwersyteckie świadczą o tym, że pracowaliście, jak można było najlepiej, i że nabyte przez was doświadczenie pozwala już powierzyć wam zadania dydaktyczne i wychowawcze w stosunku do nowych pokoleń, przekazanych przez rodziny uniwersytetowi. Inaczej mówiąc, znaczy to, że już sami możecie tworzyć klimat, w którym inni będą się uczyli dobra, sprawiedliwości i miłości. Decydując się na małżeństwo nadaliście temu klimatowi rangę rodziny, tego więc środowiska, które jest najbardziej realną i naturalną szkołą dobra i miłości. To wszystko zobowiązuje was do pogłębienia tego, co wynieśliście z rodzin i z uniwersytetu i do nadania waszej miłości tej wersji, która najlepiej odpowie potrzebom ludzi, przychodzących do waszej rodziny po ciepło, serdeczność, wiedzę, po wszystkie dobra, potrzebne rosnącemu człowiekowi. A czyniąc swoje małżeństwo sakramentem daliście dowód, że w tworzonym przez was klimacie miłości będzie się liczył plan Opatrzności, że w swoim działaniu

dydaktycznym i wychowawczym chcecie udostępnić uczniom przyrodzoną i nadprzyrodzoną rzeczywistość. I tym właśnie cieszy się Kościół. Radosne „exultet” wielkanocne wyraża dziś razem z Kościołem wasza rodzina i uniwersytet. Wszyscy się cieszą, wszyscy się cieszymy. W twoim imieniu, Andrzej, brzmi greckie słowo „aner” — mąż, męskość, moc, męstwo. W imieniu Teresy jest słowo „theos” — Bóg, boskość. Połączeni dziś przysięgą małżeńską stanowicie etymologicznie moc Bożą. A mąż Boży, to w języku biblijnym największa pochwała, podstawa zaufania i obietnica wielkich dzieł. Mój toast obok gratulacji, kierowanych do was, do waszych rodzin, do uniwersytetu i Kościoła, zawiera także życzenie zrealizowania przez was dzieł wielkich w waszej rodzinie, na uniwersytecie i w Kościele, którym jesteście. Obyście byli sławą nas wszystkich i światłem oczu naszych, światłem, dzięki któremu widać sens życia, ludzi i Boga.

Państwo młodzi zamieszkali w służbowym pokoju Andrzeja. Dni wypełniali rozmowami, pracą nad doktoratem i rozlicznymi zajęciami uniwersyteckimi. A wręczając sobie kwiaty po egzaminach doktorskich nawiązali do swoich pierwszych słów, wypowiedzianych po ślubie.

— Będę cię kochał mając doktorat. Zawsze będę cię kochał, Tereso.

— Zawsze, Andrzej, będę cię kochała.

— A dziś mając lat trzydzieści chcę ci powiedzieć to samo, Tereso. Zawsze będę cię kochał.

— Zawsze, Andrzej, będę cię kochała.

— Dlaczego, Henryku, Andrzej i Teresa używają czasu przyszłego, dlaczego mówią: będę cię kochał i będę cię kochała? Dlaczego nie powiedzą Kocham cię? Czy jeszcze nie osiągnęli miłości?

— Z tego, co o Andrzeju i Teresie napisałeś, Ryszardzie, wynika, że bardzo się kochają. I myślę, że trudno ci będzie teraz pokazać w ich życiu proces utraty miłości, jeżeli chciałbyś i na ich przykładzie taki proces prześledzić.

— Jeżeli miłość jest działaniem, zawsze może być intensywniej lub mniej intensywnie dokonywanym łączeniem miłości ludzkiej i Bożej. Andrzej i Teresa oparli swoją miłość na Chrystusie, to prawda. Ale w mojej powieści Andrzej utraci miłość

Bożą. Zobaczymy, jakie z tego wyłonią się konflikty i jak Teresa ratując ich wspólną miłość przywróci Andrzeja Bogu. Ten eksperyment powinien być ciekawy.

— Staraj się jednak, Ryszardzie, nie popełnić wobec Andrzeja niesprawiedliwości.

— Ależ, Henryku, autor jest zawsze badaczem, jest eksperymentatorem. Poruszane przez siebie problemy musi naświetlać z wielu stron. Celem bowiem książki jest naświetlenie i, o ile się uda, rozwiązanie podjętych zagadnień. Postacie książki są tylko symbolami lub sposobem analizy. Nawet w biografii występuje zjawisko, które można nazwać podmiotem lirycznym. Jest to po prostu sposób wyrażania przyjętej i nie dającej się uniknąć interpretacji. W każdej książce czymś dosłownym jest tylko poziom umysłowy autora, jego sposób widzenia problemu, rozwiązania. Reszta zawsze jest sumą przekształceń danych erudycyjnych, psychologicznych, historycznych i wielu, wielu innych. Bohaterem naszej książki na serio mówiąc jest jednak problem procesu utraty miłości.

ROZDZIAŁ 14

Andrzej przyjaźnił się z Władysławem. Znali się od pierwszego roku studiów, ale przypadli sobie do serca z początkiem czwartego roku. Poznali się bliżej na wspólnych wczasach. W grupie, z którą odbywali długie wycieczki górskie, Władysław był kimś w rodzaju przewodnika. Znał dobrze szlaki turystyczne w Tatrach, a poza tym znakomicie bawił wszystkich swoim humorem. W długich dyskusjach był niezmordowany. Nawet na Orlej Perci wykrzykiwał swoje teorie niosąc przy okazji w swoim plecaku torbę Teresy.

— Andrzejowi dałaś serce, więc mnie daj chociaż torbę. Andrzej dziwił się, że Władysław jest zupełnie inny w górach. Pozostał mu subtelny dowcip, pozostały tęsknoty, ale zniknęły gdzieś smutne nastroje, nieufność i żale. Nabywał cech Leona.

— To góry tak zmieniają człowieka, góry. Podnoszę oczy moje na góry, skąd pomoc mi przychodzi, pomoc moja od Pana. Szukajcie tego, co jest w górach! Andrzej, tak przecież radzi św. Paweł.

— Wydaje się, Władysławie, że trochę zmieniasz tekst psalmu i tekst listu św. Pawła. Ale ładnie to zrobiłeś. Ja też lubię góry. I w górach znajduję majestat, który mi przypomina potęgę i wielkość Boga, nawet grozę Boga. Tak, jest w górach coś z misterium *tremendum*.

— Zapominasz jednak o misterium *fascinosum*. Góry przyciągają swoim pięknem. Zapominasz o pięknie. A piękno tak wielkie musi zwracać ku Bogu, który jest pięknem. Pomyśl, jak piękny musi być Bóg, skoro góry są tak piękne. To piękno wraca mi siły, wrywa mnie z drobnych spraw życia, pomaga mi zobaczyć siebie trochę z dystansu. I to jest właśnie ta pomoc, która przez góry przychodzi od Pana. Podnoszę więc oczy moje na góry. I szukam tego, co w górach jest, a nie na dole, w ciasnym kręgu codziennych kłopotów.

— Ale czy nie zapominasz, że codzienne kłopoty nas wychowują?

— Wiem o tym. Wychowują nas jednak także wydarzenia niezwykle, właśnie góry. I trzeba o tym pamiętać. Odświeżają uczucia, oczyszczają spojrzenie.

— A jednak boję się piękna. Nie wiem, co to znaczy, Władysławie. Nie ufam pięknu. Boję się może tego, że piękno zbyt przywiązuje, zbyt wciąga. Chcę być przywiązany do Teresy, nie do gór. Nie umiem jeszcze dzielić swej miłości pomiędzy różne przedmioty. Kocham wyłącznie Teresę.

— To nie jest dobra postawa. Andrzej, przemyśl tę sprawę. Musisz nauczyć się kochać wszystkich ludzi. Wystarczy miłości dla wszystkich ludzi i nie umniejszysz wcale miłości do Teresy, nawet tę miłość powiększysz. A przede wszystkim musisz tą miłością do Teresy objąć także Boga. Jeżeli tego nie zrobisz, nie będziesz kochał Teresy tak, jak na to zasługuje.

Andrzej już teraz wciąż rozmawiał z Władysławem, codziennie, na każdej przerwie między wykładami, każdego wieczoru w pokoju studenckim. Na spacerach brała w tych rozmowach udział także Teresa. Wspólnie rozmawiali, uczyli się, wspólnie przygotowywali się do magisterium. A w dniu swojego ślubu Andrzej może właśnie dzięki tym rozmowom zobaczył wreszcie miejsce Chrystusa w swej miłości do Teresy.

Życie małżeńskie Teresy i Andrzeja płynęło szczęśliwie. Zajęci pracą nie mieli czasu na przejmowanie się drobiazgami. Może dzięki temu nauczyli się nie zwracać na nie uwagi. Podejmowali tylko sprawy ważniejsze, omawiali je, naradzali się, rozstrzygali. Andrzej mówił ze śmiechem, że zajmuje się w domu sprawami ważnymi, takimi jak problem wszechświatowego pokoju, loty międzyplanetarne, sprawa głodu w Azji itd., resztą zajmuje się Teresa. Było im jednak z sobą dobrze. Teresa miała dużo zmysłu praktycznego, umiała z drobiazgów złożyć sensowną całość ich życia. Rano biegli do kościoła na Mszę świętą, przyjmowali Komunię. Po śniadaniu biegli na uniwersytet, po zajęciach na obiad, do biblioteki lub do domu, aby choć trochę popchnąć robotę, która ich zbliżała do doktoratu. Doktoraty odbyły się, odbyło się też wiele pięknych wycieczek, podczas których z Władysławem, Zosią, Izoldą i Kazikiem, Teresa i Andrzej szukali w górach piękna.

Od czterech lat Teresa i Andrzej nie wyjeżdżali w Tatry. W rok po ślubie Teresa urodziła Marka. Zajęci dzieckiem nawet nie pomyśleli o górach. Marek zmarł mając dwanaście miesięcy. Ale Hory już nie wróciły.

Teresa była bardzo przejęta okresem ciąży. Przemeblowała mieszkanie, uzupełniała wyprawkę mającego się urodzić dziecka, szyła, czytała, prowadziła zajęcia

uniwersyteckie. Starła się słuchać muzyki, unikać zdenerwowania. Modliła się dużo i często. Tworzyła cały specjalny klimat wewnętrzny, którym chciała pomóc w rozwoju jeszcze nie narodzonemu dziecku.

Marek urodził się szybko, prawie zaskoczył rodziców swoim przyjściem. Rósł, spał, trochę płakał, gdy był głodny, potem uśmiechał się, znowu spał, płakał i rósł, jak trzeba. Zmarł na odrę, zwykłą dziecięcą chorobę, której Teresa i Andrzej nie umieli zapobiec i której organizm dziecka nie zwalczył. Marek odszedł cicho. Rozpacz Teresy objawił długi, pełny bólu krzyk płaczącego człowieka, Andrzej zamknął w sobie swoją mękę. A po latach, gdy Andrzej był sam, gdy Teresa wyszła z domu lub wyjechała, nagle chwycił Andrzeja idący z głębi pamięci i serca bezgłośny szloch, wyrażający całą mękę tęsknoty za Markiem.

Pogrzeb dziecka jest związany z najbardziej przejmującą liturgią, która łączy ból i radość, która męce rodziców daje pociechę w pewności zbawienia ochrzczonego dziecka. Ból Teresy był ponad jej wytrzymałość. Płakała całymi tygodniami po śmierci Marka, w czasie pogrzebu zupełnie samotna w swym opuszczeniu, w poniesionej stracie, bo nawet Andrzej nie mógł dotrzeć swą miłością do jej zranionego serca, jedyną pociechę znajdowała właściwie w liturgii dziecięcego pogrzebu. Dotknięcie miłości Bożej, tylko to dotknięcie nie powiększało jej rany, nie pogłębiało męki. Współczujące słowa przyjaciół sprawiały mękę jej obolałej duszy. Pełne zrozumienia milczenie Andrzeja podtrzymywało jej siły fizyczne. Zranionych uczuć, całej śmierci perspektyw i nadziei, związanych z Markiem, nic nie mogło wytłumaczyć. Serce Teresy boleśnie krwawiło, wpływ tej duchowej krwi osłabiał jej siły, jej nadzieję, zamykał drogę życia, pozbawiał tęsknot, pozbawiał życia. Teresa miała tylko tyle sił, aby zgłosić Bogu swoje straty. Chciała z tej racji, aby pogrzeb rozpoczął się od Mszy świętej, aby ochrzczone zwłoki zmarłego dziecka, jej syna, mogły pierwszy i ostatni raz uczestniczyć w ofierze krzyżowej Chrystusa. Białe kolor szat liturgicznych, spokojne pieśni maryjne Teresa odczytywała jako odpowiedź Boga na jej ból, jako propozycję dźwignięcia się ze smutku. Podjęła tę propozycję, białą dłoń liturgii i trzymając się tej dłoni przebyła krzyżową drogę utraty Marka. Utraciła miłość syna, miłość, która jeszcze się nie zaczęła, która była obietnicą i nadzieją, która zmarła przed urodzeniem. Ale piękne, gregoriańskie *Ave maris stella*, rozdzierające duszę wszystkimi sytuacjami, w których

ludzie mogą doznać opieki Maryi, Matki Bożej, przynosiło Teresie ulgę, jakąś pewność, że Matka Boża przywołana w liturgii na ten pogrzeb, weźmie na swe ręce Marka, że z matczyną troską zaopiekuje się nim do czasu, gdy Teresa przyjdzie tam, aby się nie rozłączyć ze swoim synem. Nadzieja spotkania jest wielką nadzieją. Takie spotkanie matki i syna nastąpi. Gwarantuje to Bóg, który już swemu Synowi przywrócił Matkę przy wniebowzięciu, który Matce pozwolił być z Synem. Gdy maleńką trumnę zasypywano ziemią, Teresa odczuła, że jej miłość weszła w nowy etap, w którym już zawsze miłość będzie połączona z cierpieniem. Wiedziała, że to cierpienie będzie także częścią jej radosnej miłości do Andrzeja. Andrzej myślał o tym, że Teresa musi jakoś odbudować swoje nadzieje i że musi żyć wciąż pamiętając o utraconej miłości syna. Sam znalazł pociechę w pocieszaniu Teresy. Czas łagodził ostre brzegi cierpienia, wir zajęć odsuwał mękę. Tylko gdzieś na dnie duszy nie dająca się zagoić rana od czasu do czasu przypadkiem dotknięta sprawiała ostry ból, do którego serce prawie przywykło.

— Jak to jest możliwe, że tyle miłości może obudzić i tyle miłości trzymać przy sobie nieobecny malutki syn, który nie miał szans jak inne dzieci, doznać miłości rodziców. Tereso, jak to jest?

— Smutne jest to, Andrzeju, że ta miłość nie rośnie. Rosną tylko tęsknoty. Miłość do Marka jest wciąż miłością z momentu jego odejścia. Nie może się zmieniać, pogłębiać, rozwijać. Rozwija i ilość żywa osoba, którą kochamy, zmusza do przekształcania miłości, do wyboru nowych spraw, wybieranych przez kochaną osobę. Tego wszystkiego nie mamy. Marek nie żyje. Dziwne jest to, że nie rośnie miłość do umarłych. Ta miłość tylko trwa. Rośnie miłość do żywych osób. Rośnie miłość do żywego Boga. Marek też żyje, ale nie rośnie w nas miłość do jego duszy. Czasem wyrzucam sobie, że tak jest. Ale może takie jest prawo życia. To prawo każe nam szukać żywych ludzi i im służyć naszą miłością. Markowi nie jest potrzebna nasza miłość, umarłym nie jest potrzebna ta miłość. Mają miłość Boga. Potrzebna jest im tylko nasza pamięć, wywołująca modlitwę. To nam potrzebna jest miłość Marka. Utraciliśmy tę miłość. Nie jesteśmy winni tej utraty. Po prostu nie mamy tej miłości.

Władysław często bywał w domu Teresy i Andrzeja. Bywał też u Ryszarda.

— Czy rzeczywiście, Ryszardzie, był Marek? Czy Teresa przeżyła mękę utraty miłości syna? Czy w ogóle może być tak, że syn przestanie kochać swą matkę?

— Nie, Władysławie. Nigdy syn nie przestaje kochać swej matki, ale syn żywy. I nigdy syn nie traci miłości matki. Ale miłość urywa się z chwilą śmierci człowieka. Ginie miłość osoby, która umiera. Przenosi się całkowicie na Boga, poprzez Boga obejmuje także tych, których kochało się za życia. Ale żywi nie czują bezpośrednio tej miłości. Nie mają jej w swym życiu. Odczuwają to jako stratę i to jest strata. Strata psychiczna. Trzeba mocno tkwić w porządku nadprzyrodzonej nadziei, by cieszyć się miłością kogoś, kogo zabrała śmierć. A Teresa nawet nie zaznała miłości Marka. Był za mały, żeby już kochać. Był tylko kochany. Zresztą nie było go, ponieważ nie ma także realnie Teresy i Andrzeja. To są przecież postacie powieści. A ich dzieje wyznacza nastrój autora. Jakikolwiek ból autora powoduje, że można napisać słowa pełne męki. Autor daje powieści właśnie swoje nastroje, problemy, całe swoje widzenie świata. Reszta jest fikcją, jest sposobem rozwijania i rozwiązywania przyjętego tematu. Władysław wiedział, że jest inaczej, że Teresa i Andrzej są realni, ponieważ sam jest realny. To Ryszard jest fikcją, jest postacią powieści Andrzeja. Władysław dziwił się, że personifikuje swoje myśli, że swym analizom daje kształt Ryszarda. Władysław teraz często rozmawiał z Andrzejem.

— Miłość, Andrzej, jest jednak nieskończona. Jest nieskończona w każdym człowieku. Gdy raz się zacznie, trwa zawsze. Zawsze będzie trwała twoja miłość do Teresy i zawsze będzie trwała jej miłość do ciebie. Zawsze też będziecie kochali Marka. Andrzej pomyślał:

— A jak jest z miłością do Boga? Czy raz zapoczątkowana trwa zawsze? Przecież utraciłem miłość do Boga.

Zaczął się to rok temu. Andrzej intensywnie pracował, przyjaźnił się z Władysławem, dyskutował w gronie znajomych problemy zawodowe i religijne, codziennie z Teresą spieszył na Mszę świętą, przyjmował Komunię. Zdawało się, że jego przywiązanie do Boga jest nie do naruszenia. Z wielkim wzruszeniem uczestniczył w świętach roku kościelnego. Boże Narodzenie, Wielkanoc były dla niego okresem wzmożonej modlitwy. Wniebowzięcie stawało się okazją przemyślenia nadziei i nadprzyrodzonej perspektywy wiecznego życia w Bogu każdej duszy ludzkiej. Trójca Święta była dla Andrzeja szczególnie umiłowaną sprawą. Poruszała go do głębi prostota słów: „Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu...” Modlitwa ułożona z samych

imion Bożych i słowa, określającego cel życia ludzkiego: chwałę Bożą, chwałę Trójcy Świętej. Wielki Tydzień dawał Andrzejowi okazję wnikania w sens drogi krzyżowej Chrystusa, w sens Jego cierpienia. Przybliżał problematykę Odkupienia, problematykę Kościoła, a przede wszystkim był okazją modlitwy. Andrzej modlił się prawie zawsze. Najpierw wiele lat używał słów, z wysiłkiem kierował myśli do Boga. Teraz trwał wewnątrznie przed Bogiem. Nawet najbardziej zabawna rozmowa, towarzyskie spotkania, wykłady i ćwiczenia nie wrywały go z tego swoistego skupienia, które polegało na ukrytym w głębi duszy świadomym trwaniu przed Bogiem. Modlił się nieustannie. W każdej wolnej chwili, na samotnym spacerze, w drodze na uniwersytet, w pociągu czy na wycieczce Andrzej modlił się. Modlitwa, utajona w duszy, w wolnych od zajęć chwilach, aktualizowała się. Po prostu to, co działało ulg w środku duszy, wychodziło na zewnątrz. Posiłał też duszę ciągłym czytaniem Ewangelii, listów św. Pawła, lekturą tekstów, pisanych przez świętych. Śledził na ich przykładzie drogę ludzką do Boga, sposób rozwoju miłości Bożej w człowieku. A w Wielki Piątek przed wystawioną w monstrancji Eucharystią trwał cały długi wieczór. Nawet nie spostrzegł, że nadeszła północ i że wraz z zamykaniem kościoła nadszedł czas powrotu do domu. Niedośyt modlitwy wyznaczył jego adorację znowu w Wielką Sobotę. Długo jeszcze pozostał w kościele po rezurekcyjnej Mszy i pierwszy raz wyśpiewanym „alleluja”. Wzruszało Andrzeja uroczyste „exultet”, ukochane „exultet”, przywołane przez Władysława w toaście na weselnym obiedzie w dniu ślubu Teresy i Andrzeja. Radość aniołów, radość nieba, Kościoła, miłujących Boga serc ludzkich, potęgowała modlitewne wzruszenie Andrzeja. Zdawało się, że nic nie może oddzielić jego serca od miłości Bożej. Dziś patrząc na tamte czasy Andrzej wie, że to było autentyczne życie religijne, że na serio Bóg w nadprzyrodzony sposób był w jego duszy, że zaczął oczyszczać jego modlitwę odbierając mu powoli wzruszenia. Andrzej nie martwił się wzruszeniem, które wywoływały w nim słowa pochwały paschału. Nie cenił tego wzruszenia. Było dodatkiem do jego najgłębszej, wewnętrznej uwagi, którą poświęcał Bogu w modlitwie trwania całą duszą przy miłości Bożej.

Stało się jednak coś, czego Andrzej nie przewidział, przed czym się nie ubezpieczył, coś, co go zaskoczyło i złamało. Andrzej umiał być cierpliwy, ponieważ umiał nie cenić tych wszystkich spraw i rzeczy, które nie były Bogiem. Umiał z nich

rezygnować, umiał nie przywiązywać się do tego, co nie było istotne. Zresztą na serio pociągał go tylko Bóg. Wszystko inne, co robił, miało charakter wyrażania Bogu przywiązania. Prowadził badania z całkowitym oddaniem się tej pracy, pisał z pasją, z poczuciem odpowiedzialności za to, co robi, z wielką wewnętrzną radością. Wiedział jednak, że to są dla niego sprawy jakoś drugie, że w każdej chwili mógłby od nich odejść oczywiście z męką i bólem, lecz bez wahania. Tylko Bóg przyciągał na serio jego uwagę i miłość. Andrzej zastanawiał się, czy nie zmniejszyła się w nim miłość do Teresy. Doszedł do wniosku, że jednak się nie zmniejszyła. To tylko nieporównanie więcej wzrosła jego miłość do Boga i w porównaniu z tą miłością miłość do Teresy wydała mu się mniejsza. Była taka sama, jak dawniej, także głębsza, wciąż rozwijana, lecz na miarę Teresy. Osoba kochana reguluje wzrost miłości. Bóg inaczej powodował w Andrzeju rozwój miłości i inaczej powodowała to Teresa. Ta sama miłość inaczej po prostu funkcjonowała w stosunku do Boga, do Teresy, do Władysława, Marka, Leona, Kazika, Izoldy czy Zosi. Andrzej jednak nie umiał walczyć. Był cierpliwy, nie był mężny. Nie umiał organizować zwycięstwa. Nie był strategiem. Nie cenił drobiazgów, które jak pył kładły się na jego miłości do Boga. Tego pyłu nabrało się dużo.

Andrzej tęsknił do Boga. Ta tęsknota, bardzo zresztą bolesna, była w Andrzeju jakimś znakiem jego wierności Bogu. Pogłębiała pragnienie pracy nad sobą, przybierała wersję pragnienia coraz staranniejszych studiów, oglądania rzeczy pięknych, uczenia się i uczenia innych. Andrzej umiał rezygnować z wielu ważnych, lecz nieistotnych spraw. Nie umiał jednak rezygnować z drobiazgów. Umiał je usprawiedliwiać. Nie umiał też rezygnować z miłości. Szukał jej. To zresztą było zrozumiałe. Cały sens swego życia widział w miłości do Boga. Tę miłość znalazł dzięki Teresie i w miłości do Teresy. Wydawało mu się więc, że każda miłość do człowieka pogłębia i rozwija jego miłość do Boga. Sądził, że każdy objaw życzliwości ludzkiej jest takim darem, który należy podjąć. Czekał na życzliwość ludzką, pragnął jej, szukał. Przywiązywał się do ludzi, cieszył się, jeżeli ktoś i jego polubił. To dawało możliwość rozmów, a rozmów Andrzej pragnął najbardziej. Rozmowy były jego pasją, żywiołem, właściwym środowiskiem jego intelektu. Spośród przyjaciół Władysława najżywszym rozmówcą był Edward. Andrzej znalazł przeciwnika. Rozmowy stały się burzliwe, gorące, odkrywcze. Edward umiał rozmawiać. Umiał znaleźć takie aspekty zagadnienia, których już, zdawało się,

nikt nie potrafiłby odkryć. W rozmowie z Edwardem żaden problem nie był wyczerpany, każdy przynosił całe nowe dziedziny, których nie można było wyczerpać.

— Ty, Edwardzie, nie rozumiesz tego, że szukając i pragnąc miłości można się jej jednocześnie bać. Szukam miłości, pragnę Jej i boję się jej jednocześnie. Przywiązuję się do ludzi i boję się tego przywiązania. Idę ku okazanej mi życzliwości i uciekam od niej. Może wynika to z mojej struktury reagowania, a może sprawa jest rzeczywiście ważna. Boję się tego, że przywiązując się do tak wielu ludzi i rzeczy nie jestem wierny Teresie i że nie jestem wierny Bogu. Nie umiem nie brać miłości dla siebie. Owszem, kierunek mojej miłości i jej przedmiot są zdecydowane. Ale te wszystkie drobne sympatie i drobną życzliwość ludzką biorę sobie. Tylko sobie. Z tych cennych, ogromnie cennych drobiazgów nie umiem zrezygnować.

— Zbyt radykalnie pojmujesz ascezę. To jest oczywiście problem ascezy. Andrzej, drobiazgi są drobiazgami. Mówiłeś, że układają się jak pył na twojej miłości do Boga. Ten pył możesz zetrzeć. Ale ścierasz go tak dokładnie, że zostawiasz bolesne rysy na samej miłości. Nie bądź zbyt radykalny w ascezie. Zwróć uwagę na to, że asceza ma nam ułatwiać rozwój miłości, a nie utrudniać.

— Co to znaczy rozwój miłości? Edwardzie, kto wie, czy zdecydowane stanowisko nie jest tu konieczne.

— Zdecydować należy główne linie życia. Dlaczego jednak masz sobie odmówić radości spotkań z ludźmi, dlaczego masz się nie cieszyć okazywaną ci sympatią?

— A jednak miłość jest czymś trudnym. Tak bardzo trudno ustalić granicę między miłością, uczuciem, sympatią. To wszystko jest miłością, to wszystko może nas pogłębiać i jednocześnie słycać. Zależy, co się zaakcentuje, co się z tego weźmie. Nie powinno się niczego brać dla siebie. Wszystko to bowiem jest Boże. A jednak biorę sobie drobiazgi, biorę ludzkie przejawy życzliwości, biorę ludzką sympatię. Nie umiem od nich odejść.

Andrzej nie umiał także odejść od rozmów z Edwardem. Każda rozmowa toczy się między ludźmi na zasadzie naczyń połączonych. Coś się daje w rozmowie i coś się bierze. Andrzej brał od Edwarda tą jakąś jego zgodę na zabieranie sobie drobnych radości. Brał te radości.

Zaczął się to właśnie rok temu. Andrzej zaczął bardziej szukać rozmów z Edwardem, Władysławem, Teresą, bardziej niż rozmów z Bogiem. Przypuszczał, że musi mieć czas dla ludzi, że nakazuje mu to miłość bliźniego, że jego prywatne sprawy muszą stanąć na drugim miejscu, nawet jego prywatne rozmowy z Bogiem. Nie zaniedbywał oficjalnych, liturgicznych spotkań z Bogiem. Odsunął tylko na drugie miejsce spotkania prywatne. Zmniejszyła się też jego czujność w sprawach stawianego w rozmowie akcentu. Częściej pojawiał się akcent ludzkiej miłości i związanych z tą miłością radości. Tych radości Andrzej pragnął, tylko tych drobnych radości, które wnosi urok spojrzeń, miłych słów. Wrażliwość Andrzeja malała, drażliwość na sprawę wiernej miłości Bogu. Uważał, że uroda spojrzeń i miłych słów nie niszczy tej miłości, w ogóle jej nie zagraża. Sposób kontaktów z żywym człowiekiem polega przecież także na słowach i także na uśmiechach.

Andrzej sięgnął też po intensywne radości, po pełnię uśmiechów i miłych słów, po podmiot tych słów i uśmiechów. Grzech, który się stał, nie zaskoczył Andrzeja. Był skutkiem tkwiącej w nim gdzieś, nie zawsze całkiem uświadomionej, lecz bez przerwy obecnej w nim zgody. Andrzej wiedział teraz, że nigdy nie wyrzekł się do końca tego, czego nie życzył sobie Bóg w objawionych przykazaniach. Zareagował typowo. Po prostu uciekł. Uciekł od sakramentu pokuty. Nie był zaskoczony, ale był przerażony, zawstydzony i nie umiał tego wstydu przełamać. Bał się spowiedzi, wyznania tak bardzo zawstydzającej sprawy. Żałował, że nie ma wśród swoich kolegów księdza, przed którym mógłby swobodnie odkryć rany swej duszy. Bał się obcego spowiednika, jego reakcji, jego pouczeń, jego mentorskiej postawy wobec tak bardzo jednak słabej woli ludzkiej. Andrzeja zgubił wstyd. Poddał się temu uczuciu, nie mógł się z niego wyzwolić i może nie chciał się wyzwolić, aby nie odcinać sobie po spowiedzi możliwości powtórzeń tych intensywnych radości, które przyniosły mu mękę. Przerażenie bowiem jest rodzajem męki. Andrzej zdobył się na spowiedź. Ale rana, zadana duszy, nie goiła się łatwo. Grzech nie istniał już po żalu i rozgrzeszeniu. Istniała jednak cała tęsknota do tego i zafałszowanego dobra, po które sięgnął. Wyznał na spowiedzi także to, że nie ma pełnej wewnętrznej decyzji na całkowite zerwanie z tym, co zrobił. Spowiednik wziął pod uwagę jego wysiłek w kierunku uzyskania takiej decyzji, uznał za wystarczającą tę cząstkową wolę poprawy. Andrzej cierpiał z powodu

grzechu. Cierpienie to jednak było w nim chyba za małe, ponieważ nie równoważyło chaosu uczuć i myśli, które dręczyły Andrzeja. Zatracił zdolność wyczuwania granicy między grzechem i pokusą, niepokój z tego powodu uniemożliwił mu ufnie przystąpienie do Komunii świętej. Chrystus stał się kimś dalszym. Andrzej tęsknił do dawnej przyjaźni z Bogiem, ale nie wychodził z sytuacji, w której się znalazł. Coś w nim się odwróciło. Dawniej był w Bogu i z Bogiem, inne sprawy stały dalej. Teraz te inne sprawy zajęły pierwsze miejsce, Bóg stał się tylko przedmiotem tęsknot, których Andrzej nie realizował. I wcale nie był radosny. Sięgnął do radości, i stracił radość. Grzech wcale nie zbliżył go do tych kobiet, do których poszedł po radość. Grzech oddalił go od ludzi. Oddalił go od Boga i od ludzi. Oddalił go też wewnętrznie od Teresy. Andrzej poczuł się opuszczony. Opuszczenie nie jest tym samym co samotność. Samotność jest czymś pozytywnym, jest jakąś intensyfikacją kontaktów z Bogiem i ukochanym człowiekiem. Opuszczenie jest czymś negatywnym. Jest zabląkaniem się, utratą tego, co się kochało. Andrzej pojął, że radość, wywołana uśmiechem człowieka, nie zawsze jest głosem miłości. Stracił miłość. Był martwy. Żył, a jednocześnie był martwy. Teraz dopiero wszystko działało się w nim na powierzchni. Teraz praca wydała mu się nudna i bez znaczenia. Dawniej każdy wysiłek zmierzał do pogłębienia jego powiązań z Bogiem i z Teresą, teraz nie miał celu. Praca sama dla siebie przestała Andrzeja interesować. Praca, wykonywana dla kogoś, miała sens i wartość. Grzech rujnował duszę Andrzeja, dezorganizował go wewnętrznie, gubił. Andrzej liczył na tę tkwiącą w nim ogromnie smutną tęsknotę za Bogiem.

Bóg stał się jego męką, bólem jego tęsknoty. Henryk przerwał Ryszardowi.

— Ładnie to sformułowałaś: Bóg stał się bólem tęsknoty. Czy zamierzasz, Ryszardzie, dalej jeszcze charakteryzować w wierzącym człowieku mękę, wywołaną grzechem? Może pokaż raczej, jak Andrzej dźwignął się dzięki Teresie ze swojego grzechu. Grzech jest czymś strasznym, jest realną śmiercią nadprzyrodzonego porządku w duszy ludzkiej. Straszniejsze jest jednak to, że Andrzej nie dźwiga się, nie wyrывa z tego, w czym tkwi. Przyzwyczajają się do stanu opuszczonych rąk. Nie pracuje w sobie, nie przeciwdziała złu.

— Myślę teraz, Henryku, czy Teresa będzie mogła pomóc Andrzejowi. Tylko właściwie Bóg może mu pomóc. Tylko Bóg może przywrócić jego duszy utracone życie

nadprzyrodzone. Teresa modli się za Andrzeja. W Andrzeju sprawą najpilniejszą stało się jego nastawienie wobec uczuć i namiętności. Nie czuwając nad uczuciami, nie opanowując ich Andrzej pozwolił im stać się namiętnościami. Same z siebie nie oddzielają człowieka od Boga, ale realizowane skierowują miłość ludzką gdzie indziej, odwracają ją od Boga lub w ogóle niszczą. Same zaczynają kierować człowiekiem. Andrzej musi rozstrzygnąć sprawę źle skierowanych namiętności. Kierują się one oczywiście do właściwego sobie dobra, które jest cząstkowe i cielesne. Błąd polega na tym, że temu dobru dają rangę dobra najwyższego. Andrzej nie różni się tu od tych ludzi, którzy nadają pięknu rangę najwyższego dobra i jedynego przedmiotu tęsknot ludzkich. Miara odejścia od Boga jest ta sama. Andrzej tylko skierował się do czegoś, co jest mniej subtelne niż piękno. Popelnił grzechy wulgarne i z tej racji może łatwiejsze do odczytania. Łatwiej też je porzucić niż subtelne piękno. W każdym razie Andrzej jest w trudnej sytuacji. Wyjściem z tego jest radykalne odejście od grzechu. Ale wewnętrznie złamany Andrzej, uwikłany w uczucie wstydu, nie ma jeszcze sił, aby coś w sobie zmienić. Nie ma sił psychicznych. Teresa modli się o interwencję Bożą, o wzmocnienie duszy Andrzeja łaską, o powrót łaski do jego duszy.

Teresa postawiła całą sprawę w porządku taktu. Nie czyniła Andrzejowi wyrzutów, nie dokuczała mu ciągłym przypominaniem jego błędów. Cierpiała z nim razem. Oboje cierpieli i nie umieli sobie pomóc w tym cierpieniu. Teresa właściwie nie wiedziała, co przydarzyło się Andrzejowi, jakiego charakteru jest jego grzech, o którym mówił. A Andrzej wiedział, że grzech usunął z jego duszy Boga. Bóg tworzy nasze życie wewnętrzne, Bóg jest źródłem życia nadprzyrodzonego. Nie było Boga w duszy Andrzeju. Bóg jest wszędzie przez swą wszechobecność. Ale ta wszechobecność Boga nie jest tym samym, co rodzinne, nadprzyrodzone powiązanie z Bogiem. To powiązanie Andrzej stracił. Utracił Boga. Utracił miłość. Andrzej na serio przeżył proces utraty miłości, całej miłości, którą kochał Boga, Teresę, przyjaciół, wszystkich ludzi. Biedny Andrzej. Zaplątał się tragicznie. Nawet nie może się modlić.

Andrzej obserwuje w sobie proces zubożenia na Boga. Utrata miłości powoduje w nim z kolei właśnie proces zubożenia. Andrzej nie czyta Ewangelii, nie rozumie jej. Chodzi na niedzielą Mszę świętą i słucha jej biernie. Nie wytrzymuje dłuższych chwil w kościele. Nie reaguje na liturgię, nie kojarzy mu się możliwość nawet krótkich

adoracji, zapomina o świętach kościelnych, zapomina czasem o niedzielnej Mszy. Teresa o tym pamięta. Idą razem do kościoła, ale Andrzej nie reaguje na to jakimś żywszym zainteresowaniem. Andrzej jest zgnębiony stanem swej duszy, jest przerażony. To drugie przerażenie, nakładające się na uczucie wstydu i załamanie, wywołane grzechem, jeszcze bardziej obezwładnia Andrzeja, paraliżuje, zamyka drogę pewności. Andrzej żyje wiarą, ale wiarą, która nie przechodzi w nadzieję, w tę obecność duszy ludzkiej przy Bogu. I nie żyje miłością. Utracił Boga, utracił więc miłość.

Ryszard zamyślił się, posmutniał.

— Cóż ci mogę powiedzieć, Henryku! Jedyne to, że Teresa modli się za Andrzeja. Martwi się nim Władysław, który zupełnie nie orientuje się w tym, jakie jest źródło męki Andrzeja. Andrzej widzi dwa ważne punkty, stanowiące początek tego, co się stało. Pierwszy punkt, to zachęcające, a raczej ośmielające go do niewierności Bogu rozmowy z Edwardem, drugi punkt to zaniedbanie spowiedzi, ta dziwna sprawa wstydu, który mu odcina drogę do konfesjonału. Andrzej ma przed sobą długą drogę. Może powrócić do Boga jednym aktem skruszony i pełnej żalu miłości. A może też bardzo powoli przez walkę z uczuciami dopiero dorabiać się takiego aktu miłości, który przywróci jego duszy Boga. Nie wiem w tej chwili, jak Andrzej wybrnie ze swoich trudności, Andrzej, który utracił miłość.

Andrzej też nie wie, co robić. Nie myśli, nie podejmuje żadnych decyzji. Czekają.

— Pomóż mu, Boże! Uratuj go! Przyjdź, Panie Jezu! Spowoduj powrót Andrzeja do Boga. Powrót jest żalem i miłością.

ROZDZIAŁ 15

W kawiarence na rogu Krystyna i Tadeusz zasiedli w wygodnych fotelach. Pili kawę, palili papierosy, żartobliwie rozmawiali pełni śmiechu i uroczej radości. Tak, to była urocza radość. Inaczej nie można jej określić. Radość intelektualnych spięć, poszukiwań rozwiązania teraz wynikłych problemów, a właściwie umysłowych igraszek, którymi bawili się niby skacząc po kładce, wiszącej nad zupełnie maleńkim strumykiem, pełnym czystej wody, wypływającej gdzieś z kwiatów. I w pewnej chwili Krystyna powiedziała:

— Wiesz o tym, że Adam chce zostać księdzem. Adam nim nie zostanie, to ty będziesz księdzem, Tadeuszu. Ty zostaniesz księdzem.

— Ależ, Krystyno, skąd ci to przyszło do głowy? Ja księdzem? Mówisz jednak tak bardzo na serio, że nie mogę z tego żartować. I zupełnie nie wiem, co ci odpowiedzieć.

— Chciałabym, abys się przede mną do tego przyznał. Obiecuję ci zachować tajemnicę. I sekret za sekret. Zwierzę ci także swój sekret, oczywiście pod warunkiem, że także zachowasz to w tajemnicy.

— Czyżbyś, Krystyno, chciała zostać zakonnica?

— Nie. To jest coś o wiele bardziej złożonego. A więc przyjmujesz warunki?

— Widzisz, myślę, że co drugi religijny chłopak stawia sobie pytanie, czy ma zostać księdzem. Tak sądził też św. Jan Bosko. Chodzi po prostu o to, że w pewnej chwili życia trzeba odszukać i ustalić cel życia, trzeba zorientować się w swoim powołaniu, trzeba je zdecydować, a raczej wybrać. Trzeba odczytać tę perspektywę, którą Bóg stawia przed człowiekiem.

— Ale co ty wybrałeś? I kiedy postanowiłeś zostać księdzem?

— Krystyno, Krystyno, chcesz, żebym ci odkrywał najskrytsze pragnienia i projekty.

— A więc są pragnienia i projekty.

— Tego nie powiedziałem. To tylko ogólne stwierdzenie.

— A biorąc rzecz szczegółowo, jeżeli chodzi o ciebie, co mógłbyś powiedzieć?

— Hm. Jak by to ująć? Po prostu tak. Chcę być księdzem. Oczywiście jeszcze nie teraz, ale to już zdecydowane.

— Dziękuję ci, Tadeuszu.

— Jesteś, Krystyno, pierwszym człowiekiem, któremu to mówię. Mówiłaś z taką pewnością siebie, że to osłabiło mój opór. Jak to wykryłaś? Czy po prostu chciałaś mnie tylko zaskoczyć i dzięki temu zaskoczeniu uzyskałaś moje wyznanie?

— Nie. Po prostu wiedziałam. Odkryłam to w tobie już dawno. Dziękuję ci raz jeszcze za to wyznanie. Tak to nazwałeś: wyznanie. Wydobyłeś na wierzch coś, co niby głęboko kryłeś.

— Jesteś zaskakująco dobrym psychologiem, Krystyno.

— Raczej nie. Kobiety mają trochę intuicji. Umieją odczytywać mężczyzn i dzięki temu wiedzą, czego się spodziewać, na co liczyć, o co zabiegać. Rozglądałam się trochę wśród znajomych. Szukałam kogoś, komu mogłabym odkryć swoją tajemnicę. Już nie mogę jej sama udźwignąć. Wydawało mi się, że tylko tobie mogłabym powiedzieć o sobie pod warunkiem, że rzeczywiście będziesz księdzem. Będziesz nim. Masz duszę wychowawcy, duszę księdza.

— No wiesz, bardzo sympatycznie mnie określasz i oceniasz. Ale to nie ja tak ukształtowałam tę swoją duszę. Może kształtuje ją właśnie moje powołanie. A powołanie jest czymś z zewnątrz. Jest zaproszeniem i to zaproszeniem nadprzyrodzonym. Gdy się je przyjmie, zaczyna człowieka zmieniać. To zaproszenie jest pierwszym etapem powołania, drugi polega na wyrażeniu naszej zgody, która jest decyzją zresztą całkiem prywatną. Trzeci etap jest istotny i polega na udzieleniu święceń. O tym decyduje biskup. Dopuszczenie do święceń daje obiektywność powołaniu. Jest wtedy realnym, autentycznym wezwaniem, umacniającym decyzję kandydata i podjęte przez niego zaproszenie Chrystusa do przeistaczania, rozgrzeszania, w ogóle do udzielania sakramentów, do pośredniczenia między Chrystusem i ludźmi, do zastępowania na ziemi Chrystusa w jego kapłańskich funkcjach.

— Chcę skorzystać, Tadeuszu, już teraz z tej twojej przyszłej roli. Cierpię.

— Ty cierpisz, Krystyno, ty, która jesteś samą promieniującą radością?

— Cierpię, Tadeuszu, bardzo cierpię. Nie mogę udźwignąć tego cierpienia. Chcę ci je zwierzyć. Może będzie mi lżej i łatwiej. Nie chcę, żebyś dźwigał to moje cierpienie. Pragnę tylko, abyś mnie wysłuchał. Abyś wysłuchał historii mojego cierpienia. Tylko tyle.

— Krystyno.

Tadeusz pomyślał w tej chwili, że kapłaństwo od początku jest drogą krzyżową. Każdy człowiek dźwiga jakiś swój krzyż. Kapłan jednak oprócz swojego krzyża dźwiga też krzyże tych osób, wobec których pełni kapłańską posługę nauczania, pocieszania, pośredniczenia. A to nauczanie, pocieszanie i pośredniczenie to po prostu pełnienie uczynków miłosierdzia: byłem chory, głodny, spragniony, smutny, byłem uwięziony. Krystyna jest uwięziona w swoim cierpieniu. Może to uwięzienie jest jej wyzwoleniem. Chrystus od swoich kapłanów żąda też pełnienia uczynków miłosierdzia, które jednak są także objawianiem miłosierdzia Bożego. I tym posługa kapłańska różni się od pełnienia uczynków miłosierdzia przez lud Boży. Czy Chrystus już każe mi pocieszać Krystynę? Dlaczego przyszła do mnie? Czy oprócz zwykłej pociechy ludzkiej mam jej także objawiać miłosierdzie Boże? Czy potrafię to zrobić? Czy będę mógł to zrobić? Przecież nie mam święceń.

— Wiem, Tadeuszu, że nie masz jeszcze święceń, że twoja rola wobec mnie nie jest rolą księdza. Szukam po prostu kogoś, kto by mnie wysłuchał i zrozumiał. Księża wysłuchują, ale nie rozumieją. Aby kogoś zrozumieć, trzeba być bardzo dobrym i bardzo życzliwym człowiekiem. A tak mało jest ludzi dobrych. Księża bywają też dobrzy i życzliwi, ale najczęściej ujmują sprawy ludzkie prawniczo. To nie pozwala im okazać miłosierdzia. A człowiek oczekuje miłosierdzia nawet czasem wbrew prawu.

I Krystyna zaczęła opowiadać Tadeuszowi dzieje swojego życia, a właściwie dzieje swojej radości, która dawno się skończyła.

— Tę radość wyparła miłość. Czy to nie paradoks, Tadeuszu? Miłość usunęła z mego życia całą radość, którą żyłam, która była moim ja. To dziwna droga, droga od utraty radości do miłości. Moja radość bywała płytka i głęboka. Płynęła z mojego temperamentu, z mojego powodzenia, z moich uzdolnień. Byłam radosna całe dzieciństwo, całą młodość. Mam już przecież dwadzieścia jeden lat. Ta radość była tym samym, co powodzenie. Wszystko mi się udawało. W szkole nie miałam trudności, byłam lubiana, otaczał mnie zawsze tłum adoratorów. Wybierałam z tego tłumu tych, którzy według mnie byli bardziej sympatyczni. Chodziliśmy na wycieczki, na spacer. Zwykle, trochę rozbawione życie na poziomie płytkich radości. Głębszą radość sprawiały mi wyniki studiów, prawdziwa życzliwość, jeżeli ją spotkałam, prawdziwa

dobroć. Od trzech lat znam Ryszarda. Cenię właśnie jego dobroć, jego troskę o mnie, jego przywiązanie. Boli mnie jego miłość. Tak, boli mnie ta miłość. Żał mi Ryszarda. Ile razy jednak wyznaje mi swoją miłość, myślę wtedy, dlaczego nie mówi mi tego Roman. Myślę o nim. Gdy spotkam Ryszarda, martwię się tym, że to nie Roman zaprasza mnie na kawę, że to nie jego głos, nie jego oczy, nie jego uśmiech. Poznałam Romana też trzy lata temu, prawie równocześnie z Ryszardem. Roman nie zwracał na mnie uwagi, nie widział mnie, nie dostrzegał. Szukałam sposobów, aby do niego dotrzeć. Takim sposobem był Ryszard. Owszem, było mi przyjemnie, że bywałam na kawie z Ryszardem, ceniłam rozmowy z nim, uczyłam się od niego wielu rzeczy. Ale właśnie w towarzystwie Ryszarda bywał Roman. Milczałam, gdy siedział z nami przy stole. Nie mogłam mówić. Byłam cała przejęta, speszona, onieśmielona. Miłość onieśmiela. Całą swoją duszą wewnętrznie wykrzykiwałam swoją miłość, ale Roman tego nie słyszał lub nie chciał słyszeć. Zaczął mi ciążyć kontakt z Ryszardem, ponieważ przypuszczałam, że ze względu na Ryszarda Roman nie chce dostrzec. Od chwili poznania Romana skończyła się moja radość, zaczęła się miłość. Skończyła się moja beztroska, mój spokój, zaczęły się zmartwienia, przyszedł niepokój, smutek, ból, cierpienie. Bolało mnie każde życzliwe słowo Romana, kierowane do Izoldy, Zosi, do Ryszarda czy Marcina. Największą męką była tęsknota. Pragnęłam widywać Romana, widywać go codziennie, bez przerwy, zawsze. Chciałam być wciąż przy nim, zawsze z nim. Roman był wciąż tylko uprzejmy. Nie widział i nie chciał zobaczyć mojej miłości. Nie chciał. Wciąż nie chce. Nie chce mojej szalonej miłości, tak bardzo teraz bolesnej i smutnej. Im większa jest ta miłość, a wciąż rośnie, tym głębszy jest mój smutek. Skończyła się radość. Nawet jej nie pragnę, nie żałuję. Pragnę Romana. Chciałam zagłuszyć to pragnienie. Uciekałam potem od spotkań. Ryszard martwił się tym, chciał mnie wciąż widzieć, wciąż być ze mną. Ale ta jego obecność sprawiała mi mękę. Zawsze Ryszard, nigdy Roman. Tak rzadko Roman. Szukałam go cierpliwie, cierpliwie na niego czekam. Wciąż czekam. Od chwili poznania Romana zupełnie się zmieniłam. To już nie chodzi o to, że utraciłam radość. Umiałam być radosna. Wiele lat radosnego życia nauczyło mnie techniki radowania się i promieniowania radością. Nikt z zewnątrz nie domyślał się, że cierpię, że te cierpienia sprawia mi brak Romana i ogromna za nim tęsknota. Zmieniłam się pod innym względem. Stałam się wierna miłości. Zresztą to

chyba dopiero moja pierwsza miłość i tak od razu tragicznie samotna, nie podjęta. To, co było dawniej, to nie była miłość. To były miłostki, takie sięganie po radość, którą daje kontakt z kimś miłym i dobrym. Teresa słusznie nie miała do mnie zaufania. Lubiłam mężczyzn, szukałam ich, miałam ich wielu. Było mi z tym dobrze. Nazywałam to swoim sukcesem i prawem. Byłam świadoma swojej urody. Uważałam, że tej urodzie należy się hołd ze strony mężczyzn, przyjmowałam te hołdy jako coś naturalnego. A teraz wszystko przestało mieć wartość. Moja uroda w ogóle się nie liczy. Roman nie jest pod jej urokiem. I nie mogę być w towarzystwie mężczyzn. Boli mnie ich sympatia. To wciąż nie jest Roman. Nie mam jego sympatii, jego miłości. Daje mi to, co ja staram się dawać Ryszardowi: trochę życzliwej uwagi, trochę rozmów. I teraz, Tadeuszu, buntuję się wewnątrz. Obmyślam tysiąc sposobów zdobycia Romana. Kuszę go swoją urodą, zalotnością. Roman nie reaguje. Nawet daje mi odczuć, że jestem zła, przewrotna, uwodzicielska. A ja jestem tylko nieszczęśliwa. Ubieram się tak, aby zwrócić jego uwagę, aby mu się spodobać. Nie podobam mu się, nie lubi mojego sposobu ubierania się, noszenia, nie lubi moich gestów, moich rozmów. Zawsze przy nim jestem speszona, nawet spłoszona, onieśmielona. Nie mogę mówić, spokojnie myśleć. Przełamuję się jednak, rozmawiam, aby pokazać Romanowi trochę swej inteligencji. Duszę w sobie ogromny, wewnętrzny płacz. To tęsknota przybiera taki kształt. Kształt płaczu. Ale nie mogę tej tęsknoty wyjawić, tęsknoty o kształcie płaczu. Chciałabym złożyć głowę na ramieniu Romana i wypłakać swoją miłość. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę nic zrobić. Moja miłość ma także kształt namiętności. Namiętność zwykle łamie prawa, przepisy, zwyczaje. Ale namiętność, która jest głosem miłości, jest bezsilna z powodu tej miłości. Namiętność każe mi szukać mężczyzn. Widzę ich, pragnę. I okazuje się, że pragnę zawsze jednego. Zawsze Romana, którego nie mam. Nie mogę spotkać się z żadnym mężczyzną. Takie spotkanie jest ponad siły. I ponad siły jest moja tęsknota. Doszłam do wniosku, że miłość jest jedynym sposobem opanowania pożądań i pragnień. Moja miłość do Romana strzeże mnie, a właściwie uniemożliwia mi grzech. Tylko miłość może dać radę rozkapryszonym lub rozpląkanym namiętnościom. One są w człowieku. Są w każdej dziewczynie. Mogą objawiać się w formie uczuć, nawet delikatnych. Im dłużej są ukryte i delikatne, tym głośniej wybuchają. A wybuchają zawsze. Jeżeli wybuchną w okresie, w którym nie ma w nas

miłości do kogoś jedyne, wybranego, gubią człowieka. Gdy wybuchną w okresie, w którym kochamy, nie są groźne. Zależą od miłości, są poddane miłości, są jej nieważnym dodatkiem. Łatwo się tu pomylić. Czasem wydaje się komuś, że nas kocha. Często i to bardzo często mężczyźni nie kochają zakochanych kobiet. Wtedy sięgają po to wszystko, co przynosi namiętność. Dzieje się tak wtedy, gdy kobiety trafią na złych mężczyzn, na mężczyzn, którzy nie kochają. Zło rodzi się z braku miłości. Nie ma zła tam, gdzie jest miłość. Nie ma zła między mną i Romanem. Mnie strzeże miłość. Z powodu miłości nie mogę zrobić niczego, czego nie chce Roman. Jego strzeże dobroć. Czy dobroć jest miłością? Chyba nie. Gdyby była miłością, znaczyłoby to, że Roman mnie kocha. Tymczasem Roman mnie nie kocha. Nigdy mnie nie szuka, nigdy nie potrzebuje. Nie istnieję dla niego. Jestem obca, wciąż obca. Patrzy na mnie, jak na rozkapryszone zwierzątko, które nie wie, czego chce. A może zna coś z mojego poprzedniego życia? Może wie, że radość, którą żyłam, była bardzo różnobarwna. Lecz teraz, Tadeuszu, teraz jest inaczej. Teraz nie mogę zrobić niczego, co nie jest Romanem. Pragnę jego obecności, jego oczu, jego ust, jego całego, całej jego duszy, jego troski, jego opieki, choćby małej uwagi, zainteresowania. Tęsknię, i potrzebuję, chcę Romana, którego nie mam. Nie mam go. Roman i kieruje do mnie swojej miłości i nie podejmuje mojej. Nie wiem, co o mnie myśli Ryszard. Przypuszczam, że cierpi z mojego powodu. Ale nie mogę dostrzec jego miłości, nie mogę się przy niej zatrzymać. Szukam Romana, szukam jego miłości. Nie mam jej, utraciłam tę miłość, ponieważ nigdy jej nie miałam. Straty z powodu braku miłości. Największą stratą jest poczucie, że Roman mnie nie potrzebuje. Nie jestem Romana, a więc jestem niczyja. Mówiłam kiedyś prawdę Marcinowi. Jestem niczyja. Mówiłam też, że trudno oddzielić namiętność od miłości. Rzeczywiście trudno ją oddzielić tym, którzy nie kochają. Ci, którzy kochają, znają tę granicę. Znam tę granicę. Wiem, czego pragnę, czego nie mam. Nie mam Romana, a więc nie mam niczego. Twierdziłam wobec Marcina, że nie chcę miłości, ponieważ miłość jest bolesna. Tak, jest bolesna. Cierpię z powodu miłości. Zresztą to, co mówiłam Marcinowi, było dalekim echem mojej męki. Zdawało mi się, że pragnę radości, tego wszystkiego, co było przedtem, tego etapu, w którym nie cierpiałam. Ale teraz nie chcę radości. Chcę być z tą smutną miłością do Romana. Chciałam od niej uciec. Najpierw chciałam uciec do innych mężczyzn. Okazało się to niemożliwe. Nie

mogłam. Zawsze przeszkadzał mi noszony w duszy obraz Romana. Ten obraz strzegł mnie i odsuwał od zła. Potem uciekałam w ogóle od miłości, od tej miłości do Romana. Ale było mi bez niej źle. Zresztą nie mogłam być bez tych tęsknot. Roman stał się we mnie kimś wciąż obecnym. Nie mogę być bez niego. Męczę się, gdy go nie ma, męczę się, gdy jest. Męczą mnie ludzie. Chciałam być sama. To nie wyszło, ponieważ Roman jest w mej duszy, w mojej pamięci, w mych tęsknotach. Stałam się wierna Romanowi. Bolało mnie każde spojrzenie mężczyzn, kierowane w moją stronę. Zdawało mi się, że to mnie okrada, że ktoś zabiera jakąś własność Romana. Jestem wewnętrznie związana z Romanem. Jestem jego własnością, skoro nie mogę być kochaną przez niego osobą. Bronię więc tej własności. Nie chcę być wolna w sensie oderwania się od miłości do Romana. Bez tej miłości byłabym słaba, pusta. Jestem wszystkim dzięki miłości do Romana. Jestem samym cierpieniem. Ale trudno. Może ten etap musi się zdarzyć. Może jest jakimś rodzajem zasługiwania na miłość? Na prawdziwą miłość. Już teraz, po tym cierpieniu, nie wystarczyłaby mi uroda Romana, jego siła, jego ciało. Teraz pragnę jego miłości, jego spokojnej obecności trwałej i zawsze wiernej. Bo miłość to właśnie wierna i trwała obecność przy nas wybranej przez nas, jedynej osoby, bez której cierpimy, bez której świat nie ma sensu, bez której my sami się gubimy. Czy odnajdę miłość Romana? Czy dojdę do niego? Czy Roman zechce obdarzyć mnie miłością? Nawet nie pragnę tej miłości. Pragnę tylko, aby był przy mnie, aby był blisko, abym mogła być z nim, w jego obecności. Nie mogę go stracić. Muszę być z Romanem, ponieważ bez niego zginę, przestanę być sobą. A właściwie zostanę sobą, ponieważ jest we mnie miłość do Romana. Nawet gdyby go nie było, będzie we mnie ta miłość, miłość, która ma imię Romana.

— Czy pomyślałaś, Krystyno, o tym, aby poprosić o pomoc Chrystusa? On jest panem miłości, z miłości przywrócił ludziom zbawienie, wprowadził nas w swój dom, daje możliwość rodzinnych powiązań z Bogiem. Jako Bóg jest samą miłością. Ulituje się nad twoją miłością do Romana. Może wbrew prawom psychologicznym z miłosierdzia swego twoją wielką miłością zapali miłość w Romanie, miłość do ciebie. Każda miłość ma cenę nieskończoną, w każdej Bóg odnajduje swoje imię. Czy próbowałaś się modlić o miłość? Widzę, że sama o nią walczysz. Może to za mało. Może trzeba, aby o twoją miłość walczył właśnie Chrystus. Spróbuj się modlić.

Modlitwa jest prośbą, a proszący otrzymuje, zawsze otrzymuje łaskę. Może miłość Romana ma być darem dla ciebie i to darem nie tylko Romana, lecz także Boga. Skorzystaj z tej szansy. Jeszcze tego środka na serio nie wypróbowałaś. Zależy ci bardzo na miłości Romana, sięgnij więc po środek, który nie zawodzi. Modlitwa zresztą jest zawsze prośbą o miłość, nawet jeżeli dotyczy innych próśb i potrzeb.

— Dobrze, Tadeuszu, zacznę się modlić. Zrobię wszystko. Nie mogę się modlić, ale będę się modliła nawet wtedy, gdy nie otrzymam miłości Romana. Może tam, może w miłości Bożej spotkam Romana. Nie mam go tu bliżej. Jeżeli on tam jest, będę z nim.

— Bóg jest blisko, Krystyno, jest w nas. I właściwie tylko Bóg może nam pomóc w sprawach, które są miłością. Tylko miłość rodzi miłość. Może twoja miłość, tak ogromna, jeszcze jest za słaba, aby zapalić miłość w Romanie. Może potrzeba tu większego ognia. I może właśnie potrzeba tu miłosierdzia Bożego.

A gdy Krystyna już odeszła, Tadeusz rozważał miłosierdzie Boże. Czym jest miłosierdzie Boże? Czy to jest inne imię miłości? Czy to jest litość Boża? Czy jest możliwe, aby Bóg litując się nad Krystyną obudził miłość do niej w sercu Romana? Chyba nie. Miłość do ludzi jest zawsze miłością dwu porządków. Jest naturalna i nadprzyrodzona. Tę drugą Bóg sam zaszczepia w ludzkiej duszy. Roman może kochać Krystynę tą miłością i wcale nie kochać jej miłością przyrodzoną. Ale jeżeli porządek nadprzyrodzonej w nas miłości wspiera się na naturze, miłość bliźniego nie może być wyłącznie przyrodzona. Musi być także nadprzyrodzona. Podnosi wtedy na wyższy poziom miłość naturalną. Ale z tego nie wynika, że ta miłość naturalna, zwykła ludzka sympatia w wypadku Romana przybierze formę miłości małżeńskiej, o którą błaga Krystyna. Jakie więc są granice miłosierdzia Bożego, a raczej czym jest to miłosierdzie, czego dotyczy? Miłosierdzie jest działaniem i dziełem miłości Bożej. Tak bym je rozumiał. Jest działaniem miłości, a więc przekracza i doskonali porządek sprawiedliwości i porządek praw. Biorąc pod uwagę prawa, rządzące psychiką ludzką, Roman już nie zareaguje na miłość Krystyny. Zresztą, kto wie? Roman nie chce dostrzec tej miłości, nie chce jej.

I nie ma na to rady. Krystyna nie działa na jego fizyczne receptory kobiecego piękna, albo Roman nie chce na nie reagować być może ze względu na Ryszarda. A ze względu na porządek sprawiedliwości Roman powinien odpowiedzieć na miłość

Krystyny. Tak wielki dar, jakim jest miłość, ofiarowana mu przez Krystynę, wymaga uwagi, przynajmniej uwagi. Ale miłość nie należy do porządku sprawiedliwości. Nie zawsze za miłość daje się miłość. Miłość stanowi osobny porządek. Jest to porządek darów. Miłość się daje. Człowiek pragnie, aby ten dar został przyjęty i aby w zamian za to ktoś ukochany także nas kochał. Jeżeli z obu stron idąca miłość łączy dwoje ludzi, można przypuszczać, że powołanie tych osób Bóg widzi w ich miłości. Jeżeli jednak ukochany przez nas człowiek nie podejmuje naszej miłości, jaki wtedy jest los tej miłości i jakie zadanie stawia jej Bóg? Czy to znaczy, że Bóg pragnie poprzez tę miłość zwrócić uwagę na siebie? Czy może chce włączyć człowieka w cierpienie, które przeżył Chrystus tak bardzo kochający ludzi i tak często mało kochany? W tym sensie nie podjęta miłość byłaby także dziełem miłości Bożej, byłaby darem miłosierdzia Bożego. Może nie byłoby błędem takie rozróżnienie, że miłość nadprzyrodzona w człowieku jest wprost dziełem miłości Bożej, a miłość przyrodzona jest dziełem miłosierdzia Bożego. Jest to po prostu zdolność kochania, czyli w sposób wolny obdarowywanie wybranych ludzi troską, uwagą, swoimi wartościami. Bóg w swym miłosierdziu dał tę miłość ludziom jako obraz i znak tego, czym jest. Jeżeli człowiek zwróci się ku Bogu, Bóg na jego miłości wspiera swoją miłość, która pogłębia, przetwarza, doskonali i uświęca miłość przyrodzoną. Jeżeli człowiek nie skieruje ku Bogu swej przyrodzonej miłości mimo ciągłej zachęty ze strony Boga, czyli mimo łask uczynkowych, Bóg zostawia człowiekowi miłość przyrodzoną, znak swej troski, znak danej ludziom wolności, znak zaproszenia i nieustannej pamięci o nas. Miłość bowiem ze swej natury jest nastawieniem na Boga. Jest adoracją, jest hołdem, jest modlitwą. Skierowana tylko do człowieka z pominięciem Boga jest modlitwą do człowieka. Wyznacza ukochanemu człowiekowi miejsce najwyższego celu wszystkich naszych dążeń i pragnień. Miłość przyrodzona, tylko przyrodzona, deifikuje człowieka. Gdy tę miłość człowiek połączy z miłością Bożą, a raczej gdy Bóg swoją miłością uzupełni miłość ludzką, człowiek ujmuje właściwe proporcje. Kocha osobę ludzką tak, jak się kocha ludzi, to znaczy bardzo, całym sercem, całą duszą, lecz jako kogoś, kto nie jest jedynym i ostatecznym celem wszystkich ludzkich dążeń. Najwyższym celem może być tylko Bóg.

— Krystyno, ty modlisz się do Romana. Tak nie można. Twoja męka płynie także stąd, że widzisz w Romanie jedyny cel swego życia, cały sens tego, czym jesteś.

Ponieważ Roman nie podejmuje twej miłości, gubisz cel i sens swych wysiłków, swoich działań, swego losu.

— Nie wiem, Tadeuszu, czy to jest modlitwa. Wiem, że pragnę miłości Romana, że wciąż o nim myślę, wciąż do niego tęsknię. Wypełnia wszystkie moje tęsknoty, jest moją tęsknotą i jest pustką tej tęsknoty. Jest i nie ma go jednocześnie. Romanie mój, kiedy będziesz przy mnie, kiedy będę przy tobie? Żyję myślą o tobie i umieram myśląc o tobie, tylko myśląc. Myślę i płaczę. Nie ma cię, kiedy przybędziesz?

— Rozumiem twoje cierpienie, Krystyno, i twoją modlitwę, kierowaną do Romana. Tak, miłość jest modlitwą, ale z tej racji jest w pierwszym rzędzie perspektywą, otwierającą nas ku pełni miłości. Nigdy człowiek nie może być tą pełnią.

— Ale Roman, Tadeuszu, Roman?

— Nie zdobędziesz jego miłości zamykając go w swych tęsknotach. Człowiek boi się zamknięcia. Bojąc się miłości człowiek boi się zamknięcia perspektyw. Otwórz swoją duszę na większą miłość, na miłość Bożą. Ta miłość nie zabierze ci Romana, raczej ci go uratuje, pomnoży twoją miłość i może obudzi w nim miłość do ciebie.

I znowu Tadeusz zastanawiał się, czy ta pociecha, którą świadczył Krystynie, czy ta budzona w niej nadzieja, że Bóg skieruje do niej miłość Romana, czy nie jest domaganiem się cudu. Z porządku praw psychologicznych i z porządku sprawiedliwości nie wynika dla Krystyny szansa uzyskania miłości Romana. Ale może Bóg litując się nad nią poruszy serce Romana. Dlaczego jednak miałby to zrobić dla Krystyny, a nie dla Ryszarda? Ryszard kocha Krystynę, tęskni do niej, pragnie jej miłości. Dlaczego Bóg miałby pogłębiać smutek Ryszarda i nie obudzić w Krystynie miłości, którą ofiarowałyby Ryszardowi? Dlaczego Ryszard męczy się kochając Krystynę i dlaczego męczy się Krystyna kochając Romana? Tajemniczy jest los nie podjętej przez Romana miłości Krystyny i pełny tajemnic jest los miłości Ryszarda, którego Krystyna nie może pokochać. Miłość ratuje Ryszarda i Krystynę, pomaga im panować nad potęgą uczuć. Te uczucia, skierowane do jednego celu, nie mają wybiegać gdziekolwiek. Nie podjęte bolą. Słusznie mówiła Krystyna, że miłość, tylko miłość daje radę namiętnościom. One także sprawiają ból. Ból jednak nie rujnuje człowieka. Cierpienie chroni, pogłębia i wychowuje. Jest bolesne, ale twórcze. Człowieka niszczy

namiętność nie poddana miłości. Nie jest groźna, gdy razem z miłością jest kierowana do osoby ludzkiej. Tak, Krystyna ma rację.

I Tadeusz pomyślał o swojej miłości. Jaki jest jej przedmiot? Jego miłość jest także bolesna. Czy zresztą może być miłość, która nie sprawia cierpień? Tadeusz nie poddał się uczuciom, tęsknotom, namiętnościom, pulsującym w nim jak wulkan, jak zrywająca się burza. Ta burza szaleje na dnie jego duszy. Nigdy nie spowoduje spustoszenia, ponieważ objęta jest miłością, poddana miłości. Jest to miłość szalona, gorąca, wielka, miłość do Boga. Tadeusz pracował nad tą miłością. Wciąż, uparcie bez przerwy skierowuje ją do Boga. Nie, to raczej Bóg trzyma przy sobie jego miłość, dawno już oddaną Bogu. Tadeusz tylko pomaga Bogu. Czuwa nad każdym uczuciem, nigdy nie pozwoli mu się rozwinąć, jeżeli kieruje się nie do spraw Bożych. Tadeusz bał się tej surowości. Bał się tego, że uczucia zbuntują się w nim, że któregoś dnia wybuchną, przerwą ramy miłości, rozszaleją się jak burza, zniszczą uprawiane przez Boga pole jego duszy. Zaufał jednak Bogu, wszystko postawił na jedną kartę, postawił na Boga. Obserwował w sobie dokonujący się ład, umacniającą się harmonię żywiołów. Wciąż są, wciąż grożą wybuchem, wciąż są poddane miłości, której Bóg jest przedmiotem, sędzią, nauczycielem, twórcą, umocnieniem. Tadeusz nie boi się już swych namiętności. Wydają mu się groźne, lecz groźne na sposób głupiotkich małych dzieci, które płaczą, gdy nie dostają zabawek. Ojciec miłości czuwa jednak nad dziećmi, czuwa nad miłością, której Tadeusz już właściwie nie zachował dla siebie. Oddał ją Bogu. Ta miłość jest w nim, lecz jest także w Bogu. Jest w Bogu realnie poprzez codzienną Komunię świętą. Tadeusz zna upadek Andrzeja. Wie, że dopóki żyje, zawsze może odebrać Bogu ofiarowaną miłość. Wie jednak także i to, że Bóg strzeże jego miłości. A Tadeusz strzeże reszty, strzeże wszystkich drobiazgów, małych tęsknot, całej gamy pragnień, którym nie pozwala wyrazić zdania podsuwając im zaraz inne racje, inne cele i szersze obszary. Na tych bezbrzeżnych obszarach miłości Bożej wielkie namiętności stają się małe, są małe i proporcjonalnie słabe. Przestają być groźne. Tak, tylko w powiązaniu z miłością namiętności nie są groźne. Są przyjaciółmi miłości, wykonawcami jej decyzji. To właśnie miłość wprowadza ład w uczucia i tęsknoty. Tylko miłość scala wielokierunkowe dążenia, prostuje drogi, integruje czynniki, które tworzą człowieka. Tylko miłość. Bez niej Tadeusz czułby się pusty, biedny i

opuszczony. Dzięki miłości jest szczęśliwy. Jest szczęśliwy, spokojny, mimo że cierpi. Cierpi z powodu lęku o tę miłość i z powodu nocy wiary. Wierzy i ufa. Żyje nadzieją, jest obecny w tym wszystkim, czego uczy go objawienie Boże. Jest w Bogu dzięki otrzymanej na chrzcie łasce uświęcającej. Cierpi wierząc. Wiara budzi w nim tęsknotę za Bogiem, którego chciałby kochać już „twarzą w twarz”. Kocha Boga w nocy wiary. Ta miłość jest bolesna. Boli tęsknotą. Boli lękiem o miłość, o jej trwałość, o wierność. Nadzieja, właśnie nadzieja uczy Tadeusza cierpliwości, uczy akceptacji woli Bożej. Tadeusz chce tego, czego Bóg sobie życzy. W głębi duszy zazdrości aniołom i świętym. Marzy o odejściu z tej ziemi. Marzy cicho i na modlitwie. Nie chce tym marzeniem sprzeciwić się woli Bożej. Miłuje wolę Bożą. Kocha Boga. Swój los widzi w realizacji życzeń Bożych. Chciałby tylko im służyć, realizować je, aby spełnić to, czego chce Bóg. Bóg pragnie być w duszach ludzkich. Jest w nich wtedy, gdy osoba ludzka posiada łaskę. Tadeusz chce więc tę łaskę rozdzielać, aby Bóg mógł być obecny w umiłowanej przez niego duszy ludzkiej. Chce więc rozgrzeszać, aby udostępnić Bogu dusze ludzkie. Chce przeistaczać, aby Chrystus mógł realnie przychodzić do duszy ludzkiej. Ta troska o łaskę, o jej wprowadzanie w dusze ludzkie jest źródłem decyzji Tadeusza na kapłaństwo. I chciałby być blisko sakramentalnego Chrystusa, wciąż przed tabernakulum. Kapłaństwo daje mu najwięcej tych możliwości. Kształtuje więc tak swoją duszę i całą swoją psychikę, aby podołać tym zadaniom, zrealizować swoje pragnienia. Ufa, że Bóg zorganizuje go wewnętrznie, że pomoże wytrwać w dobru, które wybrał. Wybrał samotność, kontakt najściślejszy tylko z Bogiem. Tadeusz sądzi, że ten wybór, to podjęcie powołania jest skutkiem działania miłości Bożej, jest owocującym w nim miłosierdziem Bożym.

I znowu w refleksji Tadeusza pojawił się problem miłosierdzia Bożego. Czym ono jest, czego dotyczy? Czy można przez miłosierdzie Boże rozumieć działanie i dzieło miłości Bożej? Jeżeli Bóg jest miłością, to miłosierdzie jest ujawnieniem się na zewnątrz tej miłości. Jest sposobem pokazywania ludziom tego, czym Bóg jest. W Bogu miłosierdzie nie różni się od Boga, ze względu na nas polega na przywracaniu ludzi Bogu. Miłosierdzie bowiem dotyczy sprawy zbawienia. Jest zbawiającym nas działaniem Bożym i dziełem odkupienia. Można je uważać za objawione nam współczucie Boga i troskę o sprawy naszej miłości. Jest pomocą Bożą, świadczoną

miłości ludzkiej, pomocą, która polega na przebaczeniu człowiekowi, na zbawianiu jego duszy, udzielaniu pociechy w cierpieniu, wywołanym niedoskonałością naszej miłości. Miłosierdzie Boże to uratowanie człowieka przez odpuszczenie grzechów i udoskonalenie miłości tak, aby podobała się Bogu. Jest to więc czynność zbawiania ludzi, działanie sprowadzające miłość Bożą do duszy ludzkiej. Oczywiście, Bóg zbawia ludzi w sposób wolny, daje łaskę dlatego, że chce jej udzielić, kocha nas w pełni wolności i w pełni wolnego wyboru. Ukochał ludzi i wybrał w Chrystusie. Łącząc w osobie Chrystusa naturę Boską i ludzką Bóg dał nam znak, że zaprasza wszystkich do bliskiego kontaktu z Sobą. Można więc dalej powiedzieć, że tylko przez Chrystusa Bóg objawia swoje miłosierdzie i że pierwszy raz objawił je przy Zwiastowaniu. Wtedy bowiem Bóg-Człowiek stał się realny, wtedy zaczęło się dzieło zbawienia, ujawniła się w pełni dobroć Boża i cierpliwość Boża. Tak, miłosierdzie jest także Bożą cierpliwością. Bóg daje człowiekowi szansę powrotu, czeka na człowieka, wybacza, przywraca swej miłości. Odejście od miłości Bożej jest nieposłuszeństwem wobec życzeń Bożych. Miłosierdzie więc to usuwanie nieposłuszeństwa duszy ludzkiej, prostowanie zawiłych dróg ludzkich, realizacja obietnicy ocalenia ludzi, zbawienia ich, uwolnienia od grzechu. Jest to także bezinteresowność Boga, zabiegane o nasze dobro, przekroczenie porządku prawa i porządku sprawiedliwości. Bóg sam przez swego Syna realizuje porządek sprawiedliwości i prawa, dla nas rezerwuje dobroć, wybaczenie i miłosierdzie. Jest to poza tym dla nas lekcja wspomagania ubogich, uciśnionych, słabych, dzieło i działanie miłości Bożej. Uwielbiam Cię, miłosierdzie Boże! Kocham cię, miłości Boża! Kocham Cię, Boże!

Tadeusz wyśpiewał w swej duszy tę pochwałę miłosierdzia Hożego. Chciał je zrozumieć, przybliżyć swemu myśleniu i swej miłości. To swoiste „exultet”, wyśpiewane na cześć miłosierdzia Hożego, ta analiza i przekład sprawy miłosierdzia na różne szczegółowe aspekty zbawczego działania Bożego, przyniosły Tadeuszowi ukojenie i ciszę, głęboką radość, której nie może już zburzyć cierpienie i której nie naruszają namiętności. Tadeusz wiedział, że nie może pójść za ich głosem, nie może zawieść Boga. Radość, którą przynoszą namiętności, jest krótka i płytka. Radość ta rodzi ból i mękę, mękę tęsknoty za Bogiem. Tadeusz nie chce być bez Boga. Chce być z Bogiem, zawsze z Bogiem, przede wszystkim z Bogiem, tylko z Bogiem. Czy

pozostanę, czy wytrwam? Czy to porzucenie uczuć, namiętności, spraw ciała nie zemści się na mnie? Czy nie zbuntują się tak dalece, że ich gniew obali moją miłość do Boga? Nie, ponieważ są poddane miłości. Gdybym nie miał miłości Bożej, byłbym słaby, samotny, bezbronny. Broni mnie miłość. Miłość uspokaja wzburzone serce. Miłość kieruje do Boga i do ludzi w sposób pełniejszy, właściwszy, ratujący dobro.

A to „exultet” wyśpiewane na chwałę miłosierdzia Bożego, zawdzięczam Krystynie. Ona je wywołała. Jej cierpienie stało się; wołaniem o miłosierdzie. Odkryłem je. Zbliżyłem się do Boga. Pamiętaj o tym, Boże mój, gdy będziesz rozstrzygał sprawę miłości Krystyny. Zbaw jej duszę, daj doskonałość jej miłości i pociesz ją w jej męce, w jej tęsknocie do miłości Romana. Wybacz, że spełniam rolę pośrednika i posłuż się mną, jeżeli zechcesz, dla uratowania miłości Krystyny. Zostanę Twoim kapłanem, abyś miał pełne prawo dokonywania przeze mnie dzieł Twego miłosierdzia. Rozumiem bowiem przez miłosierdzie podjęcie tych spraw drugiego człowieka, które aktualnie najbardziej go bolą i których rozwiązanie jest jego istotną potrzebą, podjęcie więc najdotkliwszego cierpienia. Z powodu tego cierpienia Twoja miłość, Boże, przybrała postać miłosierdzia. Jeżeli objawiłeś swoje miłosierdzie we wcieleniu Chrystusa, który chciał Cię uwielbić przez odkupienie i zbawienie ludzi, to znaczy, że Twoja miłość pochyliła się nad grzechem człowieka, nad podstawowym brakiem w nim miłości, nad najboleśniejszą biedą ludzką, najbardziej istotną, pierwszą, wymagającą udzielenia natychmiastowej pomocy. Wybacz nam, Boże, nasze grzechy.

ROZDZIAŁ 16

Adam wszedł do kawiarni spodziewając się, że zastanie tam Tadeusza. Tadeusza nie było. Szukał go od kilku godzin, ponieważ musiał z nim porozmawiać. Męka myśli, które niepokoiły go dzisiaj, zmuszała do zwierzeń, do znalezienia kogoś, właśnie Tadeusza, któremu miał odwagę opowiadać o swoich kłopotach. Chętnie porozmawiałby z Ryszardem, ale bał się trochę Ryszarda, jego zawsze trafnych odpowiedzi. Z Tadeuszem mógł dyskutować, sprzeczać się, bronić swoich pozycji, które były stracone, o które jednak walczył. Nie mógł tak od razu przyjąć punktu widzenia, prezentowanego przez Tadeusza. Wobec Tadeusza jednak mógł się bronić. Ryszardowi nie umiał odważnie się przeciwstawić. Nie było w kawiarni ani Tadeusza, ani Ryszarda. Adam już wychodził z kawiarni i właśnie wtedy zobaczył rozstawione na stolikach swoje ulubione kwiaty. Są niepozorne, mało ozdobne, we flakonach nieatrakcyjne, dziwnie smutne, piękne w ogrodzie, w dużej grupie, jego ulubione kwiaty, których nazwa jest także skromna, po prostu floksy. Ich fiolet, czasem jasna czerwień, kojarzyły Adamowi klasztorne wirydarze, spokój habitów, sunących po klasztornych korytarzach, jakąś małą drogę św. Teresy z Lisieux. Budziły w Adamie tęsknotę, jakąś nieokreśloną tęsknotę, której jednak przedmiotem było dobro, budziły tęsknotę za dobrem. Swoje kwiaty Adam zobaczył w przedziwnym tle muzyki. Na pianinie, ustawionym w rogu kawiarnianej sali, grała jakaś dziewczyna zwykle, rozrywkowe melodie. Zawsze grała o tej porze. Adam usłyszał jednak wzruszającą melodię *Żółtych kalendarzy*. Melodia oczywiście sentymentalna, ale dziwnie poruszająca Adama. Przystawał nawet na ulicy, jeżeli skądś płynęła ta melodia. Adam usiadł w fotelu. Floksy i „kalendarze” zwyciężyły. Poddał się wzruszeniu, wspomnieniom.

Krystyna, której Ryszard czytał fragment swej powieści, przerwała lekturę.

— Wszystko w twojej powieści dzieje się w kawiarni. Czy to trochę nie za mały teren dla ludzkich przeżyć? Wygląda też na to, że cała młodzież przesiaduje tylko w kawiarniach. Dajesz mylącą informację. Nie mógłbyś przenieść czasem akcji do lasu, nad jeziora, na kajaki? Młodzi ludzie tam przebywają. Są tam oczywiście latem. W jesieni i zimą siedzą na wykładach, w bibliotekach. Tam ich nie pokazujesz. Pchasz

wszystkich do kawiarni. A poza tym, Ryszardzie, wszyscy bohaterowie twojej powieści są sentymentalni, wszyscy się wzruszają. Czy taki jest profil psychiczny dzisiejszego młodego człowieka? Adam ma tyle rozsądku, tyle siły intelektualnej, tyle męskiego uroku, że krzywdzisz go każąc mu wzruszać się kwiatami i modną piosenką.

— Ależ, Krystyno, dlaczego chcesz zamknąć Adama w schemacie człowieka silnego? Jest silny, jest mądry, jest dobry. Pozwól mu trochę odpocząć we wzruszeniu. Dlaczego ma nie reagować na *Żółte kalendarze*, dlaczego nie mamy mu pozwolić na zachwyty dla floksów? Niech je sobie lubi.

— Miałaś jednak, o ile dobrze pamiętam, przedstawić jakąś inną wersję procesu utraty miłości. Kogo teraz uwikłasz w trudne sprawy utraty ludzkiego przywiązania? A może znowu będziesz pozbawiał kogoś miłości do Boga? Jeżeli ma to być Adam, to protestuję.

— To będzie Adam, ale nie martw się. Adam zyska przez tę swoją utratę miłości.

— Ryszardzie, już ci nie wierzę i boję się ciebie, Wiem przecież, co zrobiłeś z Andrzejem. Przynajmniej wyciągnij go z tej biedy, w którą go wplątałeś, zresztą nie wiem, czy psychologicznie przekonywająco. Ale trudno. To obciąża ciebie, nie Andrzeja. To ciebie grzech oddziela od Boga.

— Nie pamiętasz o tym, że nie chodzi tu o mnie. Chodzi tylko o problem. Muszę go rozwijać, naświetlać. Powierzam go różnym psychikom, różnym ludziom. Chcę go także złożyć w mocne dłonie Adama. Niech się zmierzy z męką utraty miłości.

— Ryszardzie, ach Ryszardzie. A kto mnie uwikłał w sprawę Romana, ty czy Andrzej? No, przyznaj się otwarcie.

— To tajemnica, Krystyno. Tajemnica. Sama obiecałaś Tadeuszowi dochowania tajemnicy. Nie mogę nic powiedzieć. No więc dobrze już, dobrze. Pamiętaj, że będę broniła Adama. Nie pozwolę ci zrobić mu krzywdy.

— Zobaczysz, że Adam da sobie radę. Obiecuję ci to.

— Trzymam za słowo. Krystyno, moja Krystyno.

Adam poddał się wzruszeniu i marzeniom. Nie trwało to jednak długo. Melodia się skończyła. Nastrój minął. Pozostały kwiaty i trudne myśli, które chciał opowiedzieć Tadeuszowi. Adam chciał zresztą powiedzieć coś ogromnie prostego, mianowicie to, że kiedyś powzięta decyzja wierności pięknu i wierności Bogu nie broni człowieka w

każdej chwili. Ta decyzja musi być wciąż aktualizowana, bez przerwy na nowo podejmowana. Wciąż trzeba bronić przed brzydotą i przed pokusą odejścia od Boga. Trud dorwania wierności jest ogromnym trudem. Wymaga nie tylko walki, wymaga także ofiary. Walka jest obroną przyjętych wartości, ofiara jest drugą stroną wyboru. Wybierając coś musimy odchodzić od innych spraw, rzeczy, nawet ludzi. Gdyby chodziło tylko o odrzucenie brzydoty lub grzechu, sprawa nie byłaby bolesna. Byłaby trudna, ale nie byłaby właśnie bolesna. Ale wierność łączy się z męką. Wierność domaga się odejścia także od tego, co jest dobre, lecz nie jest tym właśnie przez nas wybranym dobrem. Są różne rodzaje piękna. Wybierając tworzenie piękna choćby w rzeźbie, trzeba odejść od tworzenia muzyki. Człowiek jest zbyt słaby, aby mógł działać w wielu dziedzinach. Rzeźbienie niszczy ręce. Muzykowi potrzebne są czułe dłonie. Inna jest sprawność dłoni rzeźbiarza i dłoni muzyka. Adam wciąż jeszcze tęskni do muzyki. Odszedł od niej, porzucił ją dla rzeźby. Bardziej go pociągała. Widział w tej dziedzinie więcej możliwości dla swoich uzdolnień. Ale odejście od muzyki nie przyszło mu łatwo. Przez wiele miesięcy chodził na każdy koncert. Zegnał się z muzyką, nie mógł od niej odejść. Na każdym koncercie łkał w głębi duszy. Nikt nie znał jego męki. Nikomu nie umiał o niej opowiedzieć. I wciąż jeszcze, ile razy słyszy muzykę, przystaje. Może dlatego wzrusza go melodia *Żółtych kalendarzy*, że mówi się w tekście piosenki o płaczu. Adam płacze z męki, z tęsknoty za muzyką. Odszedł od niej zewnątrz, nie uprawia jej, ale całą duszą trwa przy muzyce. Pożegnanie było pozorne. Odejście nie było ostateczne. A kwiaty może dlatego wzruszają Adama, że mają wyraźny, widoczny kształt. Są bliższe rzeźbie. Są piękne. Działają swym kształtem, kolorem, swoją często zawiłą budową, której tajniki przypominają zawiłe problemy tworzenia pięknych brył. Rzeźba to budowanie piękna, przetwarzania czegoś brzydkiego w rzecz piękną. To jakaś rola platońskiego demiurga. Muzyka jest bliższa tworzeniu z nicości, z matematycznych proporcji, z nieuchwytnego dźwięku. Jest to porządkowanie dźwięków. Można pomyśleć rzeźbę jako porządkowanie elementów materiału, poddanego dłoniom. Muzyka jest wprost poddana myśli. Adam nie chciał nigdy porównywać rzeźby i muzyki. Było to dla niego zbyt bolesne. Przywracało i właśnie aktualizowało sprawę wyboru. Adam musiał wtedy na nowo podejmować decyzję, raz jeszcze wybierać rzeźbę. Proces wyboru nigdy się nie kończył. Zawsze

trwa. Za każdym razem jest rozdieraniem trochę zabliznionej rany strat. Adam uważa, że utracił muzykę. Owszem, świadomie od niej odszedł, ale ją stracił. Nie ma jej. Nie panuje nad dźwiękami, nie może ich wydobyć z instrumentu dłońmi, które służą rzeźbie. Utracił muzykę. Może jej jedynie słuchać. Nie może jej odtwarzać, kształtować swoją interpretacją. Utracił piękno muzyki wybierając piękno rzeźby. Adam wie, że mógłby wrócić do muzyki komponując. Do tego potrzeba jednak studiów. Obok fizyki Adam studiuje rzeźbę. Nie ma czasu i sił na studiowanie muzyki. Piękno tworzonej przez niego rzeźby wystarcza mu. Jest wielkie. Odżywia jego intelekt, kontaktujący się ze światem przez piękno. Ale Adam tęskni też do muzyki, do tworzenia piękna w muzyce. I ta tęsknota nigdy go nie opuściła. Jest w nim mimo decyzji odejścia od muzyki. Adam chciał poskarżyć się Tadeuszowi, że traci siły, że ciągły wybór sprawia mękę, której niełatwo dać radę. Utracił muzykę. Takie jest imię jego bólu.

Krystyna znowu przerwała Ryszardowi.

— Boję się, że twoje analizy są jednak pobieżne. Właściwie tylko sygnalizujesz nastroje i myśli, które może przeżywać człowiek, dokonujący tak bolesnego wyboru. Szyjesz to grubymi nićmi. Idąc bardziej w głąb znalazłbyś całe pokłady nastawień i motywacji, dla których Adam odrzucił lub stracił muzykę. Ale czy Ryszardzie, w ogóle je widzisz i czy umiałbyś je wydobyć? Zresztą przepraszam, że ci przerywam.

— Nie szkodzi, Krystyno. Wyobraź sobie, że to mi nie prze-»/kadzą, nie wytrąca mnie ze skupienia. Nawet mi pomaga, tak jak pomaga mi gwar kawiarni. Dziwiłaś się, że rozmowy bohaterów powieści odbywają się w kawiarni. Mógłbym odpowiedzieć, że to najchętniej tu rozmawiam i najchętniej piszę. Pisanie jest skomplikowanym procesem psychicznym. Owszem, wymaga skupienia, ale wymaga też cierpliwości. Niecierpliwość bardzo utrudni pisanie. Powoduje, że autor przeskakuje jakieś etapy, że śpieszy się, że chciałby już dojść do końca, do wyników analizy. I właśnie kawiarnia usuwa niecierpliwość. W kawiarni jest dużo czasu. Można wtedy powoli pisać, powoli, to znaczy dłużej analizować daną sprawę, cierpliwie wnikać w tajniki nastrojów, uczuć, myśli i działania ludzkiego. Pisania więc nie można porównać z biegiem na sto metrów. Jest to raczej coś w rodzaju tkania płótna lub dywanu. Z cieniutkich nitek, nakładanych na siebie, powstaje wzorzysty dywan. Z różnych zdań, zasłyszanych lub przeprowadzonych rozmów, z przeczytanych książek czy artykułów, z nastrojów,

niepokoję, radości, smutku, z obserwacji poddanych refleksji, z tych wszystkich materiałów, podporządkowywanych tematowi, autor tworzy książkę. Tych kolorowych nitek musi być bardzo dużo, aby dywan był barwny i wyraźnie realizujący wzór. Książka musi być bogata w myśli, w obrazy, w wydobyte przez analizę skomplikowane sprawy ludzkiego życia. Nie wiem, czy umiem tak pisać. Wiem, jak powinienem pisać. Może rzeczywiście to, co piszę, jest zbyt pobieżne i zbyt płytkie. Ale jeżeli nawet to są tylko sygnały spraw, którymi żyje i męczy się człowiek, to już dużo. Nie umiem się bronić, ale umiem powiedzieć ci, Krystyno, czym męczy się Adam.

Adam przede wszystkim pragnie zwierzeń. Chciałby opowiadać o sobie. Chciałby wszystko, czym żyje, wydobyć z siebie, obejrzeć, pokazać komuś zaufanemu. Szuka więc kogoś, kto chciałby go słuchać i komu mógłby zaufać. Adam rozmawia z Tadeuszem, ale Tadeusz nie spełnia wszystkich jego nadziei. Tadeusz nie tylko słucha Adama, także mówi i prostuje drogi refleksji Adama. Adam ma odwagę opowiadać mu o swoich kłopotach. Boi się jednak, że Tadeusz nie wszystko, co mówi Adam, uważa za sprawy ważne. Adam więc nie wszystko mówi. Wybiera fakty. Ale właśnie to, co w nim zostaje, męczy go. Szuka więc rozmówcy bardziej akceptującego, takiego, który niczemu nie będzie się dziwił, który każdą sprawę Adama razem z nim rozważy. Adam spotkał Krystynę.

— Ryszardzie!

— Nic, nic, Krystyno, nie bój się ani o siebie, ani o Adama.

— Dlaczego jednak wprowadzasz mnie w życie Adama?

— Kocham cię, Krystyno.

— Więc dlatego łączysz mnie z Adamem.

— Chcę po prostu pisać o tobie.

— A Adam?

— A więc o Adamie i o tobie.

Adam spotkał Krystynę w kawiarni. Gdy wysłuchał *Żółtych kalendarzy*, patrzył na floksy. I poprzez te kwiaty, a właściwie w kwiatkach zobaczył Krystynę. Znał ją od dawna. Krystyna bywała z Ryszardem w domu Henryka i Łucji. Adam przysłuchiwał się rozmowom, sam rozmawiał. Razem wyszukiwali płyty, entuzjasmowali się jazzem i tańcem. Teraz w kawiarni Adam nie podszedł do Krystyny. Ukłonił się i przeniósł

wzrok na kwiaty. Pozostał przy kwiatkach. Krystyna po prostu pomyślała, że Adam nie ma dziś humoru, że woli być sam i nie wkraczała w ten dziwny świat osiemnastu lat doświadczeń życiowych.

Adam myślał o Krystynie. Jakże bolesne wiązały go z nią przeżycia. Adam przyzwyczał się do Krystyny, do jej obecności w ich domu, do rozmów, do wspólnego słuchania płyt. Często sam rozmawiał z Krystyną. Zwierzał jej różne swoje troski, a gdy się przekonał, że Krystyna doskonale słucha, że go rozumie, że na serio martwi się jego kłopotami, uznał Krystynę za powiernika swoich spraw. Krystyna uczyła Adama hartu, wewnętrznej odwagi, patrzenia w przyszłość pogodnie i ufnie. Adam cieszył się, że znalazł kogoś, kto go rozumie, ceni, kto zawsze ma dla niego czas. Krystyna cierpliwie słuchała zwierzeń Adama. Zachwycała ją jego prawość, jego rozsądek, szerokość spojrzenia, spokój i pełne męki oczy. Adam zachwycał się Krystyną, jej wyrozumiałością, jej dojrzałym sądem, dobrocią, sprawiedliwą i tego, co przeżył. Szukał Krystyny, chodził za nią, przynosił jej kwiaty. A któregoś dnia uświadomił sobie, że zachwyca się oczami Krystyny, jej głosem, jej pięknem. Piękno Krystyny lub uroda Krystyny zajęły pierwsze miejsce w tym, co łączyło Adama z Krystyną. Adam zmartwił się tym odkryciem. Częściej już teraz tęsknił do Krystyny niż do rozmów, które z nią prowadził. Zastanawiał się, czy kocha Krystynę. Nie, to nie jest miłość. Miłość dąży do połączenia, do wyłączności, do wspólnego życia. Adam nie myślał o wspólnym życiu z Krystyną, nie była wyłącznym powiernikiem jego zmartwień. Był jeszcze Tadeusz i Ryszard. Adam rozumiał przez miłość drogę małżeńską ludzi. Nie chciał tej drogi, nie chciał więc Krystyny. Cenił tę drogę, cenił rodziców, rodzinę, ale wybrał inny los. Był przekonany, że jego powołaniem jest droga kapłaństwa. Strzegł więc swych uczuć, swej duszy. Chciał je zachować wyłącznie dla Chrystusa, Jemu oddać. Oczywiście, kochał piękno, kochał intelekt, dowcip, humor, muzykę, rzeźbę. Często martwił się, czy kochając piękno nie sprzeniewierza się miłości Bożej. Andrzej zarzucał Adamowi, że za mało i źle kocha. Adam w głębi duszy nie wierzył Andrzejowi. Wiedział, że Andrzej nie zna tego wszystkiego, co w nim się dzieje. Adam po prostu rezygnując z muzyki przygotowywał się wewnętrznie do ofiary z rzeźby. Wiedział, że wybierając kapłaństwo będzie musiał także porzucić rzeźbę, utracić rzeźbę, piękno rzeźby. Nie miał jeszcze sił, aby od tego piękna odejść. Trwał przy nim.

Andrzej nazwał to złą miłością i za małą miłością, miłością zbyt małych przedmiotów. Adam powoli hartował swoje uczucia, swoją zdolność ofiary. Tego Andrzej nie wiedział. A Krystyna wniosła nową sprawę, nowy etap i przedmiot ofiary. Adam zobaczył, że wewnętrznie nie jest zdecydowany na rezygnację z małżeństwa. Pragnął kapłaństwa, ale nie odszedł jeszcze od pragnienia małżeństwa, wspólnego życia z kimś bliskim i kochanym, kto zawsze jest obok, zawsze wierny, zawsze obecny, zawsze wsłuchany, w słowa i najtajniejsze zwierzenia. Problem Krystyny był zresztą złożony. To były dwa problemy. Adam rozumiał, że czym innym jest sprawa Krystyny w jego życiu i czym innym jest sprawa małżeństwa. Adam nie myślał o małżeństwie z Krystyną. Nie myślał w ogóle o małżeństwie, jako o czymś dla siebie. Ale pragnął i Krystyny i małżeństwa. Myślał często:

— Gdybym miał zawsze przy sobie Krystynę, byłoby mi lżej i łatwiej. Krystyna tak doskonale rozwiązuje trudne problemy, tak świetnie umie poradzić. A gdybym miał żonę, byłoby mi łatwiej się wychować. Nie traciłbym czasu na walkę z popędami i nastrojami. Żona ogniskowałaby te nastroje i uczucia. Odpadłby problem walki. Uzyskałbym naturalną równowagę uczuć i popędów. Mógłbym spokojniej zająć się muzyką, modlitwą, lekturą. Teraz tyle mam z sobą kłopotów. Wciskają się do wyobraźni obrazy małżeńskiego szczęścia, odrywają od pracy, od modlitwy. Utrudniają skupienie, męczą. Wciska się do wyobraźni obraz Krystyny.

Adam nosił w sobie ten obraz całymi tygodniami, myślał o Krystynie, tęsknił do niej, tęsknił jednocześnie do wewnętrznej ciszy, do roztargnień, bez obrazu Krystyny. Doszedł do wniosku, że musi rozstać się z tym obrazem, tak jak rozstał się z muzyką. Bał się tego rozstania, odwlekał je. A kiedyś przyszła noc pełna męki i łez. Adam tracąc siły płakał. Płacz bez słów zbudził w nim modlitwę. Adam podniósł ku górze twarz, zalaną łzami i podczas modlitwy, przynoszącej mękę i spokój, zdecydował się odejść od Krystyny. Ta decyzja przynosiła mękę i spokój. Modlitwa była zgłoszeniem Bogu ofiary. Adam zrezygnował z przyjaźni z Krystyną. Utracił Krystynę, utracił przyjaźń przez całkowicie wolną decyzję odejścia. Odszedł ofiarowując Bogu Krystynę i swoją mękę.

— Tylko do Ciebie, mój Boże, tylko do Ciebie jestem w stanie podjąć tę ofiarę. Oddaję Ci Krystynę. Nie będę brał sobie jej oczu, jej głosu, jej ciała. Nie będę brał jej

duży. Nie przywiążę jej do siebie. Nie zabiorę Ci jej serca, jej uczuć, jej przywiązania. To już drugi dar, który składam Ci, Boże. Oddałem Ci muzykę, teraz oddaję Krystynę.

Adam uspokoił się. Cierpienie, które towarzyszyło jego decyzji odejścia od Krystyny, wzmocniło go, pogłębiło. Adam był spokojny. Rozmawiał z Krystyną. Rozmowy stały się głębsze, prawdziwsze, bardziej obiektywne. Odszedł z nich element emocji, tęsknoty za uśmiechem Krystyny. Adam przekroczył jakiś próg, który można by nazwać uduchowieniem. Był nadal żywy, radosny, pełny uśmiechu, rytmu, tańca, muzyki. Był jednak zarazem odległy, jak gdyby nieobecny, a jednocześnie tkwiący głębiej w tym wszystkim, co nazywało się rozmową, spotkaniem, zabawą, pracą. Adam nie wracał w modlitwie do złożonego Bogu daru ze swej rodzącej się miłości do Krystyny. To była miłość. Adam nigdy nie nazywał jej po imieniu. Całą sprawę nazywał po prostu sprawą Krystyny. Ale to była miłość, urocza, rodząca się, tkliwa, gorąca i pełna miłość. Adam znał jej wartość i siłę. Odkrył ją w sobie i oddał Bogu zanim przeżył pragnienie zabrania sobie tej miłości. Czystą i piękną miłość do Krystyny utracił w bolesnym i radosnym geście ofiary, złożonej Bogu. Gest wielkoduszny, heroiczny. Utracił miłość, której nie dotknął pragnieniem zabrania jej sobie. Umiał uratować czystość tej miłości. Tracąc tę miłość Adam odkrył i zdobył piękno ofiary. Piękno tej ofiary wzruszyło go, a to wzruszenie przeraziło. Bał się, że ciesząc się tą ofiarą profanuje ją, brudzi, zabiera sobie. Każde przywłaszczenie rzeczy cudzej jest brudne. Przywłaszczył sobie piękno działania, piękno czynności ofiarowania. Adam natychmiast odszedł od tego piękna. Pamiętał, że św. Franciszek z Asyżu za pełną ofiarę uważał dar, z którego człowiek niczego nie ma dla siebie. Nie ma nawet radości ofiarowania. Ten brak radości jest dopiero radością doskonałą. Gdy nic nie zostaje dla nas, gdy wszystko otrzymuje Bóg. Wtedy dopiero wprost sam Bóg w pełni otrzymuje to, co Mu dajemy. Nie ma doskonałej ofiary, gdy coś z tego daru zatrzymujemy sobie. Choćby nawet tę odrobinę radości. Nic dla siebie. Wszystko dla Boga. Adam oddał całkowicie Krystynę. Utracił ją w wyniku własnego wyboru, świadomej decyzji przesuwania swej miłości coraz bliżej Boga.

Tych ofiar Adam musiał składać codziennie dość dużo. Zawsze był do kogoś ogromnie przywiązany, wciąż coś brał sobie na zawsze, najpełniej, najgłębiej. Nie mógł przy tym zostać, bo chciał odejść dalej, do Boga. Ale ta droga ciągłego odrywania

swych uczuć, swych nastrojów, swej woli od tego, co stawało się przeszkodą w drodze do kapłaństwa, właśnie była męką. Nie wystarczyła decyzja wyboru kapłaństwa. Adam całkowicie musiał dawać wyraz tej decyzji. Raz powzięta nie broniła go w każdej chwili. Musiał ją wciąż aktualizować, wciąż na nowo odnawiać i podejmować. Wciąż musiał bronić swych uczuć przed tym, do czego się wrywały. Trud dochowania wierności Bogu był realnym trudem. Był po prostu nieustanną ofiarą, walką i ofiarą.

Najcięższa ofiara jeszcze się nie dokonała. Adam nie odszedł wewnętrznie od tęsknoty za małżeństwem. Biedny Adam musiał każdy skrawek swej duszy odrywać od tego, do czego każdy człowiek ma prawo. Adam na zasadzie wyboru kapłaństwa nie miał prawa brać sobie niczego, co nie było Bogiem. Kapłaństwo bowiem wymaga doskonałości, a doskonałość po prostu wymaga Boga. Z kolei wybór Boga jest realny wtedy, gdy nic poza Bogiem nie ma w nas rangi sprawy pierwszej i najważniejszej. Najważniejszą sprawą jest zawsze ta, której najbardziej, całą duszą pragniemy. Adam nie wiedział, czy bardziej pragnie kapłaństwa, czy małżeństwa. Obu dróg pragnął z równą siłą. To zatrzymywało go w drodze. Stał w miejscu. Droga rezygnacji z małżeństwa, ofiarowania go Bogu, wymagała w wypadku Adama wielkiej wiary w słuszność i prawdziwość jego powołania do kapłaństwa, wymagała nadziei, pełnego zaufania Bogu i wielkiej miłości. Czy Adam miał tę ufność i miłość w takim stopniu, by wygrać walkę, obronić swoje przyszłe kapłaństwo? Jeszcze tego nie wiemy. Wiemy tyle, że jego osiemnastoletnie wewnętrzne życie psychiczne i religijne nie było łatwe, że było pełne walki, męki i wierności Bogu.

Adam jeszcze nie przemyślał problemu miłości, nie przemyślał też problemu małżeństwa. Obydwa problemy chwycił raczej intuicyjnie. Nie musiał oczywiście przemyśliwać tych spraw, musiał jednak dawać sobie z nimi radę. To ostatnie sprawiało mu trudności. Nie wiadomo, czy przemyślenie sprawy miłości i sprawy małżeństwa pomogłoby Adamowi w znalezieniu własnych rozwiązań. Przypuszczał, że tak. Z tej racji więc rozmawiał dużo o miłości i małżeństwie z Krystyną, z Tadeuszem i Ryszardem. Ale główne decyzje podejmował nie podczas rozmów, lecz w czasie modlitwy. Modlitwa przynosiła więcej pewności, rozwiązywała konflikty, usuwała niepewność. Modląc się Adam wiedział, co robić i był pewny, że decyduje słusznie. Gdy rozmawiał, gdy w jakimś sensie był poza modlitwą, czuł się mniej pewny. Wracały

kłopoty, podjęte decyzje trzeba było na nowo podejmować, w każdej chwili, bez przerwy wybierać to, co wybrał. Wybrał Boga bezwzględnie, całkowicie, na serio i na zawsze. I ten wybór musiał codziennie powtarzać, musiał codziennie bronić tego wyboru. Temu wyborowi zagrażała muzyka. Odszedł więc od niej. Zagrażała Krystyna. Zdecydował się ją utracić. Musiał jeszcze podjąć decyzję dotyczącą małżeństwa i rzeźby. Intuicyjnie rozumiana miłość była dla niego pełnym kontaktem z kobietą. Takiego kontaktu nie mógł realizować kierując się do kapłaństwa. Musiał więc zrezygnować z Krystyny i z małżeństwa. Cenił małżeństwo. Widział w nim urzeczywistnienie, urealnienie miłości. Nie wiedział dokładnie, jak ma wyglądać jego miłość do Boga, na czym ona polega, jak się realizuje i jak objawia. Raczej wyczuwał niż wiedział, jak należy kochać Boga. Szedł po dobrej drodze. Upewniał go o tym Tadeusz. Adam jednak często czuł się zagubiony. Wciąż przypuszczał, że gdyby zdecydował się na małżeństwo, byłby pewniejszy, że dojdzie do Boga, że Go nie straci. W samotnym życiu przeczuwał niebezpieczeństwa, bał się ich. Bóg nie pociągnął go z taką siłą, by ustąpiły wszystkie wątpliwości. Adam wiedział, był pewny, że jego miejsce jest w kapłaństwie. Ale dojście z tej dopiero psychicznej sytuacji do realnego, sakramentalnego kapłaństwa, było trudne, nawet skomplikowane. Adam musiał krok po kroku przekształcać swoje tęsknoty, a raczej wciąż czuwając nad nimi kierować je do Boga. Uważał, że tak należy postąpić. Wydawało mu się, że najpierw musi całkowicie, całym sercem, całą duszą, wszystkimi siłami, przyłgnąć do Boga, a dopiero potem z tego miejsca wyjść do ludzi. Gdy najpierw przyłgnie do ludzi, już od nich nie odejdzie. Tadeusz nie sądził, że miłość do ludzi może stanowić niebezpieczeństwo dla miłości do Boga. Adam odpowiadał wtedy, że to zależy od struktury psychicznej. Jest tak skonstruowany, że niełatwo mu odchodzić. Ogromnie dużo kosztuje go odejście od muzyki, od Krystyny. Może się tak zdarzyć, że nie wystarczy mu sił na odejście od myśli o małżeństwie. Musi więc to wcześniej zdecydować, dokąd jest sprawny i silny. Musi także podjąć decyzję. Właściwie tę decyzję już negatywnie podjął. Wybrał kapłaństwo. Ale jeszcze pozytywnie i wyraźnie musi w sobie uporządkować pragnienie posiadania blisko siebie drugiego, ukochanego człowieka. To pragnienie chce po prostu skierować na Boga. Takie skierowanie jednak nie polega tylko na jednym akcie woli. To jest całe życie inaczej pomyślane, inaczej organizowane. To jest całe, dosłowne,

pełne odejście od wszystkiego ku Bogu. Tak rozumował Adam. Ale to odchodzenie jest ze swej natury czymś negatywnym. Jest samą tylko ascezą. Daje się osiągnąć pod warunkiem, że istnieje bardzo wyraźny i bardzo ukochany cel, dla którego to odejście się realizuje. Adam nie wiedział, czy właściwie kocha Boga, skoro ma tyle ze sobą trudności. Wybór Boga nie uwalniał go od męki opanowywania uczuć, popędów, wybuchających co jakiś czas skowitem namiętności. Adam bał się, że może służyć jakiemuś tylko pojęciu Boga, jakiemuś ideałowi religijnemu, nie samemu Bogu. Tadeusz upewniał go, że sakramenty realnie łączą go z Bogiem, że należy zaufać łasce i otworzyć na modlitwie całą duszę przed Bogiem. Bóg nie zawiedzie, przyjdzie do poszukującej go duszy. Adam jednak bał się, że często uniemożliwia Bogu zamieszkanie w swym sercu. Tadeusz rozumiał całą tę sytuację w ten sposób, że Adam walczy o nadzieję. W odczuciu Adama była to walka o miłość. Przypatrując się rozwojowi miłości Bożej w duszy św. Franciszka z Asyżu, Adam doszedł do wniosku, że miłość do Boga staje się wtedy i Bóg ją podejmuje, przekształca, wspiera na niej miłość nadprzyrodzoną, gdy przy pomocy Boga dusza ludzka uzyska pełne, wewnętrzne ubóstwo. Gdy nie będzie posiadała niczego dla siebie, gdy wszystko odda, nawet piękno, nawet miłość, zatrzymując sobie tylko Boga, a właściwie otrzymując Boga. Może nawet nie wolno zatrzymać sobie Boga. Nic dla siebie. To Bóg musi zabrać nas sobie. Tak myślał Adam podczas swojej modlitwy. Wyjście ze swoich kłopotów znalazł w sprawie ubóstwa. Małżeństwo, którego tak bardzo pragnął, które na odległość ukochał całą duszą, byłoby czymś, co miałyby dla siebie. Miałyby swoją żonę, jej przywiązanie, jej uczucia, jej uwagę, jej troskę, tylko lub głównie dla siebie. Miałyby swoje dzieci, miałyby swoją głęboką, wielką radość. Marzył o posiadaniu syna, własnego syna, który by go kochał, który by radził się go, był z nim. Miałyby tyle pięknych spraw dla siebie. Miałyby to piękno. Bał się tego piękna. Uważał, że nie może mieć niczego na własność, że pełne ubóstwo wymaga odejścia od własności, że tylko pełne ubóstwo, pełne odejście od wszystkiego jest realnym, prawdziwym, pełnym wyborem i otrzymaniem Boga. Tylko bowiem czyste serca oglądają Boga, tylko czyste serca otrzymują Boga. Przez czystość Adam rozumiał właśnie ubóstwo, które z kolei było tym samym, co zarezerwowanie miłości dla Boga, pełne oddanie miłości Bogu. Najpierw Bóg, najpierw ukochanie Boga, potem miłość do ludzi, dojście do ludzi od

strony Boga. Tak widział swoją drogę. Nie znaczyło to, że inaczej nie można dojść do Boga. Adam sądził, że taka jest droga miłości kapłana i kandydatów do kapłaństwa. Małżonkowie idą może inaczej do Boga. Może właśnie najpierw znajdują siebie, a umacniając swą miłość znajdują Chrystusa, gwarancję ich miłości. Chrystus utrwała ich miłość i kieruje do Ojca. Ale miłość samotnego człowieka musi od razu zaczepić się o Chrystusa, musi wniknąć w tę miłość, musi być podjęta przez miłość Bożą. Jeżeli kierowana jest gdzie indziej, nie jest kierowana do Boga. Bóg może ją przyciągnąć do siebie, podnieść, udoskonalić. Ale kapłan musi od razu być w Chrystusie. Inaczej nie dojdzie do kapłaństwa, a przynajmniej będzie szedł bardzo długo. Adam więc zdecydował się na pełne wewnętrzne ubóstwo. Nie rozumiał przez to zerwania z ludźmi, z kulturą. Rozumiał przez to pełną akceptację ludzi i kultury, tak pełną, że obejmującą całość świata, źródło i przyczynę świata, przyczynę siebie i swojej miłości, właśnie Boga i najbardziej Boga. Adam wciąż pamiętał, że najlepiej poznaje się świat, człowieka, kulturę w ich źródłach i prawach. Poznanie więc Boga warunkuje pełne poznanie ludzi i świata. Ukochanie Boga warunkuje miłość do ludzi i do rzeczy tego świata. Ukochanie Boga było potrzebą jego duszy tak mocną, że Adam nie mógł się temu przeciwstawić. To było mocniejsze niż radość, którą przynoszą wszystkie uczucia i namiętności razem wzięte. Adam szedł ku tej miłości. Szedł jednak w męce codziennie odnawianej decyzji, codziennego, pełnego cierpień wyboru. Cierpieniem było odchodzenie od piękna, od miłości, aby dojść do Boga. Adam bał się, że może wybrać coś, co jest drugorzędne, co jest mniej warte wyboru, co nie jest Bogiem. Bał się o swoją miłość, o jej rozwój, jej drogę, o umiejętność wyboru Boga. Tadeusz pocieszał go, że w tylu aktach decyzji przechodzenia ku temu, co lepsze i wartościowsze, trafi na Boga, i że zresztą po prostu Bóg trafi na niego. Już dawno Bóg odszukał Adama, dostrzegł go i objął swoją miłością. Wystarczy ufność, ufająca miłość.

— Adamie, nie bój się, zaufaj Bogu. To ważna sprawa. Obyś przez brak zaufania nie utracił Boga. Nie ty tworzysz swoje życie nadprzyrodzone. Bóg jest twórcą tego życia. Bóg jest jego źródłem. Bóg daje miłość, Bóg ją doskonali, Bóg przyciąga do siebie, Bóg uświęca miłość i duszę ludzką, a więc także twoją. Przez wiarę i nadzieję oddaj się Bogu. Nie usiłuj poprawiać Boga, nie przeszkadzaj Bogu, pozwól Bogu

kochać cię tak, jak Bóg chce. Przyjmij życzenia Boże. Uczyn z nich swoje życzenia. To będzie doskonałość miłości i to będzie świętość.

— To prawda, Tadeuszu. Ale aby Bóg mógł być we mnie, muszę przez wysiłek ascetyczny, przez umartwienie pragnień, popędów i tęsknot nastawić siebie na Boga, a potem przez modlitwę szeroko, całkowicie swą duszę otworzyć Bogu.

— Słusznie, ale nie rób tego sam. Rób to wszystko razem z Bogiem. Bóg sam chciałby według swych życzeń już kierować i tymi pierwszymi wysiłkami, tym porządkowaniem człowieka. Chciałby otwierać razem z tobą twoją duszę dla siebie. Pamiętaj, że tylko Bóg tworzy nasze życie nadprzyrodzone, tylko Bóg. Jeżeli sam realizujesz ascezę, działasz na poziomie zwykłej gimnastyki, której Bóg na przykład może nie akceptować, bo pomyślał cię inaczej. I zwróć uwagę na to, że nie najważniejsze dla ciebie jest kapłaństwo czy małżeństwo. Najważniejszy jest Bóg. Jego życzenia są prawem dla twojej duszy, są łaską ci udzieloną. Świętość polega na podjęciu życzeń Bożych. Może nie chodzi o to, abyś koniecznie był księdzem czy małżonkiem, na pewno chodzi abyś spełnił życzenia Boże. Nawet najdoskonalsze nasze czyny, jeśli sprzeciwiają się życzeniom Boga, nie są nic warte, nie doskonałą nas, nie zbliżają do Boga.

— Ale zgodzisz się, że nie zawsze łatwo człowiekowi odczytać życzenia Boże w sprawach na przykład drogi życia. Myślę tu o powołaniu. Wiem, czuję to, że mam być księdzem. Dlaczego jednak tak mi trudno porzucić wszystko i bez męki, radośnie pobiec ku temu, co Bóg dla mnie przewidział?

— Zgodziłbym się, że powołanie może być uwikłane, że może nie wystąpić jasno, że człowiek musi je w sobie odkrywać w żmudnej refleksji i modlitwie. Jeżeli Bóg przewidział dla ciebie taką drogę, pełną męki, to przyjmij tę drogę. Podejmiesz jedno z życzeń Bożych. I to będzie cię uświęcało. A uświęcenie to większa miłość, większa doskonałość. Większa, prawdziwa miłość nadprzyrodzona usprawni cię i umocni w podejmowaniu nowych decyzji, dalszego szczegółowego wyboru tego, co zbliża do Boga i wprowadza w Jego miłość.

— Może rzeczywiście za dużo jest jeszcze mnie tam, gdzie powinien być Bóg.

Adam zrozumiał, że nie tylko czeka go sprawa odejścia od tęsknoty za małżeństwem. Czeką go także sprawy odejścia od siebie.

— A zresztą niech trwa ta tęsknota, niech będzie moim męczeństwem. Nie muszę jej realizować. Mogę z jej powodu cierpieć. Czy dobrze wobec tego zrozumiałem ascezę? Czy asceza polega na odchodzeniu, czy na cierpieniu? Czy można z siebie wyrzucić to, co nas konstytuuje? Czy mogę usunąć swoje ciało, jego charakter, jego tęsknoty, wynikające z faktu płci? Może asceza to po prostu umiejętność cierpienia, umiejętność akceptacji tego, czym się jest i obecna w nas miłość Boża, która całego człowieka wiąże z Bogiem na wieczystą przyjaźń, na wspólne nadprzyrodzone życie z Osobami Bożymi. To przebywanie w Bogu jest podjęciem życzeń Bożych. Bóg pokieruje poprzez moje decyzje moim działaniem. Żeby tylko trwał kontakt z Bogiem. Co to więc znaczy odejście od czegoś? W jakimś sensie muszę porzucić małżeństwo. Tak, nie powinienem go zrealizować, ale powinienem cierpieć. Mogę cierpieć. Muszę odejść od siebie, ale mogę z miłosierdziem, ze swoistym współczuciem traktować siebie. Odejście od siebie to dystans wobec tego, czym jestem i jaki jestem. Odejście od siebie to ufność, że Bóg chce mnie uświęcić takiego, jaki jestem. Odejście od siebie to pełna litości rezerwa wobec swego ciała, swej duszy, to przebywanie w Bogu. Chcę być w Bogu. Odchodzę od siebie, odchodzę więc i od małżeństwa, od piękna, od Krystyny. Odchodzę od wszystkiego posiadając wszystko w sobie jako źródło cierpienia i jako źródło radości, że Bóg przejął moje sprawy, moją duszę, moją miłość. Bóg podjął moją miłość. Wszystkim jest Bóg i ja jestem Jego. Nawet moje ubóstwo nie jest moje, moja miłość nie jest moja. Wszystko jest Boże, Bóg jest wszystkim. A ja jestem w Bogu razem z Chrystusem, z Duchem Świętym w Ojcu, w Trójcy Świętej, ukryty, tam obecny. Tam istnieję. Jestem i nie ma mnie. Jest Bóg, przekształcający moją miłość, Bóg, który w sobie według swoich życzeń tworzy moje życie nadprzyrodzone, to, co jest istotne, ważne, co w pełni stanowi człowieka, Bóg który kocha. Ryszard tym razem sam przerwał czytanie. — Czy sądzisz, Krystyno, że widoczna jest już u Adama utrata piękna i utrata miłości? Adam odszedł od piękna, od ciebie, od małżeństwa, od miłości. Utracił miłość. To Bóg ma jego miłość. W wypadku Adama utrata miłości polega na tym, że Bóg udzielił mu swojej miłości, wypełnił go sobą. Adam jest zawsze cały i ten sam, pełny tęsknot, popędów, cierpień. Ale to wszystko nie należy do Adama. To wszystko należy do Boga. Adam nie ma niczego na własność. To Bóg ma na własność

jego całego i całą jego miłość. Czy widać to w tej analizie dokonującego się w Adamie procesu utraty miłości, tak pięknego procesu, tak pięknej miłości?

— Myślę, że dobrze to ująłeś. Zastanawiam się tylko, czy wynika z tego wszystkiego, że Adam zostanie księdzem.

— Nie wynika. Może Andrzej ma rację, że Adam nie zostanie księdzem. Adam powinien stać się święty. To się w nim zaczęło. Jeżeli nie wyłamie się z obejmującej go miłości Bożej, Bóg go uświęci, zrealizuje w nim pełną, heroiczną miłość. Adam nie wie nic o swojej świętości. Na zewnątrz za mało kocha, uwikłany w kłopoty z odchodzeniem od piękna. To lepiej. Adam nie marzy o świętości. Adam myśli o Bogu, tęskni do Boga, kocha Boga. Mam nadzieję, że ta miłość go uratuje, że właściwie miłość Boża uratuje jego miłość, udoskonali ją, a jego uświęci. Myślę, że Bóg liczy bardziej na świętość Adama niż na jego kapłaństwo. Zresztą zobaczymy.

— Adam, Ryszardzie, mógłby zostać poza kapłaństwem i poza małżeństwem. Miłość Boża daje mu tyle siły, że wytrwałby na tej drodze. Byłby tak zwanym świeckim, dobrym katolikiem, bardzo w tych czasach potrzebnym Kościołowi.

— Zobaczymy. To także trudna droga. Adam będzie się na niej męczył. W kapłaństwie byłoby mu łatwiej zniknąć, nie wysuwać siebie. Używałby słów Chrystusa, w Jego imieniu udzielałby sakramentów. Byłby tylko narzędziem. To Chrystus jego dłońmi konsekrowałby, rozgrzeszał, jego ustami nauczał, pocieszał. Będąc człowiekiem świeckim Adam nie mówiłby w imieniu Chrystusa. Mówiłby od siebie o Chrystusie. A zresztą może te obie drogi nie są dla Adama. Może jego drogą jest tylko przebywanie w miłości Bożej. Zostawmy go tam. Niech Bóg ma dla siebie całą jego duszę. Może jedynym zadaniem Adama jest tylko miłowanie Boga. Zastanowimy się jeszcze nad tym. Każdy człowiek bowiem jest świadkiem Chrystusa. To świadczanie nazywamy apostołstwem. Jaką formę ma przybrać apostołstwo Adama? Kochając Boga, tylko kochając, nawet nikomu nieznanym i ukrytym człowiekiem też apostołuje. Sama miłość bowiem jest lekcją udzieloną światu, najwłaściwszą lekcją, że Bóg jest najbardziej godnym wyboru i miłości.

ROZDZIAŁ 17

Zło rodzi się w nas. To zło, które otacza człowieka, nie jest groźne. Stanowi tylko porządek celów, do których nasze działanie może się nigdy nie skierować. Zło jest wyborem, wewnętrznym działaniem duszy i polega na rezygnacji z miłości do Boga. Tak. Zło to odejście, świadome odejście od miłości Bożej, odejście woli. Wola ludzka, nasza wola odwraca nas od Boga. Wyraża decyzję, która zrodziła się w głębi duszy, w nas. W nas więc rodzi się zło, w naszej woli. Henryk uważał, że uczucia i namiętności nie mają takiej siły, aby wyznaczyć działanie człowieka. One tylko ukazują cel działania. Samo działanie, to, za które człowiek odpowiada, które jest działaniem ludzkim, zależy właśnie od woli. Wola człowieka, kierowana od dzieciństwa ku dobru przez rozumne wychowanie i naturalną skłonność, nie chce zła. Trzeba więc stwierdzić, że bardzo powoli narasta w człowieku decyzja popełnienia grzechu. Grzech ciężki nigdy nie zaskakuje. Najpierw jest w sferze możliwych celów. I człowiek nie chce grzechu zwłaszcza ciężkiego. Ale człowiek zna możliwość grzechu, jawiącego się jako radość, po którą nie wolno sięgnąć. Człowiek więc nie sięga po tę radość. Decyduje się na mniejsze zło, na cały szereg drobnych wykroczeń, które przyzwyczajają psychikę do tego, co ma się zdarzyć. Czyn dużej miary zły przychodzi w takiej chwili, w której już opory zostały dawno przełamane. Człowiek wbrew sobie spodziewa się, że to zło nastąpi, czeka na nie. Istnieje cała psychologia oczekiwania grzechu. Uczucia, które dążą do radości, namiętność, która za wszelką cenę chce zdobyć swój przedmiot, wciąż swoiście przedstawiają woli słuszność swych dążeń. Poznawcze władze zmysłowe, uwikłane w swym działaniu w akty uczuć i napięcia namiętności, dostarczają intelektowi wyolbrzymionej i zbyt pozytywnej informacji o przedmiocie uczuć i namiętności. Intelekt, jeżeli niezbyt samodzielnie rozpoznaje i ocenia, przedstawia woli jakiś cel uczuć bardzo korzystnie. Wola decyduje. Człowiek zrealizuje dany cel. I dopiero potem okazuje się, że osiągnięty przedmiot nie wypełnia tęsknot. To z kolei każe szukać raz jeszcze tego samego przedmiotu. Czyny się powtarzają. Przychodzą przyzwyczajenia. Człowiek nie tylko popełnił czyn zły, jest uwikłany w zło. To zło zrodziło się w człowieku. I nie przedmiot należy tu winić. Winę ponosi człowiek za to, że całym szeregiem drobnych, bardzo drobnych złych czynów wytworzył w sobie

atmosferę sprzyjającą złu, pozwalającą podjąć decyzję popełnienia grzechu ciężkiego. Grzech ciężki więc nie zaskakuje, nie spada na człowieka znieca. Jest skutkiem długiego procesu odchodzenia od ostatecznego dobra. W związku z tym praca nad sobą to nie tylko wielka akcja opanowywania namiętności. To zresztą nie jest walka z namiętnościami. Namiętności same z siebie nie są groźne. Chcą tego, czego chce wola. Mają swoje przedmioty, ale są siłą, którą wola może skierować do różnych przedmiotów. Praca nad sobą polega głównie na nieustannym czuwaniu, aby nie ustąpić w drobiazgach, aby nigdy człowiek nie wytwarzał w sobie atmosfery, sprzyjającej decyzji na grzech ciężki. Jest to więc praca, która polega na nieustannym nastawieniu woli na dobro moralne, rozpoznawane w życzeniach Bożych. Bóg chce, aby człowiek żył, rósł, rozmnażał się, modlił, uzyskiwał rozwój łaski i składał Bogu hołd przez doskonalenie miłości. Dobrze pojęte życzenia Boże wprowadzają ład w życie ludzkie, umiar, troskę poddaną rozumowi, sensowność działania ludzkiego. Nie krępują, lecz porządkują. Uwrażliwiają na dobro. Jeżeli człowiek nigdy wewnątrz nie rezygnuje z dobra moralnego i jeżeli wytrwale do niego zmierza, nie popełni grzechu ciężkiego. Nie zrodzi się w nim zło. Wielkiego wysiłku wymaga postawa ciągłej czujności. Nigdy nie ustąpić, wciąż poprawiać działanie woli, wciąż ją nakierowywać na dobro moralne, to praca bardzo ciężka. Aby człowiek chciał ją prowadzić, musi dużo wiedzieć, musi umieć uzasadniać podjęcie wysiłku, musi głęboko wierzyć, żyć nadzieją i miłością do Boga. Bez tej orientacji trudno mu nie ustąpić, nie zwolnić się na chwilę z wysiłku, nie zakosztować tego, czego wzbrania rozsądek i Bóg.

— Ciebie, Andrzej, nic nie usprawiedliwia. Owszem, usprawiedliwia cię miłosierdzie Boże. Obok pracy nad rozwojem łaski, nad wiązaniem swej miłości z miłością Bożą, pracowałeś też nad usunięciem oporów, nie pozwalających ci sięgać po radości spoza planu Bożego, przewidzianego dla ciebie. Wykonywałeś dwie prace równocześnie, działałeś na dwu torach. Ta praca nad usuwaniem oporów, to było bardzo długodystansowe atakowanie obecnej w tobie miłości do Boga. Przyjmowałeś tę miłość, robiłeś tyle ile było trzeba, ale nie więcej. Tylko to, nic więcej. I to cię zgubiło. W życiu religijnym nie wystarczy spełnienie obowiązków. To jest początek klęski. To jest już sprzymierzenie się z przeciwnikiem, praca dla innego celu, wykluczającego miłość Bożą. W pracy nad rozwojem miłości nie wystarcza przeciętna. To musi być

wybór całkowity, bezwzględny, realizowany z uporem codziennie, w każdej chwili. W głębiach twojej duszy obok obecnej tam miłości Bożej formowały się te siły, które wybrały twój grzech. Zrodził się więc w tobie. Zło rodzi się w nas.

— To prawda, to jest tak, jak mówisz. Ale chciałbym dodać, że istnieje w człowieku niepokojący lęk, obawa, niechęć do strat. Utrata radości cielesnych, utrata tych radości, płynących z innych źródeł niż te, które są nam dane, to budzi poczucie krzywdy. Jakiejś krzywdy, ograniczenia, niespełnienia. Chodzi tu o ilość. Człowiek chciałby sięgnąć po wszystko, potrzebuje wszystkiego. Gdy nie może wziąć tych wszystkich rzeczy, które innym ludziom są dostępne, czuje się uboższy, pokrzywdzony. Sięga więc po różne sprawy, po ludzi, po rzeczy. Zdobywa je i uświadamia sobie, że ich nie zdobył, że tylko zaczął zdobywać, że tyle ich jeszcze jest do zdobycia. Grzech ma to do siebie, że nastawia człowieka na ilość. Budzi tę płytką potrzebę ilości. Wprowadza w paradoks, w tragizm, w przegraną. Nie jest bowiem możliwe opanowanie, osiągnięcie wszystkich radości, wszystkiego piękna. Ta nieskończoność ilości rzeczy nie da się zamknąć w jednym człowieku. Grzech rozgorycza. Nastawia na ilość i rozgorycza. To są dwa smutne i straszne skutki grzechu. Człowiek chce wszystkiego i nie może wszystkiego osiągnąć. Grzech pogłębia poczucie krzywdy, poczucie utraty, niespełnienia. Pogłębia lęk, że się traci to wszystko, czego nie można osiągnąć. Cechą grzechu jest przegrana. W psychice objawia się to niepokojącym lękiem, że nie uzyskałem tego, co piękniejsze. A poza tym, tak już jest, to, co zostało osiągnięte, nie cieszy. Już pociąga coś innego, inna twarz, inne oczy, inny dochód, inna radość. Znowu sprawa ilości i sprawa oczu. Oczy wypatrują rzeczy nowych, ciekawszych. Cechą grzechu jest potrzeba nowości. A raczej cechą psychiki nie nastawionej na miłość jest potrzeba ilościowo różnych nowości. Męczy to, że nie posiada się tego, co właśnie teraz jawi się w tak pociągającym uroku. Grzech jest męką. Jest męką niezaspokojenia. Masz rację, Henryku, w głębi duszy trwa to niezadowolenie z tego, że nie jest naszą własnością coś, co teraz zjawilo się jako nowe, ilościowo inne. Człowiek tęskni do tego nowego i płacze, że go nie posiada. Po prostu oczy nie są obiektywne. Właśnie oczy służą ilości. Wyławiają to, co jest inne. Często żałowałem, że nie straciłem wzroku w dzieciństwie. Nie znam psychiki ociemniałych. Wiem jednak, że zamknięcie oczu kieruje nas w głąb, ku pogłębieniu tego, co się posiada. Powinienem był pogłębiać

miłość do Boga, do Teresy. Tylko miłość jest na serio wartością. Wszystko inne jest ilością, jest goryczą, jej źródłem, czymś nowym, co każe biec w kierunku ilościowej nieskończoności, niemożliwej do osiągnięcia, do wypełnienia. Gdybym nie miał oczu fizycznych, może łatwiej byłoby mi dokonać tego, co Ewangelia nazywa wylupieniem oczu: „jeżeli oko twoje gorszy cię, wylup je”. To wielka mądrość, głęboko psychologiczne ujęcie. Boją się nie mieć wzroku, ale żałuję, że mi nie został zabrany. Jest jeszcze inny sposób obrony przed niebezpieczeństwem ilości, nastawienia na ilość. Sposób zresztą utopijny, tak jak utopijne jest marzenie o nieposiadaniu oczu. Może Bóg powinien młodemu człowiekowi pokazać się w jakimś fizycznym, czy ja wiem, może w jakimś duchowym pięknie, które przywiązywałoby do siebie na zawsze nasze oczy, serce, uczucia. Pilnowałoby woli. Gdybym był miał widzenie. Widzenia wcale nie kwalifikują doskonałości człowieka. One są pomocą, udzieloną człowiekowi przez Boga. Ogniskują uczucia, tęsknoty, całą fizyczną, psychiczną, a nawet duchową stronę człowieka. Trzymają przy Bogu. Bóg może wtedy łatwiej skierować wysiłek człowieka na pogłębienie miłości. Ale oczywiście obie teorie są utopijne, są rozpaczliwym szukaniem sposobów obrony, uratowania się, zabezpieczenia przed grzechem. Wiem, że musimy żyć wiarą, nadzieją, miłością, że powoli poddając się łasce mamy w trudzie umartwienia i przez modlitwę, otwierającą na Boga, udostępnić siebie miłości Bożej. Wiem, że należy nieustannie nastawiać się na dobro pogłębiając to, co nazywa się wewnętrzną prawością. Ale tęsknię do łatwiejszej drogi, do drogi, którą miał choćby św. Paweł: Chrystus stanął przed nim. Paweł od tej chwili był zawsze wierny. Męczył się w szczegółowych sprawach. Ale nigdy nie utracił otrzymanej miłości. Ja tę miłość utraciłem wybierając ilość radosnych wzruszeń. Tylko wzruszeń.

— Poruszyłeś, Andrzej, sprawy ważne. Ważne jest w nas to przecucie utraty. Kochamy i przewidujemy koniec tej miłości. Ktoś od nas odejdzie, ktoś, kogo chcielibyśmy na zawsze zatrzymać. Dlaczego towarzyszy miłości zawsze to przecucie, ten lęk? Czy jest wtedy miłość, gdy razem z nią już trwa w nas możliwość utraty tej miłości? Ktoś odejdzie. Ryszard ma poczucie odchodzenia Krystyny. Adam ma w sobie niejasne poczucie możliwości utraty kapłaństwa. Dlaczego pewnego rodzaju miłości towarzyszy takie poczucie? A może to poczucie właśnie stwarza rodzaj miłości nietrwałej, rodzaj okresowej miłości, może czegoś podobnego do miłości? Czy istnieje

taka miłość? Psychologicznie tak, stwierdzamy ją. Męka przeczuwania, że będziemy samotni. Już jesteśmy samotni, bo taka miłość, którą stracimy, nie jest w nas w pełni. Samotność w środku miłości. Rozumiałbym samotność w środku gwaru ludzkich spraw. Ale samotność wtedy, gdy kochamy? To jest trudne. Na czym to polega? Samotność w środku miłości.

Henryk zaczął analizować różne sytuacje, w których może się znaleźć człowiek kochający i kochany. Szukał cech, różniących miłość wzajemną, miłość nie podjętą przez kogoś kochanego, miłość nigdy nie ujawnioną, głęboko ukrytą, taką miłość z daleka, rozważał miłość zdradzoną, miłość, która wygasła. Zastanawiał się, kiedy miłość jest dobra, kiedy zła. Doszedł do wniosku, że miłość z natury swej jest dobra, ponieważ zawsze jest akceptacją, troską, zawsze wyborem czegoś poza nami. Ranga tej miłości zależy od tego, co ukochamy. Jeżeli ukochamy osobę ludzką, miłość staje się uwzględnieniem dobra tej osoby. Jeżeli ukochamy tylko duszę ludzką, zaniedbujemy troskę o rozwój naturalnych wartości człowieka. Jeżeli ukochamy tylko ciało, odrzucamy nadprzyrodzony porządek w człowieku, negujemy prawo Boga do miłości ludzkiej. Jeżeli ukochamy tylko rzeczy, przestajemy cenić człowieka i najczęściej wysuwamy siebie na plan pierwszy, Wpadamy z konieczności w egoizm. Kochając siebie, tylko siebie, podporządkowujemy sobie rzeczy przez nas wybrane, albo tylko im służymy. Możemy służyć rzeczom, fikcyjnym ideałom, pojęciom, mitom. Wchodzimy w nierealny świat. W ten świat wprowadza nas także miłość, kierowana do jakiegoś fragmentu człowieka, do jego głosu, oczu, do jego ciała. Pozornie mamy jego głos, oczy, ciało, ponieważ kontakt z tymi częściami człowieka jest właściwie jednostronny. Nie jest kontaktem równego z równym. Człowiek w kontakcie z głosem czy ciałem ludzkim ma przewagę z racji swej psychiki, swego myślenia, swych decyzji i faktycznie podporządkowuje sobie czyjeś kochane przez siebie ciało. Traktuje je jak rzecz, bo — na serio biorąc — ono jest rzeczą gdy je oddzielimy od duszy ludzkiej. Taka miłość wprawami w egoizm, musi w niego wprowadzać i wprowadza też w fikcję, w świat mitu. Mitem i fikcją jest bowiem kontakt z człowiekiem, w którym kochamy tylko jego ciało. Właściwie to nie jest już wybór, troska, zabieganie o dobro. To jest fikcyjna miłość lub tylko pożądanie, które zmienia się, wygasa. Wraz z nim gaśnie miłość do ciała. A człowiek, w którym ukochaliśmy jakiś jego fragment, pozostaje sam, ponieważ

był sam, nigdy nie kochany. Może właśnie ta pozorna miłość jest samotnością? Może właśnie w pozornej miłości przeżywamy poczucie tej utraty? Może miłość zdradzona, miłość, która wygasa, zawsze była pozorną miłością? Henryk czasem dochodził do wniosku, że miłość Ryszarda do Krystyny jest także pozorna. Nie było tej miłości. Może powiązanie Ryszarda z Krystyną to tylko fascynacja jej urodą, ześrodkowanie uczuć płytkich, całej sfery tylko wrażeniowej na uroczym uśmiechu i oczach Krystyny. Miłość, która wygasa, nie była miłością. Miłość zdradzona musiała być miłością części człowieka, jego ciała. Taka miłość zawsze się skończy, zawsze przegra. Miłość, która nie została podjęta, może być prawdziwą, głęboką miłością, ale nie jest miłością samotną. Człowiek przecież kocha. Jest więc w kontakcie z przedmiotem miłości. Nie jest przy tym kochany. To prawda. To nie zmienia rangi jego miłości, jej charakteru. Zmienia tylko charakter kontaktu człowieka z człowiekiem. Po prostu brakuje nam wtedy akceptacji naszej miłości, uznania jej, jakiegoś rewanzu. Ta miłość także buduje, uszlachetnia, porządkuje namiętności, nadaje im właściwą dla nich funkcję służenia miłości. Odbiera im dominację, wychowuje. Miłość wzajemna ma to do siebie, że przyjęta od nas jako dar i udzielona nam także jako dar, wzbogaca człowieka. Nie tylko spełnia funkcje wychowawcze wobec nas, lecz także wprowadza w cały świat przeżyć kochanej osoby, przekształca człowieka, podnosi lub obniża do poziomu dobra, obecnego w osobie kochanej. To nie jest miłość samotna. Miłość nie podjęta też nie jest samotna. Tylko pozorna miłość jest samotna. Miłość pozorna jest miłością, która nie różni się od namiętności. A mówiąc prościej, po prostu namiętności nadaliśmy rangę miłości. Miłość zawsze daje poczucie pokoju, bezpieczeństwa, pewności, przekonanie o wierności, stałości. Jest trwała. Namiętność się zmienia. I jej towarzyszy niepokój, lęk, obawa, że stracimy przedmiot, z którym jesteśmy w kontakcie. Pozorna miłość daje przecucie utraty. Człowiek, którego kochamy, odejdzie, jeżeli kochamy tylko jego głos, oczy, jego ciało. Odejdzie, ponieważ nigdy na serio nie był z nami powiązany. Zdawało się nam, że to powiązanie istnieje. To tylko namiętność trwała przy swoim przedmiocie.

— Tak mi się wydaje, Andrzeju. Myślę, że to tak jest. Miłość prawdziwa jest wierna, jest na zawsze. Kochamy, nawet gdy nie jesteśmy kochani. Pozorna miłość wywołuje zniechęcenie, odejście, wygasanie. Pozorna miłość, albo miłość uwikłana w

namiętność jest zazdrosna, niecierpliwa. Zazdrość jest bowiem potrzebą wyłączności. Zazdrość wyklucza ukochanie innych osób. Jest reakcją uczuć cielesnych. Powiązanie cielesne jest wyłączone. Miłość nie zacieśnia serca, otwiera je. Zazdrość zamyka serce, nie chce się dzielić dobrem miłości. Niszczy też radość, podejrzewa, budzi niechęć, a tym samym krzywdzi. Jest źródłem złych sądów, nieprzychylniej opinii, powoduje sprzeczki, budzi uczucia gniewu. Miłość prawdziwa nie niszczy radości, nie wyrządza krzywdy, jest ufna, jest wierna, cierpliwa, zawsze oczekująca, zawsze gotowa do czynienia dobra. Niecierpliwość każe szukać wzajemności, wyłączności. Jest także uczuciem płytkim. Jest inną stroną zazdrości. Jest głosem egoizmu. Nie ufamy i chcemy sprawdzać wierność, wyłączność. Chcemy mieć kogoś dla siebie. Domagamy się potwierdzenia wyłączności i wierności. W tej potrzebie potwierdzenia miłości wyraża się tylko niecierpliwość. Miłość prawdziwa nie domaga się potwierdzeń, po prostu jest. Jest. Jest pełną pokoju świadomością wzajemnego wyboru, a nawet jednostronnego wyboru, jest radującą nas obecnością osoby kochanej. Jest szczęściem, które wcale nie polega na braku cierpienia. Szczęściu może towarzyszyć cierpienie. Nie wyklucza się z cierpieniem. Jest to jednak cierpienie związane z miłością, z faktem jej posiadania, troski o nią, zabiegów o jej rozwój lub wzajemność. Takie cierpienie różni się od cierpienia, wywołanego poczuciem utraty kogoś, kogo kochamy. To przecucie utraty jest głosem niecierpliwości i zazdrości. Ktoś, kogo kochamy, odejdzie. Odejdzie, ponieważ nie był z nami związany miłością. Nie było go. Było tylko jego ciało. Tak bym to rozumiał, Andrzeju.

— Ale czy nigdy nie pomyślałeś o tym, że człowiek może nie wiązać się z kimś miłością. Henryku, człowiek może powiązać się z kimś tylko namiętnością. Czasem miłość nie ma szans zaistnienia. Mają szansę namiętności. Uczucia są też częścią człowieka. Są jednak ogromnie dużą częścią. Są często całym człowiekiem. Czy dobrze przeprowadziłeś swoją analizę? Czy można miłość nazwać uczuciem tylko duchowym, bo taka przecież jest twoja teza, Henryku? Miłość nie jest w człowieku jakimś odrębnym działaniem duszy. Jest czynnością całego człowieka. Jest uwikłana w uczucia i namiętności. Idzie za nimi, razem z nimi powstaje. Czy nie widzisz tego, że praktycznie cały człowiek reaguje na drugiego człowieka? Może ty, Henryku, ujmujesz sprawy zbyt postulatywnie, tak jak to powinno być, lub jak jest teoretycznie. A

faktycznie jest tak, że uczuciom towarzyszy miłość, a miłości towarzyszą uczucia i to właśnie takie, jak podziw dla oczu, dla głosu, dla ludzkiego ciała. Najpierw widzimy zewnętrzną stronę człowieka. To warunkuje pierwszy kontakt, pierwsze wzruszenie, pierwszy zachwyty dla piękna. Za tym dopiero przychodzi miłość, jako akceptacja podmiotu tych wartości. Czy należy dyskwalifikować uczucia, widzieć jakąś ich niższą rangę w stosunku do rangi miłości? Czy w ogóle należy dzielić człowieka na duszę i ciało? To jest przecież swoista, zupełna jedność, którą filozofowie nazywają jednością substancjalną. W takiej jedności znika odrębność i możliwość osobnych działań duszy i ciała. Wiem, że ta odrębność metafizyczna pozostaje. Dusza nie jest ciałem, a ciało nie jest duszą. Ale to razem jest człowiek. I właśnie człowiek kocha.

— Owszem, człowiek kocha, ale w tej miłości może dać przewagę uczuciom, które wywodzą się z duszy albo uczuciom, - które wywodzą się z ciała. Te uczucia zmieniają nasze powiązania z osobą, którą kochamy. Zmieniają bardzo istotnie. Kochamy wtedy w człowieku albo samą duszę albo samo ciało. Może więc miłość to równowaga naszych reakcji, wyznaczona przedmiotem. Jeżeli ukochamy całą osobę ludzką, służyćmy osobie ludzkiej, tak, aby realizowało się najlepiej jej dobro.

— Henryku, co zrobić z uczuciami, jeżeli działają na własną rękę? Czy znasz mękę tęsknoty do ciała ludzkiego? Ja znam. Kocham Teresę. Cenię jej miłość. Wracam do tej miłości, buduję na niej swoje życie. A przy tym tęsknię do innych spotkanych oczu i rąk. Nie mogę o nich zapomnieć. Wciąż je widzę. Widzę piękno. Czy wiesz, jaką siłę ma piękno twarzy ludzkiej? Znam takie twarze. Ich obraz wpada na samo dno serca. Twarz jasna, o kształtach nie do opisanie pięknych. I oczy, gesty, sylwetka. Młoda osoba, dziewczyna może dwudziestoletnia, o uśmiechu, który wywołuje zawrót głowy. Spotykam ją na mieście kilka razy dziennie. Patrzy na mnie. Spotykam też inną dziewczynę. Włosy ciemne, ciemne oczy, śniada cera, wyraźna, smukła twarz, klasyczny owal, spojrzenie i uśmiech, kwiat kwiatów, szczupła, gesty książęce. A jeszcze inna ma twarz okrągłą, zadarty nos, duże oczy, pełne policzki, samą istotę radości w spojrzeniu. I twarz, już chyba czwarta, chmurna, znowu śniada, ciemne długie rzęsy, zarys ust, wyrażający kaprysy i łagodność, smutek i śmiech, tęsknoty i spełnienie tęsknot, ciekawość świata i mądrość dokonań. Cztery moje wielkie nadzieje i cztery źródła męki. Nie mogę się do nich zbliżyć. Nie znam ich i znam bardzo dobrze. Są

piękne. Są samą obiecującą czułością i smutkiem wyrozumiałego współczucia. Są moim marzeniem. I są własnością wszystkich. Wiem o tym. Ich pięknem cieszy się codziennie ktoś inny. Tylko ja nie mogę się tym cieszyć. Nie mogę ze względu na miłość do Teresy, ze względu na wierność prawu objawionemu przez Boga. A zresztą, czy ze względu na Boga? Łamię tę wierność. Boję się raczej ludzi. Boję się, że mój kontakt z nimi nie byłby tajemnicą. One nie dochowują tajemnic. Z tej męki sięgnąłem po podmioty podobnego piękna, lecz gwarantujące dyskrecję. Bałem się ludzi. Miłość do Teresy nie miała siły, aby mnie powstrzymać. Miłość do Boga niepokoiła. Nie pozwoliła mi radować się tą kradzieżą piękna, które nie jest mi prawnie dane. One też radowały się pozornie. Wiedziały, że odejdę, że przyszedłem na chwilę, po zachwyty czysto zewnętrzny. Ten bardzo zewnętrzny zachwyty minął. Odszedłem. Znowu wróciłem, znowu tęskniąc do tych, których nie mogę posiadać. I jestem poczwornie rozdarty: nie mam tych osób, do których tęsknię całym sobą, nie mam radości z kontaktów tak bardzo nietrwałych, sprzeniewierzyłem się Teresie, zdradziłem miłość Bożą, odszedłem od niej dla piękna, które mnie pociąga z taką siłą, z siłą nie do odparcia. To są kobiety, w których zrealizowała się inna pomyłka. To jest odsunięcie zazdrości, odsunięcie niecierpliwości. Nadały cechy duchowe pożądaniu. Ich namiętność stała się otwarta dla wszystkich. Są dla wszystkich. Przygarniają każdą tęsknotę. Nie zazdroszczą, nie są wierne, nie zacieśniają serca, dają radość, nie podejrzewają, zawsze oczekują, nie wyrządzają krzywdy, nie domagają się potwierdzenia wierności, cieszą się wyborem, nie boją się utraty, odchodzą bez żalu. Realizują wszystkie cechy naszkicowanej przez ciebie prawdziwej miłości. A więc na czym polega różnica? Czym jest miłość? Czy tylko uwarunkowana jest prawem? Na czym polega wierność? Co to znaczy wyłączność? Dlaczego wyłączność jest wadą, jeżeli dotyczy miłości duchowej, i dlaczego jest zaletą, gdy dotyczy miłości cielesnej? Aż tyle pytań, Henryku? Jak na to wszystko odpowiedzieć? Jak unikać męki? Jak włączyć ciało w plan prawdziwej miłości? Dlaczego nie wolno pójść za każdym pięknem?

— Andrzeju, tu już przestałeś myśleć. To, co mówisz, to słowna wersja twoich odruchów i popędów. Musisz pamiętać, że wszystko poza kulturą, filozofią, religią, jest wulgarnym światem fikcji, zwykłym, brutalnym, bez czułości i wzruszenia używaniem

rzeczy. Człowiek stał się dla ciebie rzeczą, którą bezładnie chcesz pobudzać wszystkie receptory. Porzuciłeś refleksję, myślenie, wysiłek. Nastawiłeś się na doznawanie wzruszeń i to tylko zmysłowych.

— Nie, Henryku, to nie jest wulgarna zmysłowość. To nie jest dla mnie kwestia przeżycia radości za wszelką cenę. To jest tylko wołanie, bolesne wołanie o miłosierdzie dla męki tęsknot. Człowiek tęskni, cały człowiek, nie tylko ciało. Nie ma w człowieku osobno ciała, i duszy, jest jedność, psychofizyczna jedność. Dążenia duszy są powiązane z dążeniami ciała. Miłość występuje razem ze wzruszeniami. One są znakami miłości, one ją kierują do człowieka. Wzruszenia nie mogą być tylko złe. Namiętności nie mogą nas tylko dyskwalifikować. Dlaczego nie wolno mi przeżyć zachwyty nad pięknem ludzkich twarzy tylko dlatego, że to nie jest twarz osoby, z którą prawo do tego zachwyty uzgodniłem w sakramencie małżeństwa? A jeżeli miłość, tak mocna, tak niezależna ode mnie, kieruje mnie do kobiety, której piękno porwało moje zmysły, czy ta miłość musi być zła? Dlaczego jest zła? To jest przecież miłość. To nie są tylko wzruszenia, to nie jest tylko nieopanowana namiętność. To jest także miłość. I sam mówiłeś, że miłość zawsze jest szlachetna, zawsze jest dobra. Zbyt prawniczo ujmujesz sprawy ludzkie. Henryku, nie znasz tych przeżyć, nie znasz tych kobiet O kobietach, które są dla wszystkich, myślisz kategoriami sądowych statystyk i informacji. Myślisz po prostu o złych ludziach. Są także ludzie dobrzy. Wśród tych kobiet są także kobiety o wielkiej zdolności ukochania, o dużej wrażliwości na dobro, o ogromnym ładunku czułości. Nie wszystkie są wulgarne i złe. Są wśród nich, jak zresztą w każdej grupie ludzi, kobiety dyskretne, delikatne, umiejące dochować tajemnicy, poszukujące dobra, boleśnie poszukujące miłości. Nie są kochane, a pragną kochać. Przywiązują się natychmiast do spotkanego mężczyzny. Nie znasz, Henryku, spojrzenia takiej kobiety, spojrzenia pełnego tkliwości, wierności, serdeczności. Towarzyszy temu spojrzeniu nadzieja, że nie spotka tylko niechęci, odrzucenia, pogardy. To jest nieustanne oczekiwanie. Nie bronię tych kobiet, bronię ich oczekiwania na miłość. To są ogromne złoza miłości, trwonione, rozrzucane, lecz tylko dlatego, że nikt nie chce tej miłości. To jest granica rozpacz. To jest zgoda na krótkie szczęście, na nietrwałą miłość. To jest droga prób i błędów, wyjście ku miłości, niecierpliwe wyjście naprzeciw, przymuszanie innych do miłości. To jest także

zazdrosna niecierpliwość. Inne kobiety są szczęśliwe, ktoś podjął ich miłość. Tej miłości nikt nie podjął. Ta miłość stała się nieustanną propozycją. Tak to jest. Nie znasz, Henryku, psychologii niecierpliwości. Nie znasz męki, wywołanej zachwytem dla piękna, po które nie możesz sięgnąć. Są ludzie, którzy po nie sięgają wbrew nadziei, wbrew prawu, wbrew sobie, z męką, z krótką radością, w ciągłym oczekiwaniu na coś wielkiego i własnego, na zawsze własnego. Ta nadzieja jest szczerą, ta czułość tak bezmyślnie wszystkim okazywana jest autentyczna. Nie widziałeś, z jakim wzruszeniem ta piękna twarz pochyła się nad tobą, jak cierpi, że odejdiesz, jak cieszy się, że jesteś. Te ogromne ilości wzruszeń, ten olbrzymi ładunek miłości, jakże są bliskie wielkiej drodze ludzkiego rozwoju w kierunku dobra. Gdyby umiał ktoś te bezradne serca skierować do Boga, Bóg otrzymałby przeogromną miłość, mógłby podjąć całe serce, jak kiedyś podjął serce Magdaleny. To nie są dusze stracone, to są żywe, czujące osoby ludzkie, zepchnięte prawem i opinią, tak często okrutną, na margines społeczny, z którego nie mogą przejść do prawdziwej miłości, to znaczy miłości przez kogoś uznanej i podjętej Bo czym jest prawdziwa miłość? Czy to nie jest po prostu miłość przez kogoś podjęta, która dzięki temu nie jest narażona na pokusę niecierpliwości? Czy to nie jest po prostu miłość, która sama chce zdobyć nawet przemocą czyjąś wzajemność? Henryku, mieszają mi się porządki, sprawy, problemy. Powoduje to wewnętrzna męka, wywołana współczuciem i tęsknotą, a także żalem, że tyle tej miłości marnuje się dokoła, że ją się wikła w zło ze ktoś decyduje się nawet na chwilowe ukochanie samego ciała, byleby tylko choć przez chwilę przeżyć radość osoby wybranej, uznanej, wyróżnionej zachwytem dla jej urody, jakichś wartości wiążących choćby na chwilę. Nie każdy człowiek ma siłę niedzielenia się swoją miłością, noszenia jej w sobie nieujawnienia. Miłość nigdy nie ujawniona jest samym bólem. Tak trudno przetrwać ból. Miłość kobiet, które są dla wszystkich, to ujawniająca się nie ujawniona miłość. To miłość samotna, nikomu niepotrzebna. To jest miłość samotna. To nie jest tylko porządek wzruszeń, samo zło, sama zmysłowość. To jest człowiek, który nie umie być cierpliwy, który nie przetrwał próby samotności, który rozdaje miłość przy pomocy środków niszczących tę miłość to jest człowiek tragiczny, nawet jeżeli tak siebie nie ocenia człowiek zagubiony, najbardziej potrzebujący miłosierdzia. Tylko my nie umiemy czynić miłosierdzia. Prośbę o miłość odrzucamy.

Kto z nas dla uratowania duszy kobiety, która jest dla wszystkich, dla uratowania jej miłości, zdecydowałby się na poślubienie jej na zrezygnowanie z siebie, z ambicji i perspektyw własnej miłości? Kto z nas ma taką miłość aby dać duszę za braci swoich? Kto z nas poświęciłby swoje dobre imię dla przywrócenia Bogu duszy trwoniącej miłość? Czy pogarda jest wyznaniem miłości bliźniego? Jak ma objawiać się miłość bliźniego wobec sióstr naszych tych najbiedniejszych, najbardziej zabłąkanych, smutnych w środku swych ciągłych radości, pozbawionych miłości w przeżywaniu tej miłości? To nie są proste sprawy. Henryku, te problemy nie są rozwiązane. Zbyt uprościliśmy opinię o sprawach ludzi, których nieszczęściem jest ich niecierpliwa miłość, oferowana tylko przez urok ciała. Ten urok jest przynętą, jest zaproszeniem. Korzysta się z tego zaproszenia, lecz jakże fatalnie, nic za to nie dając, nie odwzajemniając wzruszeń, czułości i tak ogromnej ilości tego, co jest prawdziwą miłością.

— Ach, Andrzej, to, co powiedziałeś, to wybuch, gwałtowny wybuch, ujawnienie poczucia odpowiedzialności za ludzi. Tę odpowiedzialność uwikłałeś jednak w tezę, że człowiek ma prawo do sięgnięcia po każdy przedmiot, który go zachwyca. Męka nie realizowanej odpowiedzialności miesza ci się z męką tęsknot za tymi twarzami, do których przyłgnałeś całym swym wzruszeniem. Moja pierwsza odpowiedź jest taka, że musisz tu wiele spraw uporządkować, rozróżnić, inaczej ująć. Owszem, miłość jest zawsze miłością, zawsze jest czymś wartościowym, zawsze doskonali człowieka. Ale z tej racji, że właśnie doskonali, nie może jednocześnie człowieka czynić złym. Miłość, która nie jest odpowiedzialna, która dla owoców miłości nie tworzy stałego klimatu opieki i wierności, nie jest miłością. Miłość jest czymś społecznym. Jest pomocą, którą świadczymy drugiemu człowiekowi zawsze i wiernie. Tę pomoc możemy świadczyć dobrze tylko w zorganizowanych ramach społecznych, w małżeństwie, w rodzinie. Miłość całkowicie wolna, świadczona wszystkim musi być miłością duchową i nie wolno jej wyrażać przy pomocy środków, do których prawo mają małżonkowie. Te środki zresztą mają także własne cele. Tym celem jest urodzenie dzieci. I dla nich musimy być miłosierni. Musimy im stworzyć warunki, umożliwiające im normalny rozwój uczuć, intelektu, woli. Musimy im zapewnić stały klimat wiernej miłości. Musimy je rodzić tylko w małżeństwach. Dzieci potrzebują rodziny, tego, aby je ktoś

zawsze i wiernie kochał. Mają prawo do takiej miłości, bo takie prawo ma każdy człowiek. Miłość, o której ty mówisz, nie jest odpowiedzialna, jest nawet egoistyczna. Może nawet nie jest miłością. W każdym razie w dużym stopniu jest nastrojem, wzruszeniem, namiętnością, która potęguje zachwyty dla ludzkiego piękna, wyolbrzymia je i niszczy. Miłość fizyczna ze wszystkimi pociągającymi nas kobietami, krzywdzi je. Polega na odbieraniu miłości, na niszczeniu nadziei, oczekującej miłości. Tkliwość tych kobiet tym bardziej cię oskarża, Andrzej. Nie zostałeś wierny tej tkliwości. Odszedłeś. Porzuciłeś tę tkliwość, zawiodłeś. Oczywiście nie potępiam ludzi, żadnego człowieka. Nikogo nie oskarżam, każdego bronię, potrafię zrozumieć. Każdemu okazać miłosierdzie lub choćby współczucie. Potępiam zło, które rodzi się w nas, odrywam się od zła. Nie wolno nam zła, które jest w nas, przenosić na innych ludzi. Działamy proporcjonalnie do tego, kim jesteśmy. Jeżeli jesteśmy źli, postępujemy źle. Jesteśmy zobowiązani czynić dobro. Leczymy innych dobrem. Podnosimy innych przy pomocy dobra. Ratujemy czyjąś miłość, także tylko miłością. To prawda. Ale miłość może mieć tak wiele wersji. I nie każdą wersję możemy odnieść do każdego człowieka. Tylko miłość dobrą, a więc odpowiedzialną, czułą, troskliwą, która doskonali, podnosi, ratuje, pomaga wprowadzać równowagę uczuć, uporządkować namiętności, tylko taką miłość możemy ofiarować człowiekowi. Miłość jest darem, a więc nie może być interesowna, nie możemy za nią przyjąć opłaty, którą jest radość ciała. Ta radość nie jest zapłatą tylko wtedy, gdy ma charakter podjętego obowiązku społecznego, obowiązku urodzenia dzieci. Nie wolno nam oddzielać przyjemności od celu działania prokreacyjnego. Popełniasz błąd, Andrzej. Walczysz nie o prawo do miłości, lecz o prawo do przyjemności. Twój błąd polega też na tym, że oddzielasz miłość od przyjemności i zobowiązań społecznych. Chcesz mieć prawo nieskrępowanego cieszenia się przyjemnością. Myślisz tu tylko o przyjemności. Zapominasz, że miłość jest także dążeniem do trwałości, do wyłączności, do nierozzerwalności powiązań. Przyjemność jest celem dla siebie. Nie ma na celu dobra drugiej, dającej tę przyjemność osoby ludzkiej. Czy chcesz, czy nie chcesz, krzywdzisz drugiego człowieka nie kochając go trwale, zawsze, wiernie.

— Henryku, kocham te kobiety, których obraz codziennie mnie niepokoi. Tęsknię do nich, chcę być z nimi, chcę im służyć, pomagać. Chcę ich dobra.

— Może, Andrzeju, może po prostu myślisz w porządku czysto przyrodzonym. Może zapominasz, że Chrystus życzył sobie monogamicznego małżeństwa, wierności jednej żonie. Czyżbyś zapomniiał, że uświęca nas Chrystus, że miłość do Boga polega na przyjęciu życzeń Chrystusa i zrezygnowaniu ze swoich? Nawet więcej. Św. Paweł uważa, że Chrystusowi są ci, którzy ciało swe ukrzyżowali wraz z namiętnościami. Doznawanie wyłącznie przyjemności nie jest więc drogą, zaprojektowaną dla nas przez Chrystusa. Chrystus nawet nie obiecywał nam szczęścia. Owszem, ono przyjdzie, jako realizacja połączenia naszej miłości z miłością Bożą. Przyjdzie w formie pokoju i radości, które są owocami darów Ducha Świętego. Według Chrystusa szczęście w sensie i psychicznym i doczesnym nie jest pełnym szczęściem człowieka. Chrystus proponuje perspektywy szersze, pełniejsze, prawdziwie godne człowieka. A ty zabiegasz o szczęście zupełnie małe, o miłość, wywołaną pięknem twarzy, oczu i ciała ludzkiego. Chrystus nie broni ci tego szczęścia, ale chciałby, abyś je uzgodnił z Jego propozycją szczęścia. To prowadzi znowu do problemu życzeń Bożych, do prawa moralnego, do dekalogu. Nie ma szczęścia poza tym prawem. Ono właśnie pokazuje drogę, na której możesz zabezpieczyć i utrwalić szczęście. To utrwalenie jest pracą, wymaga trudu, wymaga tego, co nazywamy wyborem, eliminacją, po prostu umartwieniem. Zagubiłeś, Andrzeju, wycucie sensu umartwienia, zagubiłeś samo umartwienie. Przestałeś być wierny miłosiernym wskazówkom Boga, objawionym w dziesięciu przykazaniach. Twoje problemy rozwiążą się, gdy zachowasz prawo moralne, gdy pozostaniesz wierny przykazaniom, gdy pojmiesz, że zbawienie człowieka jest także sprawą miłości i przede wszystkim miłości. Gdy zrozumiesz, że sposób zbawienia mógł tylko określić Bóg, bo zbawienie jest powrotem do miłości Bożej. A sposób zbawienia jest związany z chrztem, spowiedzią, komunią świętą, pokutą, postem, jałmużną, modlitwą, z wiarą, dochowaną Chrystusowi, nadzieją i miłością, realizującą się najpełniej w łamaniu Chleba. Nie możesz się zbawić nie dochowując wierności Chrystusowi. I nie wolno ci utrudniać Chrystusowi zbawiania innych. Wtedy działasz wbrew życzeniom Bożym. Pomyśl, czy twoja miłość do tych kobiet, które kochasz, przybliży je do Boga? Jeżeli nie przybliży, to musisz wejść na drogę, która nazywa się skruchą i która prowadzi przez konfesjonał. Andrzeju, twój ból może ukoić

Chrystus. Spotkasz Go w sakramencie pokuty. Tylko tam możesz Go teraz spotkać. Nie ma Go dla ciebie gdzie indziej. I tam przemyśl kształt swej miłości.

— A co myślisz, Henryku, o moim wywiązaniu się z roli, którą mi wyznaczył Ryszard? Musiałem utracić miłość Boga przez grzech, zresztą dość wulgarny i przez ten grzech musiałem zdradzić miłość Teresy. Ty dopiero proponujesz mi spowiedź. Droga do mojego nawrócenia, do mojego powrotu do Boga, jest jeszcze daleka.

— Tak. Wywiązujesz się ze swojej roli dość gwałtownie. Tyle można stwierdzić. I stawiasz ogromnie dużo pytań.

— I to właśnie jest interesujące. Czy myślałeś, Henryku, o roli pytań w tekście powieści? A o roli zdań orzekających? To są ciekawe sprawy. Otóż pytania pogłębiają dramatyczność tekstu, przyspieszają akcję. Zdania orzekające zwalniają tempo i pozwalają skrócić analizy. Pytania poszerzają problematykę, często ją płaczą, zmniejszają dystans wobec omawianych spraw, wciągają w nie, sprawiają, że czytelnik bierze udział w myśleniu bohatera powieści. Zdania orzekające oddalają omawiane sprawy, powodują dystans. Czytelnik jest informowany jak gdyby z drugiej ręki, otrzymuje gotowe opinie, oceny. Pytania nie decydują o rozwiązaniach, budzą niepokój. Nadają tekstowi charakter monologu trochę zobiektywizowanego, przesuwającego problemy w porządek ogólnoludzki. Zdania orzekające wprowadzają to, co można by nazwać opisem, epiką. Za tym idzie spokój, jakiś smutek, zaduma. Pytania wytwarzają jakiś wir, swoiste ciepło, a właściwie ogień, który dokucza, niszczy lub tworzy przekształcając myślenie, reakcje ludzkie, uczucia lub decyzje. Z pytań łatwiej przejść do monologu. Monolog jednak ma także coś z epiki. Może być żywy, gwałtowny, smutny, spokojny. I prowokuje odpowiedź. Pytanie po prostu zawsze domaga się odpowiedzi. Pytania więc wyznaczają dialog. Dialog w powieści nie zawsze ożywia akcję. To oczywiście zależy od sposobu prowadzenia tego dialogu. Dialog jednak pozwala kontrastować sprawy. Jest zawsze spojrzeniem z dwu różnych punktów wyjścia. Daje czytelnikowi możliwość śledzenia przynajmniej dwu opinii, widzenia problemu w dwu różnych ujęciach. Pomaga głębiej zanalizować akcję. Bardziej też obiektywizuje wypowiedzi, odsuwa autora na plan dalszy. Monolog często budzi podejrzenie, że autor tekstu zapisuje tylko własne myśli. Dialog już z góry zakłada dwa różne źródła opinii, swoiście rozdważy autora. Jeżeli w rozmowie bierze udział wielu

ludzi, autor zostaje odsunięty prawie poza tekst. Ale wprowadzanie postaci nie jest dowolne. Gdy się je dowolnie wprowadza, nudzą, są martwi. Ilość postaci w książce zależy od ilości poruszanych spraw, opinii, ujęć. Po prostu struktura problemowa powieści decyduje o charakterze i ilości bohaterów, o ich zajęciach, spotkaniach, sporach lub przyjaźni. Aby oddzielić jedną sprawę od drugiej, wystarczy czasem zmienić miejsce rozmowy bohaterów powieści. Aby nawiązać do przerwanych sporów, wystarczy spowodować spotkanie tych osób, które dany temat już dawniej omawiały. I należy powtórzyć tę myśl, że powieść nie jest dowolną konstrukcją. Oczywiście, można wyrażać swoje myśli w traktatach naukowych, w artykułach publicystycznych. Są jednak tematy, które wymagają długiego tekstu i takiej formuły, która odbiega od traktatu naukowego czy publicystycznego artykułu. Istotą powieści nie jest szkicowanie obrazów, przekład problemów na sytuacje, opisane sprawozdawczo w zdaniach orzekających. To nie jest tylko gawęda, fotografia, fragment życia. Powieść to wnikanie w problem, długie i uporczywe poszukiwanie rozwiązań, ukazanie perspektywy tych rozwiązań i wciągnięcie czytelnika w analizę, spowodowanie zamyślenia. Nawet gdy powieść ma cele rozrywkowe, winna wywoływać zamyślenie, winna poszerzać świat naszych doznań, ujęć, spraw i zrozumień. Różni się też od poezji. Nawet gdy jest pisana językiem poetyckim, nie jest poezją. Niełatwo zdefiniować poezję. W każdym razie jest ona zawsze wyakcentowaniem piękna, które wzrusza, a kontemplowana daje doznania estetyczne. Powieść też może wzruszać nawet w sensie estetycznym. Jej cechą specyficzną jest jednak sprowokowanie refleksji. Poezja, jeżeli wywołuje refleksję, powoduje poszukiwanie piękna. Można by powiedzieć, że powieść powodując zamyślenie czytelnika zmusza lub zachęca do poszukiwania prawdy, trudnej prawdy o losie człowieka, jego męce, radości, szczęściu lub nieszczęściu. Powieść służy człowiekowi przez przybliżanie mu jakiejś eschatologii. Poezja wprost jest związana z człowiekiem, wprowadza go w szerszy krąg spraw, którymi żyje. Powieść także poszerza krąg spraw ludzkich, a raczej widzenie tych spraw. I może tym się różni od poezji, że wymaga pracy, wysiłku, wejścia w ukazywaną problematykę eschatologiczną, w świetle której powieść ukazuje sprawy ludzkie. Poezja raczej wymaga wzruszeniowego odbioru. Powoduje swoiście bierną postawę intelektu. Wymaga poddania się urokowi słów, przybliżających piękno. Powieść wymaga

postawy czynnej, udziału w myśleniu autora powieści. Owszem, poezja może także domagać się czynnej postawy człowieka, ale wtedy nie jest całkiem poezją. Praca intelektu jest jakimś interpretowaniem lub dociekaniem immanentnego sensu powieści lub poezji. Takie dociekanie jest procesem dyskursywnym. Nie jest kontemplacją, poddaniem się słowom i pięknu. Poezja musi być odbierana kontemplacyjnie. Powieść nigdy nie może być tak odbierana. Nigdy bowiem kontemplacyjnie nie odbiera się problemów, nigdy tak nie odbiera się pytań. W poezji nawet pytania mają inną rolę. Nie stawiają zagadnienia. Są zabiegiem estetycznym, sposobem skrócenia odległości między pięknem i jego odbiorcą. Tak mi się to rysuje, tak bym te sprawy rozumiał. Ale co ty o tym myślisz, Henryku?

Henryk wyjaśniał najpierw, że nie pisze. Dodał jednak:

— Nie poruszyłeś sprawy rytmu. Czasem wydaje się, że istotną różnicę między poezją i prozą stanowi rytm. Rytm prozy to rytm myślenia. Można myśleć spokojnie, obrazowo, oceniająco, opisowo. Proza wtedy jest także spokojna, obrazowa, oceniająca, opisowa. Można myśleć dialogowo mieszając tematy, wątki, problemy, można myśleć refleksyjnie, uczuciowo, ze współczuciem dla ludzkiej męki, z gniewem. Można wiązać ujęcia filozoficzne z teologicznymi, aspekty wspomnieniowe z dziś stwierdzanymi konfliktami. Proza jest wtedy podobna. Jest refleksyjna, uczuciowa, intelektualistyczna. Myślenie nadaje rytm prozie. W poezji jest trochę inaczej. Rytm wiersza zależy od fascynacji pięknem. Każdy rodzaj wyrażanego piękna wymaga innego rytmu. W rytmie utworu poetyckiego wyraża się to piękno. Rytm konstytuuje piękno, które stało się elementem utworu poetyckiego, osią, zasadą, sensem tego utworu. Przez rytm rozumiem oczywiście charakter wypowiedzi, jej tempo, jej adekwatność w stosunku do podjętego tematu. Ta adekwatność polega na tym, że w danym tekście nie ma zdań zbyt licznych, nie ma nawet niepotrzebnych słów. Wszystko jest swoiście wymierzone, ważne, potrzebne. To czy tak prozy jak i poezji. Poza tym inna jest tendencja rozwojowa prozy i poezji. Poezja dąży do form najkrótszych, do najbardziej zwięzłego, a przy tym trafnego wyrażania piękna. Proza zmierza do zgłębienia podjętego tematu. Nie można jej zakreślić granic. Trzeba ją tworzyć tak długo, aż ogarnie myślowo i wyrazi wszystkie treści, sugerowane tematem. Proza to wnikanie, wgłębianie się, wgrzanie w temat. Poezja to ujęcie już doskonałe, najtrafniejsze, najlepsze z tych,

którymi dysponuje autor. Proza jednocześnie próbuje wszystkich ujęć, aby tylko najpełniej wyrazić ludzkie sprawy. Prozę i poezję różni też zasada porządku. W artykułach naukowych i publicystycznych obowiązuje chronologia wyjaśnień od najprostszyc do bardziej złożonych. W prozie artystycznej czy nawet w zwykłej prozie, właściwej powieściom, istnieje porządek nie twierdzeń, lecz ujęć. Są to napięcia uczuciowe powoli narastające, wikłające sprawy ludzkich uczuć, postaw, doznań i przemyśleń. A mówiąc ściślej, nie tyle zasada porządku jest inna, ile raczej to, co jest porządkowane. W prozie porządkuje się nie tezy, lecz spojrzenia, wizje problemów, ludzkie sprawy. Jest to porządkowanie, które polega na ujęciu tych spraw w relacji do rozwiązań ostatecznych, najgłębszych. Jest to więc także spojrzenie z dwu jednocześnie punktów obserwacji: stanu aktualnego i eschatologicznego. Poezja nie tyle porządkuje, ile tworzy. Tworzy piękno na wzór tego piękna, które dzięki swej wrażliwości i uzdolnieniom odbiera autor. Nie tyle więc stwierdza, orzeka i nie tyle wiąże aspekty bieżące z eschatologicznymi, ile raczej tworzy. Poezja nie odtwarza. Wiersz jest sposobem informacji o pięknie, sposobem unaocznienia piękna. Poezja z tej racji to nie jakaś analiza, chwytnie i pogłębianie problemów, to kanał, przez który przepływa do czytelnika piękno w kształcie odebranych przez twórcę. Poezja to pokazywanie piękna w wersji i na miarę autora, który odebrał piękno. Jest to więc z tej racji i z konieczności odtwarzanie wrażeń estetycznych, wywołanych w autorze przez piękno.

— A ja, Henryku, widziałbym różnicę między prozą a poezją także w źródłach i celach tych kategorii wyrazu. Źródłem prozy jest umiejętność przetwarzania tego, co nazywamy życiem. Życie ludzkie to myślenie, decydowanie, odczuwanie, walka, poszukiwanie, małe i wielkie sprawy, ich sens. Proza to wyraz poszukiwania sensu życia. Źródłem poezji jest zdolność odtwarzania doznanego piękna i nadawanie mu kształtu, który wzrusza odbiorcę doskonaląc jego uczucia, podając je intelektowi, wyczulając go na to, co uporządkowane, skonstruowane, konieczne. To określenie poezji ze względu na jej źródła wiąże się bardziej z funkcją poezji, z jej oddziaływaniem. Wiem o tym. Trudno jednak tak wyraźnie rozdzielić wszystkie te porządki. Porządek celów jest też blisko tych ujęć. Celem poezji jest utrwalenie doznanego piękna, nadanie czemuś, co jest wywołanym procesem, jakiejś statyki. To jest swoisty stan terażniejszy przeżywanego piękna, które jest poza nami lub w nas, które jest cechą rzeczywistości.

Jest to więc statyczne ujęcie czegoś charakterystycznego dla świata, ujęcie porządku, ładu, proporcji, które stanowiąc swoisty blask rzeczy nazywamy pięknem. Proza jest obecnością członka w dwu innych czasach: w przeszłości i w przyszłości. Owszem, myślenie nadaje jej rytm, życie wyznacza jej kształt, który jest syntezą przeszłości i przyszłości, zestawieniem doświadczeń ludzkich z ostatecznym spojrzeniem na te doświadczenia. Proza jest pomostem, przerzuconym nad terażniejszością u właśnie patrzeniem na tę właśnie rzeczywistość w świetle tego, co było, i tego, co nadejdzie. Proza więc z konieczności jest postulatywna. Pokazuje, jak człowiek może lub powinien znaleźć się w sytuacjach dla niego trudnych. Omawia te sytuacje przewidując ich właściwe rozwiązania. To przewidywanie, które nazwałem postulowaniem, właśnie charakteryzuje prozę. Poezja nie jest postulatywna. Jest ujęciem stanu faktycznego, tego oto piękna, odkrywanego w świecie teraz, przez tego oto poetę. Jest swoiście terażniejsza.

— Boję się, Andrzeju, że poloniści, że teoretycy literatury wyśmieją nas. Skończmy te rozważania. Przeprowadzamy je bardzo niekompetentnie. Analizujemy i określamy prozę i poezję na poziomie etymologii. Właściwie to, co zrobiliśmy, to szukanie i mej nazwy dla piękna, dla poezji i prozy. Już nawet Ewa nas prześciga. W swych etymologicznych ujęciach szuka treści i sensu, zamkniętego w wyrazach. My tylko przerzucamy piłkę. Inaczej nazywamy to, co jest już nazwane.

— Ależ, Henryku! Czy naprawdę nie mamy prawa do przełożenia na język dla nas zrozumiały tego, co jednak często jest mało zrozumiałe i trudne? Tylko dla siebie szukamy określenia poezji i prozy, aby te dwie dziedziny stały się nam bliższe. Zresztą może masz rację, nie mówmy o tym.

— Martwię się tym, że tak bardzo broniłeś prawa do małżeńskiej miłości wobec kilku kobiet. Czy taka była twoja intencja? Czy rzeczywiście uważasz, że ukochania, małżeńskiego ukochania kilku kobiet należy bronić? A sprawa monogamicznego małżeństwa? A życzenia Chrystusa?

— Nie, Henryku, doskonale wiem, że tylko między jedną kobietą i jednym mężczyzną może właściwie rozkwitnąć miłość małżeńska. I tylko ta miłość tworzy atmosferę rodziny, atmosferę ładu, miłości i szczęścia. A ład, miłość i szczęście są potrzebne i małżonkom, i dzieciom, które zjawiają się w ich rodzinie. Poza tą atmosferą

dzieci są nieszczęśliwe, nie mogą właściwie się rozwijać. Dzieciom potrzebna jest miłość. Tylko miłość jest właściwą atmosferą, warunkującą dobre życie. Poważna, rozumna, prawdziwa miłość chroni i wychowuje. Także uczy miłości. Tylko miłość uczy miłości. Wiem to wszystko. Jeżeli tęsknię do tego, aby zabrać sobie piękno osób, do których piękna i miłości nie mam prawa, to po prostu tylko tęsknię. Nie można jednak pójść za każdą tęsknotą. Nie można pójść za każdą miłością. Można pójść i należy pójść tylko za prawdziwą miłością. I tu zaczynają się trudności. Czasem wydaje się nam, że dotychczas łącząca nas z kimś miłość była pomyłką. Tak myślimy, gdy słuchamy uczuć, nastrojów, gdy poddamy się urokowi jakiegoś nowego piękna ludzkiego, urokowi nowej twarzy, gestu, słów, czułości. Ważny jest głos uczuć i jawiącego się nam piękna, lecz tylko wtedy, gdy zostanie uzgodniony z opinią rozumu i z życzeniami Bożymi. Chrystus akceptuje prawo człowieka do miłości małżeńskiej tylko w sakramencie małżeństwa. Poza małżeństwem nie daje nam prawa do urody ciała ludzkiego. Rozumiem to i godzę się z tym wybierając Chrystusa. Ten wybór nie zawsze zmniejsza psychiczną mękę tęsknot. Uczucia działają, namiętności dążą do swoich przedmiotów. Wierność Bogu rozstrzyga sprawę, ale męka pozostaje, walka się toczy. W tej walce człowiek prawie traci siły, łka, tęskni wszystkimi uczuciami, całym ciałem, jakąś częścią swej duszy. A potem wygrywa walkę lub przegrywa. Zależy to od mocy miłości, którą ma w sobie. Jeżeli miłość nie jest oparta na nadziei, skierowanej do Chrystusa, na wierze, człowiek nie da sobie rady. Pociągnie go fascynujący urok zakazanego piękna. Przegra, osłabi miłość. Jeżeli zwycięży nastroje, pozostanie przy miłości Bożej. Spełniając życzenia Chrystusa, pogłębi miłość, umocni ją, jeszcze bardziej włączy w to, co prawdziwe, dobre i trwale piękne. Tak przebiegają wydarzenia w duszy małżonków. Ale ludzie samotni mają więcej problemów. Myli ich oczekiwanie, spodziewanie się miłości. Czy nie wolno im przeżyć wzruszeń, zapowiadających miłość? Czy nie wolno im doświadczyć czułości czyichś rąk, oczu, serca? Myślę, że nie wolno. Taka cząstkowa czułość przyzwyczajają do korzystania tylko z chwilowych czułości. Zmniejsza odpowiedzialność za czyjeś serce. Odsuwa od realizacji obowiązku stworzenia trwałego klimatu miłości i szczęścia. Miłość ludzi samotnych nigdy nie może przybrać form miłości małżeńskiej. Może to być tylko miłość duchowa, wierna, trwała, posługująca, nie biorąca niczego dla siebie. Miłość,

która jest darem. Jeżeli za miłość bierzemy coś sobie, to znaczy, że jesteśmy gotowi wziąć wszystko. A taka postawa jest wynikiem usunięcia oporów wobec zła, jest zgodą na zło. To rzeczywiście gdzieś w głębi naszej duszy rodzi się zło, zgoda na zło, wybór zła. Czasem ta zgoda na zło ma bardzo niewinne uzasadnienie. Tym uzasadnieniem jest lęk przed samotnością. Tylko miłość likwiduje samotność, lecz miłość wierna, podjęta, uznana, wzajemna. Miłość nie odwzajemniona nie usuwa samotności. Można być samotnym w środku miłości, w środku niedoskonałej lub złej miłości.

— Więc kiedy jest miłość dobra i kiedy zła?

— Dobrą miłość wyznacza dobry przedmiot. Przedmiot jest dobry gdy jest zgodny z rozumem. Tak, z rozumem i z życzeniami Bożymi. Miłość złą wyznacza przedmiot, którego ukochanie stawia nas w kolizji z rozumem i życzeniami Bożymi. Życzenia Boże stają na straży dobra osoby ludzkiej. Gdy ukochamy na przykład tylko ciało człowieka, krzywdzimy osobę ludzką. Nie kochamy bowiem człowieka, jego duszy, jego serca. Wyrządzanie krzywdy jest znakiem złej miłości. Tę krzywdę możemy wyrządzić sobie, innym ludziom lub Bogu. Miłość zła niszczy miłość, niszczy siebie. Decydujemy się na nią wtedy, gdy już zrodziło n w nas zło. A zło rodzi się w nas. Masz rację, Henryku, zło rodzi się w nas.

ROZDZIAŁ 18

Auto mknęło po asfalcie szosy. Adam prowadził je w skupieniu chwytając jednym uchem zabawną rozmowę, przy pomocy której Tadeusz z Ryszardem bawili Krystynę. Krystyna była roześmiana, wesoła, jak zwykle urocza. To określenie Marcina przyłgnęło do niej, określało ją. I gdy ktoś z przyjaciół myślał o Krystynie lub mówił o niej, zawsze używał najpierw tego słowa: urocza. Urocza Krystyna.

Czwórka przyjaciół wybrała się na spacer. Celem spaceru był klasztor, położony na górze wśród lasów, nad jeziorem. Śliczne położenie, dwadzieścia dwa kilometry dobrej drogi, wygodne auto Henryka. Gdy planowali ten spacer, Adam zauważył, że jadą w wigilię Wniebowzięcia. Spacer więc może mieć także cel religijny: swoista pielgrzymka do cudownego obrazu. Celem nadprzyrodzonym będzie modlitwa, skierowana w klasztorze do Matki Bożej, celem przyrodzonym i jakże miłym będzie spacer po lesie, nad jeziorem, do klasztornej ogrodu i jazda autem po dobrej szosie wśród pól i łąk.

Mijali szybko wioski. Zdążyli jednak opowiedzieć sobie dużo miłych rzeczy, wesoło śmiać się i ostatecznie nie dać się wyjątkowo dziś ciętymu dowcipowi Krystyny. Tylko Adam, skupiony przy kierownicy, z konieczności bardziej niż zwykle milczący, nie brał udziału w rozmowie. Z całą serdecznością myślał o obecnych w aucie osobach. Cieszył się, że jedzie razem z Ryszardem, z Tadeuszem, z Krystyną. Czas szybko mijał, auto mknęło po asfalcie szosy.

Prawie nagle lasy odsłoniły klasztor. Wysoka wieża nad białą fasadą kościoła nieomylnie wskazywała drogę. Jeszcze kilka minut jazdy i stanęli przed bramą klasztoru. Plac pusty, kilka domów w pobliżu. Przechodząc koło kościoła minęli gromadkę dzieci. Udali się najpierw do klasztoru. Spotkany zakonnik na ich prośbę zawiadomił ojca Gabriela o przybyciu gości.

— Dzień dobry, Adamie, Krystyno, Ryszardzie, dzień dobry Tadeuszu. Świetny pomysł, cieszę się, że przyjechaliście. Piękny dzień na spacer po lesie, piękny dzień dla mnie z racji waszego przyjazdu. No i czyżbyście świadomie przyjechali w wigilię Wniebowzięcia?

Ojciec Gabriel był wyraźnie ucieszony. Jest uniwersyteckim kolegą Henryka i Ryszarda, razem z nimi pracuje na tym samym uniwersytecie. Wykłada matematykę.

Zainteresowany muzyką, poezją, estetyką, ogromnie prosty i miły, skupiał przy sobie całą gromadę młodzieży studenckiej, która ceniła jego pogodę, wiedzę, szeroki umysł, dobre serce. Ryszard bardzo go lubił, a Krystyna, Tadeusz, Adam nie wyobrażali sobie dnia bez gawędy z ojcem Gabrielem. Wakacje pozornie rozluźniły kontakt. Tęskniąc jednak do rozmów przyjechali tu do klasztoru, w którym ojciec Gabriel spędzał wakacyjne miesiące. Uświadomili sobie też, że właściwie przyjechali do ojca Gabriela.

Krystyna szepnęła Adamowi:

— Nie martw się, Adamie. Po prostu musimy się zgodzić na trzy cele naszej wycieczki.

Przeszli długim korytarzem do rozmównicy, przewidzianej dla tych gości, którzy w klasztorze zatrzymywali się na dłużej.

— Rozgośćcie się, odpocznijcie, zaraz zamówię obiad.

— Proszę ojca, nie zabawimy długo. Adam przywiózł nas autem Henryka. Wrócimy dziś do domu. Chodźmy zaraz na spacer! Ojciec pójdzie z nami, prawda? Najpierw wejdziemy do kościoła, potem ogród, las i jezioro.

Tadeusz i Adam chcieli najpierw iść na piętro, za klauzurę, aby obejrzyć stare portrety zakonników. Ciągnął ich też swoisty urok tych oddzielonych klauzurą korytarzy, kaplica zakonników, cisza i skupienie klasztornych cel. Krystyna i Ryszard zostali na dole z ojcem Gabrielem.

— Przeszkadzamy ci, Gabrielu, w przygotowaniach do jutrzejszego odpustu. Czy spodziewacie się dużego napływu ludzi?

— Nie przeszkadzacie, Ryszardzie. Organizacją zajmują się inni. Oczywiście na swój sposób przygotowuję się także. Odprawiłem rekolekcje, nowennę do Ducha Świętego, bo jednak będzie trochę spowiedzi, trochę kazań. Nie chciałbym mówić tylko od siebie. Nie przeszkadzacie. Nigdy sprawy ludzkie nie przeszkadzają w modlitwie. Są głosem Bożym, odpowiedzią Boga na nasze modlitwy. A ludzi nie będzie dużo, może trochę więcej niż w zwykłą niedzielę, ponieważ właśnie Wniebowzięcie w tym roku wypadło w niedzielę. Cieszę się jednak, gdy ludzie przyjdą. Usłyszą jakieś poważne słowo, przystąpią do spowiedzi, do Komunii świętej, wezmą udział we Mszy. Odpust to po prostu intensywniejsze spotkanie z Bogiem. Kojarzy ludziom sprawę oczyszczenia duszy i sprawę przekazywania Bogu modlitw przez Matkę Bożą. Oczywiście, wszystko

to powiązane jest trochę z wycieczką, daje możliwość zwiedzenia pięknych okolic, spotkania znajomych, kupienia zabawnych pamiątek na odpustowych straganach. Ale cele doczesne są też objęte planem Opatrzności. Niech się więc realizują. Nie można oddzielić ciała od duszy. A z okazji odpustu dusze pielgrzymów także znajdują wzmocnienie, pomoc Bożą w sakramentach, miłosierne spojrzenie Matki Bożej z cudownego obrazu. To wszystko dodaje sił, odradza duszę i ciało, pogłębia i mobilizuje człowieka.

Weszli do kościoła. Adam i Tadeusz zbliżyli się do ołtarza z cudownym obrazem. Krystyna, Ryszard i ojciec Gabriel uklękli za nimi. Kościół nie był duży. Po bokach prezbiterium ustawione stalle przyciągały oczy rzeźbą i obrazami. Balustrada w kształcie koła oddzielała wielki ołtarz. W środku jednonawowego kościoła stały ławki, na ścianach sześć barokowych ołtarzy z dość ciekawymi płótnami. Polichromia, wykonana przez jakichś uczniów Wyspiańskiego, przypominała krakowski kościół Franciszkanów. Ryszard zauważył to wszystko. Tyle już razy w ten sam sposób reagował na ten kościół. Krystyna śledziła skupienie ojca Gabriela. Tadeusz myślał w głębi duszy o swym kapłaństwie. Adam nie mógł opanować wzruszenia. Nadeszło nagle, gdy klękał przed ołtarzem. Zasłonił twarz dłońmi, aby Tadeusz tego nie zauważył, aby nie widziała tego Krystyna i Ryszard. Bał się ich zdziwienia, a przede wszystkim bał się tego wzruszenia. Wzruszenie samo przez się jest przyjemne, przyciąga jednak uwagę człowieka, skupia ją na sobie i właściwie odrywa od modlitwy. Adam chciał się modlić. Choć przez chwilę pozostać przy Bogu całą myślą, całą uwagą, całą miłością. Właśnie tu, przed obrazem Matki Bożej, objawiającej przez cudowny obraz swoją troskę o ludzi. Nie mógł się modlić, przeszkadzało mu wzruszenie. Martwił się tym, krył je, tracił czas na drobiazgi, które są źródłem roztargnienia, samym roztargnieniem. Kierował tęskny głos duszy w stronę Matki Bożej, odsłaniał przed Nią swoją bezradność. Chciał powiedzieć wiele słów, wyrażających przywiązanie i prośbę o pogłębienie miłości do Chrystusa, o to, aby Chrystus podjął tę miłość na zawsze, zatrzymał, zabrał, ochronił, umocnił, przekształcił, uświęcił. Nie mógł nic powiedzieć. Wzruszenie objęło głębsze warstwy jego refleksji, zawładnęło myśleniem, całą duszą. Przerodziło się w jakieś bezgłośnie łkanie. Adam dziwił się temu łkaniu, pragnął je opanować, wreszcie całą tę swoją biedę oddał Matce Bożej przepraszając, że nie umie

Jej powiedzieć, jak bardzo przejmują go zawsze tajemnica wniebowzięcia. Adam uchwycił się tego tematu. Z tej jakiejś modlitwy uczuć i z modlitwy prostego wejrzenia, całkowitego otwarcia duszy przed Matką Bożą, Adam przeszedł do modlitwy myślanej. Czuł się tu bezpieczniejszy, mniej bezradny. Kierował modlitwą, co także go martwiło. Martwiło go to, że może stracił okazję otrzymania impulsów z góry. Nie stanął bowiem wobec Matki Bożej z jakąś wyczekującą ufnością. Sam chciał mówić. I mówi teraz. Mówi swoją bezradnością, swoim wzruszeniem, swoim rozmyślaniami. Został przy tym rozmyślaniami. W jednej, krótkiej chwili objął myślą, wszystkimi uczuciami, całą duszą, sprawę wniebowzięcia. Tak, to było tak. Voillaume ma rację. Maryja jest matką, zawsze jest przede wszystkim matką. Dla Jej przyszłego macierzyństwa Bóg uczynił Ją niepokalaną, dał Jej pełnię łaski. Kształtował matkę, duszę niepokalanej matki, pierwszy owoc odkupienia. Nie miała grzechu pierworodnego, nie podlegała grzechowi, była wolna, wrażliwa na wpływ Ducha Świętego, poddana Jego darom, Jego uświęcającej miłości. Realizując życzenia Boże wprowadziła w świat Chrystusa. Chrystus był Jej posłuszny. Chciał mieć matkę. Chce Ją mieć zawsze, bo przecież życzenia Boże są niezmiennie. Sama dusza Maryi nie mogłaby być matką. Zaraz po śmierci Maryi Chrystus wskrzesił Ją. Wniebowzięcie to przyspieszone zmartwychwstanie świętego ciała Matki Bożej. Maryja musiała być z duszą i ciałem przy swym Synu, aby być matką, zawsze matką, aby być tym, czym jest z postanowienia Bożego. Maryja podjęła decyzje Boże. Zrezygnowała z własnego projektu swego powiązania z Bogiem, przyjęła program Boży. Jest matką. Jest matką przy swym Synu. Z tej racji jest w niebie z ciałem i duszą. We wniebowzięciu potwierdza się rola Matki Bożej, Jej wyjątkowa rola Matki Chrystusa. Każdy z nas jest częścią mistycznego ciała Chrystusa. Maryja więc jest dosłownie matką każdego z nas. Jako matka zna swoje dzieci. Zna moją duszę, moją biedę, moją tęsknotę. Adam modlił się aktami nadziei, przekonaniem, że Matka Boża zna jego tęsknoty, jego palące pragnienie przekazania Chrystusowi zapewnienia o miłości, którą chciał skierować do Chrystusa przez serce Matki Bożej, przez Jej miłość. I tak nagle jego miłość została wplątana w uczucia przed cudownym obrazem.

Z kościoła wszyscy wyszli skupieni i jak gdyby zaniepokojeni tym, że może ktoś odkrył lub przeczuł, co działo się w ich duszach podczas modlitwy przed cudownym

obrazem. Adam bał się, że Tadeusz dostrzeżł jego wzruszenie i że mógł o nim pomyśleć zbyt dobrze. A przecież jemu, Adamowi, nie udała się ta modlitwa. Tak ją oceniał. Modlitwa, w której wzruszenie zagłusza głos Boga, nie jest dobrą modlitwą. Przyjął jednak tę nieudaną. Jeszcze wciąż wewnętrznie ofiarowywał Bogu swoją słabość i swoje zmartwienie i pocieszał się tym, że w życiu religijnym nie liczą się nasze osiągnięcia. W życiu wewnętrznym liczy się Bóg i Jego osiągnięcia. Bóg zdobywa nas przez nasze nieudane czyny. Nasza przegrana może być po prostu zwycięstwem Boga w nas i nad nami. Bóg odebrał nam, naszej egoistycznej potrzebie znaczenia, działania, zwyciężania. Bóg mógł uczyć Adama rezygnacji z siebie, odchodzenia od siebie. Może ta lekcja była darem Matki Hożej, darem przybliżania Chrystusa do duszy Adama, oderwaniem kogoś od miłości do siebie, aby mógł dojść do miłości Bożej szybciej i pełniej. Tadeusz martwił się tym, że może Adam odgadł jego tęsknotę za kapłaństwem. Tak łatwo można ją było odczytać we wzroku Tadeusza. Tadeusz pochłaniał wzrokiem ołtarz i przenosząc ten wzrok na obraz z taką siłą błagał o dar powołania, że to błaganie mógł usłyszeć Adam, ponieważ przyjaźń, która łączyła Tadeusza i Adama, jest przecież także sposobem usłyszenia głosu duszy. Adam jednak zajęty swym zmartwieniem nie słyszał, nie odczuł myśli Tadeusza. Tadeusz martwił się niepotrzebnie. Adam też zbyt mocno się martwił. Tadeusz nie myślał o nim na modlitwie. Myślał o Bogu, któremu przedstawiał prośbę o powołanie, prośbę kierowaną do Matki Bożej, Matki kapłaństwa. Krystyna także niepotrzebnie się martwiła. Martwiła się tym, że, nie mogła się modlić. Peszyła ją obecność ojca Gabriela. Nie umiała sformułować żadnej myśli. Wiedziała, jak bardzo Ryszard pragnął, aby modliła się, aby uczyła się modlitwy. Przełamała już dawno w sobie opór wobec modlitwy. Tadeusz jej w tym pomógł. Nie mogła jednak modlić się przy wszystkich, przy znajomych. Szukała zawsze pustych kościołów. Wchodziła tam samotnie, klękała w ukrytym miejscu i modliła się o miłość Romana. Teraz przy Ryszardzie nie umiała prosić o tę miłość. Nie umiała więc się modlić. Umiała modlić się tylko o miłość Romana. Wiedziała, że zawężyła modlitwę, że celem modlitwy jest uwielbienie Boga. Nie negocjowała tego celu. Modliła się jednak zawsze tylko o miłość Romana. Przypuszczała, że Bóg rozumie jej sytuację, że uzna tę jej modlitwę, że wydobędzie z niej słowa chwały, że poprzez tę modlitwę o miłość Romana nauczy ją w ogóle modlitwy. Teraz przy Ryszardzie nie

mogła myśleć o Romanie. Nie modliła się. Bała się teraz, że ojciec Gabriel to zauważył, że martwił się jej nietaktem wobec Matki Bożej. Przecież mogła się zdobyć przynajmniej na słowa pozdrowień. Miała ich wzór w pozdrowieniu anielskim. Nie mogła. A Ryszard był zaniepokojony tym, że może Krystyna odgadła intencje jego modlitwy. Modlił się przecież za Krystynę i o Krystynę. Prosił o jej miłość. Prosił o tę miłość Matkę Bożą, która jest matką miłości. Krystyna mogła się domyślać, że Ryszard myśli o niej, że o nią prosi. Tak przypuszczał Ryszard. Krystyna jednak nie pomyślała o tym. Ryszard niepotrzebnie bał się Krystyny. Krystyna niepotrzebnie bała się ojca Gabriela. Ojciec Gabriel modlił się za nich wszystkich. Prosił, aby Bóg dał im wszystko, co uważa za najlepsze dla nich. Polecał ich sercu Matki Bożej, tłumaczył ich i usprawiedliwiał. Teraz zaprosił wszystkich do ogrodu.

Adam znał ten ogród. Strome schody, wysadzone bzami, prowadziły do dwu długich uliczek, przecinających wzdłuż cały ogród, pełen kwiatów, jarzyn, krzewów i drzew owocowych. Po obu stronach uliczek kwitły floksy, jego ulubione floksy. Adam znowu był wzruszony. Te kwiaty zawsze go wzruszały, zawsze budziły nastrój skupienia, zamyślenia, przypominały małą św. Teresę, jej „dzieje duszy”, klasztorną prostotę i klasztorne umartwienie. Adam bał się tej atmosfery i tęsknił do niej. Sztywne łodygi floksów z maleńką kępką kwiatów na samym już wierzchołku łodygi mogły być symbolem i obrazem zakonnego życia, prawie bezbarwnego, surowego, twardego, dopiero pod koniec zakwitającego małymi kwiatami, wydobytymi na zewnątrz przez Opatrzność, która pociesza, wzmacnia, nagradza i miłuje. Adam bał się floksów, ponieważ przy nich zawsze działo się w nim lub dla niego coś ważnego. Oczekiwał tego, co przyjdzie. Marzył.

Ojciec Gabriel rozmawiał w tym czasie z Ryszardem i Tadeuszem. Krystyna także zamyślona oglądała kwiaty. W swej pamięci przez chwilę zobaczyła kawiarnię, floksy, Adama, Tadeusza. Uciekła jednak od tego obrazu. Wołała przysłuchiwać się rozmowie przyjaciół. Nie żałowała tamtej rozmowy z Tadeuszem. Nie chciała tylko myśleć o niej, aby Ryszard nie odczuł treści tych myśli. Nie chciała wydać swojej tajemnicy i tajemnicy Tadeusza.

— Jeżeli mówiłem, Ryszardzie, że ludzie usłyszą tu jakieś poważne słowo, to wcale nie chciałem przez to bronić kazań. Istnieje dziś jakiś kryzys kaznodziejstwa.

Może po prostu język kazań przestał być czytelny. A może problem jest o wiele głębszy. Może w słowach, które się wypowiada, jest za mało osobistej prawdy, prawdziwego świadczenia o Bogu. Może też być tak, że nie odczytujemy duchowych potrzeb ludzi, może mijamy się z problematyką, która niepokoi słuchaczy. Nie wiem. Wiem jedno, wiem to, że dziś zdobywają dusze tylko świątobliwi kapłani, że potrzeba świętych kapłanów i że potrzeba dużej wiedzy teologicznej. A tych dwu rzeczy wciąż brakuje księżom. Za mało jest świętości i za mało wiedzy. Ta pierwsza sprawa jest w ręku Boga. Bóg sam powołuje i wychowuje świętych. My tylko pomagamy Bogu. Ale druga sprawa jest w naszych rękach. Dziś księżom potrzebna jest duża wiedza teologiczna, filozoficzna, z zakresu dziejów kultury. Seminaria uczą dużo, prawie wystarczająco, nie uczą jednak samodzielności w pracy nad intelektem. A wiedzę zdobywa się przez własną pracę, pracę zresztą zorganizowaną. Tej samodzielności i organizacji pracy naukowej, czy w ogóle umysłowej, uczy uniwersytet. Księża powinni przejść przez uniwersytet, wszyscy księża, aby umieli się uczyć poza szkołą, bez pomocy profesora. To im potrzebne specjalnie wtedy, gdy samotnie siedzą na zapadłej parafii. Wszędzie można zrobić dużo, wszędzie można nauczyć miłości do Boga. Trzeba jednak tę miłość posiadać i trzeba umieć jej nauczyć. I właśnie duża wiedza bardzo w tym pomaga. Pomaga przede wszystkim zrozumieć, że Duch Święty jest wychowawcą duszy. Aby tej prawdy nauczyć innych, trzeba samemu dobrze ją zrozumieć. Nielatwo ją pojąć bez dobrze przestudiowanej teologii.

— Przyznam się, Gabrielu, że chętnie podjąłbym ten jeden temat, prawdę o Duchu Świętym. Tyle razy już dyskutowaliśmy sprawę struktury studiów seminaryjnych, kryzysu kaznodziejstwa, że w tym pięknym klasztorze nie chciałbym już mówić o tym, co martwi.

— Chętnie, Ryszardzie. Chciałbym jednak jeszcze odpowiedzieć Tadeuszowi. W czasie naszej rozmowy Tadeusz poruszył dwie ciekawe sprawy. Pierwsza to sprawa roli świętych w rozwoju religijnym ludzi, druga sprawa dotyczy charakteru pobożności, z którą się stykamy i którą kształtujemy. Nie wiem, czy będę umiał odpowiedzieć dobrze i wyczerpująco. Wydaje się, że sprawa świętych ma dwa aspekty. Dużą rolę w mobilizowaniu się wewnętrznym człowieka odgrywają święci kanonizowani. Ile przecież dobrego zrobiła mała św. Teresa! Nauczyła zbliżania się do Boga, zachęciła do

togo. A ileż oporów usunął z ludzkiej drogi do Boga Jan XXIII, jeszcze nie kanonizowany, lecz już powszechnie uważany za świętego. Nawet na Soborze podkreślali to Ojcowie Soboru. Święci uczą nas realizacji życia nadprzyrodzonego, pokazują, jak to się robi, jak w zwykłym życiu, pełnym kłopotów, słabości i pokus, zdobywa się miłość Bożą. A teraz rola świętych, którzy żyją wśród nas. Znowu przykładem może tu być Jan XXIII. Swoją pobożnością, swoją wiarą, nadprzyrodzoną dobrocią i pogodą, które były w nim owocami darów Ducha Świętego, ile przecież zmienił. Pokazywał, że życie religijne jest czymś realnym, poważnym, wartościowym. I umiał to pokazać. Tak, umiał. Nie zawsze święci umieją wychowywać. Zawsze przejmuję mnie to, że Dawid nie umiał dobrze wychować swoich dzieci. Rzadko święci ojcowie mają świętych synów. Abraham wychował świątobliwie Izaaka, Izaak Jakuba, Jakub w pewnym stopniu Józefa. Elżbieta wychowała Jana Chrzciciela. Jest trochę tych przykładów. W każdym razie nie za dużo. Nie ulega jednak wątpliwości, że święci wpływają na nasze życie. Ma znaczenie święty kolega. Oczywiście nie wiemy, kto jest święty. Wiemy jednak, że miłość uszlachetnia i podnosi człowieka. Jeżeli ktoś żyje miłością do Boga, tą miłością promieniuje, a ten promień gdzieś trafia. Trafia przede wszystkim do Boga, usprawiedliwia nas, chroni, wyprasza miłosierdzie. Bóg wysłuchuje tych, których kocha. Wpływ ludzi świętych zależy oczywiście od tego, w jakim stopniu ktoś temu wpływowi zechce się poddać. Jednak na pewno jest to wpływ pozytywny już za ich życia. Tak możemy ocenić wpływ Franciszka z Asyżu, Teresy Wielkiej, Jana XXIII. Myślę, że i teraz rosną święci. To od Boga zależy, czy zechce z ich wpływu skorzystać. Czasem Bóg kryje swoich świętych, tych, którzy Go kochają całą duszą, całym sercem, ze wszystkich sił. Tylko tyle umiem ci, Tadeuszu, powiedzieć teraz na ten temat. Drugi temat jest także szeroki. Charakter pobożności, z którą się stykamy i którą kształtujemy, owszem, w dużym stopniu zależy od wychowawców, od tradycji, zależy jednak także od danego człowieka. Człowiek zmienia styl swej pobożności. Przecież widzimy, w jak dużym stopniu mała św. Teresa uniezależniła się od tradycyjnych wzorów ascetycznych. Przeskoczyła je. Znalazła się na bieżąco w wersji, którą każdy z jej współczesnych mógł podjąć. Nie każdemu z nas to się udaje, z nas, wychowawców. Uczymy sposobów kochania Boga tak, jak umiemy. Zależymy od dawnych wzorów, od tradycji. Jesteśmy pod presją zwyczajów, prądów

umysłowych, całej kultury. Co możemy powiedzieć o modelu życia religijnego, które realizujemy, to znaczy o modelu, który jest aktualny? Jest to model, nazwijmy go wiejski i model miejski. Obydwa dążą do ujęcia tego, co istotne w życiu religijnym, obydwa mają na celu rozwijanie miłości Bożej. Każdy z nich używa jednak innych środków ascetycznych dla zrealizowania zjednoczenia z Bogiem. Środki nadprzyrodzone określił Chrystus, ale środki ascetyczne, związane z umartwieniem, jak i samo umartwienie zależą od psychiki ludzkiej. Umartwienie jest sposobem usunięcia lub przekształcenia w sobie tego, co nas oddziela od Boga. Jest proporcjonalne do psychiki danego człowieka. Oczywiście to, co oddziela od Boga, może być dla wielu ludzi to samo. Może być wywołane temperamentem, namiętnościami, ale także może być uwarunkowane typem środowiskowych reakcji, zwyczajami. Wiele osób z danej grupy społecznej może mieć te same trudności, prawie te same opory, te same grzechy. W związku z tym typ umartwienia, typ oporu, typ pokuty może być także ten sam. Może być też ten sam sposób oddawania czci Bogu. Poza liturgią, poza oficjalnym kultem istnieje szereg przyjętych przez ludzi sposobów wyrażania Bogu hołdu, przywiązania, miłości. I właśnie to wszystko składa się na typ pobożności, a tym samym na pewien model życia religijnego. Mówi się o tym, że pobożność wiejska jest u nas bardziej uczuciowa, nawet sentymentalna, że znowu pobożność miejska idzie bardziej w kierunku zintelektualizowania. Podkreśla się to, że życie religijne w modelu wiejskim jest rozwijane przy pomocy głośnej modlitwy, którą są pieśni, przy pomocy pielgrzymek. Zarzuca się tym pieśniom, że pogłębiają sentymentalizm, pielgrzymkom, że są manifestacją religijną i z tej racji bardziej wychowują dla jakichś organizacji społecznych niż dla życia religijnego. Zapomina się jednak o tym, że polskie pieśni religijne mają często bogatą i głęboką treść teologiczną, że są wykładem prawd wiary, że ułatwiają zapamiętanie tych prawd bardziej niż kazania. Zapomina się też, że pielgrzymka jest jakąś formą rekolekcji, kilkudniowym przy pomocy pieśni głośnym rozmyśleniem, którego ludzie, nie przyzwyczajeni do samodzielnej refleksji, nie umieją sami przeprowadzać. Nic nie szkodzi, że czynią to w marszu, że idąc w tłumie mają przy okazji spacer, wycieczkę, jakieś nawet wytchnienie po ciężkiej pracy na roli. Bywają przecież na Mszy niedzielnej, przystępują do sakramentów. Pielgrzymowanie raz czy dwa razy w roku do miejsc maryjnych, zwrócenie uwagi na pomoc i

pośrednictwo Matki Bożej w naszym życiu wewnętrznym raczej więc pogłębia niż słyca. Jest też w jakimś sensie wzajemnym zachęcaniem się do życia religijnego, zobaczeniem, że życie religijne jest ważną sprawą wielu ludzi, że wobec tego warto je traktować na serio. Wydaje się, że cechą wiejskiego modelu pobożności jest nie tyle sentymentalizm i pielgrzymowanie i nie tyle brak pogłębianej refleksji religijnej, ile raczej swoista metoda wspólnego uczenia się życia religijnego. Tę metodę głośnego przy pomocy pieśni rozmyślania właśnie krytykują zwolennicy miejskiego modelu pobożności. Model miejski akcentuje odrębność psychiczną poszczególnych ludzi. Widzi szansę rozwoju religijnego ludzi w małych grupach, zebranych przy ołtarzu w osobnej kaplicy, na osobnym dniu skupienia. Podkreśla się tu wartość, której zresztą nie negujemy, studiów teologicznych, w ogóle nauczania, po prostu zdobycia dla Boga duszy ludzkiej poprzez jej intelekt. Człowiek, wychowany w mieście, nie lubi się ujawniać, lubi być zagubiony w tłumie, anonimowy, a jednocześnie osobiście poinformowany. Nie wystarcza mu kazanie, wspólna refleksja. Szuka rozmów, specjalistów dla swych trudności. Ma swoje skomplikowane życie, wyznaczone szczegółami i drobiazgami mechanizmu pracy zawodowej, najczęściej biurowej. Poprzez podobne drobiazgi i szczegóły, może z nawyku, przedziera się do Boga. Może więc w swym stylu życia religijnego model miejski jest bardziej analityczny niż model wiejski, który można by scharakteryzować jako więcej syntetyczny, operujący dużymi formami reakcji grupowych. Model miejski ceni małe formy i osobistą, jednostkową relację do danej sprawy religijnej poszczególnego człowieka. Tak bym to dziś rozumiał. Tak widzę te dwa modele. Niech sobie będą. Nie martwię się nimi. W każdym z nich jednak najważniejszą sprawą są sakramenty i Chrystus: Chrystus w Komunii świętej, Chrystus we Mszy świętej, Chrystus na rękach swej Matki. I należy pamiętać, że Opatrzność także wie o tych modelach, że jakoś je akceptuje. Należy też pamiętać, że nie my tworzymy nasze życie religijne, że tworzy je w nas realnie tylko Chrystus. Oczywiście, możemy Mu w tym przeszkadzać, możemy Mu utrudniać pracę. Ale przecież nadzieja i miłość przywołują Ducha Świętego, który uświęca. Uświęca nas Duch Święty. Jest zawsze tam, gdzie dzięki łasce dokonuje się nadprzyrodzone przybliżanie człowieka do Boga. Duch Święty działa w każdej ochrzczonej duszy ludzkiej i w każdej duszy kochającej Boga. Doskonali człowieka i doskonali całe

mistyczne ciało Chrystusa. Jest w Kościele, doskonali i przekształca Kościół. Widzieliśmy to bardzo wyraźnie w okresie Soboru. Sobór przecież był ujawnieniem się przekształceń, dokonywanych w Kościele przez Ducha Świętego. Był bardziej niż zwykle pod wyraźnym, doskonalącym działaniem trzeciej Osoby Trójcy Świętej. Duch Święty doskonali cały Kościół, wszystkich miłujących Boga i każdego człowieka z osobna. Trzeba mu także zaufać, uwierzyć, że nasze osobiste życie religijne nie jest tylko naszą sprawą. Tak, Ryszardzie, Duch Święty jest zawsze tam, gdzie tworzy się życie nadprzyrodzone. Otóż obrońcy lub przeciwnicy tych modeli życia religijnego może za mało pamiętają, że w tej sprawie ma dużo do powiedzenia, a raczej wszystko, właśnie Duch Święty. Cieszę się, że upomniałeś się o ten temat, że interesuje cię prawda o Duchu Świętym.

— Tak, Gabrielu, to jest bardzo przez nas zapomniana Osoba Boża.

— Więc powiedz o Duchu Świętym ty, Ryszardzie. Powiedz! Dużo myślałeś o Bogu Duchu Świętym. A może każdy z nas by coś powiedział. Uzyskalibyśmy w ten sposób jakąś sumę nastawień, które mogłyby pogłębić naszą modlitwę do Ducha Świętego. Zgadzasz się Krystyno, Tadeuszu, Adamie? Tak? To dobrze. Ryszard pierwszy ma głos.

— To nie jest łatwe zadanie. Rzeczywiście można mówić tylko o swoim nastawieniu, o swoim przeżyciu, o wewnętrznym kontakcie z Duchem Świętym. Ty, Gabrielu, mógłbyś mówić o pochodzeniu Ducha Świętego, o naturze trzeciej Osoby Boskiej, o Jej działaniu w duszy ludzkiej. To bowiem wiedzą teologowie. My wiemy tylko tyle, że Duch Święty, który ożywia i uświęca Kościół, który uświęca każdą duszę ludzką, jest za mało znany. Za mało też jest znana Trójca Święta i za mało kochana. Może to wina informacji, kazań. Mówi się o Bogu, o Chrystusie. Nieczęsto podkreśla się to, że jeden Bóg jest Trójcą Osób, powiązanych miłością, ogromną miłością. Ojciec Niebieski kocha Syna. Wszystko w Nim, przez Niego i dla Niego stworzył. Syn kocha Ojca, kocha nieskończenie. Ta miłość Ojca do Syna i Syna do Ojca jest także Bogiem, jest Duchem Świętym, który w tej wzajemnej miłości Osób Boskich bierze czynny udział, także kocha Ojca i kocha Chrystusa. I cała Trójca Święta kocha człowieka, przychodzi do duszy ludzkiej, czyni w niej mieszkanie. Chrystus swoją męką umożliwił człowiekowi powrót do Boga, wysłużył mu możliwość rodzinnego kontaktu i udziału w

wewnętrznym życiu Boga, jak gdyby przystosował łaskę do miary ludzkiej. Ale Duch Święty uświęca. Jego dary pozwalają człowiekowi najpełniej uczestniczyć w wewnętrznym życiu Boga. Duch Święty wychowuje i kształtuje w człowieku nadprzyrodzona miłość do Boga. I wciąż zapominamy, ile zawdzięczamy Duchowi Świętemu. Jakże Bóg jest pokorny, że tylko prosi o miłość ludzką. Oczywiście kochając Chrystusa kochamy całą Trójcę Świętą. To prawda. Ale świadome życie religijne powinno być uwielbieniem składanym i Ojcu, i Synowi, i Duchowi Świętemu, całej Trójcy Świętej i osobno każdej Osobie Bożej. To by nas bardziej zbliżało, bardziej przywiązywało do Boga. Porusza ta wiedza o Trójcy Świętej, ukazuje duszy ludzkiej perspektywy ogromne. A miłości ludzkiej wyznacza drogę jakże bogatą i piękną: umiłowanie najpełniejszej Miłości. Czy nie mam racji, Adamie?

— Jestem zawsze przejęty, podobnie jak Andrzej, gdy odmawiam tę prostą modlitwę, złożoną z samych imion Bożych i ze słowa określającego cel każdego życia, modlitwę: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu”. A słowa, wymawiane przy znaku krzyża: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, to przecież cała teologia i cała ascetyka, przypomnienie człowiekowi wewnętrznego życia Bożego, powiązań między Osobami Bożymi i zwrócenie uwagi człowiekowi, że mamy żyć dla Boga, działać z Bogiem, dla Boga i w Bogu, odsunąć siebie na drugi plan, przywrócić w swej duszy pierwsze miejsce Bogu, postępować tak, jak życzy sobie Ojciec, Syn i Duch Święty, realizować przewidziany dla człowieka program Ojca, korzystać z zasług odkupienia, przejąć się tym, co o Bogu objawił Chrystus, na serio potraktować uświęcającą nas miłość Bożą, pozwolić Duchowi Świętemu na kształtowanie W nas Chrystusa, na uświęcenie naszej duszy, na skierowanie ku Bogu całej naszej miłości. Gdy mówimy: „w imię Ducha Świętego”, to zobowiązujemy się do miłowania Boga, do wejścia w krąg oddziaływań Ducha Świętego, do uzgodnienia woli Bożej z naszą wolą. Modlitwa „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” jest przecież ślubowaniem, a więc oddaniem siebie Bogu, podjęciem programu Bożego. Będę czynił to, czego sobie życzy Chrystus, co przewidział dla mnie Bóg Ojciec, co realizuje we mnie Duch Święty. Będę się starał to czynić, jak najmniej przeszkadzać Bogu w tym, czego chce we mnie dokonać dla swej chwały. A chce po prostu udoskonalić moją miłość, chce ją udoskonalić Bóg, który jest miłością. Bóg poszukuje miłości, Bóg ją daje, kształtuje, uświęca przez

Ducha Świętego. Chcę spełnić życzenia Boże. Chcę tego, czego Bóg chce. Kocham Cię, Boże!

— Adamie, to, co powiedziałeś, jest piękne, jest modlitwą. Ponieważ przestałeś mówić, kolej na mnie. Chciałbym tylko dodać, że hymn *Veni creator*, który jest modlitwą, stał się jednym z elementów ceremoniału weselnego. Nie zawsze pamięta się, że jest modlitwą i że codziennie mógłby uczyć nas przyjaźni z Duchem Świętym. W tym hymnie Kościół prosi, aby Duch Święty zstąpił do umysłów ludzkich, aby łaską Bożą nappełnił człowieka, jego ciało, aby nadał właściwy kierunek naszym dążeniom zmysłowym, aby oświecił drogi naszego życia, nappełnił światłem zmysły, a miłością nasze serca, i aby słabość naszych ciał wzmacniał swoją siłą. Kościół prosi też, aby Duch Święty oddalił od nas wrogów naszego uświęcenia, obdarzył nas pokojem, aby prowadził nas w drodze do Boga i w walce aż do zwycięstwa. A potem prośba, aby Duch Święty pomógł nam poznać Boga Ojca i Boga Syna i aby umocnił w nas wiarę w Trójcę Świętą. Jest bowiem Miłością, Pocieszycielem, Darem Boga, Źródłem życia nadprzyrodzonego, Ogniem, Osobą Bożą, która łączy duszę ludzką z Ojcem i Synem, która nappełnia wiedzą, mądrością, nadzieją, siedmiorakimi darami. Bez darów Ducha Świętego nie byłoby naszego organizmu nadprzyrodzonego, nie byłoby w nas pełni Bożej. Bez Ducha Świętego nie bylibyśmy w stanie odebrać udzielonej nam nadprzyrodzonej miłości i przyjąć w duszy przychodzącej do nas Trójcy Świętej. Nie bylibyśmy też w stanie wykonać aktów wiary, nadziei i miłości. Nie moglibyśmy się modlić, zrealizować przykazań i umartwienia, dokonać uczynków miłosiernych, głodnych karmić, pocieszać smutnych, przyjąć do domu podróżnych, wprowadzić na dobrą drogę błądzących, odwiedzać więźniów i chorych. Nie bylibyśmy cisi, czystego serca, ubodzy w duchu, miłosierni, cierpliwi w prześladowaniach, nie płakalibyśmy nad własnymi grzechami, nie zrozumielibyśmy nauki i miłości Chrystusowej, nie bylibyśmy wszczępieni w Chrystusa. Duchowi Świętemu zawdzięczamy zrozumienie Ewangelii, wybór Boga, ukochanie Boga w Chrystusie. Za mało o tym pamiętamy, za mało modlimy się do Ducha Świętego, za mało Go kochamy. W ogóle za mało kochamy Boga, za mało. Z tej racji tyle w nas jeszcze zła i tyle zła w świecie. Może nas od zła uwolnić tylko miłość Boża, może nas uratować tylko wielka miłość Boża, miłosierna miłość Boża.

Krystyna ze wzruszeniem wsłuchiwała się w głos Tadeusza. Myśli, które formułował, budziły ją z jakiegoś wewnętrznego snu. Rozumiała te myśli, chwytła je, były nadawane na tej fali, którą umiała odebrać. Tę falę stanowiła prawda o miłosierdziu.

— Nie umiem formułować myśli tak, jak Tadeusz, Adam, Ryszard, ojciec Gabriel. Nie ma we mnie myśli, dotyczących prawdy o Duchu Świętym. Jest tylko tęsknota, aby dawać chleb głodnym, pocieszać smutnych, dobrze radzić wątpiącym, pomyśleć o ubraniu na zimę dla biednych, nie umiejących znaleźć rzeczy ciepłych i tanich, pomóc uwikłanym w procesy sądowe, pochylić się ze współczuciem nad chorymi, zaniedbanymi, według opinii ludzkiej najgorszymi ludźmi, odszukać ich w więzieniach, na ulicy, w rozbitych rodzinach, przyjść do nich z rozsądnym słowem, z troską o nich, obdarzyć ich zaufaniem, zaufać ich potrzebie dobra, stanąć przy nich, pomóc im wybrać dobro, nie zrażać się, gdy upadną, gdy nie dadzą sobie rady, gdy będą znowu się podnosili uwikłani w swoją słabość, nędzę, gdy im się nic nie uda, gdy przegrają w porządku sprawiedliwości i prawa, gdy jedynym ich wytłumaczeniem będzie mogło stać się miłosierdzie Boże. Umiejętność kierowania się miłosierdziem wobec najbiedniejszych dusz ludzkich to umiejętność poddania się Duchowi Świętemu. Tak to rozumiem. To przecież jest działanie, które wrywa człowieka ze zła, a więc kieruje do Boga, ratuje, zbawia, uświęca. Jest to być może najniższy stopień uświęcania, ale każde uświęcanie jest przecież sprawą i dziełem Ducha Świętego. Wszędzie, gdzie świadczymy dobro, współczucie, miłosierdzie, miłość, objawiamy i przybliżamy ludziom Boga. Bóg jest bowiem miłosierdziem. Ta prawda budzi nadzieję, podnosi człowieka, ratuje, uzdrawia, umacnia. Niczego więcej nie umiem powiedzieć. Popatrz, Adamie, na te kwiaty, na piękne, skromne floksy. Jestem łodygą tego kwiatu. Pnę się ku górze, ale jeszcze nie kwitnę. Nie ma we mnie tej ilości drobnych kwiatów, które uradowałyby oczy Boże. Ale zielone liście łodyg też zdobią tę aleję. Nie wszystkie floksy kwitną. Może zakwitną. O tym też decyduje Opatrzność. A o tym, aby dusza ludzka zakwitła miłością rozstrzyga Duch Święty.

Krystyna umilkła. Adam gładził dłonią ulubione kwiaty. Czuł, że całe serce wypełnia mu jakaś wdzięczność, cisza, spokojna radość, która bardziej podnosi niż porusza. Całą duszę otworzył Bogu. Patrzył na kwiaty, ale wewnętrzne oczy miał

skierowane ku niebu. Tadeusz był zdziwiony. Wstydział się tego, że nie spodziewał się tych słów, które wypowiedziała Krystyna. Cieszył się. Dziwił się i cieszył. Swego zdziwienia nie ujawnił, nigdy nie ujawni, ujawnił tylko radość. A Ryszard zdołał wypowiedzieć tylko dwa słowa: Krystyno, Krystyno. Zawarł w tych słowach tyle wdzięczności, tyle miłości, tyle wzruszenia, że Krystyna podniosła na niego oczy. Nie było jednak w jej spojrzeniu ani męki, ani żalu, ani niechęci. Była tylko dobroć, ogromna, rozumiejąca dobroć. A potem Krystyna powiedziała:

— Nie miej do mnie żalu, Ryszardzie. Adam, Tadeusz, ojciec Gabriel, znają moje myśli i moje serce. Ty też je znasz. Nie miej do mnie żalu. Mogę to głośno powiedzieć. Cała dobroć, na jaką mnie stać, czeka na ciebie w moim sercu. Jestem też pewna twojej dobroci. A proszę cię tylko o to, abyś umiał i w stosunku do mnie kierować się miłosierdziem. Tak, miłosierdziem. Proszę cię o miłosierdzie, które jest zawsze dziełem miłości, które jest także dziełem Ducha Świętego.

Ryszard wiedział już, że utracił miłość Krystyny. Utracił miłość, której nigdy nie otrzymał, do której tylko tęsknił. Wiedział jednak także i to, że Bóg daje miłość, swoją miłość, i że przydziela nam także miłość ludzi. Chyba to jednak jest tak. Bóg nie przewidział dla niego miłości Krystyny. Pozwolił jednak, aby Krystyna pozostała w pobliżu Ryszarda, aby Ryszard cieszył się jej obecnością, aby jego miłość obudziła w niej miłość do Boga. Ryszard nie wiedział, że uratowała Krystynę jej miłość do Romana i że Tadeusz prawdą o miłosierdziu otworzył przed miłością Krystyny drogi nieskończone. Ryszard tego nie wiedział. Nigdy się o tym nie dowie. Tylko Tadeusz zastanawiał się, jaki cel postawił Bóg przed miłością Ryszarda do Krystyny. Czy chodziło po prostu tylko o to, aby miłość Ryszarda, często rozproszona, mało intensywna, pogłębiła się i nabrała mocy? Czy chodziło o to, aby tę miłość oczyściło cierpienie? Nie wiadomo. Nie wiemy, dlaczego Bóg stawia nas w trudnych sytuacjach życiowych. Wiemy tylko tyle, że Bóg chce, aby miłość człowieka stała się doskonałą, aby dzięki tej miłości człowiek mógł uczestniczyć w wewnętrznym życiu Boga.

Wydawało się, że po tym wszystkim, co się stało w ogrodzie, nie będzie już możliwy spacer po lesie i nad jezioro. Krystyna jednak, Adam i Tadeusz pobiegli tam dziwnie spokojni, wewnętrznie lżejsi, radośni. Czuli, że wiele spraw zostało rozwiązanych, że wiele się wyjaśniło, że Bóg, który daje i umacnia miłość, pamięta o

wszystkich, że przychodzi do każdej duszy ludzkiej, jeżeli człowiek podniesie swój wzrok do góry.

Ryszard i ojciec Gabriel powoli poszli za trójką radosnych przyjaciół.

— Co więc myślisz, Ryszardzie, o tym fragmencie powieści, który przed chwilą realizowaliśmy? Czy nie wydaje ci się, że trochę za słabo wywiązałem się ze swojego zadania. Czuję, że moja analiza modelu pobożności jest trochę nudna. Przyznam się, że mile zaskoczyła mnie wypowiedź Krystyny. Adam i Tadeusz to też dobre głosy. Wybacz, jeżeli cię zawiodłem.

— Ależ, Gabrielu, myślę, że dobrze wypadłeś. Miałeś trudne zadanie. I musimy założyć to, że trafimy na czytelnika, który będzie poszukiwał analiz, takiej trochę refleksyjnej prozy. Oczywiście, moja proza nie dorasta do zadań i tematu, analizy są często zbyt pobieżne. Może niecierpliwość jest tu powodem, że skraca się wywody, że nie idzie się w głąb aż do granic poruszanego problemu. Może po prostu jeszcze nie umiem pisać.

— Nie martwiłbym się tymi analizami. Mogą zostać. Martwi mnie co innego. Czasem wydaje mi się, Ryszardzie, że jednak za bardzo zwycięża w tej powieści nastrój, nawet sentymentalizm. Ani ty, ani Andrzej nie umiecie się od tego uwolnić. Wiem, że świadomie jednej z wersji procesu utraty miłości nadaliście atmosferę sentymentalną. W powieści jest to pierwsza wersja, dzieje miłości Ryszarda i Krystyny. I ta pierwsza wersja nadaje trochę ton całej książce. Zresztą sam temat jest trudny, tak łatwo ustawić go sentymentalnie. A może zarzut jest trochę na wyrost. W każdym razie dobrze się stało, że podjęliście ten temat. Zajmuje się nim piosenka rozrywkowa, film, teatr, teologia, .poezja, proza. Temat ten wszystkich interesuje. Nic dziwnego, że interesuje też ciebie i Andrzeja. Dobrze więc, że i ty o tym mówisz, że pokazujesz związek miłości ludzkiej z miłością Bożą. Nie wiem tylko, czy udało ci się dobrze pokazać różnicę między miłością cielesną i duchową. Trochę to wyszło tak, że miłość cielesna jest zła, a miłość duchowa dobra. Owszem, pokazywałeś, że każda miłość jest miłością, a więc czymś dobrym, że o jej wartości decyduje przedmiot, do którego kieruje nas nasza miłość. Pod pewnym względem nie ma więc konfliktu między miłością cielesną i duchową. Nie ma go teoretycznie. Praktycznie jednak często ten konflikt zachodzi. Nie ma też jakiejś opozycji między życiem religijnym a życiem

seksualnym. I znowu zależy to od tego, jak człowiek ustawi w sobie te zagadnienia. Andrzej nie umiał w swym życiu rozwiązać tego problemu. Teresa nie przeżyła tego konfliktu. Adam minął go dzięki wielkiej miłości do Boga. Krystyna zaplątała się i zagubiła na swej drodze życia. Ale uratowała ją miłość, którą odkryła dzięki Romanowi. Ryszard odkrył prawdziwą miłość dzięki Krystynie. Czy jednak nie należałoby jeszcze nakreślić drogi ludzkiej, drogi dwu osób, których życie religijne nie koliduje z życiem seksualnym. Może udałoby się to scharakteryzować na przykładzie Henryka i Łucji. Co o tym myślisz, Ryszardzie?

— Boję się o to, czy nie nadamy wtedy powieści już zupełnie postulatycznego charakteru. Właściwie nie. Najczęstsza jest droga męki, konfliktów, upadków. Są jednak ludzie, których Bóg prowadzi po drodze ciągłego rozwoju nadprzyrodzonej miłości. Nie ma tam wtedy konfliktu między życiem religijnym a sprawami ludzkiego ciała. Może rzeczywiście należałoby rozważyć sprawę miłości w życiu Henryka i Łucji. Tę powieść piszą dwaj autorzy: Andrzej i Ryszard. Andrzejowi pomaga Teresa, Ryszardowi Krystyna. Piszecie tę powieść nie porozumiewając się z sobą. Łączy was i kontaktuje problem procesu utraty miłości. Te różne wersje utraty miłości, wasze o tym procesie opinie, odsłanianie zagadnień warsztatu, to wszystko wyznaczyło dość trudną technikę roboty, która przypomina film *Osiem i pół*.

— Ach, Gabrielu, to zbyt pochlebne porównanie. Nie mam takich ambicji, nie umiem stworzyć takiego dzieła. Moją tragedią wewnętrzną jest to, że nie mam talentu, że mam go za mało. Za mało, aby być dobrym pracownikiem nauki, dobrym poetą, dobrym powieściopisarzem. Jestem po prostu Ryszardem. Ryszardem bez przymiotnika. To twoje więc porównanie stawia mnie w trudnej sytuacji. Kojarzy czytelnikowi dzieło Felliniego z naszą powieścią. I w tym zestawieniu musimy przegrać. Inne jest źródło i cel tej powieści. Po prostu męka, którą sprawia ludziom utrata miłości, zmusiła do podjęcia tego problemu, przyjrzenia się mu, rozważenia go, zrozumienia. Aby można było przetrwać cierpienie, nie poddać się cierpieniu, skorzystać z cierpienia. Aby dzięki cierpieniu można było uratować miłość, aby w ogóle ją uratować. I nie tylko uratować, lecz żyć miłością, pogłębić ją, udoskonalić i uprosić u Boga miłosierne uświęcenie naszej miłości, wprowadzającej duszę ludzką w rodzinny kontakt z Bogiem, w wewnętrzne życie Trójcy Świętej.

Ojciec Gabriel uściskał Adama, Tadeusza, Krystynę i Ryszarda. Obiecali sobie przyjechać do klasztoru jeszcze podczas tych wakacji. Adam zapuścił motor. Auto mknęło po asfalcie szosy.

ROZDZIAŁ 19

Henryk i Łucja stanowili małżeństwo, którego zalety i wprost doskonałość podziwiali przyjaciele i znajomi. Przyjaciele nie mogli zrozumieć źródeł tej harmonii, musieli jednak stwierdzić bezsporny fakt pogody, ładu, dobroci, małżeńskiej wierności, zalet charakteru obojga małżonków. Henryk martwił się tą opinią. Często z Łucją rozmawiał o obowiązkach, wynikających z tego, że stali się wzorem życia rodzinnego dla znajomych.

— Pomyśl, Łucjo, już to, że najzwyczajniej w świecie postępujemy, że jesteśmy sobie wierni, że kochamy się, jest wzorem, prawie ideałem. Realizujemy ideał nie dający się podobno zrealizować. I staliśmy się ideałem. Zwyczajne, właściwie przebiegające życie małżeńskie stało się wzorem. Jak więc jest w innych małżeństwach? Czy dochowanie zaprzysiężonej wierności jest aż tak trudne dla wielu małżeństw? Czy nie chroni ich miłość? Czy nie ma tam miłości? Może swój związek małżeństwa te oparły tylko na wzruszeniu, na uczuciach, na walorach cielesnych, tak zmiennych i tak dodatkowych, uzupełniających, zdobiących miłość. Przecież zupełnie nic specjalnego nie robimy. Może ta opinia, którą do nas odnoszą, wyraża tylko tęsknotę ludzi do miłości, do wiernej miłości. Może potrzebny im jest widzialny symbol wierności, przykład, który postuluje nadzieję, który uspokaja. A może opinia ta jest jakąś formą zazdrości. Może zamiast budować, niszczy dobry nastrój i zaufanie do siebie w wielu małżeństwach. A może jest to forma wyobcowania nas, usunięcia z grupy, jakiś subtelny sposób objawienia swego żalu, niechęci, złości. Nie chcę być podejrzliwy, nie chcę być niesprawiedliwy. Przecież mamy przyjaciół. Bywa u nas Teresa i Andrzej, bywa Ryszard i Krystyna, bywają koledzy naszych synów. Bywa wiele osób, lecz właściwie tylko jedno małżeństwo. Czy to może coś oznaczać? Czy to może znaczyć, że już zaczynamy być osobno, samotni we dwoje? Jak to jest? Ta dobra opinia o nas krzywdzi nas. Odbiera nam przyjaciół, nie dopuszcza do nas przyjaciół, odsuwa od nas ludzi. Czy zawsze ci, którzy coś na serio robią, muszą stać się wzorem i jako wzór znaleźć się obok ludzi, poza ludźmi, nie nawiązującymi do tego wzoru? Czy mamy więc obowiązek stanowić taki wzór? Zresztą, czy możemy go nie stanowić? Zupełnie zwyczajnie postępujemy. Może zbyt jawnie prowadzimy nasze życie, nasz

dom. Może to jest dom zbyt otwarty, zbyt widoczny, zbyt czytelny. A może powinniśmy jednak świadczyć o tym, że dobre, wierne małżeństwo jest możliwe. Dlaczego jednak otacza nas podziw? Dlaczego mówi się, że stanowimy doskonałe małżeństwo? Dlaczego ta stwierdzona u nas harmonia, ład, dobroć, małżeńska wierność, zalety charakteru, zalety naszego domu, naszego małżeństwa stają się zagadką, trudną dla wielu do zrozumienia? Dlaczego bada się źródła zalet naszego domu? Takie badanie, poszukiwanie, wskazuje na nieufność, na niedowierzenie. Tak, Łucjo, nie wierzą nam. Wątpią w prawdziwość tego, co w nas stwierdzają. Jesteśmy więc wątpliwym dla nich wzorem. Jesteśmy po prostu prowokowani, podpatrywani. Nie obowiązuje więc nas ta opinia. Zresztą nie dla tej opinii jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Ale dlatego, że jesteśmy sobie wierni, że kochamy się, że dorobiliśmy się jakiejś ilości zalet, z konieczności będziemy stanowili wzór życia małżeńskiego i rodzinnego. Nie zmienimy krążącej o nas opinii. Na zawsze będziemy jej niewolnikami. Zawsze będzie odbierała nam przyjaciół, odsuwała ludzi. Nasz los, Łucjo, to samotność, samotność we dwoje. I tylko dlatego, że stanowimy małżeństwo, którego zalety i tak zwaną doskonałość podziwiają przyjaciele i znajomi. Biedna moja Łucjo, tylko ja ci zostałem, a ty mnie. Nasz świat będziemy musieli sami zapełnić.

— A Michał, Piotr, Adam, nie bierzesz ich pod uwagę w tym rachunku? Dlaczego, Henryku? Są naszymi dziećmi, są z nami, będą z nami.

— Tak, są z nami, będą z nami. Będą z nami i nie będzie ich przy nas. Ktoś powiedział, że dzieci można wychować, ale nie można za nich żyć. To prawda, głęboka prawda. Nasi synowie będą mieli własne życie i własne rodziny. Zadanie rodziców polega na wychowaniu dzieci. Dokonaliśmy tego. Doskonale wypełnienie zadania polega na usunięciu się w cień, na usamodzielnieniu dzieci. Sami muszą zmagać się z życiem i dojść do wybranych celów. Nie możemy osiągnąć ich celów. Każdy człowiek musi sam stworzyć swoje życie. Mam nadzieję, że przygotowaliśmy ich dobrze do tego, co ich czeka. Nauczyliśmy ich pracy, myślenia, nauczyliśmy ich miłości. Andrzej krytykuje poziom tej miłości. Mogliśmy im tylko pokazać wartościowe przedmioty miłości, ale umiłowanie tych przedmiotów jest ich zadaniem, którego za nich nie wykonamy. Nauczyliśmy ich wyboru, daliśmy im wzór miłości, kształtowanej w naszym małżeństwie i w naszej rodzinie. Tyle mogliśmy zrobić. Reszta od nich zależy.

Sami muszą stworzyć sobie swoje życie. Chciałbym, aby założyli też własne rodziny, nowe środowiska, w których będzie rozwijana miłość. Michał ma tyle zalet, że byłby dobrym mężem i ojcem. Piotr także dałby szczęście swej rodzinie. Czy uda im się to szczęście osiągnąć? Andrzej w to wątpi. Nie wiem, co będzie. Wiem tylko tyle, że muszą od nas odejść do zadań, które im Bóg wyznaczył. Nie możemy domagać się tego, aby nas i nasze sprawy uczynili celem swego życia. Naszym obowiązkiem jest pomóc im w usamodzielnieniu ich miłości. Zawsze będziemy im pomagali, zawsze będziemy ich kochali, zawsze będziemy stali przy nich patrząc z miłością, jak zmagają się z życiem, złem, błędami, cierpieniem, jak po prostu walczą o miłość. Adam też o nią walczy. Pragnie zostać księdzem. I znowu Andrzej widzi czarno tę perspektywę. Według niego Adam nie zostanie księdzem. Mój biedny, ukochany Adam! I nic, Łucjo, nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę mu pomóc. Nie mogę za niego cierpieć. Sam musi przejść przez mękę, którą dla niego przewidziała Opatrzność. W tej męce musi się zahartować. Inaczej nie wygra walki o miłość. Nie możemy go w tej walce zastąpić. Możemy go tylko wspomagać dobrą radą, naszą wierną miłością, naszym doświadczeniem, naszą modlitwą. Ale czy wystarczy tu nasze doświadczenie? Według Adama nie wystarczy. Wiesz przecież o tym, Łucjo, że Adam dużo rozmawiał z Ryszardem, że wciąż rozmawia z Tadeuszem, że kocha Krystynę. Mój kochany Adam tak boleśnie przeżywający tę miłość i z takim hartem, z taką godnością, w sposób tak bardzo czysty i piękny. Może cierpienie jest jednak piękne. Na pewno miłość jest zawsze piękna. I Adam nie zniszczył tego piękna. Patrę na niego i widzę wiele, nawet gdy nic mi nie mówi. Nie domagam się tych zwierzeń. Wiem, że nie można ich się domagać. Adam sam musi wybrać kogoś, komu zaufa, przed kim będzie miał odwagę otworzyć serce. Rodzice zawsze są trochę ponad dziećmi. Mogą przyjaźnić się z nimi, mogą być kochani. Zawsze jednak są rodzicami, a to powoduje dystans. Tymczasem zwierzenia nie mogą być pełne, szczere i przynoszące ulgę, gdy są realizowane w atmosferze dystansu. Rozumiem to i nie mam żalu do Adama. Nie mam tej fałszywej dumy ojca, który cierpi, gdy jest pomijany. Nie jestem pomijany. Jestem ojcem i Adam przychodzi do mnie, gdy ma jakąś sprawę do ojca. Gdy jednak chce się zwierzyć, musi to zrobić wobec kogoś z przyjaciół. Patrę więc z troską na jego przyjaciół. Oni też są bardzo ważni. I oni wychowują nasze dzieci. Są potrzebni naszym dzieciom. Winniśmy

wdzięczność przyjaciółom naszych dzieci, winniśmy ich cenić, także wychowywać i kochać. Winniśmy kochać tych, których kochają nasze dzieci. Adam kocha teraz Krystynę, przyjaźni się z Tadeuszem. Jak przebrnie przez tę miłość? W jakim stopniu Tadeusz potrafi mu pomóc? Patrę z troską na nich obydwu, na całą trójkę. Nie wiem, doprawdy, co dzieje się w duszy Adama. Wiem bardzo mało. Trochę wiem. Nie znam jednak wszystkich jego powiązań z Bogiem. Nie wiem, w jakim stopniu miłość do Boga kształtuje jego miłość. I być może nigdy nie dowiem się o tym. I może nigdy nie zrozumieć, dlaczego Adam nie zostanie księdzem, dlaczego moi synowie nie założą rodziny. Andrzej wie więcej, ale to, co wie, stanowi wersję, której ojciec nie potrafi zrozumieć. Nie zawsze jesteśmy w stanie zrozumieć nasze dzieci. I nie powinniśmy tym się martwić. Nie powinniśmy mieć do nich żalu. Tak właśnie jest dobrze. Są inni, wyprzedzają nas, idą dalej. Może Adam dalej zajdzie niż my. Może uda mu się znaleźć łaskę w oczach Bożych i uzyskać pogłębienie nadprzyrodzonej miłości w takim stopniu, który bardzo przekroczy naszą miłość do Boga. Oby tak się stało. Życzę mu tego całym sercem. Łucjo, ty czujesz to, jak bardzo, bardzo kocham Adama, naszego Adama. Kocham wszystkich trzech naszych synów, wszystkich jednakowo, ale Adama z większą czułością, ponieważ jest najmłodszy. Siedzę jego zmagania się z miłością do Krystyny, śledzę jego przyjaźń z Tadeuszem. I tylko nie widzę jego powiązań z Bogiem. Widzę bardzo mało. Widzę jego skupienie, jego modlitwę, udział we Mszy świętej, codzienne Komunie. Widzę to, co widać z zewnątrz. Ryszard i Andrzej więcej wiedzą o Adamie niż my, Łucjo. Nawet Tadeusz wie więcej. Niech wiedzą, niech mu pomagają, niech mu pomaga miłość Boża, niech go prowadzi ku Bogu Chrystus, niech go uświęca Duch Święty, niech umiłuje go Trójca Święta. Proszę o to. Adam kocha Chrystusa. Ktokolwiek kocha Chrystusa, kocha go także Bóg Troisty, który dla tej miłości ku Chrystusowi przychodzi do duszy ludzkiej i czyni w niej mieszkanie. Mój ukochany Adam, który nie zostanie księdzem, oby jednak mógł stać się chwałą miłości Bożej, jeżeli Bóg tak zechce. Oby Adam umiał odczytać i przyjąć dla niego pomyślane przez Boga życzenia Boże. Oby udało mu się własną wolę uzgodnić z wolą Bożą, ukochać Boga, przebywać z Chrystusem w Bogu. Bo widzisz, Łucjo, to właśnie jest najważniejsze. Reszta będzie przydana. Bóg to obiecał. Dalszą sprawą jest zawód Adama, Michała, Piotra, ich dochody, ich urządzenie się w życiu. To urządzenie się,

nawet najlepsze, nie przyniesie im szczęścia. Szczęście nie przychodzi z zewnątrz, szczęście rodzi się w nas. My je tworzymy. Jest wynikiem i owocem miłości. Właśnie miłość jest najważniejsza. Nasze życie zależy od tego, co zrobimy z miłością. I zależy od tego ludzkie szczęście, szczęście Adama, Piotra i Michała.

— Czy pamiętasz, Henryku, nasze dzieci z czasów, gdy były malutkie? Najpierw Michał, zawsze pogodny, wesoły, marzycielski, trochę nieśmiały, może zbyt cichy. Ile zmartwień przeżyliśmy gdy chorował. Często chorował. A Piotr? Trochę grubawy, odważny, zdolny, praktyczny. Opiekował się starszym Michałem. Ubieraliśmy ich w jednakowe ubranka. Chcieli mieć zawsze wszystko jednakowe. A potem Adam, trochę poeta, trochę zmyślnik, czuły, kochający, troskliwy, spragniony dobroci, zawsze spragniony miłości. Uczył się muzyki. Jakże ślicznie grał! Grał tyle lat tak często. Teraz gra mniej, prawie nie gra. Tak bardzo lubiłam jego muzykę, zawsze do niej tęskniłam, czekałam na wieczorny koncert, który dawał nam po kolacji. Grał chętnie. Teraz gra tak rzadko. Wciąż rzeźbi. To też jest ładne, ale to nie jest muzyka. Nie mogę pojąć tej jego decyzji porzucenia muzyki, zaniedbania muzyki. Nie rozumiem rzeźby. Wydaje mi się, że rzeźba nie zasługuje na to, aby ją wybrać przed muzyką, postawić przed muzyką. Ale cieszę się wszystkim tym, czym cieszy się Adam. Po prostu wierzę mu. Nie rozumiem wielu jego decyzji, ule mu ufam. Tak, chyba jednak łatwiejsze są małe dzieci. Są bliżej nas. Teraz nasi synowie są dalej od nas. Masz rację, Henryku, trochę odeszli, oddalili się od nas. Zgadzam się z tobą. Tak musi być. Tak jest dobrze. Ale tęsknię do naszych małych dzieci. Jestem słaba. Nie umiem tak, jak ty, nadążać za problemami naszych synów. Już wspominam. Rozmyślałam o dawnych czasach, o czasach dzieciństwa naszych młodych synów.

— Może to jednak nie jest najlepsze, Łucjo. Owszem, możesz przypominać sobie małego Adama, Michała, Piotra, ich zabawy, humorki, komiczne kłopoty pięcioletnich ludzi. Ale nie przechodź całkowicie w tamte czasy. Bądź z nami w czasach, w których jesteśmy. Staraj się być w terażniejszości.

— Jak to zrobić, w jaki sposób nie dać się wspomnieniom, przejąć się tym, co dzieje się teraz? Czasem są to dla mnie sprawy zbyt złożone, nie chwytam ich, jestem poza nimi. Są za trudne. Lepiej czuję się wśród dzieci. A może, Henryku, może ratując siebie, powinniśmy znaleźć coś, co by nas znowu łączyło tak zupełnie konkretnie przez

drobne, codzienne sprawy i kłopoty. Może dziecko skupiałoby naszą uwagę, wprowadziło nas na nowo w konkretny świat bardzo realnych spraw, zmartwień i trudów. Chciałabym mieć córeczkę.

Henryk ucałował Łucję. Tulił jej rękę. Zobaczył znowu blask w jej jasnych oczach, całą urodę tamtego dnia, który był dniem ich ślubu. Łucja miała wtedy dwadzieścia lat. Była na trzecim roku studiów, Henryk miał już za sobą magisterium. Pobrali się. Jego małżonka, dziś matka trzech dorosłych synów, jest zawsze matką. Tak. Taka jest jej rola: być małżonką i matką. Gdy po pięciu latach ich małżeństwa Łucja urodziła trzeciego syna, dziś już osiemnastoletniego Adama, od początku i zawsze bardzo kochanego, zwierzyła się Henrykowi:

— Tak bardzo chciałabym mieć córeczkę.

Henryk wdzięczny był Łucji za to delikatne, jakże bardzo delikatne sformułowanie tęsknot. Nie powiedziała nic przeciw Adamowi, nie wyraziła i nie przeżyła nawet cienia niezadowolenia, że urodził się chłopiec. Przyjęła go z pełną miłością i ukochała całą duszą. Ta miłość nie usunęła tęsknoty za córeczką. Dziś Łucja nawiązała do tej tęsknoty. Henryk cieszył się tą tęsknotą Łucji, cieszył się Łucją zawsze. Zawsze była jego radością, jego oparciem, wiernym słuchaczem jego zwierzeń, trosk i planów. Była jego miłością, zawsze bardzo ukochaną miłością. Tak ją nazywał. Mówił często:

— Jesteś moją miłością.

Łucja umiała słuchać. Słuchała całymi godzinami naukowych projektów Henryka, odczytywanych artykułów. Umiała też zauważyć to, czym cieszył się Henryk i zaproponować poprawkę w tym fragmencie, z którego był niezadowolony. Mówiła krótko, jasno, serdecznie. Henryk podziwiał jej umiejętność milczenia. Może dzięki temu milczeniu wiele przemyślała i tak trafnie potem umiała zareagować na sprawy ważne, ocenić je i zaproponować rozwiązanie. A może to milczenie wiązało się z jej intuicją. Bez wielu wyjaśnień chwytała to, co było istotne w rozmowie. Zawsze w lot ujmowała sens nastawień i niepokojów Henryka. Odgadywała to, co martwi Michała, Piotra lub Adama. Dzięki temu umiała zaradzić kłopotom, przewidzieć konsekwencję, zapobiec następstwom. Henryk podziwiał Łucję, cieszył się Łucją. Tak, po prostu cieszył się Łucją. Dawała sobie radę z dziećmi, spokojnie i sprawnie kierowała domem, przyjmowała gości Henryka, swoim spokojem uspokajała. Henryk najchętniej i

najlepiej pracował wtedy, gdy Łucja była w domu. Była zawsze. Wydawało się jej, że zadanie matki polega także na tym, aby być w domu, aby przybiegające lub potem przyjeżdżające tu dzieci zawsze mogły ją zastać. Dziecko bowiem, tak myślała Łucja, nie może czekać na matkę, matka może czekać na dzieci. Dziecko musi mieć matkę w każdej chwili, zawsze. Matka bowiem jest zawsze matką. Gdy przyjdzie do domu, aby zgłosić matce nawet najdrobniejszą uprawę, musi tam matkę zastać. Henryk nie zgadzał się z takim ujęciem. Uważał, że taka postawa rozpieszcza dzieci, nie uczy ich planowania, oszczędzania czasu.

— Czas, Henryku, jest ważną sprawą i ważną sprawą jest planowanie. Ale najważniejsza jest miłość. Miłość nie może czekać. Dziecko nie może czekać, aż rodzice odkryją przed nim swoją miłość, aż mu o tym powiedzą. Dziecko musi przebywać w miłości jak w domu. Może po nią sięgać, kiedy chce. Miłość rodziców musi więc być wciąż jakoś na wierzchu, łatwa do odgadnięcia, obecna, wyłożona jak chleb na stole.

Życie rodzinne Łucja nazywała pracą. W tej pracy codziennej i żmudnej muszą być podsumowania. Za takie podsumowanie Łucja uważała domowe uroczystości. Zwykle kolacja była taką małą uroczystością, spojrzeniem na dzień, który przeszedł, krótką refleksją nad tym, co się zrobiło. A potem Adam dawał koncert najpierw tych melodii, których nauczyło się dziecko, wreszcie doskonale panujący nad fortepianem pianista. Były też uroczystości z jakiejś okazji: zakończenie roku szkolnego, pierwsza Komunia święta, przyjęcie na studia, podejmowanie przyjaciół ojca lub synów. Te spotkania Łucja bardzo ceniła, zabiegała o nie, uroczysto je organizowała. Wiedziała, że każdy człowiek jest bytem społecznym, że musi kontaktować się z ludźmi, znać ich, zbliżać się do nich i spośród nich wybrać tych, z którymi powiąże się bliżej, zaprzyjaźni. Pragnęła, aby jej synowie trafili na wartościowych kolegów. Ceniła rolę kolegów w życiu swych dzieci, wiedziała, że koledzy i przyjaciele w dużym stopniu na siebie wpływają. Chciała więc znać przyjaciół Michała, Piotra i Adama, na bieżąco dowiadywać się o tym, co ich interesuje, czym się pasjonują, co czytają, o czym najchętniej mówią. Bała się tego, aby nie rozminąć się z zainteresowaniami swych dzieci. Chciała nawiązywać do tego, czym żyją. Michał cenił w matce właśnie tę umiejętność rozwiązywania trudności i podejmowania problemów, z którymi właśnie w

gronie kolegów nie mogli sobie dać rady. Radził się matki, dyskutował z nią, sprzeczał się. Łucja cieszyła się taką sprzeczką. Wydawało się jej, że wtedy rozmowa jest szczerą. Martwiła się Piotrem, który zawsze zgadzał się z matką. Była mu wdzięczna, gdy stawał w dyskusjach po jej stronie przeciw Michałowi. Niepokoiła się tylko tym, że Piotrowi wystarcza jakiegokolwiek rozwiązanie, które mu zaproponowała. Doszła do wniosku, że Piotr kieruje się autorytetem, jej autorytetem. Tym bardziej stała się czujna, pilnowała sformułowań, takiej wersji rozwiązania problemu, aby Piotr mógł przy małym wysiłku, po małych przekształceniach, stosować jej propozycję. Michał był bardziej samodzielny. Z wypowiedzi matki brał tendencję, kierunek rozwiązań, a już konkretną postać rozwiązaniu nadawał sam. Adam nie brał udziału w rozmowach. Był najpierw za mały, a potem wciąż za młody, aby rozmawiać o tym wszystkim, co interesowało piętnastoletniego, a potem osiemnastoletniego Michała i Piotra. Może dlatego, tak myślała Łucja, może dlatego Adam nie zwierzał jej swoich trosk, nie brał udziału w domowych rozmowach na tematy przyjaźni, religii, światopoglądu. Brał udział we wspólnym przeżywaniu muzyki, we wspólnej modlitwie, w domowych uroczystościach, w dyskusjach o sztuce, o nowych książkach. Z Michałem i Piotrem, gdy był mały, chodził codziennie na Mszę. Gdy dorósł, chodził sam. Wolał być sam przed ołtarzem. Łucja wiedziała tylko tyle, że Adam modli się i że lubi wieczorną modlitwę w domu. Henryk nadał tej wspólnej modlitwie charakter ogromnie prostego uwzględnienia Boga w tym, czym człowiek żyje. Po kolacji i po koncercie Adama wszyscy stawali przed dużym krzyżem, który wisiał na osobnej ścianie, dostępnej, niczym nie zastawionej. Henryk zawiesił krzyż na wysokości swoich ramion. Gdy dorastający synowie zbliżyli się do krzyża, wydawało się, że Chrystus stoi wśród nich jak gdyby jeden z rozmówców. Modlitwa więc miała charakter rozmowy. Łucja klękała, mężczyźni stali. Henryk wypowiadał „Ojcze nasz” i po chwili skupienia wymieniał wydarzenia dnia, zgłaszał je Chrystusowi, prosił o radę i pomoc.

— Panie Boże, byli dziś u nas goście, Ryszard i Krystyna, rozmawialiśmy z nimi i cieszymy się tą rozmową. Lecz wprowadź w nasze rozmowy Twoje sprawy. Niech nasze kontakty z ludźmi staną się Twoim sposobem przybliżania Bogu serc ludzkich. Niech będą też Twoim przyjściem do nas. Bądź wśród nas, w naszych czynach, w naszych słowach, w naszych myślach.

Czasem Michał lub Piotr dorzucali kilka słów prosząc o pomoc w pracy szkolnej, w jutrzejszej klasówce, której się bali, czasem polecali Bogu sprawy kogoś ze znajomych, sprawy chorych, konających. Treść próśb zmieniała się zależnie od tego, o czym rozmawiano w danym dniu, czym się martwiono, co było ważne lub trudne. A potem malutki Adam odmawiał „Zdrowaś”. Na tym modlitwa się kończyła. Trwała krótko, może pięć minut, nikogo nie peszyła, była po prostu zgłoszeniem Chrystusowi spraw danego dnia, jakimś znakiem, że prywatna modlitwa Henryka, Łucji, Michała, Piotra i Adama, jest wspólną sprawą całej rodziny, sposobem zaakcentowania życia religijnego wśród wielu spraw domu. O sprawach religijnych mówiło się otwarcie, często. To był temat oczywiście dotyczący spraw bardzo osobistych. Tych spraw bardzo osobistych nie omawiało się wspólnie. Henryk chciał jednak, aby problem Boga, religii, kontaktów z Bogiem był tematem, który na równi z innymi sprawami stanowi przedmiot codziennych rozmów. Chciał także, aby przynajmniej raz w ciągu dnia cała rodzina wspólnie rozmawiała z Bogiem. Wspólnie rozmawiamy przecież z naszymi przyjaciółmi i gośćmi. Dlaczego Bóg ma być wyłączony z tej formy kontaktów? Adam lubił i cenił te kontakty. Brakowało mu ich podczas wakacji, gdy był poza domem. Jednocześnie szukał jednak odległych kościołów, osobnego kąta w pokoju, samotnych spacerów po lesie, aby bez świadków, sam na sam spotkać się z Bogiem. Modlił się i martwił.

— Gdybym umiał to, aby mi wystarczał wyłącznie Bóg, byłbym pustelnikiem. Czy to znaczy, że moje powiązanie z Bogiem nie jest zupełne? Na pustelni mógłbym także pełnić uczynki miłosierne. Będę pustelnikiem w środku gwaru, wśród ludzi i wszystkich spraw tego świata.

Łucja nie wiedziała o wszystkim, co działo się w duszy Adama. Mało wiedziała. Ufała jednak Adamowi i ufała Opatrzności. Sprawy Adama polecała Bogu. Wiedziała także to, że Adam, już dorastający i dorosły Adam, rozmawia często z Ryszardem, Tadeuszem, Krystyną. To były według niej te ważne rozmowy. Rozmowy wspólne, pełne gwaru i śmiechu, z Michałem, Piotrem, Marcinem, Danielem, z Zofią czy Izoldą, odkrywały niekiedy część tych problemów, którymi żył Adam, były echem tego wszystkiego, co go niepokoiło, co stanowiło przedmiot jego zwierzeń wobec Ryszarda i Tadeusza. Łucja nie pytała Adama o nic, co według niej stanowiło jego tajemnicę. Ufała

mu, ponieważ był inny. Zdawała sobie sprawę z tego, że takie uzasadnienie nie ma sensu, ale przyjmowała je. Adam jest inny. Lecz jaki jest Adam?

— Boże, tak mało wiem o Adamie. I nie dowiem się wiele. Pokieruj więc nim, bo znasz go od wewnątrz. Nie umiem na niego wpłynąć.

Łucja nie przypuszczała, że jej wpływ na Adama jest ogromny. Adam zachwycał się matką, jej inteligencją tak zawsze subtelną, doskonałą, jej urodą, wyczuciem piękna. Słuchał zawsze jej rad i wskazań, jej ocen i sądów. Zdumiewała go trafność opinii, znakomite intuicje sensu tego, co działo się w duszach ludzkich. Pod wpływem matki kształtował swoje opinie o wielu sprawach, uczył się od niej patrzenia na ludzi, na świat, na Boga. W tej ostatniej sprawie uzyskał może największą niezależność. Łucja to wyczuwała i powtarzała sobie, że Adam musi przecież iść własną drogą. Miała duże pasje pedagogiczne. Zwyciężyła w niej jednak postawa matki, która tylko pomaga dziecku chodzić. Dziecko musi nauczyć się chodzić samodzielnie. Matka tylko je podtrzymuje. Adam szedł sam, szedł samodzielnie swoją drogą do Boga. Ta samodzielność Adama uspokajała Łucję, zmniejszała jej niepokój i troskę o Adama, troskę o to, aby jak najlepiej ułożył sprawy swojego życia.

Łucja lubiła kwiaty. Hodowała je na balkonie, kupowała na rynku, układała w wazonach. Lubiała wszystkie kwiaty. Wszystkie były dla niej piękne. Patrząc na kwiaty dziwiła się, że piękno może być tak różnorodne. Każdy kwiat inaczej informował nie, inaczej je ujawniał. Na balkonie Łucja hodowała nasturcje. Dla tych nasturcji założyła swój ogródek w skrzynkach kwiaty. Niskie nasturcje, wychylające się z zielonych liści, zawsze ją wzruszały. Wychodziła do nich, oglądała je, nauczyła Adama zachwyty dla kwiatów. Adam zawsze wolał floksy. Łucja wybrała nasturcje od dawna, od zawsze, od czasów, gdy zachwyciły ją astry. Astry były pierwsze. Wzruszały Łucję tak samo jak nasturcje, razem z nasturcjami. W swym sercu ustawiała obok siebie nasturcje i astry, ale astry lubiła bardziej. Z kwiatami jest podobnie jak z dziećmi. Kocha się wszystkie swoje dzieci, wszystkie jednakowo, ale jest coś takiego, co każe przypuszczać, że to oto dziecko kocha się bardziej. To jest ta sama miłość, lecz jednak do tej miłości dodaje się trochę więcej uczuć, więcej czułości, do tej miłości, którą kocha się to bardziej kochane dziecko. Łucja kochała jednakowo swoich trzech synów, ale Adama bardziej. Nie, nie kocham go bardziej niż Michała i Piotra — tak myślała Łucja — kocham ich

jednakowo. Może tylko Adam bardziej niż Michał i Piotr kocha kwiaty i z tej racji mamy dodatkowy powód do radości? Po prostu cieszę się tym, że Adam kocha kwiaty. Dzięki kwiatom bardziej się rozumiemy. A swoje wzruszenie, gdy Adam wchodził do pokoju, wzruszenie większe niż to, które budził w niej powrót Michała czy Piotra, Łucja tłumaczyła także kwiatami. Kwiaty są takie, że wzruszają. Tylko ludzie i tylko kwiaty wzruszają najpełniej. Henryk nie brał na serio tego przekonania Łucji. Może i Łucja nie brała go na serio. Zawsze jednak posługiwała się wobec siebie tym wyjaśnieniem, gdy rozważała swoją tęsknotę i swoją miłość do Adama.

Henryk przyniósł Łucji ogromny pęk róż, ślicznych, dużych, czerwonych róż.

— Łucjo, pomyśl, dwadzieścia trzy róże, dwadzieścia trzy lata naszego małżeństwa. Gdy przyniosę ci pięćdziesiąt róż, zobaczę ten sam twój uśmiech, ten sam błysk w twych jasnych oczach, całą urodę tamtego dnia, który był dniem naszego ślubu. Czy to nie jest szczęście, Łucjo? To jest szczęście.

Łucja cieszyła się różami. Włożyła je do wszystkich kryształowych wazonów, które znalazła w domu. Ozdobiła salon i sypialnię. I wśród tych kwiatów, wśród róż, urodziła się Maria, wzruszająca, mała istotka ludzka, wytęskniona córeczka, kwiat domu Henryka i Łucji.

Maleńka Maria spała i jadła, znowu spała i znowu jadła, rosła. Potem zaczęła rozglądać się po pokoju, uśmiechać, rozmawiać, chodzić, chorować, wracać do zdrowia, brać udział w tym, co działo się w domu, reagować na to, mieć swoje zdanie, kochać rodziców i braci, kochać kwiaty. Na przystankach autobusowych, w tramwajach, w sklepach umiała swoim uśmiechem podbijać serca. Tuliła się do mamy, przesiadywała na kolanach ojca, napełniała dom hałasem dziecięcego głosu i dziecięcych spraw. Od pierwszej chwili zdobyła miłość całej rodziny. Maleńkie dzieci są bowiem tak maleńkie, że można je tylko kochać. Musi się je kochać. Największą przyjaźń zawarła z Adamem. Adam przynosił jej zabawki, grał z nią w piłkę, uczył ją rysować, czytać i pisać, był powiernikiem jej wszystkich spraw. Henryk i Łucja na równi z Adamem, Michałem i Piotrem spełniali rolę tych powierników. Henryk rozwiązywał sprawy Marii wielką ilością uścisków i ucałowań, Łucja nakarmieniem Marii i kierowaniem każdą jej myślą, Adam odpowiadał na przywiązanie Marii zawsze wesołym, zabawnym, uroczym śmiechem, który зараżał Marię, był jej potrzebny, wzmacniał jej siły, jej duszę, uczył

patrzenia na wszystko z dystansem, z refleksją, ze zwróceniem uwagi na to, że mogą być i są sprawy ważniejsze, ciekawsze, inne. Łucja cieszyła się tym, że Adam uczy Marię radosnego kontaktu ze światem, że Henryk uczy ją wzruszenia, odkrywania miłości i przeżywania miłości. Nie pochwałała tych nadmiernych czułości, którymi Henryk obsypywał Marię, ale cieszyła się tym, że Maria może cieszyć się miłością aż tylu kochających osób. Sama starała się o tak zwaną miłość rozumną, która ma na uwadze dobro wychowanka, stała się pedagogiem, kochającą, ogromnie kochającą wychowawczynią. W duszy tej wychowawczyni matka dopominała się o prawo pobłażania, wybaczenia drobnych przewinień. Wychowawczyni nie ustępowała. I tylko gdy usłyszała tupot małych nóżek, wbiegających z balkonu do pokoju, serce prawie pękało w niej z nadmiaru wzruszenia, czułości i szczęścia. Chwytała wtedy Marię w ramiona, tuliła ją, całowała, nazywała swym szczęściem. Maria wyrywała się z tych ramion tylko wtedy, gdy przyszedł Adam. Zeskakiwała też wtedy z kolan Henryka, porzucała poetyckie rozmowy z Michałem, lekcje robót i zabaw z Piotrem. Biegła do Adama. Wpadała jak burza w jego ramiona, w jego śmiech, w jego radosny spokój, prześmieszne dialogi, które kończyły się omawianiem dnia, oceną tego, co się działo, odszukiwaniem dobra w małych, lecz ważnych sprawach coraz bardziej powiększającego się świata myśli, odczuć i zdarzeń w życiu Marii. Henryk podziwiał tę umiejętność, z jaką Adam prowadził rozbawioną Marię do skupienia, do refleksji, do zastanowienia się nad tym, co robi, co myśli i czuje. Gdy Maria miała pięć lat, zajęła miejsce Adama w wieczornej modlitwie rodziny. Swoim głosem delikatnym i pełnym miłości, zaufania do tego, co polecał jej Henryk, wypowiadała w imieniu rodziny anielskie pozdrowienie.

Łucja zmieniała się pod wpływem Marii, Maria zmieniała się i kształtowała pod wpływem Łucji. Nawet chłopcy — tak twierdził Henryk — stali się bardziej odpowiedzialni, przywiązani do domu. Ciągnęli do domu, wpadali do domu, wracali wcześniej, aby zobaczyć Marię, pobyc z nią. Łucja odzyskała swoją ruchliwość, zwiększyła zapobiegliwość, zdolność do radości. Dzieci rosły, a Łucja stawała się jak gdyby młodsza. Tysiąc codziennych spraw Marii wcale nie zwiększyło jej trosk. Raczej troski te właśnie się zmniejszyły. Łucja doszła do wniosku, że kłopoty są w dużej mierze sprawą psychologiczną i męczą wtedy, gdy przenosi się je w siebie. Stanowią

porządek spraw organizacyjno-domowych. Należy je zostawić w tym porządku, nie dawać im rangi większej niż mają ze swej natury. Wtedy nie dokuczają. Nie należy ich brać do serca. Serce należy do osób. Łucja nosiła w swym sercu miłość Marii, Henryka, Adama, Michała i Piotra. Była szczęśliwa.

— Tak, Henryku, jestem szczęśliwa. Tym szczęściem jest nasz dom, ty, nasze dzieci, ich radość, ich smutki, ich zdrowie, ich choroby, ich życie. Szczęściem jest życie i właśnie to życie, które stanowi naszą rodzinę. Życiem jest wszystko, co składa się na nasz dom. Jest to bogate, wielonurtowe życie sześciu kochających się osób, tworzących rodzinę, która wyrosła z naszego małżeństwa. Jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Dziękuję ci, Henryku, za to szczęście.

— Łucjo moja. To ja tobie zawdzięczam to, co przeżyłem. Ty stworzyłaś nasz dom. Zawsze małżonka i matka nadaje charakter domowi, wyznacza jego atmosferę, wychowuje dzieci. Mąż jakoś planuje z żoną to wychowanie, ale realizuje je matka. Codziennie w każdej chwili coś w dziecku poprawia, jego myśl, jego pragnienia, jego odruchy, jego życie. Dzięki tobie Maria jest dobra i miła, dzięki tobie Adam głęboko ujmuje ważne prawdy, dzięki tobie Michał i Piotr są szlachetni, uczciwi, kochający. Ty uczyłaś ich miłości. Tobie zawdzięczam miłość w naszym domu, obecność tej miłości, jej kształt i wartość. Tobie należy się podziękowanie. Ty jesteś źródłem miłości, która tworzy naszą rodzinę, jesteś tą miłością. Jesteś moją miłością, Łucjo moja.

ROZDZIAŁ 20

Ryszard jest bliski nieszczęścia utraty miłości Bożej, swojej miłości do Boga. Utracił już miłość Krystyny, nie otrzymał tej miłości. Całą jednak swą miłość nastawił na Krystynę. Czy tą miłością obejmował też Boga? Ryszard zastanawiał się nad tym, nie wiedział.

— Jeżeli nie mam pewności, jeżeli nie wiem, czy odszedłem od Boga, to znak, że jestem przy Bogu. Jeżeli się wahamy, jeżeli nie wiemy, czy był grzech, to znaczy, że nie było grzechu. Grzech jest działaniem świadomym. Słabość bowiem nie jest grzechem. Nie odszedłem od Boga, ponieważ nie mam wyraźnej pewności, że odszedłem, że odebrałem Bogu oddaną Mu miłość. Kocham Krystynę. Uczuciowo jestem bliżej Krystyny niż Boga. Boga nie należy kochać uczuciami. Boga kocha się aktami woli. Gdy za tymi aktami pójdą uczucia, łatwiej człowiekowi kochać. Ale uczucia nie nadają rangi miłości. Miłość nie jest tylko samym uczuciem. Miłość jest wyborem, jest całością działań człowieka i przede wszystkim decyzją wolnej woli, decyzją wyboru Boga i trwania przy Bogu. Wszystko to wiem i rozumiem. Czy jednak jestem wierny Bogu kochając Krystynę?

— Jesteś wierny Bogu, Ryszardzie. Kochasz Boga. Nie kochasz Krystyny. Tak, nie kochasz Krystyny. Zdawało ci się, że ją kochasz. Zdaje ci się, że kochasz Krystynę. Ty kochasz miłość. Kochasz ten w sobie stan miłości, pragniesz miłości. Krystyna była tylko okazją, aby tworzył się w tobie stan zakochania. Krystyna nie była tu najważniejsza. Każda inna dziewczyna wywołałaby w tobie tę samą miłość. Upajasz się miłością. Potrzebne ci jest przeżywanie miłości. Kochasz miłość. I to właśnie jest niebezpieczne. W ogromnie subtelny sposób tracisz, niszczysz w sobie miłość do ludzi. Łudzisz się, że kochasz Krystynę. Kochasz swój stan kochania, napięcia wywołane obecną w tobie miłością. I to właśnie ci zagraża. Nie kochasz ludzi realnie. Kochasz jeszcze Boga, lecz nie kochasz w pełni, nie kochasz Boga na serio. Kochasz raczej miłość, a nie Boga. Bardziej kochasz miłość niż Boga. Jesteś blisko nieszczęścia utraty miłości do Boga, jeżeli swej miłości wyraźnie, w pełni i na serio nie skierujesz do Boga. Utracisz też zdolność ukochania ludzi, jeżeli na serio nie pokochasz Krystyny, zresztą niekoniecznie Krystyny, kogoś z realnych, żywych ludzi.

— Henryku! To, co mówisz, jest przerażające. Jestem w gorszej sytuacji duchowej niż Andrzej. Andrzejowi zagraża wyraźny, wulgarny grzech, łatwy do zidentyfikowania. Ja uwikłałem się w subtelne zło, którego nie widać, którego często nie umie wykryć nawet wprawne ucho spowiednika. Nawet sam nie widziałem tego zła, zresztą nie widzę go wyraźnie i teraz. Ty je dostrzegłeś. Dostrzegłeś po prostu moją pomyłkę, jakąś obłudę, która zagnieździła się we mnie. Wydawało mi się, że kocham Boga, że szukam Go, że szukam Krystyny, że kochani Krystynę. Może masz rację, może rzeczywiście nie na serio kocham Boga, może tylko mówię, że kocham. Ta miłość jest po prostu we mnie, nigdzie w pełni nie skierowana. Zazdrośnie trzymam ją dla siebie, upajam się jej pięknem. Podziwiam piękno miłości, kocham piękno miłości. Jestem przy miłości od strony jej piękna, nie jestem przy Bogu i przy Krystynie. To straszne, Henryku. Zwyciężyła we mnie zazdrość. Nie chcę oddać miłości. To jest moje zło. Zło, które mnie niszczy. To jest brutalna obłuda, odziana w subtelne szaty troski o Krystynę i o miłość Bożą. Obłuda w wersji górnych tęsknot za prawdziwą miłością. A tymczasem ta miłość służy mnie. Zachwygam się tą miłością, zapełniam. A powinienem zapełniać swą duszę Bogiem. I co mam teraz zrobić? Jak się leczyć? Jak ratować swą duszę? Jak ratować miłość do Boga? W jaki sposób skierować tę miłość do Boga? Kiedy nasza miłość kieruje się do Boga? Jak poznać, że kocham Boga, a nie siebie?

— Może wtedy, Ryszardzie, gdy zapomnisz o sobie. Dlaczego chcesz być kochany? Dlaczego pragniesz, aby Krystyna cię kochała? Dlaczego pozwoliłeś wyrosnąć temu pragnieniu na taką miarę? To jest twoje pragnienie. Czy masz pewność, że to pragnienie pokrywa się z pragnieniem Bożym?

— Tak. Merton twierdzi, że gdy Bóg nie objawia wyraźnie swoich życzeń, godzi się na nasze decyzje. Nasze decyzje uważa za swoje, a raczej my możemy w swoich decyzjach spokojnie spodziewać się decyzji Bożych.

— Bóg jednak objawił swoje życzenia. Nakazał miłość do Boga z całego serca, z całych sił, z całej duszy, i miłość do bliźniego takiej miary, jak nasza miłość siebie. Bóg nakazał ci miłość do siebie i nakazał ci kochać ludzi, Krystynę. Nie powiedział nigdzie, że masz domagać się miłości Krystyny.

— Henryku, teraz żartujesz. Ale jest coś z prawdy w tym, co mówisz. Krystyna mogłaby mnie kochać, ponieważ jestem jej bliźnim. Może mnie kochać. Ponieważ

miłość nie jest sumą uczuć, Krystyna nie musi kierować do mnie swoich uczuć. A ja pragnę jej uczuć i do niej skierowałem wszystkie swoje uczucia. Czy skierowałem też miłość? Twierdzisz, że nie zrobiłem tego, że miłość nie wyszła poza obręb mego serca, że jest we mnie, że jej cząstkę dałem Krystynie i cząstkę Bogu. Że na serio nie kocham ani Boga, ani Krystyny. Jak to jest, Henryku, czy to jest tak, jak mówisz? Może Krystyna dlatego mnie nie pokochała, że nie docierała do niej moja miłość? Po prostu ta miłość nie szła w jej kierunku. I może dlatego nie jestem blisko Boga, ponieważ nie skierowałem do Boga swojej miłości. Może to tłumaczyłoby fakt, że popełniałem grzechy. Czy jest możliwe, abym odszedł od Boga, gdy byłem w Bogu? Dlatego grzeszyłem, że byłem poza Bogiem. Gdybym w pełni i na serio kochał Boga, nie mógłbym Go nie kochać. Nie można przecież jednocześnie kochać i nie kochać. Jeżeli były czyny świadczące o sprzeniewierzeniu się Bogu, to znaczy tylko tyle, że nie cała moja miłość i nie na serio była skierowana do Boga. Ale słabość, Henryku, czy nie bierzesz pod uwagę naszej słabości? Jestem w Bogu, jestem cały, całą swą miłością, ale jestem też w świecie, którego urok chwytają moje zmysły. I mogą pociągnąć mnie w kierunku tego uroku. Mogę wtedy oderwać wzrok duszy od Boga. Mogę swoje uczucia posłać rzeczom tego świata. Tak, rozumiem. Mogę całą duszą być w świecie, ale nie popełniając grzechu. Jeżeli popełniłem grzechy, oddałem swą miłość na serio czemuś poza Bogiem. I ta sytuacja może się powtarzać, będzie się powtarzała, jeżeli swej miłości na serio nie umieszczę w Bogu. Nie umieściłem jej tam, trzymam ją w sobie, zazdrośnie zatrzymuję ją dla siebie. Lecz chcę swoją miłość oddać Bogu. Jak to zrobić?

— Zachować przykazania, wypełniać uczynki miłosierne zapominając o sobie, łączyć swą miłość z miłością Bożą poprzez sakramenty, uczestniczyć w łamaniu Chleba, trwać w modlitwie, wierze, nadziei. Pragnąć Boga, niczego więcej. Reszta będzie ci przydana. Tak sprawę stawia Ewangelia. Gdyby Bóg przewidział dla ciebie Krystynę, Krystyna podjęłaby twoją miłość, kochałaby cię. To nie znaczy, że istnieje przeznaczenie, jakaś ustalona determinacja naszego życia. Nie. Istnieje jednak Opatrzność. Bóg kieruje nami stawiając nas w sytuacjach, które są wypadkową realizowania się planów Bożych. I na te sytuacje musimy zareagować. Bóg chce, abyśmy zareagowali właściwie, zgodnie z życzeniami Bożymi. Możemy się sprzeciwić. Może Bóg postawił Krystynę na twojej drodze, a może być i tak, że ty ją wprowadziłeś

w swoje życie. Bóg patrzy. Chciałby, aby Krystyna zyskała w kontakcie z tobą i abyś ty zyskał w kontakcie z nią. Czy zyskałeś? Czy rozwinąłeś swoją miłość? A może jeszcze bardziej skierowałeś tę miłość do siebie? Jeżeli tak się stało, jeżeli chciałeś miłości Krystyny dla siebie, nie dla jej dobra, to nie kochałeś Krystyny. Może kierowałeś do niej nie miłość, lecz nastroje, uczucia. A może tę miłość kierowałeś do jej piękna. Może to piękno Krystyny zdobyło twoją miłość. Może ukochałeś piękno Krystyny lub właśnie piękno miłości, a nie Krystynę. Może to tak było Ryszardzie.

— Czy to możliwe, aby moja miłość do Krystyny, moja wielka, bolesna miłość nie była miłością? Czy to możliwe? Czy to możliwe, abym za miłość uważał uczuciowe napięcia? Aby tylko tymi uczuciami był związany z Krystyną, zmiennymi, czasowymi uczuciami? Czy to rzeczywiście była pomyłka? Wciąż Kocham Krystynę. Henryku, wciąż ją Kocham. Tęsknię do niej. Wiem, że nie będzie przy mnie, wiem, że odeszła. Nigdy mnie nie kochała i nigdy nie pokocha. A może Kocha mnie, lecz nie darzy uczuciami. I ten brak uczuć uważam za brak miłości. Czyżby uczucia były warunkiem powiązań małżeńskich? Owszem, także miłość, lecz miłość wzajemna, przede wszystkim miłość. Nie wiąże nas miłość wzajemna. Tylko ja Kocham Krystynę. Lecz czy ją Kocham? Może rzeczywiście tylko Kocham piękno miłości, marzenie o miłości. Może jestem zakochany w marzeniu o miłości Krystyny, a nie w Krystynie? Nie wiem. Henryku, powiedz, że moja miłość do Krystyny jest miłością, że to nie jest kłamstwo z mej strony, zazdrosne podporządkowywanie sobie wymarzonej miłości Krystyny. Czyżbym marzenie uważał za rzeczywistość? Raczej tak. Na to wygląda. Wymarzyłem sobie miłość Krystyny, związałem z tym marzeniem wszystkie uczucia i zaczęło mi się wydawać, że Kocham Krystynę. Gdzie więc jest moja miłość? Ku czemu dąży, gdzie się kieruje, co stanowi jej przedmiot? Czy sama dla siebie jest celem? Czy więc myliłem się sądząc, że Kocham Krystynę? Czy dlatego przeżyłem całą mękę tęsknoty za Krystyną, aby zrozumieć, że mojej miłości grozi niebezpieczeństwo, że jestem bliski nieszczęścia utraty miłości do Boga? Gdybym dalej swą miłość chował w sobie, nie skierował jej do Boga, zmarniałbym duchowo, zginął. Czy uświadomiłbym sobie, gdyby nie Krystyna, że nie Kocham ludzi i że nie Kocham na serio Boga? Zdawało mi się, że wszystko jest w porządku, że moje życie religijne dobrze się rozwija. Tymczasem to była tylko wegetacja. Cierpienie, które przyszło z racji

niepodjęcia przez Krystynę moich uczuć, zbudziło mnie. Zobaczyłem przeciętność swojej miłości. Więziłem tę miłość. Nie rozwijałem się w sensie nadprzyrodzonym. Moje życie religijne było tylko nastrojem, wiedzą. Było też ukrytą pychą. Sam je rozwijałem, sam tworzyłem, sam nadawałem kierunek swojej miłości. Dlaczego nie widział tego mój spowiednik? Dlaczego Andrzej uważał, że moje życie religijne rozwija się właściwie? Tylko ty, Henryku, staranniej patrzyłeś w moją duszę. A przecież wiedziałem, że moja miłość do Krystyny, tak zwana miłość, nie pogłębiała mojej miłości do Boga. Dlaczego nie wyciągnąłem wniosków z tego faktu?

— Można powiedzieć, że twoje życie religijne rozwijało się poprawnie. Jest poprawne, lecz za mało intensywne, zbyt niedoskonałe. Jest niedoskonałe wtedy, gdy obok miłości jest w nas jeszcze pycha. Po prostu, Ryszardzie, po prostu dzięki Krystynie zobaczyłeś, że jest w tobie jeszcze dużo pychy i dużo egoizmu, dużo dyskretnej działającej, ukrytej pychy. Teraz to zobaczyłeś, teraz możesz ruszyć z miejsca. Odrzucenie pychy uwolni twoją miłość. Może to właśnie pycha w wersji zazdrości więziła twoją miłość do Boga. Może teraz ta miłość skieruje się ku górze. Może ruszysz z miejsca i nadasz swemu życiu religijnemu właściwy bieg, właściwą intensywność. Może wreszcie przestaniesz kochać przeciętnie, w sposób niedoskonały. Może twoja miłość do Boga będzie mogła stać się prawdziwie doskonała. Może tego chciał Bóg od ciebie stykając cię z Krystyną, tego aktu refleksji, który uświadomił ci grożące niebezpieczeństwo utraty miłości do Boga i do ludzi. Bo miłość słaba i niedoskonała przegrywa. Może Bóg akceptując twoją sytuację wewnętrzną chciał cię uratować, może dlatego przeprowadził cię przez cierpienie, przez mękę tęsknoty za Krystyną. Nie wiemy. Wiemy tylko tyle, że była Krystyna, że szedłeś ku niej całym sercem, że nie zdobyłeś jej miłości i że zobaczyłeś, jak bardzo niedoskonała, egoistyczna jest twoja miłość, jak bardzo uwikłana w pychę, zamknięta w tobie. Teraz możesz dać jej wolność, pozwolić jej pobiec do Boga, do Krystyny, do ludzi. To wielki zysk, Ryszardzie, to wielka zasługa Krystyny. Gdyby cię pokochała, może nigdy nie odkryłbyś prawdy o sobie. Nigdy nie wiemy, co jest dla nas dobre. Czymś dobrym dla ciebie okazało się to, że Krystyna cię nie pokochała. Bóg jest mądry, Ryszardzie. I Bóg jest dobry. Jest dobry dla ciebie, dla każdego z nas. Nie dał też Krystynie miłości Romana. Krystyna cierpi, lecz zdecydowała się na modlitwę. Czy doszłaby do

modlitwy, gdyby Roman podjął jej miłość? Nie wiemy. Wiemy jednak to, że Krystyna zaczęła się modlić, kierować do Boga. Może właśnie tylko miłość kieruje do Boga, lecz miłość zbudzona, wyrwana przez cierpienie z nas, z naszej duszy, z wygodnej, zabawnej, zazdrosnej duszy. Co by się stało z tobą, Ryszardzie, gdybyś nie zobaczył niebezpieczeństwa, grożącego twojej miłości? Co stałoby się z Krystyną, gdyby zdobywszy miłość Romana została w tej radości? Czy dotarłaby do modlitwy, do tego kierowania miłości ku Bogu? Także nie wiemy tego dokładnie. Wiemy jednak, że rozpoznane zło łatwiej usunąć. Łatwiej ci będzie, Ryszardzie, dopuścić Boga do twojej duszy, na serio dopuścić Boga. Bóg stworzy twoje życie nadprzyrodzone. Tylko Bóg je stworzy. Nie my. My tworzymy to, co jest przyrodzone. Bóg nada twojej miłości rangę nadprzyrodzoną. Poddać swą miłość na serio działaniu Bożemu, to twoja droga. A jak to zrobić? Szczerze kochać Boga, szczerze kochać. Szczerłość nie może nas mylić. Bóg podejmie szczerze ku Niemu skierowaną miłość. Nie nastroje, uczucia, nie projekty i pomysły, lecz miłość, wyrażoną Bogu w działaniu, które jest służbą bliźniemu, prawdziwą, bezinteresowną troską o dobro drugiego człowieka, świadczone w uczynkach miłosierdzia z zapomnieniem o sobie. Tak to rozumiem, Ryszardzie.

— Rozumiem to wszystko. Wiem, że dobrze się stało. A jednak jakże bardzo cierpię. Nie mogę wewnętrznie odejść od Krystyny. Jestem przy niej całą swoją tęsknotą. Wiem, co mam zrobić z miłością, jak ją ratować. I chciałbym uratować dla siebie miłość Krystyny.

— Może, Ryszardzie, może dopiero teraz masz szansę na zdobycie miłości Krystyny. Może dopiero teraz, gdy na serio skierujesz do niej swoją miłość, a nie tylko uczucia i zachwyty dla piękna, może w tej nowej sytuacji Krystyna podejmie twoją miłość, bo to dopiero teraz będzie miłość. Nie wiemy, zobaczymy. Krystyna nie mogła podjąć twojej miłości, ponieważ nie kierowałeś do niej miłości. Kierowałeś nastroje, uczucia. A twoich nastrojów i uczuć nie chciała. Krystyna jest po prostu doskonałym aparatem odbiorczym. I nie mogła odebrać tego, czego nie nadałeś. Kochałeś ją dla siebie, egoistycznie, źle. Kochałeś za bardzo piękno miłości, która była w tobie, która w tobie wegetowała, uwięziona i samotna. To była jednak pomyłka co do przedmiotu. Nie kochałeś Krystyny, kochałeś miłość, marzenie o miłości. Kochałeś marzenie. Tak, nie wiemy, czy Krystyna cię pokocha. Jeżeli nie będzie mogła zdobyć miłości Romana,

może odda swą miłość Bogu, wyłącznie Bogu. Jeżeli zdecyduje się na tę wyłączność, nie pokocha cię, Ryszardzie. Zobaczymy jednak. Może będzie umiała cię pokochać kochając wciąż Romana i Boga. Jeżeli nie będzie umiała bez wewnętrznej kolizji kochać aż trzech osób, odda miłość jednej i może tylko Bogu. Wtedy nie zdobędziesz miłości Krystyny. Licz się z tym, Ryszardzie. Weź pod uwagę ten fakt tajemniczych dróg miłości ludzkiej. I weź pod uwagę ogromną wartość swej tęsknoty do Krystyny. Ta tęsknota cię zbudziła. Wiele zawdzięczasz Krystynie. To nie było tak, że twoja miłość do Krystyny była drogą do Boga. Nie, Krystyna tylko pokazała ci, że twoja miłość jest w niebezpieczeństwie. I teraz wiedząc to możesz swoją miłość skierować do Boga. Droga do Boga jest drogą do Boga, a droga do Krystyny jest drogą do Krystyny. Boję się poglądu, według którego droga do człowieka jest drogą do Boga. Może ktoś umie poprzez człowieka dojść do Boga. Ale idąc do człowieka idzie się do człowieka. Idąc do Boga idzie się do Boga. Bardzo trudno dojść do Boga od strony ludzi. To jest bolesna prawda. Czasem wydaje mi się, że tylko od strony Boga można dojść do człowieka. Idąc do Boga dojdzie się do Boga. Ale idąc do człowieka nie dojdzie się do niego. Trzeba iść do ludzi od strony Boga. Tylko ta droga nieomylnie prowadzi do celu. Tak mi się wydaje. Trzeba to jeszcze przemyśleć, Ryszardzie. Idąc do Krystyny nie doszedłeś do niej. Może właśnie szedłeś złą drogą. I nie doszedłeś do Boga. Jeżeli będziesz mógł teraz na serio dojść do Boga, to tylko dlatego, że wyruszysz w drogę. A będziesz mógł wybrać się w drogę, ponieważ dzięki cierpieniom, spowodowanym tęsknotą do Krystyny, zobaczyłeś co grozi twemu sercu, twej duszy, twej miłości. Groziła ci śmierć duchowa, śmierć groziła twojej miłości. Teraz już twoja miłość będzie żyła. Teraz Bóg ją otrzyma, podejmie, udoskonali, uświęci. Teraz dopiero Bóg na serio będzie w twojej duszy.

ROZDZIAŁ 21

Krystyna nie była zadowolona z tego, co Ryszard napisał o Andrzeju.

— Przede wszystkim nie wiem, dlaczego Andrzej zdradził Teresę. Niezrozumiała jest ta zdrada. Nie wynika z postępowania Andrzeja. Andrzej kocha Teresę, jest jej wewnętrznie wierny i dopuszcza się zdrady. Czy nie boisz się, Ryszardzie, że zawodzi tu konsekwencja?

— Raczej nie. Andrzej kocha Teresę, prowadzi życie religijne, ale nie całkiem, nie do końca oddał swą miłość Bogu. Zarezerwował sobie jakieś do niej prawo. To prawo miało u niego wersję zgody na drobne radości, płynące z miłych spojrzeń, z miłych uśmiechów. Zupełnie niewinne radości. Z czasem jednak dokonały wyrwy w uczuciach, osłabiły czujność. Andrzej sięgnął po podmiot tych radości. Nie mógł odejść od tęsknoty za pięknem spotykanych twarzy, które przyciągały jego oczy, ciągnęły serce. Andrzej dał się pociągnąć. Zwracam uwagę, Krystyno, na głęboką prawdę, że wielkie katastrofy mogą mieć zupełnie małe przyczyny. Jeden mały kamień może spowodować lawinę. I tak jest nie tylko w górach. Tak jest też w ludzkim sercu. Andrzej sięgnął po serdeczność osób, po ich piękno i ciało, osób, które, gdy wybrał, przestawał być wierny Teresie. Do tej wierności był zobowiązany małżeństwem. Rozumiem jego trudności, jego tęsknoty, jego mękę. Ale nie można przecież iść za każdą tęsknotą. Człowiek nie jest tylko zespołem popędów i uczuć. Człowiek jest rozumny. Rozum musi kierować działaniem ludzkim. Musi też rozstrzygać sprawy wewnętrzną prawością. Nie ma na to rady. Andrzej postąpił wbrew rozsądkowi, wbrew sobie, wbrew życzeniom Bożym. Bóg nie pozwala pożądać kobiety. Bóg nakazuje kochać. Andrzej nie kochał kobiet, do których szedł. To były tylko nastroje, napięcia, chaos uczuć. Akceptując ten chaos odszedł od źródła ładu, od Boga. Andrzej wie o tym, że stracił Boga. To, co przeżył, to nie była miłość. Miłość nigdy nie wyrządza szkody, nie oddziela. Miłość zbliża do Boga i prawdziwie zbliża do ludzi. Andrzej pozornie zbliżył się do osób, które wybrał jako źródła swoich radości. Utracił te osoby. Utracił też Teresę i Boga. A właściwie nie utracił Teresy. Teresa nie przestała kochać Andrzeja. Może nawet bardziej go pokochała, tak zgnębitego, uwikłanego w wewnętrzne konflikty, skłóconego z własnym sercem. Andrzej cierpi. Martwi się swoim sprzeniewierzeniem się Bogu.

Zawinił brakiem czujności i tym, że nie na serio i niecałą miłość, nie na zawsze oddał Bogu. Chciał mieć do niej prawo, chciał ją dać tej osobie, która porwała jego uczucia, która zafascynowała go pięknem. Dał tę miłość pięknu spotykanych twarzy. Przy takim braku czujności przegrał. Powaliła go słabość. Ale w tej słabości i w tej przegranej Andrzej zobaczył swoje braki i błędy. Wie, że tylko droga całkowitej ofiary, całkowitego oddania miłości Teresie, może go ocalić i bronić w przyszłości. Andrzej to wie. Teresa, mądra Teresa, rozumie tę sytuację. Stała przy Andrzeju całą swą wierną miłością.

— Tereso, to tylko burza, która porwała moje nastroje. Moja miłość zawsze była przy tobie. Burza zdarła z niej uczucia. Ta miłość tylko choruje. Jest wciąż wierna, ta sama i teraz chora. Muszę ją pielęgnować. Musisz ją pielęgnować, Tereso. Taki jest nasz los, twój los. Musimy chorych pocieszać i leczyć. Moja chora miłość nie może jeszcze pójść do Boga. Jest przy tobie, Tereso. Jeszcze nie jest przy Bogu. Burza i wichry gwałtownie ją wyrwały z gleby Bożej, oderwały gałąź z winnego szczepu. Trzeba te rany wygoić. Trzeba miłość leczyć miłością. Dziękuję ci, że swoją miłością leczysz moją miłość. W moim żalu jest już też miłość Boża. Bóg wyleczy moją miłość, przywróci ją sobie. Tylko Bóg może przywrócić nas sobie. Mój żal jest przecież także modlitwą. Jest wzywaniem Boga, nadzieją miłosierdzia. Grzesząc utraciłem miłość Bożą, miłość nadprzyrodzoną. Utraciłem też łaskę uświęcającą. Ale nie przestałem kochać Boga. Tak, Tereso, widzę to wyraźnie. Pozostała mi miłość przyrodzona. Tą miłością przy pomocy łaski uczynkowej, której Bóg nigdy nie odmawia, kochałem Boga. Nie kochałem miłością nadprzyrodzoną, właściwą. Ale kochałem. Kochałem swoją biedną, uwikłaną, schorowaną miłością. Kochałem też ciebie. Myślę, że kochałem te kobiety. Kochałem jednak także ciebie, Tereso. Nigdy nie przestałem cię kochać. Serce ludzkie jest szerokie, nawet gdy przestaje być wierne w porządku napięć, nastrojów, męki. To brzmi paradoksalnie, to może cię obrażać. Ale tak było. Niech mnie broni przed tobą moja szczerość. Wiem, że postępuję niepsychologicznie. Zawsze bowiem będziesz pamiętała to, co ci zwierzam. To może cię męczyć. Ale nie chcę niczego kryć przed tobą. Sprawy mojej duszy są także twoimi sprawami. Mój konflikt z Bogiem obniża przecież samą miłość, którą nasze małżeństwo winno złożyć Bogu. Tracisz na tym. Musisz więc znać moją winę, abyśmy wspólnie mogli wyjść z

kłopotów. Sam nie dam sobie rady. Mój żal przybliży mi Boga. Bóg wstąpi w moją miłość. Może jeszcze wszystko będzie dobrze. Rozwalony dom można przecież na nowo zbudować. Trzeba go zbudować. Bóg na to czeka, pragnie tego, ponieważ zawsze pragnie naszego dobra, ponieważ zawsze dobrze życzy naszej miłości, wspiera ją, doskonali, leczy. Bóg leczy chorą miłość, tak często chorą, biedną ludzką miłość, mocującą się z uczuciami, popędami, z ciałem i duszą. Bo czasem, Tereso, także nasza dusza jest przeciw naszej miłości. Kieruje ją nie tam, gdzie powinna iść. Tylko Bóg na serio troszczy się o miłość, wychowuje ją, przygarnia do swego kochającego serca, lituje się. Ty także, Tereso, ulituj się nad moją miłością, która zgubiła drogę, zblądziła, choruje, marnotrawny syn, Magdalena wylewająca olejek na Boskie stopy. Pochyliam swą duszę aż do twych stóp, Tereso.

— Andrzej, mój Andrzej.

— Bo pomyśl, Tereso, jest przecież w nas jedna miłość i tak ogromnie niedoświadczona, tak często słaba. Kieruje nią cały człowiek, w którym nie zawsze przewodzi rozum. Czasem zwyciężają nastroje, namiętności, popędy. Tę jedną miłość Bóg ogarnia swoją nadprzyrodzoną miłością, którą w nas zostawia. To nie znaczy, że są w nas dwie miłości. To ta jedna miłość zostaje rozżarzona, jak żelazo w ogniu i nabiera nowych właściwości. Nabywa zdolności kochania Boga tak, aby to podobało się Bogu. Nie ma też miłości duchowej i cielesnej. Miłość jest jedna. Są tylko dążenia duchowe i cielesne, są dwa rodzaje popędów. I miłość może pójść za popędami duchowymi lub cielesnymi. Zawsze jest źle, gdy pójdzie za popędami. Idzie bowiem wtedy w kierunku jakiejś części dobra, części człowieka. Miłość winna iść do osoby ludzkiej, winna objąć wszystkich. Tylko nie zawsze winniśmy związać z tą miłością uczucia, wzruszenia duchowe i cielesne. Te wzruszenia charakteryzują miłość małżeńską. Tylko z miłością do żony lub męża wolno nam związać uczucia i cielesne wzruszenia. Wszystkich innych ludzi mamy obowiązek kochać, lecz bez tej więzi, która wyraża się w radości fizycznych kontaktów. Po prostu tę samą jedną miłość wyraża się w różny sposób. Inny jest sposób małżeński, narzeczeński, wiążący przyjaciół, łączący nas z Bogiem. Pomyliłem miłość ze sposobami jej wyrażania. Źle widziałem. Wydało mi się, że miłość do ludzi mogą na serio wyrazić tylko jednym sposobem, tym sposobem, który

Bóg przewidział tylko dla ciebie i dla mnie, dla nas obojga, wyłącznie dla nas. Zapomniałem, pomyliłem się. Z zadumy wyrwał Krystynę głos Ryszarda.

— Krystyno, zamyśliłaś się. Zwykle traktujesz tekst bardzo surowo i z dystansem, czyżbyś tym razem poddała się nastrojowi. Czy to znaczy, że ten odczytany tekst może jakiś nastrój wywołać? Gdyby tak było, bardzo bym się tym cieszył.

— Myślę po prostu o tym, że nie ma w ludzkim życiu procesów nieodwracalnych. Dopóki człowiek żyje, zawsze może coś w sobie zmienić. Zależy to od jego decyzji, wyboru, siły woli, a raczej od woli dokonania zmiany. Nawet słaba wola może spowodować w człowieku nawrócenie, bo przecież człowiek nie sam pracuje nad swym sercem. Pracuje nad tym modlitwa tych, którzy nas kochają, i pracuje sam Bóg, zawsze litościwy, wybaczący, podejmujący nasz wysiłek, naszą chęć powrotu. Nie ma więc ludzi przegranych i straconych. Jest sens pracy wychowawczej nawet na najbardziej trudnych odcinkach. To już taki wniosek szerszy, dotyczący wszystkich wysiłków ludzkich nad ulepszeniem charakterów i przybliżeniem duszy człowieka do piękna i prawdy.

— Tak, Krystyno. Nasz los jest taki, że zawsze mamy pełne ręce roboty. I najwięcej kłopotów mamy z sobą. Wciąż trzeba uwalniać się od jakiegoś zła, wciąż podnosić się z jakichś upadków. Praca nad sobą ma najczęściej dwa etapy. Najpierw jest to właśnie odejście od grzechu, a potem od jakiegoś progu budowanie razem z Bogiem wzajemnej miłości. O wiele mniej jest takich osób, które w całym życiu realizują ten drugi etap. Większa jest ta grupa, która przychodzi do Boga po okresie wewnętrznej śmierci, spowodowanej grzechem. Bóg wskrzesza dusze ludzkie budząc w nich swą łaską skruchę i miłość. Na głos miłości, skierowanej do Boga, przybywa sam Bóg wnosząc w życie ludzkie swoje życie nadprzyrodzone. Mało jest takich ludzi, jak Adam. Przeszedł przez swoją młodość tak pięknie. Cierpiał bardzo, lecz widząc jasno wartość miłości Bożej szedł do tej miłości. Szedł z Bogiem. Obronił w niebezpieczeństwach i duszę i ciało. Tak trudno zachować dla Boga nieskalaność ciała. Jeszcze trudniej ocalić duszę, jej miłość. Adamowi to się udało. Udało się to ludziom nie tylko w powieści, lecz niewielu ludziom. Najczęściej młodość jest pełna fascynacji urokami tego, co chwytają zmysły. Ta fascynacja nie jest złem. Zło rodzi się w chwili, w której człowiek podda się tej fascynacji wbrew przykazaniom. Najczęściej więc idzie

się do Boga drogą Andrzeja, drogą sprzeniewierzeń, drogą buntu, drogą różnych przegranych, z których potem człowiek dźwiga się dzięki refleksji i pomocy Bożej. To jest smutna prawda, ale nie można na nią zamykać oczu. Bóg wie, że tak jest. Pomyślał o zorganizowaniu pomocy. Odkupił człowieka, ustanowił Kościół i sakramenty. Zgodził się wciąż nam odpuszczać, wciąż nas rozgrzeszać i posilać swoim własnym Ciałem i swoją Krwią. Można by powiedzieć, że utworzył swój Kościół głównie dla błądzących, zagubionych, grzesznych. Pomyślał go dla wszystkich. Jest miejsce przy sercu Bożym dla Adama i Andrzeja, dla Marcina i Tadeusza, dla Łucji, Teresy i kobiet, które są dla wszystkich. Nie jest z nami tak źle, zawsze mamy szansę, zawsze możemy z najgorszej sytuacji dojść aż do samego dobra, Dobra samego w sobie. I możemy dotrzeć do miłości, osiągnąć miłość, pełną, najczystsza i najpiękniejszą, samego Boga.

— To, co teraz mówimy, odnosi się do wszystkich ludzi, nie tylko do bohaterów naszej powieści, nie tylko do Andrzeja. Właściwie, Ryszardzie, przywracając Andrzejowi miłość do Teresy i do Boga, zamknąłeś wątek Andrzeja. Utracił miłość, zrealizował wyznaczone mu w powieści zadanie. I odzyskał miłość w ten sposób, że po okresie załamań wrócił do tego, co kochał, w warunkach nowego doświadczenia, bardzo smutnego, lecz umacniającego jego słabość zaufaniem do Boga. To zaufanie, oczekujące pomocy Bożej, wyznacza wierność. Andrzej już nie odejdzie od Boga. I nie odejdzie od Teresy. Cierpienie, które przeżył, było tak wielkie, że wypaliło w nim to, co mogłoby stać się odpowiedzią na kuszenie, idące ze strony świata. Tak myślę. Zawsze możemy stać się źli. Człowiek zawsze może zgrzeszyć. Jest wolny. Andrzej jednak pozostanie wierny. Za dużo wycierpiał. Może nie udało się nam dobrze pokazać tego cierpienia. Wiem jednak, że Andrzej nie tylko mówi, działa też tak, jak mówi. Tę jego cechę czytelnik musi uznać, a uznając ją, musi się zgodzić, że Andrzej spełni to, co zapowiada. A zapowiada powrót do Boga, stwierdza swój powrót i informuje o nim Teresę.

— Wiemy też już, co się stało z Adamem, Tadeuszem, Łucją i Henrykiem. Główniejsze wątki powieści prawie wyczerpane. Pozostawiliśmy tylko na uboczu dom Pawła i Ewy.

— Czy nie należałoby, Ryszardzie, wstrząsnąć tym domem, wprowadzić tam coś mocnego, gwałtownego, w tę ciszę, w ład kuchni, sprzętów i kolorów? Jak myślisz?

— Mogą być przecież rodziny, których atmosferę stanowi ład, spokój, szczęście. Czy sądzisz, że to nie jest możliwe?

— Myślę, że jest możliwe. Trzeba by to jednak zbadać. Czy Ewa i Paweł mogą przejść przez życie bez konfliktów, jak Łucja i Henryk? Pamiętaj, Ryszardzie, że Ewa jest subtelna, a Paweł trochę grubo ciosany. Ta różnica może im bardzo dokuczyć.

— A więc zobaczymy. Nakreślmy dwa obrazy: obraz pogodny i obraz burzliwy. Potem zastanowimy się, który jest psychologicznie bardziej konsekwentny.

— Pamiętaj jednak, Ryszardzie, aby budować te obrazy na sposób recenzji, relacji o tym, co się zdarzyło. Będzie ci łatwiej uzyskać obrazy przekonujące.

— Może masz rację. A więc niech Ewa sama opowie, co dzieje się w ich domu. Czy umieścimy obraz w tradycyjnych ramach kawiarni? Tak?

W kawiarence na rogu zasiedli w wygodnych fotelach. Henryk wyciągnął papierosy, Ewa podjęła przerwany temat.

— Jesteś mężczyzną, może więc będzie ci łatwiej zrozumieć i wytłumaczyć mi postępowanie Pawła. Czasem wydaje mi się, że właśnie go nie rozumiem. I wtedy jest ciężko. Nie wiem, o co mu chodzi. I często on nie wie, jaki jest sens moich pretensji. Nie, to nie są pretensje. On je tak nazywa. To jest tylko jakiś ogromny żal. Paweł nie odczytuje tego mojego żalu. Uważa moje niepokoje za dziwaczne. Wciąż dziwi się, że martwię się o coś, co jest bezkształtnym domysłem, jakimś konfliktem w nierealnym porządku poezji. Siebie uważa za człowieka rozsądku, za kogoś, kto bierze na serio tylko to, co widzi. Mój lęk o przyszłość Jacka, o to, że będzie rósł pod ciśnieniem postaw i prądów umysłowych, którym nie umiem się przeciwstawić, których nie rozumiem i których z tej racji się boję, to wszystko uważa za wymyślone kłopoty. Mówi, że będziemy się tym martwili, gdy Jacek zacznie reagować na te prądy, że teraz nie ma co o tym myśleć. Zawsze twierdzi, że ja martwię się nawet wtedy, gdy w pogodny dzień napłyną chmury i zakryją słońce. Według niego martwię się zmartwieniami słońca, które nie martwi się nie mając uczuć, nastrojów i rozumu. Po prostu dla Pawła jestem przewrażliwiona, dziwaczna, oderwana od ziemi, trochę bujająca w chmurach. Może ma rację. Może rzeczywiście zbyt na serio traktuję to, co jest tylko skojarzeniem, przeczuciem, nastrojem. Ale dlaczego nie chce mnie wysłuchać? Dlaczego uważa, że wszystko, co mówię, nie ma sensu, że wszystko jest

literaturą, fantastyczną baśnią, czymś, co nie istnieje. A przecież na serio istnieje mój niepokój, który wyraża się w tych wszystkich skojarzeniach. Dlaczego błędem jest to, że lubię jasne słońce, że martwi mnie i przygnębia pochmurne niebo? Czy powinnam kłamać i mówić mu, że nie lubię zachodów słońca, spaceru po rannych rosach, po łące, pełnej kwiatów? Czy tylko rozmowa o zakupach, zdrowiu, świadczy, że ktoś trzyma się ziemi? A gdy usiądę w oknie i patrzę przed siebie, gdy marzę o lotach w kosmos, gdy przypominam sobie wszystkie zanotowane przez Kafkę odcienie lęku, gdy myślę o dobroci Jana XXIII, gdy powtarzam wiele razy dowcipy tego tak pogodnego papieża, czy to wszystko powinnam uważać za stratę czasu? Paweł takie gadanie uważa za stratę czasu. Tylko, gdy zgadzam się na to, co on twierdzi, gdy rozmawiam z nim o jego biurowych sprawach, nie tracę czasu. A dlaczego miałabym czasem nie tracić czasu, gdy zostanie mi go trochę po domowych zajęciach? Paweł zresztą nie widzi tego, że w domu wszystko zrobione. Nigdy nie zauważy świeżych kwiatów na stole, nigdy nie zareaguje na upraną bieliznę, na jakiś nowy drobiazg w moim ubiorze. Uważa, że to normalne, że tak musi być, że prace w domu są czymś, co samo przez się jest zrozumiałe. A przecież te prace wykonuje żywy człowiek, który się męczy, który pragnie, aby to ktoś zauważył, ocenił, uznał. Aby przynajmniej nie przeszedł obojętnie. Jego prace biurowe są pracą i są ważne. Prac domowych nie uważa za pracę. Nie chce jego pomocy w tych pracach, sama dam sobie radę. Chciałabym jednak czasem, aby to nie było mu obojętne. Czy nie mógłby zauważyć tego, że bywam zmęczona, że potrzebna mi jest jego czułość, jego uśmiech? Rodzina jest dla niego instytucją, w której podział pracy, zadań, zainteresowań jest z góry i od wieków ustalony. Nie ma więc o czym dyskutować. Traktuje rodzinę statycznie. Tak bym to nazwała. Nie widzi roli nastrojów, drobiazgów, uśmiechu, jakiegoś dobrego, dodatkowego słowa, którym nadaje się mało znaczącej sprawie rangę czegoś, co sprawia przyjemność. Paweł jest zbyt surowy, zbyt bezwzględny, zbyt spokojny. Nie widzi, że dom jest czymś dynamicznym, czymś, co się zmienia, zależy od wielu szczegółów codziennie innych. On nie ma koncepcji domu. Dla niego dom, to meble, ściany, miejsce odpoczynku. Tak, to jest coś z tego. Dom jest taki. Ale jest także czymś więcej. Jest bardziej złożony. Składa się na niego wiele więcej czynników. Tego wszystkiego Paweł nie widzi. Nie widzi, że na dom składa się też praca żony. Nie widzi w żonie czującego, zmiennego w

nastrojach człowieka. Uważa żonę za sprawę już zdecydowaną, raz na zawsze ustaloną. Traktuje ją jak instytucję, nie jak żywego człowieka. Ten żywy człowiek jest taki, że ma swoje myśli, swoje pragnienia, swój pogląd na męża. Czeka na niego, wypatruje go godzinami, z biciem serca i ze wzruszeniem otwiera mu drzwi. A mąż wnosi swój humor, narzuca go całemu domowi, daje mu wyraźną przewagę. W ogóle nie widzi tego, że nie nawiązując do wzruszenia witającej go żony zgasił to wzruszenie, odepchnął, odrzucił, zniszczył, uznał za bezwartościowe, niepotrzebne. Co jest potrzebne, co jest wartościowe, co liczy się w rodzinie? Czy tylko rachunki za światło, za wodę, planowanie wydatków w ramach pensji, służbowe wyjazdy męża? Czy żona nie ma swoich spraw i swoich pytań? Dlaczego Paweł nie podejmuje moich pytań, nie weźmie delikatnie w dłonie moich spraw? Dlaczego wciąż tak ostro reaguje na moje drobne, małe przeżycia, wywołane sprawami kuchni, małym światem Jacka, naszymi kwiatami w wazonach, słońcem, któremu zagrażają chmury? Oczywiście nie zawsze czytamy te same książki. I często w książkach nie znajduję odpowiedzi na moje trudności. Paweł odsyła mnie do książek albo twierdzi, że powinnam to coś już wiedzieć. Gdy nawet wiem, chciałabym z nim o tym porozmawiać. Czy nawet w książkach jest ważne tylko to, co jego zainteresowało? A to, co wykryłam w książce z racji moich reakcji, nie jest ciekawe? Dlaczego, Henryku, Paweł nie ceni tych drobnych okazji, aby nawiązać ze mną kontakt w tym, co mnie interesuje lub niepokoi? Dlaczego zawsze uważa się za autorytet, dlaczego zawsze musi mieć rację? Niech ją zresztą ma. I często ma rację, może nawet zawsze. Ale czy musi to wyrażać w tonie kogoś, kto wydaje rozkazy? Czy mężczyźni nie umieją prosić, wahać się, zastanawiać? Czy mężczyźni małżonkowie zawsze zapominają, że można wiele spraw wyjaśnić uśmiechem? Czy już wtedy nie widzą kwiatów, świeżo zapastowanej podłogi, inaczej ubranego stołu, nowego abażuru na nocnej lampce? Czy małżeństwo zabija w nich wrażliwość na sprawy żony? Czy nie wolno im uznać małego bólu głowy za coś ważnego w dziejach dnia? Czy tylko choroby, domagające się lekarza, mogą zwrócić ich uwagę? A wspólny spacer, czy zawsze musi być pokazywaniem żony kolegom z biura? Czy nie może być naszym prywatnym sposobem spędzenia wolnego czasu na żartobliwej gawędzie nawet na temat sprzeczki kolorów, humoru rzodkiewek, czy chleba? I dlaczego moja, jak on nazywa, etymologia nigdy nie zasługuje na jego uwagę,

dłaczego ten sposób zabawy ma być gorszy od tego, który on przyjmuje? To, co jego śmieszy, mnie wcale nie bawi. Nie mogę, Henryku, nie mogę śmiać się z tego, że w jego biurze ktoś przewrócił kałamarz i zaplamił spodnie koledze, albo że wsypano komuś do herbaty soli zamiast cukru. To mnie nie śmieszy, to mnie przeraża. Czasem Paweł mnie przeraża. Przeraża mnie jego nieczułość na kłopoty ludzi, którzy mu podlegają. Nie budzi w nim współczucia ludzka nieporadność. Złości go zażenowanie interesantów. Przeraża mnie to, że jest ostry w telefonicznych rozmowach, że podnosi głos, że nie wysłuchuje cudzych racji, nie bierze pod uwagę argumentacji nawet wtedy, gdy ktoś ma rację. Tych, którzy mają inne zdanie niż on, uważa za swoich przeciwników. Dlaczego nie umie rozróżnić porządku spraw, porządku interesów i porządku kontaktów, wprowadzających w humanizm? Można przecież nie podzielać czyjegoś zdania w porządku załatwiania jakiejś sprawy, ale poza tym porządkiem można przecież nawet się przyjaźnić. Paweł nie umie rozróżniać. Nie wyczuwa, kto jest jego przyjacielem, a kto na serio jest jego przeciwnikiem, nawet gdy udaje przyjaciela. A moje opinie uważa za intuicję, za brak znajomości życia, za naiwną wyrozumiałość i pobłażliwość. Wiesz, Henryku, Paweł po prostu rządzi. Tak, Paweł rządzi domem i to według jakiejś zupełnie dziwnej koncepcji. Dla niego rządzenie, tak to wyczuwam, sprowadza się do wydawania bezwzględnych rozkazów w zakresie wszystkich spraw. Automatycznie czuje się kompetentny we wszystkich dziedzinach. Rządzenie to polega po prostu na poddaniu wszystkiego jego koncepcji. To jest narzucanie jakiegoś schematu, podporządkowywanie temu schematowi, temu jednemu rozwiązaniu, wymyślonego przez niego. A przecież rządzenie to raczej umiejętność usłyszenia i zobaczenia tego, co się realnie dzieje i umiejętność koordynacji, scalenia różnych inicjatyw. Jest to kierowanie tym, co już jest, a nie niszczenie tego, czy pomijanie. Rządzenie zresztą polega na myśleniu, na wrażliwym, pełnym kultury myśleniu, a nie na wykonywaniu. Rządzenie to propozycje, dopuszczające do głosu całą sumę sensownych ludzkich inicjatyw, poszukujących prawdy, dobra i piękna. To nie jest dawanie przewagi każdemu swojemu zdaniu. A Paweł zawsze musi mieć rację. Zawsze akcentuje swoje zdanie nawet wtedy, gdy wie, że nie ma racji, i gdy wie, że moje ujęcie jest trafniejsze. Ustępuję mu, ale wstydzę się za niego. Wstydzę się tego jakiegoś jego kłamstwa, tak subtelnego, że nawet go nie wyczuwa. Krępuje mnie to, że Paweł tego nie

wyczuwa, że nie patrzy szeroko, że uparcie broni czegoś, co wcale nie buduje jego autorytetu, że po prostu tak dalece podlega odruchom chyba egoizmu, jakiejś pewności siebie, całkiem zresztą fizycznej, wyrażającej się w pięści, w sile, w narzuconej przewadze komuś słabszemu lub delikatniejszemu. Jeżeli tak jest, to Paweł nie bierze pod uwagę miłości, która daje przecież jakąś równość uprawnień. Paweł nie żyje na co dzień miłością. Miłość stała się dla niego tylko słowem, oznaczającym to, co nazywa się domem. I w tym domu miłość nie ma prawa głosu. Prawo głosu mąż zarezerwował sobie. Miłość stała się jakimś sposobem reprezentacji, tylko na zewnątrz używa się jej w formie transparentu. Nie jest wzajemnym zrozumieniem, współczuciem. Nie jest tym, co leczy błędy, tłumaczy niepowodzenia, lęk, tęsknotę. Nie stanowi atmosfery rozmów. Rozmowy mają charakter biurowego rozstrzygania spraw administracyjnych. Miłość nie jest codzienną potrzebą patrzenia sobie w oczy, nie wypełnia duszy jakąś czułą zgodą na to wszystko, co wnosi osoba żony. Nie ma jej na co dzień i dlatego moje problemy, moje zmartwienia, moja troska o zachmurzone niebo, moje wycucie tych zagrożeń, z którymi zetknie się Jacek, moje dialogi z kolorami, sprzętami, z kwiatami na łące, wszystko to nie ma dla Pawła wartości. Każdej sprawie nadaje wartość tylko miłość. Coś nas interesuje dlatego, że interesuje to osobę, którą kochamy lub dotyczy tej osoby. Coś dlatego akceptujemy, że akceptuje to ktoś przez nas ukochany. Widzimy tak, jak widzi ten, kogo kochamy, czujemy podobnie, reagujemy, martwimy się i z tych samych co on powodów przeżywamy radość. Czyż może tak być, czy tak jest, że ta miłość gdzieś się zgubiła, że jakoś z naszego domu odeszła? Czy to tak jest, Henryku? To byłoby straszne, to nie jest możliwe. Czy może to jest tak, że nie umiem na co dzień posługiwać się miłością? Może i Paweł nie umie. Ta miłość jest w naszym domu. Przyszła razem z naszym małżeństwem. Jest. I może tylko nie umieliśmy uczynić z niej codziennej sprawy. Może jest czymś zbyt świątecznym, związanym ze sprawami ważnymi, z małżeństwem, z Jackiem. Może porozumienie między mężem i żoną zależy od tego, w jakim stopniu umieją związać miłość z każdą, najdrobniejszą sprawą dnia. Miłość nie powinna być czymś trzecim obok męża i żony. Miłość powinna być wszystkim: mężem, żoną, chlebem, solą, uśmiechem, rozmową, sprzętem, kołyską dziecka, wewnętrznym sensem tego, co nas codziennie wiąże. Może, Henryku, to nie Paweł jest winien. I może nie ja wszystko psuję. Może po prostu oboje zawiniliśmy

tym, że nie nauczyliśmy się być miłością, że nie wnieśliśmy miłości w sam środek naszego domu i naszych spraw, że daliśmy jej zbyt odświętne szaty zamiast zaciągnąć ją także do kuchni, do biura, w głąb duszy, w głąb myśli, odczuć, tęsknot, niepokojów, radości. Wtedy Paweł radowałby się z miłością, złościł z miłością, rozmawiał z miłością. Zrozumiałby mnie i ja bym go rozumiała. Nie byłoby tego żalu, który mnie męczy. Nie dziwiłoby go to, co mówię, czuję, pragnę. Byłoby dobrze. Bylibyśmy bardziej razem. Będziemy razem. Henryku, jakoś to zmienimy! Nie myśl źle o Pawle! Jeżeli w nim czasem nie wszystko jest najlepiej, to moja wina, widzę to teraz. Nie umiałam rozmawiać z nim z miłością, przywitać go z miłością, przyjąć uśmiechem, spodziewać się kwiatów. Dziękuję ci, Henryku, że mi pomogłeś to zrozumieć. Całym sercem dziękuję. Przyjdź do nas na herbatę. Gorąco zapraszam. Paweł się ucieszy, zobaczysz Jacka. Już dobrze mówi. Kiedy mógłbyś wpaść do nas? Dzisiaj? Więc chodźmy. Czas już opuścić kawiarenkę na rogu. Chodźmy. Krystyna powiedziała ze śmiechem:

— Gadulstwo Ewy jest zastraszające. Zemściłeś się na kobietach. A z drugiej strony potraktowałeś je na równi z mężczyznami. Ewa nie mówi mniej niż powieściopisarze.

— Nie, to nie jest wina Ewy, ani moja. To wina problemu. Pewnych tematów nie można ująć krócej. Już mówiliśmy o tym. Nie wystarczy forma wiersza, eseju naukowego czy artykułu. Problem może być tak złożony, że ujęcie wszystkich czy choćby wielu jego aspektów wymaga dużych ram powieściowych. Nie wiem, czy to, co piszemy, jest powieścią. To jest raczej, jak twierdzi Andrzej, relacja o tym, co się zdarzyło, duży szmat prozy w kształcie recenzji. I ta właśnie forma pozwala nam jakoś wyrazić to, co chcemy powiedzieć na temat różnych wersji utraty miłości. To, co mówi Ewa, jest tylko zagrożeniem miłości. Żeby jednak sprawę ująć sprawiedliwie, posłuchajmy jeszcze wypowiedzi Pawła. Paweł także rozmawia z Henrykiem. Henryk jest takim koszem, do którego rozmówcy wrzucają swoje zmartwienia lub raczej jest kimś, kto wyzwala zwierzenia. Są tacy cenni ludzie, którym ma się odwagę zaufać. Henryk jest taki. Paweł też zwierza się Henrykowi.

— Niełatwo to wszystko wytłumaczyć, niełatwo rozdzielić moją winę i winę Ewy. Ewa ma żal do mnie, że żartuję z jej etymologicznych analiz, że nie biorę na serio jej

zmartwień. Te zmartwienia są fikcyjne, w najlepszym razie są skutkiem zagubienia granicy między poezją i rzeczywistością. Ewa realnie i sprawnie działa w konkretnym świecie rzeczy, ale widzi te rzeczy i myśli o nich w innym porządku. Czasem dziwię się, że jej poetyckie widzenie świata nie zniekształca jej praktycznego rozeznania się w codziennych sprawach. Żyje jednymi i drugimi sprawami, lecz martwi się tym, co widzi i wyczuwa w porządku swych dziwacznych interpretacji. Nie mogę tego akceptować, muszę się temu przeciwstawić. Chcę ją jakoś ratować, przywrócić konkretom. Niech sobie tkwi w tej poezji, ale niech nie traktuje tego świata na serio. Wiesz, Henryku, ona naprawdę martwi się tym, że chmury odbierają blask słońcu. No pomyśl! Coś takiego! Na mój sprzeciw Ewa reaguje podejrzeniem, jakimś przypuszczeniem, że jej nie kocham. Czasem, a raczej często mówię o bardzo konkretnych sprawach, o pracy w biurze, o budżecie domowym. Chcę jej pokazać, że to mogą być i są realne kłopoty. Ewa uważa to za brak z mej strony delikatności, nawet za coś niewłaściwego. Nie mogę przecież pochylać jej przewrażliwienia. Może nie rozumiem psychiki, wrażliwej na piękno, na jakieś subtelne starcia prądów umysłowych. Ale doprawdy nie chwytam cierpienia kwiatów, zmartwień słońca, mowy sprzętów, konfliktu kolorów. Gdy się do tego przyznaję, Ewa zarzuca mi, że jej nie kocham. Nie mówi tego, ale czuję, że tak myśli. I nie umiem się wytłumaczyć. Zresztą wytłumaczenie się nie likwiduje jej żalu. Ten jej żal bardzo mnie martwi. Ponieważ ten żal Ewy nie wynika z jakichś konkretnych danych, musi wynikać z czegoś nieokreślonego. Dochodzę do wniosku, że po prostu Ewa może nawet nie wiedząc o tym męczy się zazdrością, choruje na zazdrość. Zazdrość jest skomplikowanym uczuciem. Zawsze atakuje człowieka, a już przede wszystkim kobiety. Nie mówię o zazdrości, którą wywołują dające się stwierdzić powody, jakaś niewierność, zdrada, wygaśnięcie uczuć, czy jeszcze coś innego. Istnieje zazdrość nie uwarunkowana żadnymi konkretnymi powodami. Rodzi się po prostu z dobrej tęsknoty za wspólnym, ciągłym przebywaniem, z jakiejś pełnej, maksymalnej potrzeby wyłączności. Ta zazdrość wyraża się w żalu do ludzi, z którymi przebywa osoba kochana, w żalu do rzeczy, do zajęć, do książek, do spraw, którymi mąż się zajmuje. Tym wszystkim rzeczom i sprawom poświęca swój czas i w tym czasie nie poświęca go żonie, nie jest widzialnie z nią i przy niej. To jest gorszy a raczej trudniejszy rodzaj zazdrości. Nie można jej bowiem usunąć, bo trzeba by przestać

pracować i żyć. Ewa cierpi na taką zazdrość. Ta zazdrość może mieć źródło w źle wychowanym poczuciu własności. Była kiedyś ciekawa audycja telewizyjna na temat właśnie kształtowania się u dzieci poczucia własności. Dziecko najpierw trzyma swoją zabawkę przy sobie. Uważa, że jego własnością jest to, co ma w ręku. I powoli zaczyna uczyć się tego, że zabawka, którą da na chwilę innemu dziecku, nie przestaje być jego własnością, że po prostu własność polega na jakimś uprawnieniu, że odległość nie niszczy prawa własności. Właśnie coś podobnego jest z zazdrością. Zazdrość może mieć wersję potrzeby obecności. A przecież mąż, zajęty pracą biurową czy sprawami, które z kimś omawia, nie przestaje być mężem i nie przestaje kochać. Ewa wie, że rozmawiając z ludźmi nie zmieniam przedmiotu miłości i że czytając książkę nie przestaję jej kochać. Wie to wszystko, rozumie, ma do mnie zaufanie. Wie także doskonale, że na serio traktuję przysięgę małżeńską. A jednak zazdrości. Tak, to jest zazdrość, która staje się źródłem jakiejś czysto uczuciowej nieufności lub tylko żalu, że nie wszystko jest dla niej, nie wszystkie słowa, niecały mój czas, nie wszystkie spojrzenia. Z takiej zazdrości trzeba się leczyć. Lecz jak się leczyć? Jest taka droga przez uświadomienie sobie, że nie ma podstaw do zazdrości. Ale właśnie trudno ten wynik rozumowania przekształcić w uczucie, które wyparłoby zazdrość. Ten sposób leczenia, znany przecież psychoanalizie, można stosować wtedy, gdy ktoś wie, że choruje na zazdrość. Ewa nie chce uznać, nie chce przyznać się przed sobą, że zazdrości. Przypuszczam, że uważałaby taką zazdrość za jakąś krzywdę, którą mi wyrządza. Intuicyjnie wie, że nie ma powodów, aby mnie krzywdzić. Nie chce mnie krzywdzić. I nie krzywdzi. Spontanicznie przeciwstawia się zazdrości. A właściwie przeciwstawia się nazwom, po prostu nazwaniu tego, co w niej jest. To jest ta specjalna, trudna wersja zazdrości. O tyle jest bolesna i niebezpieczna, że powoduje podejrzenie o brak miłości. A takie podejrzenie boli, niszczy wewnętrzny pokój, zaufanie, radość. Myślę, że Ewa dała w sobie przewagę uczuciom. Jej miłość do mnie przechyliła się w kierunku uczuć, stała się bardziej uczuciowa niż duchowa, czy duchowa i uczuciowa w równym stopniu. I to jest jej mały kryzys. Zasłonił się jakoś i odsunął fakt, że sakrament małżeństwa jest dla mnie zobowiązujący i że jest przeze mnie świadomie uznany. Po prostu chcę być wierny, jestem jej wierny. Ewa nie patrzy na moje zobowiązanie wobec Boga. Nie myśli o tym, że moja niewierność wobec niej

byłaby także niewiernością wobec Boga. A tego konfliktu nie chcę. Zresztą kocham Ewę. Niech się bawi swoją etymologią i swoją poezją, ale niech się tylko bawi. Może nie da się uniknąć męki zazdrości, ale trzeba wiedzieć, że to jest czasowa choroba miłości i że trzeba tę chorobę zwalczyć. Trzeba mieć świadomość tego, co się w nas dzieje, co nas spotyka w sferze uczuć i ducha i trzeba pewnym sprawom rozumnie się przeciwstawić. W przeciwnym wypadku zamęczą nas uczucia i nastroje. Są w nas lub zjawiają się i trzeba umieć nimi kierować. Trzeba to umieć, jeżeli chce się rozumnie przejść przez to życie, dotrzeć do tego, co wartościowe, prawdziwe, co można osiągnąć jako trwałe czynniki miłości i szczęścia. To tak jakoś jest, Henryku. Ewa męczy się i chcę jej pomóc. Nie umiem pomóc skutecznie. Ewa przeciwstawia się tej pomocy, często nie wie, że to jest pomoc, nie rozumie moich dobrych starań i trosk o nią. I na tym polega mój błąd, na tym, że nie umiem leczyć jej z zazdrości. Nie umiem podać jej właściwych leków, takich, które zniosłaby i przyjęła jej psychika. Może jestem za ostry, za gwałtowny. Nie umiem przedstawić jej czytelnie stanu psychicznego, w którym się znalazła. Nie umiem wytłumaczyć jej tego, na czym polega źródło jej niepokoju, jej i moja wina. Nie umiem rozdzielić jej i mojej winy. Może po prostu źle to robię, a może w ogóle nie powinno się tu mówić o winie. Ani ona nie ponosi tu winy, ani ja. Wszystko to jest zwykłym nieporozumieniem, a raczej jakąś lekką chorobą miłości, zbyt dużym napływem uczuć towarzyszących miłości. I te uczucia, dodatkowe i uboczne, Ewa zbyt na serio traktuje. I jak tu z tego wybrnąć? Jak pomóc Ewie?

To wszystko, Krystyno. Zamykam wątek Pawła i Ewy. Chciałem tylko pokazać, że w każdym małżeństwie zjawiają się kryzysy. I nie chciałem mówić o kryzysach typowych i odnotowanych w literaturze psychologicznej, a nawet beletrystycznej. Chciałem pokazać konflikty subtelne, te, których nie widzi się „gołym okiem”, które są i niszczą miłość lub tylko jej zagrażają. Ale często jest tak, że te subtelne źródła dają początek wielkim powodom, które mszczą miłość. Trzeba więc i tym powodom umieć się przeciwstawić. Trzeba wciąż uczyć się sztuki życia, sztuki wychowywania miłości.

ROZDZIAŁ 22

Spotkanie odbyło się w mieszkaniu Pawła i Ewy, wśród sprzętów, których harmonia wyzwaliała zgodę i pokój, wśród kolorów, które kojarzyły najlepsze myśli i nastroje. Był to pomysł Andrzeja. Andrzej pragnął omówić to wszystko, co zdarzyło się w powieści, ocenić sposób przedstawienia różnych wersji procesu utraty miłości, zapytać zainteresowanych, czy doszli do właściwych rozwiązań, czy wysiłek jego refleksji i refleksji Ryszarda można uważać za pomoc w wykryciu czynników, które chronią miłość lub powodują jej utratę. Na spotkanie stawili się wszyscy zainteresowani. Teresa, Łucja, Krystyna wystąpiły w wieczorowych kreacjach. Andrzej i Ryszard tonąc w wygodnych fotelach cieszyli się poznaniem siebie i właściwie pierwszym dopiero bezpośrednim zetknięciem. Władysław, Kazik, Leon i Roman przybyli razem z Izoldą i Zofią, a Michał, Piotr, Adam, Tadeusz, Marcin i Daniel wręczyli paniom przyniesione kwiaty. Łucja cieszyła się różami. Ojciec Gabriel żałował, że nie ma floksów, ulubionych kwiatów Adama, że w związku z tym trudno mu będzie bronić urody klasztoru wobec tak bardzo przeważającej urody pań i kwiatów. Edward bawił się z Marią i Jackiem w jakąś rozśmieszającą zgadywanke. Paweł i Henryk przygotowywali napoje, Ewa roznosiła herbatę i ciastka. Na prośbę Andrzeja przemówił Henryk.

— Drodzy państwo, chciałbym najpierw wyrazić podziękowanie Ewie i Pawłowi za udzielenie nam gościny tak eleganckiej, miłej i serdecznej, a Andrzejowi za pomysł spotkania. Według jego pomysłu celem spotkania ma być szukanie odpowiedzi na postawione w naszej powieści pytania, z których najważniejsze byłyby następujące: co istotnie wywołuje proces utraty miłości, jakie czynniki niszczą miłość i co może ją ocalić? Mam nadzieję, że nasza powieść przynajmniej częściowo daje odpowiedź na te pytania. Chodzi więc może o to, aby tę odpowiedź wydobyć, jasno ją sformułować, zobaczyć raz jeszcze, który styl kontaktów między ludźmi sprzyja utracie miłości, a który jej ocaleniu i udoskonaleniu. Pozostaje też sprawa realizacji roli, jaką każdemu z nas wyznaczył autor powieści. Czy zagraliśmy swoje role zgodnie z psychologią odtwarzanej postaci, a właściwie czy tworzyliśmy te postaci logicznie i według zasad, wyznaczających sensowną analizę problemu, którego byliśmy symbolem. Tematem

bowiem powieści Andrzeja i Ryszarda nie my jesteśmy, nie postacie i bohaterowie akcji, tym tematem są problemy, oznaczone tylko naszymi imionami. Akcję powieści stanowią napięcia między problemami, między ujęciami, opiniami, między tym, co się zdarzyło, a tym, co się o tym mówi. Nie jest to więc akcja, wyznaczona przez sytuacje, w których znaleźli się bohaterowie powieści, jest to akcja, rozgrywająca się między trafniejszą lub mniej trafną analizą, między pogłębionym a spływającym ujęciem, między poszukiwaniem a obiegową odpowiedzią, między porządkiem subtelnych przeżyć psychicznych a subtelnym, prawie niedosłyszalnym głosem łaski. Akcję tę komplikuje fakt, że nie zawsze autor powieści rozgrywa tę akcję na scenie. Nie jest to bowiem dosłownie utwór sceniczny i nie jest to dosłownie powieść. Jest to bowiem omówienie akcji, refleksja nad tym, co się zdarzyło, dosłownie recenzja przeżyć Andrzeja i Teresy, Ryszarda i Krystyny, Tadeusza, Adama i innych. Można to nazwać recenzją, ponieważ nie jest to także tylko omówienie ich przeżyć. Ich przeżycia są przecież szczegółowymi nazwami etapów analizy zagadnień, które oznaczono naszymi imionami. Jest to więc jakiś jeden wielki monolog, podejmowany przez coraz to inne osoby, symbolizujące nowy akcent, dodatkową sprawę, długie poszukiwanie granicy między działaniem człowieka a działaniem Boga na terenie człowieka, wewnątrz jego duszy i psychiki, poszukiwania granicy między impulsami duszy i psychiki ludzkiej, między uczuciami i miłością, tym, co istotne i drugorzędne, między sposobami działania a przedmiotem działań. Z tych wszystkich powodów akcja powieści dzieje się jak gdyby na drugim planie lub raczej jest wpleciona w komentarz, zestawiający to, co się zdarzyło, z oceną, zorientowaną na prawa, na jakieś ostateczne i prawie eschatologiczne ujęcia. Pozwoliło to spokojniej rozważyć sprawy, uzyskać dystans myślowy, docierać aż do tych najbardziej pierwszych, delikatnych i dyskretnie ukrytych źródeł, z których wzięły początek kłopoty Ryszarda i Andrzeja, Krystyny i Teresy, Tadeusza i Adama, Pawła i Ewy. Tak oto powstawała ta powieść-komentarz, powieść-interpretacja. Andrzeju, Ryszardzie, czy dobrze ująłem wasze założenia?

— Dziękuję ci całym sercem. Nie wiem, co myśli o tym Andrzej. Jeżeli chodzi o mnie, chciałbym po prostu kontynuować twoją myśl. Od twojego omówienia założeń struktury tego, co napisaliśmy, należy już dojść do treści podjętych problemów. Proces utraty miłości uzyskał w powieści dwie realizacje: była to zmiana przedmiotu miłości

lub zmiana warunków i sposobów rozwijania miłości w stosunku do tego samego przedmiotu. Henryk reprezentujący stanowisko, że utrata miłości polega na zmianie przedmiotu miłości, miał także być podmiotem tego procesu. Ostatecznie stało się tak, że Krystyna zmieniła przedmiot miłości odrywając tę miłość od Romana, a właściwie dla uratowania tej miłości obejmując nią także Boga, oraz Adam, który odrywając się od piękna muzyki i piękna miłości do Krystyny skierował tę miłość do Boga. Ryszard, i chodzi tu o mnie, po długich poszukiwaniach myślowych doszedł do wniosku, że utrata miłości polega na przekształceniu, a raczej pogłębieniu miłości przez włączenie jej w nadprzyrodzoną miłość Bożą. Jego życie miało być terenem dokonywania się takiego procesu. Nie wiem, czy przekonywająco pokazałem, a raczej czy Andrzej pisząc o mnie dostatecznie przekonał czytelnika, że moja miłość do Krystyny była pozorna, że moja męka polegała na poszukiwaniu przedmiotu miłości. To była ostatecznie utrata miłości do siebie i dzięki Krystynie wydobyć tę miłość na zewnątrz. Dopiero teraz ta miłość będzie mogła skierować się do ludzi i do Boga. Andrzej przeszedł przez mękę pomyłki, przez ukochanie nietrwałego dobra. Przeżył proces czasowej utraty miłości do Teresy i do Boga, i jednocześnie proces uświadomienia sobie, na czym polega miłość i jakimi sposobami należy ją rozwijać. W nowych warunkach wrócił do tego, co utracił. Henryk reprezentował bardzo równy rytm rozwoju miłości, przed Adamem najkonkretniej zarysowała się droga nadprzyrodzonych perspektyw. Te perspektywy przed każdym z nas stanęły, w wypadku jednak Adama współpraca z łaską jest już początkiem działań heroiczych. U każdej z wymienionych postaci co innego wywoływało proces utraty miłości. Najpierw utratę tę powodował sam przedmiot. Albo więc wkraczał Bóg i odrywając od innych przedmiotów pociągał kogoś do siebie, albo prawy rozsądek ludzki i prawość tęsknot poddanych łasce skłaniały do poważnej troski o miłość, do pogłębienia jej i przekształcenia przez poddanie naszej miłości łasce i miłości Bożej. Było i tak, że namiętność stawała się powodem zmiany przedmiotu miłości, a także urok piękna, pokusa piękna. Okazało się, że namiętności, uczucia, nietrwały lub zły przedmiot niszczy miłość, że ratuje miłość, że może ją ocalić właściwie tylko miłość Boża, przyjęta przez człowieka, gdy Bóg ją dał duszy ludzkiej. A Bóg proponuje i daje swą miłość zawsze. Problem polega na tym, że człowiek nie zawsze podejmuje tę miłość, tak jak nie zawsze podejmuje naszą miłość, miłość kochającego człowieka.

Henryk udzielił głosu zgłaszającej się Krystynie.

— To wyciszenie akcji, ton spokojnej relacji, pozwoliły mi lepiej zagrać moją rolę. Tak sędzę. Interesują mnie jednak same problemy, a głównie problem nie podjętej miłości. Podlegałam w powieści analizie Andrzeja i Ryszarda, musiałam myśleć tak, jak oni myślą. Nie wiem jednak, czy ich rozwiązania rozstrzygają sprawę. Nasza miłość, której nie podejmuje ktoś przez nas kochany, nie tylko sprawia ból. Jest także nieszczęściem. Andrzej pokazywał, że miłość Ryszarda, której nikt nie chciał, była twórcza, potrzebna, że wyzwoliła go z egoizmu, że ujawniła mu jego niedoskonałość. Ryszard znowu opisując mękę tęsknot Andrzeja, który wyrывał się do spotkanego piękna kobiet, rysował bolesne rozdarcie człowieka, konieczność ciągłego wyboru, trud wyboru tego, co jest zgodne z życzeniami Bożymi. Moja rola kobiety, zakochanej w kimś, kto jej nie kocha, i obdarowanej miłością przez kogoś, kogo nie mogła pokochać, przybliżyła mi przekonanie, że miłość może być nieszczęściem. Może nas umęczyć, nawet zniszczyć. Co ma zrobić człowiek, który kocha bez perspektyw, bez nadziei zdobycia osoby kochanej? Trzyma się dzięki temu, że ta osoba istnieje. Myśli o niej, tęskni do niej. Gdyby tej osoby zabrakło, zabrakłoby źródła siły do przetrwania tak bolesnego życia. Jakże więc krucha jest miłość, jakże słaba. Jest silna tylko dzięki osobie ludzkiej, którą kochamy. Miłość sama z siebie jest słaba. Jest raczej słabością człowieka, jest jego nieszczęściem. A nawet podjęta przez kogoś kochanego, dostarcza przecież tylu zmartwień. Słyszeliśmy żale Ewy. Musiała przejść przez mękę niepokojów, wywołanych zazdrością. Każdej miłości towarzyszy zazdrość. Miłość więc nie wnosi radości, nie wnosi pokoju. Jest źródłem męki. Jest nieszczęściem. Powiedz, Tadeuszu, czy tak nie jest? Masz w powieści rolę kogoś, kto umie podejmować zawile sprawy ludzkiego serca. Czy nie mam racji? Powiedz.

— Zgadzam się z tobą we wszystkim, co mówisz. Miłość jest nieszczęściem, jest słaba, lecz tylko wtedy, gdy nie wspiera jej ktoś przez nas kochany. Sama to powiedziałaś. I muszę dodać, co zresztą pokazywano w powieści, że nie widzę dla miłości perspektyw poza osobą kochającą i kochaną. Miłość ze swej natury jest darem. Gdy ktoś tego daru nie podejmie, cierpienie osoby ofiarowującej jest prawie ponad siły. A nawet przyjęta miłość sprawia ból. Co więc z tego wynika? Wynika po prostu to, że nie uratujemy miłości bez pomocy miłości Bożej. Miłość jest uczuciem duchowym i z

tej racji jest wierna, trwała, pogodna, cierpliwa, lecz zawsze jest miłością człowieka, w którym są i działają uczucia, nastawienia, namiętności. Miłość działa w kontekście bardzo zmiennym, nietrwałym, burzliwym. Jest powiązana z radością, gniewem, smutkiem, zazdrością, próżnością, z dobrymi i złymi tęsknotami człowieka. Trudno jej wygrać walkę, trudno jej utrzymać się w etapie pogody, cierpliwości, zaufania. Tylko więc włączenie jej w miłość Bożą może ją umocnić. Włączenie miłości obu kochających się osób w miłość Bożą sprawia, że miłość przestaje być zagrożona, bolesna, nietrwała. Nie widzę innego rozwiązania, innej drogi. Gdybyśmy nawet przyjęli, że wystarczy sobie wzajemna miłość dwojga ludzi, że ich wypełnia, uszczęśliwia, to zawsze musielibyśmy pamiętać, że miarą tej miłości jest człowiek. A człowiek jest zmienny, niestały, niewierny, nawet gdy tego nie chce. Widzieliśmy to na przykładzie męki Andrzeja. Miłość byłaby tylko na miarę ludzką. Byłaby przez to jakąś krzywdą, wyrządzaną osobie kochanej. Człowiek zasługuje na to, aby go zawsze kochać, zawsze wiernie i najdoskonalej. Takiej miary dostarcza miłość Boża. Uniezależnia naszą miłość od nas, broni jej przed naszą zmiennością, zapewnia miłości trwałość, która przynosi pogodę. Gdy się to wszystko przemyśli, dochodzi się do wniosku, że ratuje naszą miłość tylko miłość Boża. Wtedy nasza miłość przestaje być nieszczęściem, przestaje być źródłem męki. Staje się źródłem szczęścia. Jest samym szczęściem.

Władysław włączył się do dyskusji.

— Rozwiązanie Tadeusza jest słuszne, nie ma na to rady, ale i Krystyna ma rację w jakimś stopniu. Ma rację pod tym warunkiem, że termin „nieszczęście” zamieni na termin „cierpienie”. Miłości zawsze towarzyszy cierpienie. Słusznie mówił Andrzej już na początku powieści, że na każdego człowieka, na każdego z nas zwała się cały ogrom spraw, które można ująć w dwa tak bardzo krótkie słowa: miłość i cierpienie. Każdej miłości w naszym ziemskim życiu towarzyszy cierpienie. Bardzo rzadko towarzyszy jej radość. Piękna miłość Adama, miłość do Boga, jest okupiona jakże przecież dużym cierpieniem, które ma formę ofiary. Adam musiał tracić miłość do wielu przedmiotów, tracić te przedmioty, odchodzić od nich, odrywać się z męką i łzami, aby dojść do miłości Bożej. Na przykładzie Adama widzieliśmy, co dzieje się w człowieku, który całą swoją miłość skierował do Boga. Andrzej pokazał w duszy Adama najpierw

sytuację bardzo przeciętną. Adam szedł ku pięknu, ku wszystkim sprawom, które każdy człowiek poznaje i wybiera. I wydawało się, że Adam zostanie na tym poziomie, że przegra, utraci miłość. I Adam rzeczywiście utracił miłość do wielu drobnych i do wielu ukochanych przedmiotów. Odchodził od nich świadomie, aby w pełni podjąć miłość Bożą. Andrzej zmienił więc koncepcję duchowej sylwetki Adama, zmienił szczęśliwie. Pokazał, jak przebiega proces utraty tego wszystkiego, co zasłania nam Boga. Oczywiście, droga Adama jest trudna i piękna, ale nie jest wyjątkowa. Właściwie obowiązuje każdego człowieka. Wszystkich nas bowiem obowiązuje wybór Boga. Ten wybór jednak na serio realizowany nie musi dokonywać się przy pomocy wyłącznie tych środków, które wybrał Adam. Henryk i Łucja korzystają z innych środków. Idą do Boga drogą małżeńską. Nie jest to przecież droga bez cierpień. Łucja martwi się dziećmi, Henryk z wielkim, ukrytym cierpieniem mówi o problemie odchodzenia dzieci od rodziców. Wie, że tak być musi, rozumie to, ale cierpi. A ileż cierpień przeżył Andrzej na swej drodze do miłości Teresy i do miłości Bożej? Jak bardzo cierpiał Ryszard w swoich pomyłkach, w swoich tęsknotach. Odkrył niebezpieczeństwa, zagrażające jego miłości. I teraz dopiero zaczyna się męka, męka walki o wychowanie miłości. Ewa też cierpi i cierpi Paweł. Każdej miłości towarzyszy cierpienie, ponieważ każda miłość doskonaląc się jest jakimś procesem tracenia tego wszystkiego, co jest pozornym lub niewłaściwym przedmiotem miłości. Po prostu niełatwo ukochać osobę ludzką i niełatwo ukochać Boga, mimo że miłość jest najprostszą czynnością duszy ludzkiej, najbardziej naturalną. Dobrą miłość uzyskujemy w wysiłku, poprzez ciężką pracę wprowadzania ładu we własne życie. Ten trud zawsze boli, zawsze jest ofiarą, umartwieniem, męką. Zawsze więc cierpienie będzie towarzyszyło miłości. I nie należy tym się martwić, nie należy bać się tego. Trzeba jednak o tym wiedzieć, aby się nie pomylić. Mylimy się sądząc, że nie ma miłości tam, gdzie jest cierpienie, że nie ma szczęścia, jeżeli jest ból i męka. Cierpienie nie wyklucza miłości, ani nie wyklucza szczęścia. Miłość, cierpienie i szczęście występują razem, ponieważ wszystkie działania występują w człowieku jednocześnie. Są w nim sprzeczności i wybory, są radości i smutki, uczucia i decyzje woli, złe i dobre tęsknoty. I cała tajemnica wygrania walki, uratowania miłości, często sprowadza się do umiejętności rozróżnienia dwu słów i postaw: tego, co nazywamy „wszystko” i tego, co nazywamy „najlepsze”. Adam nie

chciał niczego utracić, chciał ogarnąć wszystko. Mając taką postawę stał w miejscu. Gdy jednak „wszystko” zamienił na „najlepsze”, poszybował i minął nas wszystkich. Gdy chcemy wszystkiego, utracimy wszystko, gdy zdecydujemy się na najlepsze, zdobędziemy je. Naturalna droga człowieka, to droga wyboru. Umiejętność wyboru, to umiejętność uratowania miłości. Wybór wiąże się z ofiarą, a ofiarowywanie jest cierpieniem. Cierpienie więc prowadzi do miłości. Nie uwolnimy się od cierpienia. Jeżeli jego obecność uznamy za coś normalnego, będzie nam łatwiej i lżej. Nie zamykajmy oczu na fakty, nie bierzmy marzenia za rzeczywistość. Radosna miłość bez cierpienia jest czymś ogromnie rzadkim. Częściej miłości i szczęściu towarzyszy cierpienie. Obyśmy umieli z tym się pogodzić.

Swoim spokojnym głosem także Łucja dorzuciła kilka myśli do toczącej się dyskusji.

— Zamiast apelować o to, abyśmy uznali fakt cierpienia, towarzyszącego miłości, może należałoby zachęcać, abyśmy uczyli się kochać. Zastanawia mnie to, że uczymy się tylu różnych rzeczy, a prawie nigdy świadomie nie uczymy się miłości. Pierwsze lekcje prawdziwej miłości pobieramy w rodzinie. Miłość ojca i matki do dzieci jest lekcją miłości. Nie zawsze są to lekcje najlepsze, ale to są lekcje wiernej, trwałej, niezmiennej miłości. Potem uczy nas miłości wybrany przedmiot. A może raczej wyznacza wielkość miłości. Uczy nas jej drugi człowiek, o ile umie nauczyć. Nauczy nas tyle, ile sam umie. Jeżeli nauczył się złej miłości, uczy źle. Lecz kto z nas zna dobrą miłość? Może rzeczywiście rozwiązanie Tadeusza jest najlepsze, może przede wszystkim powinniśmy uczyć się miłości od miłości Bożej. Może tylko Bóg umie prawdziwie kochać. Jeżeli tak jest, to tylko Bóg jest w stanie nauczyć nas miłości. Może cały trud wychowania miłości polega na tym, aby to zrozumieć. Dante mówi w *Convivio*, że każda rzecz ma sobie właściwą miłość, która ją porusza. Dante myśli tu, tak bym to rozumiała, nie o czynności kochania, lecz o przedmiocie miłości. I wyraża myśl, że nasze postępowanie zależy od tego, co kochamy. Nie jest więc obojętne to, co kochamy. Ważny jest przedmiot miłości. Tę zmianę przedmiotów miłości obserwowaliśmy w życiu Adama i Andrzeja. Za każdym razem co innego dany przedmiot sprawia w człowieku. Pewne przedmioty wtrącają człowieka w zło, w grzechy. Grzech nie jest związany z miłością cielesną, grzech polega na odrzuceniu

życzeń Bożych. Chrystus chce, aby miłość cielesna była tym, czym jest, tylko środkiem rozwijania miłości, lecz środkiem, z którego wolno korzystać pod warunkiem przyjęcia konsekwencji, wynikających z posługiwania się tym środkiem. Wiąże więc ten środek z małżeństwem. I ma rację. Należy postępować odpowiedzialnie. Tylko takie postępowanie jest godne człowieka. Ale przyjmijmy to wszystko wtedy, gdy wpatrzymy się w miłość Bożą. Ten wzór podnosi poziom naszej miłości. Gdy przedmiotem naszej miłości będzie miłość Boża, nauczymy się prawdziwie kochać. Jest to lekcja bolesna, nie ukrywajmy tego. Polega przecież na utracie niedoskonałej miłości, na bolesnym procesie wybierania tego, co wartościowsze, na włączeniu miłości przyrodzonej w nadprzyrodzoną miłość Bożą. I musimy to zaakceptować, nie możemy od tego uciec, jeżeli poważnie chcemy dobrze przeżyć własne życie i uratować swoją miłość. Jeżeli tak jest, jeżeli wychowanie miłości polega na włączeniu naszej ludzkiej miłości w miłość Bożą, to nasze życie sprowadza się do procesu utraty miłości w sensie jej doskonalenia poprzez bolesny wybór tego, co lepsze. Nasze życie jest więc procesem utraty miłości, procesem wybierania coraz właściwszych przedmiotów i procesem ukochania najlepiej, w nowych warunkach człowieka i Boga. Można więc krótko powiedzieć, że uczyć się miłości, to uczyć się tego, jak traci się miłość, tę niedoskonałą lub złą, aby prawdziwie i najlepiej kochać najwartościowszy przedmiot: osobę ludzką i osobę Bożą. Myślę, że trafnie sformułowaliśmy tytuł naszej książki: jak traci się miłość. Znaczy to bowiem także, jak i gdzie uczyć się miłości.

Andrzej ucałował dłonie Łucji. Ryszard wyraził głośno nastrój obecnych.

— Łucjo, droga Łucjo, dziękuję. Właściwie powiedziałaś wszystko. Jeżeli dodam kilka słów, to tylko dlatego, aby sobie uprzytomnić i powtórzyć treść twojej wypowiedzi. Rysują nam się wyraźnie dwie drogi miłości ludzkiej: droga małżeńska i droga człowieka samotnego. Ale wersje tych dróg są rozmaite. Inaczej idzie swą drogą Adam, inaczej Tadeusz czy Ryszard. Inaczej rozwija się miłość w małżeństwie Andrzeja i Teresy, Pawła i Ewy, czy Henryka i Łucji. Wszędzie jednak chodzi o to samo, o wychowanie, udoskonalenie, a tym samym o uratowanie miłości. Mniej cierpimy, gdy osoba, którą kochamy jest przy nas. Wielkość naszej miłości, naszego szczęścia i naszego cierpienia zależy od tego, w jakim stopniu jest przy nas drugi ukochany przez nas człowiek i w jakim stopniu jest przy nas Bóg. Inaczej ktoś kochany

jest przy człowieku samotnym i inaczej jest przy nas, gdy z osobą kochaną wiąże nas małżeństwo. Ale jednakowo przy każdym człowieku jest Bóg, mimo że w różnym stopniu kochany. Niezależnie jednak od tego wszystkiego wielkim trudem i wielką tajemnicą pozostaje droga człowieka samotnego i małżeńska droga dwojga osób. Tylko maleńki fragment tych dwu dróg ujęliśmy w naszej powieści, niektóre perspektywy, problemy i rozwiązania. Wiele jeszcze pozostaje do omówienia. Zostawmy to innym, każdemu człowiekowi, czytelnikom tej książki. Mogliśmy wprowadzić do powieści jeszcze wiele postaci, powierzyć im szereg analiz, wypowiedzeń. Czy jednak zdołalibyśmy powiedzieć wszystko? Nie. Niech pozostaną niedomówienia. Zrealizowaliśmy to, co dało się zrealizować. Zostały postawione problemy. One stanowią treść tej powieści. Nie opowiadamy życia wprowadzonych do książki postaci. Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że pragnęliśmy, aby właściwymi bohaterami powieści były problemy, problemy procesu utraty miłości. Jeżeli udało się wyraźnie je zarysować, znaczyłoby to, że rysunek postaci jest trafny, postaci nie imion, takich jak Andrzej, Teresa, Adam, Krystyna, które były znakiem omawianych problemów. Zresztą czytelnik to osądzi.

Zebrani zaczęli się żegnać. Andrzej i Ryszard zamyśleni i jak gdyby zmartwieni nie mając już czasu na powiedzenie sobie tego, co jeszcze mieli do powiedzenia, umówili się na jutro, na długie spotkanie i na długą rozmowę przy kawie.

— Przecież, Andrzeju, widzimy się z sobą pierwszy raz. W związku z naszą powieścią tyle jest jeszcze do omówienia i tyle spraw do przemyślenia, do wspólnego przemyślenia.

— A więc do jutra, najwyżej do jutra.

Andrzej pożegnał Ryszarda i uświadomił sobie, że to, co powiedział w powieści, niczego nie rozwiązało, że wszystkie sprawy są w nim wciąż aktualne, że trwa w jego duszy męka, której nie może sam udźwignąć, że nie skończył się w nim proces utraty miłości, że ten proces zawsze przebiega. I w każdym z nas zawsze jest cierpienie, zawsze jest miłość, zawsze ją tracimy i odnajdujemy, nigdy nie kończy się droga człowieka do miłości Bożej. Poszukiwanie miłości.

ROZDZIAŁ 23

W kawiarence na rogu obydwaj zasiedli w wygodnych fotelach. Ryszard wyciągnął papierosy, Andrzej podjął przerwany temat.

— Ty byłeś w lepszej sytuacji. Ryszardzie, tobie było łatwiej. Krystyna wiedziała, że ją kochasz. Mogłeś jej to mówić, mogłeś na nią patrzeć, mogłeś się spodziewać, że cię pokocha. Poza tym byłeś jej wierny, trwałeś przy niej swoją miłością, nie musiałeś zabiegać o jej obecność. Ja cierpię potrójnie. Męczy mnie przede wszystkim zmienność moich fascynacji. Wciąż Kocham Teresę, ale nie mogę zapomnieć o tamtych twarzach, które ukochałem. Kocham szczególnie jedną. Ona nic o tym nie wie, może się nawet tego nie domyśla. Zobaczyłem ją dzisiaj i na nowo porwało mnie jej piękno. Znowu tęsknię, Ryszardzie. Znowu tęsknię. Nie mogę przestać myśleć o tym pięknie. Porwało moje uczucie, moje myśli. Jej obraz widzę wciąż w sobie, wypełnia mi serce. Wyrywani się do niej całą tęsknotą. Nie wiem, kim jest, gdzie jej szukać, gdzie ją spotkać. Znowu moje uczucia pobiegły w kierunku nietrwałej radości. Boli mnie ta fascynacja i jednocześnie boli mnie to, że nie mogę dotrzeć do tej osoby, którą Kocham. Czy ją Kocham? Nie wiem, czy to jest miłość. Wiem tylko, że jest we mnie ogromny ból, że nie ma przy mnie tej osoby, którą tak szalenie Kocham. Nie ma jej. Znam ją dobrze w swoich tęsknotach i nic o niej nie wiem. Nigdy do niej się nie zbliżę, ponieważ nie mogę i nie chcę. Nie mogę odejść od Teresy. Nie mogę odejść od Boga. Nie chcę odejść. Ale boli mnie brak obecności tej osoby, która teraz swym pięknem porwała moje uczucia. Czy jest piękna? Nie wiem dokładnie. Może obiektywnie biorąc nie jest piękna. Jest jednak przedmiotem moich tęsknot. Będę ją mijał w ogromnym bólu. Będę ją spotykał na ulicy. Tę moją miłość, wybraną, tak boleśnie niepokojącą. I nigdy jej nie powiem, że ją Kocham. Nigdy nie usłyszę jej głosu. Nigdy nie poświęci mi swojej uwagi. Nie będzie ze mną rozmawiała, nie będzie się o mnie troszczyła. Nigdy nie zaznam jej dobroci. Nie mogę ofiarować jej swego uśmiechu, swojego serca, swojej troski. Nie będę mógł być dla niej dobry. Kocham ją na odległość. To jest właśnie ból, Ryszardzie. Nigdy nie dowiem się, czy podjęłaby moją miłość. Tracę szansę miłości, nadzieję miłości. Pozostaje mi marzenie i tęsknota, dwa cienie szczęścia, dwa cienie bólu, fascynacja tym, co jest nieosiągalne, czego więc faktycznie nie ma. A przy tym

świadomość, że kochając tę miłość zagrażam miłości do Teresy i niszczę swoją miłość do Boga. Potrójny ból. Przeraza mnie ten mój wewnętrzny lot w kierunku każdej przeczuwanej miłości, przeraza mnie nieosiągalność tego, ku czemu wybiegają nadzieje, przeraza mnie idąca za tym wszystkim krzywda wyrządzana Teresie i miłości Bożej. Cóż oni są mi winni? Kochają mnie, wybaczą, podnoszą. Niszczę tę miłość, znowu zasługuję na gniew i odrzucenie, znowu będę wracał płacząc i lecząc rany duszy, rany zadane miłości.

— Andrzej, nie daj się ponosić uczuciom, zapanuj nad tym nastrojeniem, nad sobą.

— Wysłuchaj mnie, Ryszardzie, wysłuchaj do końca. Może to zwierzenie zmniejszy moją mękę, może choć w części uwolni mnie od tego piękna, którego obraz noszę w sobie. Na tej męce tęsknoty do niej, do nowej twarzy, która każe mi iść w jej kierunku, na męce tęsknot do tej nowej osoby, którą kocham, na tej męce a perspektywach radości bez perspektyw, powoli narasta druga męka, boleśniejsza i głębsza, nieskończony ból świadomości, że oddala się ode mnie miłość Boża. Trudno mi o tym mówić. To może zabrzmieć ironicznie a przynajmniej nieszczerze. Ta męka jest jednak realna. Drażni serce. Płacę nad sobą. Wiem, że moja tęsknota do Boga maleje. W chwilach fascynacji pięknem przez tę nieznaną twarz nie myślę o Bogu, nie myślę o Teresie. Nie pamiętam o nich. To zapomnienie jest coraz częstsze. Przyzwyczajam się do tego zapomnienia. W mojej psychice dokonuje się proces odchodzenia od Boga. Nie pamiętam o porządku łaski. A gdy o tym nie pamiętam, nie zabiegam o łaskę, nie czuwam nad tym, aby ją zwiększać, nawet utrzymać w duszy. Wiem o tym, co mi grozi. Wiem, że mogę utracić miłość Bożą. Sam niszczę w sobie tę miłość i łaskę. Świadomość tej straty wywołuje mękę, której nie jestem w stanie opisać. I męka ta narasta. Obok tej potrójnej męki tęsknot za pięknem, które kocham, za pięknem, którego nie powinienem szukać, narasta męka świadomości, że tracę o wiele bardziej wartościowe dobro, miłość Bożą. Przygniata mnie to cierpienie, nie oczyszcza, nie wzmacnia. Wyłącznie boli. I nie mogę się dźwignąć, nie mogę nic zrobić. Dźwigam podwójny krzyż, którego nie mam siły dźwigać. Nie widzę końca drogi, nie widzę szczytu Kalwarii.

— A może, Andrzej, może w tym właśnie jest twój ratunek, w tym dźwiganiu krzyża. Może Bóg chce, abyś męczył się swoimi tęsknotami, abyś je dźwigał. Może nie

chodzi o to, abyś szedł jasną drogą miłości Bożej, jak Adam, czy Henryk. Ty idziesz tą drogą, ale drogą bez świateł, bez nadziei wygrania walki, bez świadomości zwycięstw. Może Bóg sam chce liczyć twoje zwycięstwa. Może pragnie, abyś tylko cierpiał męcząc się niepokojem o miłość Bożą i męcząc się tęsknotami, które kierują cię, czasem wbrew tobie, ku radości kontaktów z ludźmi, ku tym pociągającym cię urokom ludzkiego piękna. Jeżeli taka jest twoja droga, to czeka cię jeszcze wiele trudu. Dźwigając krzyż będziesz nim przygnieciony aż do ziemi. Będziesz musiał przeżyć stację zdarcia szat, utraty czci, szacunku, wewnętrznego pokoju. Może jesteś już przy tej stacji. Już męczysz się niepewnością, niepokojem, obawą, że utracisz Boga. Jeżeli tak jest, jeżeli to już ten etap, to jeszcze czeka cię przybicie do krzyża i ukrzyżowanie. Twoja droga, Andrzeju, jest piękna, jest bolesna i piękna, i jest straszna. Może twoja tęsknota za pięknem winna odczytać to inne piękno, które Bóg przybliży ci na twojej drodze, piękno cierpienia. Może wszyscy, jak ty, zmysłowi ludzie o rwących uczuciach, wielkich namiętnościach, są powołani do cierpienia, po prostu do cierpienia, do dźwigania swego krzyża wielokierunkowych tęsknot. Do dźwigania tego krzyża. Ktoś przecież z przyjaciół Boga musi i ten krzyż zanieść na Kalwarię. To nie jest krzyż lekki. Bóg nie daje go każdemu. Daje go wielu ludziom, lecz wielu zrzuca ten krzyż z ramion już po kilku chwilach męki. Więc może ty, Andrzeju, może ty nie zawieź Boga. Pomóż Bogu. Przyjmij i uznaj swoją drogę, krzyżową drogę tęsknot, które rozrywają ci serce, niszczą twój spokój, twoje plany, obliczenia, nadzieję doskonałości. Może Bóg inaczej pomyślał twoją nadprzyrodzoną doskonałość. Może masz właśnie wszystko stracić. Nawet siebie, swój spokój, dobre o sobie mniemanie. Może dopiero wtedy i może właśnie wtedy Bóg odkryje ci swoją miłość, która jest w tobie. Ona jest w tobie. Jest w tobie miłość Boża. Nie martw się, Andrzeju. Cierpienie nie może zawieść. Zawsze przywołuje Boga. Zawsze jest znakiem troski Bożej o nas.

— Ale modlitwa, Ryszardzie. Nie ma we mnie modlitwy. Czy Bóg może działać w duszy, która nie otwiera się przed Nim? Otwiera nas wobec Boga tylko modlitwa. A ja nie mogę się modlić.

— Może źle pojmujesz modlitwę. Może sądzisz, że twoja niezdolność do słownego sformułowania myśli o Bogu, wyklucza modlitwę. Nie możesz myśleć o Bogu, zapominasz o Bogu. Tak to nazwał. Twoja męka z tego powodu świadczy o tym, że

modlisz się. Ta męka jest przecież jakimś rodzajem żalu. Ten żal, którego przedmiotem jest twoja słabość, bezradność, niewierność, jest twoją tęsknotą do Boga. A ta tęsknota ratuje cię, wiąże z Bogiem. Bóg nie oddala się od nas, gdy nam ciężko. Jest wtedy jeszcze bliżej duszy ludzkiej. Jest w tobie, Andrzej. Uwierz Bogu, że jest w tobie, w twoich tęsknotach, w twojej męce. Nie uważaj się za autora swoich cierpień, za wyłącznego ich sprawcę. Także Bóg tworzy twoje cierpienie. Dając ci tyle nawet zagrażających ci tęsknot uwzględnił je w rachunku zbawienia. Ufaj Bogu. Patrz na siebie w perspektywie Opatrzności, w perspektywie troski Bożej o zbawienie i uświęcenie człowieka.

— Dodatkową męką jest samotność. Tak, Ryszardzie, samotność. Teresa nie może mi pomóc. Sam nie mogę pomóc sobie. I Bóg mi nie pomaga w dźwiganu krzyża. Wiem, że Bóg nie doświadcza ponad siły, że zawsze udziela łaski. Ale przecież zgrzeszyłem, odszedłem od miłości Bożej. Wróciłem i znowu pragnę odejść. Ciągłe powroty i odejścia. Bóg powoduje te powroty. Powoduje je, lecz wiem o tym tylko na podstawie wiary. Nie ma we mnie jakiegóż najmniejszej, nawet psychicznej pewności, że Bóg jest przy mnie, że mnie wspomaga. Jest pustka, świadomość przegranej, świadomej utraty. Czuję się samotny, opuszczony. To bardzo ciężkie poczucie. Sam dźwigam swój krzyż. Nie widzę swojej drogi, wyczuwam ją tylko, wiem o niej z wiary. Pustka i ciemność. Czy mogę więc iść bezpiecznie ze swoim krzyżem, w takiej pustce i w takich ciemnościach? Ciemna noc. Oto moja sytuacja, Ryszardzie. Noc. I krzyż na ramionach, straszliwie ciężki. Dźwigam go samotnie, w męce samotności, krzyż obaw, że tracę miłość Bożą.

— Nie utraciłeś miłości Bożej. Andrzej, nie utraciłeś tej miłości. Nie mogłeś utracić. Bóg kocha każdego człowieka. Kocha niezmiennie, zawsze. Utraciłeś, być może, swój projekt życia. Musisz przyjąć ten, który obmyślił Bóg dla ciebie. Nie martw się tym, że wszystko jest inaczej niż planowałeś, że Bóg prowadzi cię po drodze, której nie spodziewałeś się, która jest inna niż to, czego byś pragnął. Zaufaj Bogu. Ufność uratuje twoją miłość i przywróci ci miłość Bożą.

Andrzej milczał. Ryszard bał się tego milczenia. Mogło ono znaczyć zgodę lub sprzeciw. Mogło kryć decyzję zamknięcia się w bólu, zaprzestania wysiłku. Bał się, że może Andrzej przywykł do swoich cierpień i swego smutku, że sama męka mu

wystarcza, że może nie zechce jej uznać za środek przybliżający mu miłość Bożą. Czuł, że zwierzenie Andrzeja jakoś go zobowiązało, że wciągnęło go także na tę pełną męki drogę krzyżową. Czuł też, że i na niego, na nich obu zwałił się teraz cały ogrom spraw, które można ująć w dwa tak bardzo krótkie słowa: miłość i cierpienie. Obydwaj będą musieli przebrnąć przez wszystkie problemy i rozważyć swoje życie. Andrzej musi je analizować, aby odkryć i uznać swoją drogę, przewidzianą dla niego przez Opatrzność. A on, Ryszard, musi mu w tej drodze towarzyszyć i rysować drogi swojego życia, aby w tym porównaniu i z tej perspektywy Andrzej właściwie zobaczył to, co stanowi jego los. Ryszard wiedział, że nie będzie mógł pomóc przyjacielowi, jeżeli nie prześledzi razem z Andrzejem jego życia i jeżeli sam nie odkryje mu swojego. Takie jest prawo, kierujące zrozumieniem kogoś, taki jest sens przyjaźni i sens zalecenia: jedni drugich brzemiona noście. Nigdy nie kończy się w tym życiu męka człowieka, wciąż na nowo i bez przerwy trzeba walczyć o miłość. Zawsze boli nas miłość, zawsze raduje. Bywa nieszczęściem i przynosi szczęście. Traci się miłość i odzyskuje. Trwa tylko miłość Boża. Włączając swoją, ludzką miłość w miłość Bożą, ratujemy szczęście, zapewniamy trwałość miłości.

Czas już opuścić kawiarenkę na rogu. Dosyć rozważań. Walka o miłość toczy się w ludzkim sercu. Przejdźmy na teren serca, własnego serca, które pragnie odnaleźć Boga, odnaleźć człowieka, odnaleźć miłość.
